# Miecz aniołów

# Jacek Piekara

Dym ich katuszy na wieki wieków się wznosi

i nie mają odpoczynku we dnie i w nocy

czciciele Bestii i jej obrazu i ten kto bierze

znamię jej imienia.

Apokalipsa św. Jana

*Przede wszystkim chciałbym serdecznie podziękować wszystkim osobom, które kupiły tę oraz moje poprzednie książki. Wiem, że w dzisiejszych, trudnych czasach wybór często nie tkwi pomiędzy nabyciem jednej lub drugiej lektury, lecz pomiędzy kupnem książki a wizytą w kinie, wypiciem kilku piw, zjedzeniem pizzy czy pójściem na mecz. Dziękuję Wam, że wybraliście moje utwory i mam nadzieję, że Was nie zawiodłem. I Wam, i sobie życzę nadejścia takich czasów, w których książka nie będzie dla większości obywateli naszego kraju zbędnym luksusem.*

*Nie mogę jednak nie podziękować konkretnym osobom, które wspierały mnie swymi światłymi radami, podsuwały nowe pomysły oraz krytycznie oceniały niektóre rozwiązania fabularne. Przede wszystkim Grażynie Grzędowicz, której zarówno Mordimer, jak i twórca jego przygód nadzwyczaj wiele zawdzięczają (i wdzięczności tej nie zamierzają zatrzeć w pamięci), oraz Adrianowi Chmielarzowi, którego przyjaźń jest niezwykle ważnym elementem mojego życia. Dziękuję również za psychiczne wsparcie Joli Lisowskiej i Agnieszce Kawuli oraz wszystkim tym osobom, które w niezliczonych listach namawiały mnie do publikowania nowych opowiadań o Mordimerze. Sądzę również, że nie wypadałoby nie wspomnieć o moim jednocześnie przyjacielu i szefie — Piotrze Moskalu — który potrafił z miejsca pracy, jakim jest gigantyczny koncern wydawniczy, stworzyć przyjazną dla wszystkich oazę (a w związku z tym człowiek taki jak ja może w wolnym czasie zająć się pisaniem, a nie rozpamiętywaniem krzywd doznanych w życiu zawodowym). Nie mógłbym też pominąć Roberta Łakuty i Eryka Górskiego — prezesów wydawnictwa, w którym ukazują się moje książki. To oni otworzyli nowy rozdział w historii polskiej literatury fantastycznej i gdyby nie boom, jaki wywołali, to Czytelnicy nigdy zapewne nie poznaliby losów wykreowanej przez Andrzeja Ziemiańskiego księżniczki Achai, przygód stworzonego przez Andrzeja Pilipiuka egzorcysty Wędrowycza, czy też perypetii waszego uniżonego sługi, pokornego Mordimera Madderdina, licencjonowanego inkwizytora Jego Ekscelencji biskupa Hez-hezronu.*

*„W oczach Boga wszyscy jesteśmy winni, niezależnie od naszych uczynków, a pytaniem są tylko wymiar oraz czas kary. Kary, która nieuchronnie nadejdzie” — mówi Anioł w jednym z moich opowiadań. Moi Drodzy, niech więc Wasza kara będzie lekka, a czas jej wykonania niech odsunie się w daleką przyszłość!*

*Celowo nie dedykuję tej książki mojej Mamie, gdyż wiem, że nie przepada zarówno za stworzonym przeze mnie światem, jak i żyjącymi w nim bohaterami. Z ręką na sercu obiecuję jej jednak „dedykację na wyłączność” do książki, którą polubi. Już niedługo...*

Jacek Piekara

## Przedmowa

W listach, które otrzymuję, oraz na internetowych forach dyskusyjnych, dotyczących moich książek, pojawia się wiele pytań, zarzutów lub wątpliwości. Postanowiłem je uszeregować w główne grupy i odpowiedzieć przy okazji druku tego zbioru. Jednak stanowczo sugeruję, abyście zapoznali się z poniższym tekstem już *po* lekturze opowiadań zamieszczonych w *Mieczu Aniołów.* W zasadzie więc tekst ten powinien być posłowiem umieszczonym na końcu książki, ale z doświadczenia wiem, że szansa przeczytania przez Czytelników posłowia jest znacznie mniejsza niż przedmowy!

*Na ile tomów planujesz dalsze opowieści o Mordimerze?*

W tej chwili ukazały się trzy zbiory opowiadań: *Sługa Boży, Młot na czarownice* oraz *Miecz Aniołów,* który trzymacie w rękach. Czwarty — *Łowcy dusz —* ukaże się zapewne latem lub na jesieni 2005 roku, gdyż w dużej mierze jest już gotowy. Piątą książką o Mordimerze będzie najprawdopodobniej powieść, którą planuję na pierwszą połowę 2006 roku. Jej akcja potraktuje o wydarzeniach, które nastąpiły zaraz po zakończeniu ostatniego opowiadania z tomu czwartego.

*Zarzuca ci się czasami epatowanie nadmiernym okrucieństwem. Co o tym myślisz?*

Musimy najpierw uściślić pewne szczegóły. Akcja książek o inkwizytorze Mordimerze Madderdinie toczy się w alternatywnej historii, w której Chrystus zszedł z krzyża i ukarał swych prześladowców, a potem założył Państwo Jezusowe, wpływami obejmujące z grubsza terytorium ówczesnego Imperium Rzymskiego. W tym świecie podstawowymi zasadami religii chrześcijańskiej nie są więc wybaczenie czy litość, ale najważniejsze stało się ukaranie grzeszników. Stąd też zmienione słowa „Ojcze nasz”, które w tym świecie brzmią: *i daj nam siłę, byśmy nie przebaczali naszym winowajcom,* stąd też modlitwa zaczynająca się od frazy: *Panie nasz, ty zaniosłeś Słowo i Miecz swemu ludowi.* Jak na takie założenia, uniwersum Mordimera jest wręcz cukierkowo słodkie. Od wielu lat interesuję się historią (nie tylko późnego średniowiecza i wczesnego renesansu, ale właśnie ta w tym wypadku nas interesuje), co wynika między innymi z mojej uniwersyteckiej specjalizacji w historii państwa i prawa. I zaręczam wam, że rzeczywiste okrucieństwo, z jakim cywilizacja europejska miała do czynienia w wiekach średnich oraz aż do wieku XX, jest nieporównanie większe niż to, które przedstawiam w opowiadaniach. Wystarczy przeczytać protokoły z procesów, zapoznać się z historią krucjat, konkwisty oraz europejskich wojen, przypomnieć sobie konkretne przepisy prawa karnego oraz procedury karnej, zwłaszcza te stosowane na terenie Niemiec.

Trzeba też bardzo wyraźnie zaznaczyć, że myślenie człowieka średniowiecznego o śmierci i cierpieniu było diametralnie inne niż myślenie człowieka współczesnego. Sądzę, że tylko niewielu z moich Czytelników zetknęło się osobiście z przejawami brutalnej przemocy lub ze śmiercią. Dla osoby żyjącej w czasach średniowiecza lub renesansu był to natomiast chleb powszedni. Przez całą Europę przetaczały się wojny i powstania, a żołnierze oraz rebelianci pastwili się nad cywilną ludnością w sposób, który dla nas jest nie do pojęcia. Wbijanie na pal, rozpruwanie ciężarnych kobiet, pieczenie na rożnach, odzieranie żywcem ze skóry, palenie mieszkańców szukających schronienia w świątyniach — to zwykłe metody postępowania w tamtych czasach. A jeśli ktoś miał nawet szczęście i żył w kraju w miarę spokojnym, to i tak widział liczne egzekucje, które dla gawiedzi stanowiły coś w rodzaju ludowego teatru (nie mówiąc już o pustoszących całe krainy epidemiach). Proszę tylko przypomnieć sobie, jak strasznym mękom publicznie poddano szalonego szlachcica Piekarskiego (podjął próbę zamachu na króla) w kraju takim jak Polska, który, generalnie rzecz biorąc, cechował się łagodnością w postępowaniu z przestępcami (oczywiście łagodnością względną, ale wszystko trzeba rozpatrywać na tle epoki). Z tych wszystkich powodów sądzę, że moje opowiadania wręcz nie oddają okrucieństwa czasów, w których przyszło żyć głównemu bohaterowi. Wynika to z prostej przyczyny: jako czytelnik nie lubię, charakterystycznej dla wielu autorów, ekscytacji przemocą. W moich tekstach pozwalam sobie na jej dosłowne pokazanie tylko wtedy, kiedy jest mi to niezbędnie potrzebne dla zachowania realizmu.

*Czytelnicy chcieliby poznać losy świata po zejściu Chrystusa z krzyża. Dlaczego nie przedstawiasz, jak potoczyły się losy naszej cywilizacji w tej odmiennej, alternatywnej rzeczywistości?*

Przede wszystkim należy uzmysłowić sobie, że wszystkie opowiadania pisane są z punktu widzenia głównego bohatera. Traktują o jego codziennym życiu i problemach, z jakimi się zmaga. A zastanówmy się, jak często przeciętny Polak rozprawia o Chrzcie Polski, Powstaniu Warszawskim, rozbiorach, Bitwie pod Wiedniem, nie mówiąc już o bardziej skomplikowanych kwestiach historyczno-społecznych? A czy stworzony przez Raymonda Chandlera detektyw Marlowe zastanawia się nad konsekwencjami wojny Północy z Południem oraz streszcza dzieje Stanów Zjednoczonych? Dlaczego więc mamy wymagać od Mordimera, by zmieniał swe przygody w „podręczny kurs historii” i opowiadał nam, jak potoczyły się losy świata? W opowiadaniach pojawiają się jedynie nieliczne „drogowskazy”. Wiemy, że Jezus zstąpił z krzyża i „wraz z Apostołami wyrżnął w pień pół Jerozolimy”, a „ulice Jeruzalem tego dnia spłynęły krwią”. Dowiadujemy się, że w czasach współczesnych Mordimerowi zwoływano krucjaty (ale nie wiemy, przez kogo organizowane i przeciwko komu wyznaczone, nie wiemy też, ile tych krucjat było), wiemy, że została zorganizowana wyprawa morska mająca dotrzeć do Indii, wiemy także, że były plany chrystianizującej ekspedycji do Chin. Dowiadujemy się wreszcie, iż istnieje heretycki Palatynat, z którym Cesarstwo oraz Kościół nie mogą sobie dać rady i który jest solą w oku dla wszystkich prawowiernych. Ale na czym konkretnie polega ta herezja, nie zostało wyjaśnione, gdyż dla Mordimera i jemu współczesnych jest to rzecz oczywista. Być może zresztą dotycząca tylko kwestii pojmowania nauki Pisma, podobna do różnic pomiędzy ortodoksami, monofizytami a monoteletami w znanym z naszej historii Cesarstwie Bizantyjskim. A może różnice tkwią w rozumieniu hierarchii władzy i niechęci podporządkowania się przez palatyna władzy papieskiej?

Przy tej okazji pozwolę sobie wyjaśnić, że zawsze serdecznie bawiły mnie utwory, w których, na przykład, spotykało się dwóch wybitnych fizyków i jeden mówił: „jak wiesz, teoria względności polega na tym, że...” po czym następował długaśny wykład, mający Czytelnikom wyjaśnić, czymże takim jest ta dziwaczna teoria względności. Czy w podobny sposób rozmawialiby w realnym świecie wybitni fizycy? Na szczęście, jeśli chodzi o pewne kwestie dotyczące spraw teologiczno-historyczno-społecznych pozostają mi do dyspozycji myśli Mordimera, który na ogół cynicznie komentuje zastaną rzeczywistość. Konwencja ta pozwalałaby nawet na wyłuszczenie dziejów świata, ale czy naprawdę jest to kwestia palącej wagi dla kogoś, kto pełni funkcję szczególnego rodzaju prywatnego detektywa?

Jako autorowi zależy mi, by Czytelnik zbierał strzępy wiedzy rozsiane tu i ówdzie i wyciągał z tego stosowne wnioski. Bardzo spodobała mi się wypowiedź jednego z uczestników internetowych forów, który zacytował słowa Mordimera z opowiadania *Młot na czarownice:* „jestem sługą Bożym, młotem na czarownice i mieczem w ręku Aniołów”, słusznie domyślając się, że tytuł następnego tomu będzie brzmiał *Miecz Aniołów.* Celowo pozostawiam wiele kwestii otwartych, ale zapewniam, że ich wyjaśnienie zostało przewidziane. Na przykład Czytelnicy tomu *Łowcy dusz* dowiedzą się między innymi, czym są i jak powstały wampiry oraz jak ważną rolę miały odegrać w dziejach świata.

Proszę również wziąć pod uwagę, że narracja pierwszoosobowa powoduje dodatkowe konsekwencje: bohater w opisie rzeczywistości może się mylić lub też celowo kłamać. Bardzo wyraźnie to widać, kiedy Madderdin wspomina zabitą przez siebie burdelmamę Lonnę. Opowiada wtedy: „Poprzednia właścicielka tego wesołego domu została skazana za szereg grzechów. A skazanie dziwnie zbiegło się w czasie z zerwaniem więzów przyjaźni, które niegdyś łączyły ją z waszym uniżonym sługą. Oczywiście, była to jedynie sprawa przypadku” oraz „Doskonale wiedziała o tym Lonna, poprzedniczka Tamili — chociaż z uwagi na pewne pożałowania godne wypadki od dawna już nie miała z kim dzielić się tą wiedzą”.

*Czy poznane w poprzednich tomach postaci kiedykolwiek znowu pojawią się w życiu Mordimera?*

Wiele z nich odegra mniejszą lub większą rolę w życiu mojego bohatera. Przede wszystkim przedstawiciel Wewnętrznego Kręgu Inkwizytorium, którego Mordimer Madderdin zna pod imieniem Mariusa von Bohenwalda. Poza tym pojawi się wampir-baron Haustoffer, ponętna zabójczym Enya, czarownica Karla, demonica-kusicielka Hagath, a nawet skrzywdzona przez Mordimera Loretta Alzig (ale ona dopiero w piątym tomie i tylko w incydentalnym epizodzie). Z bohaterów znanych z tego zbioru ważną rolę odegra jeszcze aktorka Ilona Loebe (również w tomie piątym), przypomni o sobie aktor i dramaturg — mistrz Heinz Ritter. Mordimer będzie musiał także stawić czoła bratu jałmużnikowi Maurizio Sforzy, którego wcześniej pokonał i upokorzył. Rzecz jasna, pojawią się standardowi bohaterowie drugiego planu, czyli Kostuch, bliźniacy oraz Jego Ekscelencja biskup Hez-hezronu.

*Czy nie sądzisz, że twoje opowiadania są za krótkie, a puenta następuje zbyt szybko?*

To zarzut, który pojawiał się często w przypadku zbiorów *Sługa Boży* i *Młot na czarownice.* Odbieram go jako komplement, ponieważ zawarte tam opowiadania miały od 35 do 65 stron znormalizowanego maszynopisu (przeliczając na strony książkowe, były jeszcze dłuższe), czyli w żadnym wypadku nie można nazwać ich krótkimi. Jestem zachwycony faktem, że tekst kilkudziesięciostronicowy może wydać się Czytelnikowi krótki, gdyż świadczy to, że lekturą się nie znudził. A to jest, moim zdaniem, najważniejsza cecha literatury: nie nudzić! Co z tego, drogi autorze, że wypowiadasz prawdy objawione, a w każdym zdaniu są nawiązania do Platona, Nietzschego czy Dostojewskiego, skoro czytający ziewają z nudów? Ja jestem jak aktor z greckiego dramatu, który na koniec spektaklu, kłaniając się nisko przed publicznością, mówi: „jeśli zabawiłem was, czuję się tym samym wynagrodzony, jeżeli uraziłem, raczcie wybaczyć”. Jednak opinie mówiące o tym, że opowiadania są zbyt krótkie, wziąłem sobie do serca. Stąd między innymi przeszło stustronicowy tekst *Głupcy idą do nieba.* Wyznawcy tezy „brzytwa Ockhama”, mówiącej „nie mnóż bytów ponad miarę” (i słusznie mówiącej!), mieliby w wypadku tego tekstu pole do popisu. Sam potrafiłbym radykalnie go skrócić tak, aby opowiadanie nie straciło nic na spoistości fabuły. Tyle że staram się ukazać nie tylko przygody głównego bohatera, ale również koloryt otaczającego go świata. Spróbuję przekazać Wam moją myśl na narzucających się przykładach:

*1. Rozmowa Mordimera i Rittera o roli sztuki w życiu*

Czy ten tekst w jakikolwiek sposób posuwa akcję do przodu? Oczywiście, że nie! Służy tylko temu, by pokazać Czytelnikowi, że w zdominowanym przez zunifikowane myślenie świecie rodzą się nowe idee oraz ludzie, którzy chcą opowiadać o ważnych sprawach, a nie tylko rozbawiać publiczność. Dialog ten ukazuje również dobitnie rangę kwestii cenzury, zwłaszcza w słowach Mordimera: „My jesteśmy waszą publicznością, więc najpierw starajcie się nas zadowolić, a potem jakoś już pójdzie” oraz „Brudne kufle, stary dzbanek, chrzczone piwo, bezzębna posługaczka — piszcie właśnie o tym. Śmiało, z otwartą przyłbicą, piętnujcie plagi naszych czasów”. Czyż Czytelnikowi, pamiętającemu komunistyczną władzę, nie przypomina to czegoś? Jednocześnie mistrz Ritter — piewca wzniosłych idei i zwolennik artystycznej swobody — spokojnie przygląda się, jak w jego obecności katowany jest Bogu ducha winien starzec. A cyniczny Mordimer Madderdin staje w tegoż starca obronie, choć oczywiście w sobie właściwy, pokrętny sposób.

*2. Spotkanie z kartografem w Inkwizytorium*

Znowu zbędne z punktu widzenia fabuły tego konkretnego tekstu. Jednak przekazuje Czytelnikom ważne informacje. Po pierwsze, Inkwizytorium jest doskonale zorientowane w geografii znanego świata. Po drugie, Czytelnik dowiaduje się o wyprawie do Indii (tutaj zorganizowanej przez papieża) oraz tezie o kulistości Ziemi. Po trzecie wreszcie, poznajemy herezję mówiącą o tym, że Jezus Chrystus udał się do Chin i założył tam nowe Królestwo Jezusowe.

*3. Spotkanie z poborcą podatków*

Przyznam: krótkie i z punktu widzenia fabuły tego opowiadania zbyteczne. Posłużyło mi w dwóch celach. Po pierwsze, miało ukazać wszechwładzę administracji, której przedstawiciele wiedzą wszystko o wszystkich. Po drugie, uwidocznić zaskarbiający ludzką przyjaźń oportunizm Mordimera, który jednego dnia mówi: „A jak staną przed niebieskim ołtarzem Pana [poborcy podatków], to niech On w swej mądrości wyliczy im podatek od wszystkich ludzkich krzywd, których byli przyczyną”, a drugiego dnia, w towarzystwie podatkowego poborcy, wznosi toast: „Za podatki — wysokie i o czasie ściągane”. Czy więc, widząc zachowanie bohatera w tych sytuacjach, można się dziwić, że dość swobodnie pływa w mętnych wodach stworzonego przeze mnie świata?

Najchętniej porównałbym opowiadaną przeze mnie historię do seriali takich jak *Buffy: Vampire Slayer* lub *Angel.* W nich zdarza się, że w odcinku trzecim zostaje zawieszona na ścianie strzelba, która wypala dopiero w odcinku siódmym (albo i w siedemdziesiątym!). Jednak chciałbym stanowczo zaznaczyć jedną kwestię: Czytelnik, nie zwracający uwagi na podobne niuanse, nie powinien wiele stracić na lekturze. Zawsze starałem się, by każde z opowiadań było odrębną, broniącą się, całością. Jednak Czytelnik, który teksty zechce przeczytać uważnie oraz w wyznaczonej przez autora kolejności, zyska nieco głębsze spojrzenie na opisywany świat. Wierzcie mi też, że nic w tych tekstach nie pojawia się przypadkowo. Jeśli w opowiadaniu *Maskarada* inkwizytor musi zmierzyć się z pochodzącym z Persji demonem oraz przedstawiona zostaje sugestia o wielkim skarbie przechowywanym w klasztorze Amszilas, to obie te kwestie pojawią się w następnych tomach i odegrają ogromną rolę. Takie są właśnie zalety budowania kompletnego świata, w którym opowiadania mają stanowić nie tylko całość samą w sobie, lecz być też fragmentem większej układanki, stopniowo ukazującej się przed oczyma Czytelników.

*Jakie będą dalsze koleje losów Mordimera?*

To oczywiście musi pozostać słodką tajemnicą autora, który przecież zawsze chce mieć w zanadrzu coś, czym zaskoczy Czytelników. Jednak sądzę, że uważny obserwator powinien po zakończeniu lektury trzeciego tomu bardzo wyraźnie dostrzec drogę, którą będę zmierzał. Jeśli ktoś natomiast czytał mniej uważnie, radzę jeszcze raz zapoznać się z epilogami opowiadań *Sierotki* oraz *Kości i zwłoki.* Wtedy wszystko powinno stać się jasne.

## Głupcy idą do nieba

Bo cóż za korzyść ma człowiek, jeśli cały świat zyska,

a siebie zatraci lub szkodę poniesie?

Ewangelia św. Łukasza

Zły łotr wrzeszczał niczym potępiony (zresztą słusznie, bo w końcu jak miał wrzeszczeć?), kiedy legioniści przybijali jego dłonie do krzyża. Dobry łotr krzyczeć nie mógł, gdyż przed spektaklem wyrwano mu język i zaszyto usta. Jezus górował nad nimi wszystkimi, wpatrując się w przestrzeń bolesnym wzrokiem, a na jego twarzy odbijało się cierpienie. Tymczasem legionista huknął ostatni raz młotem w żelazny hufnal, a krzyż ze złym łotrem uniesiono na sznurze i postawiono. Kobieta, stojąca tuż obok mnie, głośno szlochała, jej synek przyglądał się wszystkiemu z palcem władowanym do buzi i wytrzeszczonymi oczami. Ponieważ zły łotr nie przestawał wrzeszczeć (co zaburzyłoby dalszy plan przedstawienia), więc legionista dźgnął go mocno pod serce ostrzem włóczni. Ukrzyżowany mężczyzna wyprężył się, potem zwiotczał, a głowa opadła mu na ramię. Z ust popłynęła gęsta strużka ciemnoczerwonej krwi. Teraz nadszedł czas Jezusa. Grający go aktor (w jego wypadku hufnale wbito pomiędzy palce, w pęcherze ze świńską posoką) powiódł wkoło wzrokiem i rzekł donośnie:

— Ukorzcie się przed Ojcem i uwierzcie we mnie. Kto mi zawierzy, ten jeszcze dzisiaj będzie sycić się chwałą Bożą!

— Sycić się chwałą? — mruknął ktoś obok mnie. — Na miecz Pana, z roku na rok są coraz słabsi!

Obróciłem się, by spojrzeć, kto wypowiedział te śmiałe słowa, i dostrzegłem mistrza Rittera, poetę, dramaturga oraz aktora. Musiał być wściekły, że nie jemu powierzono przygotowanie jasełek, gdyż z taką inscenizacją wiązały się zwykle wysokie wypłaty. A mistrz Ritter, jak większość artystów, cierpiał na chroniczny niedobór gotówki. W czym niewątpliwie był podobny do waszego uniżonego sługi.

— Piszecie gorsze rzeczy — szepnąłem złośliwie i dałem znak, by nie przeszkadzał.

— Odrzućcie szatana! — niemal krzyknął aktor grający Jezusa. — Oto powiadam wam: nadeszła chwila, w której musicie dokonać wyboru. Miłosierny Bóg mówi moimi ustami: ukorzcie się przed chwałą Pańską!

Jeden z legionistów usiadł obok krzyża i wyciągnął z zanadrza bukłak z winem, drugi z premedytacją dźgnął Chrystusa włócznią o stępionym końcu. Tłum zawył złowrogo, a legionista oberwał w głowę zgniłym jabłkiem. Odwrócił się, wściekły, szukając wzrokiem tego, kto go zaatakował. Nie znalazł, więc splunął tylko pod nogi i odszedł parę kroków na bok, by krzyż z wiszącym Jezusem zasłonił go przed następnymi pociskami.

— Czy to tragedia, czy komedia? — Znowu usłyszałem zgryźliwy szept Rittera.

Skrzywił usta w niechętnym grymasie i szarpnął wąską, czarną bródkę, którą hodował, zdaje się, od niedawnego czasu, a która nadawała mu wygląd strapionego koziołka. Tymczasem Jezus smutno zwiesił głowę.

— Nie ukorzyli się przed Panem — rzekł jakby do siebie, ale jego słowa poniosły się głośnym echem, gdyż widownia zamilkła, wiedząc, że zbliża się kulminacyjny moment. — Pozostali pełni pogardy, pychy i obojętności. Cóż więc mam robić? — Aktor powiódł spojrzeniem po publiczności, jakby oczekując, że właśnie ona mu coś doradzi.

— Ukarz ich! — wrzasnął któryś z wynajętych klakierów, a zaraz potem zawtórował mu tłum.

— Zejdź do nas, Jezu! Ukarz grzeszników!

— Może powinienem okazać litość? — zapytał aktor w przestrzeń.

— Nie! Nie! Dość litości! Ukarz ich!

— Tak! — rzekł mocnym głosem Jezus. — Bo czyż nie jest to litościwy uczynek, gdy zabija się wściekłego psa? Czyż nie chroni się w ten sposób wiernej trzódki? Czy dobry pasterz może pozwolić, by jego stado drżało w przerażeniu przed bestią?

— Nie, nie może! Zejdź i ukarz ich! Zabij bestię!

— Niech się tak stanie! — krzyknął więc aktor, a za jego plecami rozległ się huk i pojawił błysk.

Z sufitu opadła jaśniejąca bielą kotara, zasłaniając krzyże. Jednak niemal natychmiast uniosła się z powrotem, tyle że Jezus stał teraz w błyszczącej zbroi, w hełmie z szerokim nosalem i z mieczem w dłoni. Z ramion spływała mu wyszywana złotymi nićmi purpurowa szata.

— Podmienili aktora — mruknął Ritter, niepotrzebnie, gdyż sam wiedziałem, że pierwszy aktor nie zdołałby się przebrać tak szybko. A publiczność nie miała prawa w tej zamianie się zorientować, gdyż hełm z nosalem nie pozwalał dokładnie dostrzec rysów twarzy.

Legioniści zerwali się w udawanym przerażeniu, które zaraz zamieniło się w prawdziwe, kiedy Jezus chlasnął mieczem i ściął jednemu z nich głowę, tak, że fontanna krwi z kadłuba bluznęła prosto na publiczność, a głowa odtoczyła się na skraj sceny. Oczywiście trwoga ogarnęła tylko drugiego z legionistów, gdyż pierwszy zginął, zanim zdążył się zorientować, że spektakl przybrał tak niespodziewany obrót. Mężczyzna próbował zastawić się włócznią, ale miecz Jezusa przeciął drzewce, a potem ostrze wbiło się niemal po rękojeść w pierś ofiary. Legionista opadł na kolana z wyrazem groteskowego zdumienia na twarzy, a publiczność wrzeszczała i klaskała w dłonie. Siwy, sprawiający wrażenie wieśniaka, mężczyzna stojący tuż przede mną, otarł z wąsa kroplę krwi. Przypatrywał się scenie, wytrzeszczając oczy i mamrocząc coś bezgłośnie.

— No, no — powiedział mistrz Ritter, tym razem z nutą niechętnego podziwu.

Przyznam, że rozwój sytuacji też mnie zaskoczył, gdyż jasełka zwykle nie przybierały aż tak drastycznej formy. Owszem, zły i dobry łotr zawsze byli krzyżowani naprawdę, ale do tych ról wybierano zatwardziałych kryminalistów, skazanych na śmierć przez miejską ławę. Natomiast pierwszy raz zobaczyłem, aby na scenie zabito legionistów, a drugi z odgrywających postać Jezusa aktorów musiał być zawodowym szermierzem, gdyż ciosy wyprowadził z widocznym na pierwszy rzut oka kunsztem. Publiczność była zachwycona, lecz ja zastanawiałem się, kiedy twórcom wpadnie do głowy, żeby uzbrojonych Chrystusa i Apostołów wpuścić pomiędzy oglądającą przedstawienie gawiedź. W końcu Pismo mówiło wyraźnie: *tego dnia ulice Jeruzalem spłynęły krwią.* Kto wie, czy któregoś dnia inscenizacyjna wyobraźnia autorów nie przybliży dawnych czasów mieszkańcom Hez-hezronu w sposób o wiele bardziej dosłowny niżby sobie tego życzyli.

Przedstawienie w zasadzie się skończyło, a grający Jezusa aktor podniosłym tonem cytował Świętą Księgę. Do ramion zdążono mu przyczepić złocistą aureolę, a pod sufitem, na sznurach, unosiło się coś białego i skrzydlatego, co wedle zamierzeń twórców miało symbolizować anioła. Mogłem mieć tylko nadzieję, że mój Anioł tego nie widzi, gdyż bywał drażliwy na punkcie swego wizerunku oraz lubił, kiedy okazywano mu szacunek.

— Chodźmy — westchnąłem, ująłem Rittera za ramię i zaczęliśmy się przepychać przez tłum.

Ktoś zrugał mnie, że przeszkadzam w widowisku, ktoś inny zionął odorem cebuli i piwa, jeszcze inny wbił mi łokieć pod żebra. Znosiłem to ze spokojem, choć ubolewałem jednak, że nie mam na sobie służbowego stroju — czarnego płaszcza i kaftana z wyhaftowanym na piersi połamanym krzyżem. Bowiem, jak zdołałem zauważyć, ludzie zyskiwali nieoczekiwaną umiejętność wtapiania się w otoczenie, kiedy tylko ujrzeli inkwizytora. A nawet najbardziej zatłoczone hezkie ulice wydawały się po chwili być pustawe. Jednak my — funkcjonariusze Świętego Officjum — jesteśmy z reguły ludźmi cichymi i pokornego serca. Wolimy trzymać się w cieniu, aby z niego tym baczniej śledzić grzeszne uczynki bliźnich. Tak to już bowiem jest, że właśnie z cienia najlepiej dostrzec mrok, a blask tylko oślepia źrenice...

W końcu udało nam się wydostać na ulicę. Przygrzewało mocne, kwietniowe słońce, a w tym pierwszym wiosennym upale tym silniej czuć było Hez-hezron. Odpadki, piętrzące się w zaułkach, nieczystości, spływające ulicami lub zaschnięte w twardą skorupę, którą jednak rozmyje pierwszy deszcz. Brudnych, przepoconych ludzi, nigdy nie korzystających z łaźni i nigdy nie piorących odzieży. No i najwyraźniej, ku serdecznemu ubolewaniu waszego uniżonego sługi, byłem jednym z niewielu, którym to wszystko przeszkadzało. Ale taki właśnie był Hez-hezron, a ja musiałem się pogodzić z faktem, że mój los związany był z tym miastem na dobre i na złe.

— Znowu odrzuciliście mi sztukę — rzekł mistrz Ritter oskarżycielskim, choć jednocześnie nieco zrezygnowanym tonem.

— Nie my, lecz biskupia kancelaria — wyjaśniłem, unikając jednocześnie pijaka, który omal nie wpadł wprost w moje objęcia. — Wiecie przecież, że Inkwizytorium nader rzadko zajmuje się sprawami delikatnej, artystycznej materii.

— Czy nie wszystko jedno? — Machnął ręką. — Wiecie, jakie poniosłem straty?

— A dlaczego nie piszecie komedii? — zapytałem i odtrąciłem dłoń złodziejaszka, który próbował obmacać pas Rittera. — Zajmijcie się pogodnymi stronami życia.

Dwie tłuste przekupki rozjazgotały się przy straganach i jedna próbowała zdzielić drugą po głowie cynową patelnią, przy czym poślizgnęła się na kupie przegniłych kapuścianych liści i runęła jak długa z wysoko zadartą spódnicą. Spod materii błysnęły grube łydki, poznaczone krwistoczerwonymi wykwitami rozdrapanych pryszczy.

— O właśnie — powiedziałem. — „Wesołe przekupki z Hezu”. Macie gotowy temat na sztukę.

— Drwicie sobie. — Łypnął na mnie ponurym wzrokiem, a jego blade, niedogolone policzki pokrył ceglasty rumieniec.

— Nie drwię — odparłem. — Czytałem wasze dzieła. Tragiczne miłości, źli władcy, intrygi, zdrady, oszustwa, trucicielstwo, skrytobójstwa, cierpienie w kazamatach, duchy pomordowanych... Komu to potrzebne, Heinz?

Usiedliśmy przy stole ustawionym przed karczmą „Pod Postronkiem i Pętlą”. Nosiła taką dziwną nazwę, bo podobno dawno temu w najbliższej okolicy wznosiła się miejska szubienica. Właściciel pokazywał nawet gościom przegniły pniak, który miał być niegdyś tej szubienicy podstawą, ale osobiście uważałem to za chwyt obliczony na przyciągnięcie klienteli.

— Dzbanek piwa i dwa kufle — rozkazałem służebnej dziewce.

Ritter próbował ją chwycić za pośladki, kiedy odchodziła, ale wywinęła się zręcznie i wyszczerzyła do niego w uśmiechu połamane zęby.

— Myślicie, że kiedyś będzie wolno nam pisać i wystawiać, co zechcemy? — spytał. — A tylko widz lub czytelnik będą decydować o wszystkim?

— Oczywiście, że nie. — Roześmiałem się. — Co też wam chodzi po głowie, panie Ritter? Czy pozwolilibyście dziecku zagłębić się samotnie w nieznany las, nie mówiąc wcześniej, którędy ma iść i nie usuwając niebezpieczeństwa z jego drogi? Słowa mają ogromną moc, więc naszą powinnością jest te słowa kontrolować. Inaczej mogą zdziałać wiele zła.

— Zapewne macie rację — mruknął, ale widziałem, że nie jest przekonany. — A może, może... — zastukał nerwowo palcami w blat — napisałbym sztukę o Świętym Officjum? O trudzie codziennego życia inkwizytorów i o tym, jak borykają się ze złem, które otacza nas ze wszystkich stron? Na przykład... — Wyraźnie był zachwycony własnym pomysłem, ale mu przerwałem.

— Dajcie pokój Świętemu Officjum — rzekłem stanowczo. — Nie chcemy, byście pisali o nas źle, nie chcemy także, byście pisali o nas dobrze. Nie chcemy, byście w ogóle o nas pisali. Inkwizytorium jest zbyt pokorne, by służyć za temat sztuki. Ganiąc nas, popełnilibyście grzech, a chwaląc — zawstydzilibyście.

— No tak — stropił się. — Więc mówicie: „Wesołe kumoszki z Hezu”?

Powiedziałem wprawdzie „przekupki”, ale być może słowo „kumoszki” było nawet lepsze.

— Niech się kłócą o utargi i mężczyzn, walą po głowach patelniami, szarpią za kudły, wywracają na podłożonych przez kogoś liściach kapusty, intrygują pomiędzy sobą... To się spodoba ludziom, wierzcie mi. Oni zawsze lubią oglądać głupszych od siebie.

— Ale czy to będzie jeszcze prawdziwa sztuka, panie Madderdin? — Spojrzał na mnie z przejęciem. — Ja chciałbym pisać o życiu i o śmierci, o wielkich miłościach i tragicznych wyborach, o zżerającej ludzi nienawiści i o niedościgłym honorze, o tym, gdzie przebiega granica pomiędzy uczciwością a podłością, fałszem a prawdą... — Odetchnął głęboko i opuścił głowę. — A nie o jędzach bijących się patelniami.

— Macie pisać o tym, czego pragnie wasza publiczność — powiedziałem.

— Baaa — odparł, zadumany. — Lecz czegóż ona pragnie? Chciałbym to wiedzieć...

— My jesteśmy waszą publicznością — rzekłem z uśmiechem. — Więc najpierw starajcie się nas zadowolić, a potem jakoś już pójdzie. Przede wszystkim nie zadawajcie wielu pytań, zwłaszcza takich, na które ciężko znaleźć odpowiedź. Świat jest zbyt skomplikowany, abyście jeszcze wy zmuszali ludzi do myślenia. Ofiarujcie im chwilę beztroskiej zabawy, każcie śmiać się z bohaterów waszych sztuk, by poczuli, że są lepsi od nich...

Dziewczyna postawiła przed nami dwa kufle o wyszczerbionych brzegach i dzban z urwanym uchem. Ritter znowu próbował ją klepnąć, ale tym razem z tak mało widocznym zapałem, że nawet nie musiała odskakiwać. Uśmiechnęła się szczerbatym uśmiechem i odeszła, kołysząc biodrami. Łyknąłem piwa i skrzywiłem się.

— Brudne kufle, stary dzbanek, chrzczone piwo, bezzębna posługaczka — piszcie właśnie o tym. Śmiało, z otwartą przyłbicą, piętnujcie plagi naszych czasów.

— Bardzo zabawne — mruknął, nurzając wąsy w piwie. Widziałem, że nie jest pewien, czy mówię poważnie, czy też kpię sobie z niego.

— A gdybym napisał sztukę o heretykach? — Przysunął się nieco bliżej mnie i obniżył głos. — O tym, jak straszne wymyślają plugastwa i jak potem pełni skruchy płoną w zbawczym ogniu oczyszczenia? Zbawczym ogniu oczyszczenia — powtórzył sobie nieco ciszej, widać po to, aby zapamiętać sformułowanie.

— Przedstawiłbym mordercze intrygi i podłe knowania. — Wyraźnie zapalał się do pomysłu. — Ukazałbym niewinną dzierlatkę zakochaną w młodzieńcu, który jest zamaskowanym heretykiem. On próbuje splugawić jej duszę i ciało, ona wydaje go sprawiedliwości, gdyż obowiązek przedkłada nad miłość...

— A potem zakochuje się w powabnym, mądrym inkwizytorze — dopowiedziałem poważnym tonem.

— No, nie wiem... — Zastanowił się, pocierając policzek, i dopiero po chwili zorientował się, że tym razem naprawdę z niego kpię. — Nie sądzicie, że to dobry temat? — zapytał niemal obrażonym tonem.

Obok nas jakiś pijak chlupnął w błotnistą kałużę, opryskując przechodzącego nieopodal młodego szlachcica oraz jego służącego. Szlachcic zaklął szpetnie i zaczął okładać nieszczęśnika szpicrutą, zaś służący stał tuż za nim i powtarzał przestraszonym tonem:

— Wasza wielmożność się zgrzeje i co ja powiem ojcu waszej wielmożności... Bardzo proszę, przestańcie, panie...

— To jest wasz temat. — Pokazałem. — Publiczność pęknie ze śmiechu.

Przyglądaliśmy się przez chwilę, jak młodzieniec okłada pijaka, który komicznie jęczał i zakrywał głowę rękami, by osłonić twarz przed ciosami. Próbował wstać, ale zagmerał tylko butami w błocie i rymnął w nie z powrotem.

— Mógłby być jego dziadkiem — westchnął Ritter. — Czy godzi się tak bić starego człowieka?

— Ochlapał mu płaszcz. Nie zauważyliście? — spytałem, gdyż widziałem już, jak za mniejsze przewiny zabijano na ulicach Hezu.

Poeta wzruszył ramionami i odwrócił wzrok.

— Nie mogę na to patrzeć — mruknął. — Przemoc budzi we mnie obrzydzenie, choć nie wiem, czy wy jako inkwizytor rozumiecie podobną wrażliwość duszy.

Pijak nie zdołał się dobrze osłonić, dostał szpicrutą w ucho i zakwiczał szczególnie przeraźliwie, a spod siwej szczeciny spłynęła mu strużka krwi. Kilku przyglądających się scenie wyrostków parsknęło głośnym śmiechem.

— Mógłby już przestać — rzucił zniecierpliwiony Ritter, myśląc zapewne o szlachcicu.

— Oczywiście, że rozumiem — odparłem. — Jestem człowiekiem łagodnym i serdecznie boleję, że moje obowiązki zmuszają mnie czasem do gwałtowniejszych uczynków. Ale widzicie, niekiedy miłosierdzie lub modlitwa nie wystarczają. Któż nam dał lepszy przykład w tej mierze, jak nie Jezus?

Ritter siorbnął głośno z kufla. Od strony płotu nie słychać już było jęków, a tylko zduszone sapanie szlachcica, świst szpicruty i biadolenie służącego, który próbował odciągnąć swego pana.

— Zabije go — westchnął Ritter i znowu przechylił kufel do ust.

— Kogóż to może obchodzić? — zapytałem. — Trupy dziesiątków takich jak on wywożą w nocy z miasta i grzebią w Dołach.

Poeta wysączył piwo do dna, wzdychając przy tym po raz kolejny.

— Macie chwilę czasu? — spytał. — Może zechcecie rzucić okiem na przedstawienie, które przygotowujemy? To rycerski romans — dodał. — I wierzcie lub nie, ale obyło się bez ingerencji biskupiej kancelarii.

— Coś takiego! Chyba jakieś niedopatrzenie — zażartowałem. — Ale z przyjemnością przyjrzę się waszej pracy, Heinz. — Dopiłem piwo i odstawiłem kufel z trzaskiem na blat. — Rzygać się chce od tych szczyn.

Wyszliśmy na ulicę, gdzie młody szlachcic z wyraźnym już wysiłkiem tłukł nieruchomy, bury i zabłocony tłumok leżący w kałuży. Stary pijak nawet się nie ruszał, a wokoło zebrała się gromadka gapiów.

— Dajcie pokój — powiedziałem, przechodząc. — Dostał już za swoje.

Szlachcic przerwał na chwilę i zamarł ze szpicrutą uniesioną nad ramieniem. Miał zaczerwienione policzki i pucułowatą twarz, wykrzywioną teraz w gniewnym grymasie. Jasne, rzadkie loczki przykleiły mu się do spoconego czoła.

— A co wam do tego? — warknął. — Idźcie swoją drogą, jeśli sami nie chcecie oberwać...

— Zważajcie na słowa, mówicie do funkcjonariusza Świętego Officjum, człowieku — wygłosił scenicznym szeptem Ritter, a młody szlachcic przełknął gwałtownie ślinę. Gapie zaczęli się szybko rozchodzić.

— Macie zapewne rację — powiedział szlachcic pojednawczo po chwili zastanowienia. — Ale patrzcie, jak mi ubłocił płaszcz — dodał oskarżycielskim tonem.

Świsnął jeszcze raz szpicrutą w powietrzu, jakby pokazując, że niespecjalnie przejmuje się, z kim ma do czynienia, po czym obrócił się w stronę służącego.

— Wracamy do domu — rozkazał. — Nie pokażę się pani Giselle w takim stanie.

Odmaszerował, wyprężony jak struna, tłukąc szpicrutą po cholewie buta. Nie zaszczycił już nas nawet spojrzeniem.

— Przynajmniej spełniliśmy dobry uczynek, ratując życie człowieka — powiedział Ritter, kiedy skręciliśmy w ulicę wiodącą do miejsca, gdzie jego trupa odbywała próby.

— Spełniliśmy? — mruknąłem. — Niech i wam będzie, że spełniliśmy... Ale nie chodziło o życie tego pijaka, panie Ritter. Ja po prostu nie lubię bezcelowego okrucieństwa. Przemoc musi być jak ostry miecz, wymierzona prosto we właściwy punkt. Tylko wtedy można ją uzasadnić. Nasz Pan pokarał tych, którzy przybili Go do Krzyża, i tych, którzy szydzili z Jego męki, lecz nie sądzę, by gniewał się, iż zachlapano Mu płaszcz.

— Nie każdy odnajduje w sobie pokorę i cierpliwość Jezusa — odparł poeta.

— Święta prawda — przyznałem.

###### \* \* \*

Scena, na której teatr Rittera odbywał próby, była ogromną, drewnianą szopą ogrodzoną krzywym płotem o przegniłych szczeblach. Przy wejściu stał na straży jeden z aktorów, gdyż trupy teatralne na ogół w miarę pilnie chroniły swych sekretów (a przynajmniej udawały, że tak czynią). Aktor miał na głowie rudą perukę i przyklejoną do szczęki sztuczną brodę o rozwidlonych końcach. W dłoni trzymał potężny, obosieczny topór. Widząc nas, machnął nim w powietrzu, a z łatwości, z jaką tego dokonał, poznałem, że topór musiał być drewniany, choć dla zmylenia widzów ostrze pomalowano srebrną farbą.

— Heinz! — zawołał. — Chodźże, chłopie wszyscy już czekają!

— Andreas Kuffelberg — przedstawił go Ritter z uśmiechem. — W przyziemnym świecie syn marnotrawny zacnej rodziny kupieckiej, lecz w uniwersum wielkiej sztuki Tankred Rudy, krwiożerczy wódz barbarzyńców.

— Hrrrragh! — zawył aktor, wznosząc oczy ku niebu i potrząsając toporem.

— *Zaklęty ten topór wiedźmy jest darem*

*A obietnicę zyskałem od staruchy*

*Że ostrze tak zmyślnym pokryto czarem*

*Iż przetrwa wszelkie bitewne zawieruchy —* wyrecytował chrapliwym głosem.

Zaklaskałem w palce, a on rozpromienił się i ukłonił.

— Mistrz Mordimer Madderdin ze Świętego Officjum — objaśnił go Ritter i zauważyłem, że z na poły ironicznym, na poły figlarnym uśmieszkiem czeka na reakcję towarzysza.

Kuffelberg jednak nie przejął się w najmniejszym stopniu jego słowami.

— *Strzeżcie się, czarownicy, mrocznych postaci,*

*I blasku krzyża, co oczy oślepi*

*Strzeżcie się, wiedźmy, modlitw żarliwych*

*I stosu, co śmierć waszą oświeci —* wyrecytował znowu.

Skrzywiłem się.

— Z tego, co wiem, zakazano odgrywania tego dramatu — powiedziałem. — I sądząc po rymach, chyba tym razem sztuka zyskała na wprowadzeniu cenzury.

Kuffelberg ryknął tubalnym śmiechem. Zauważyłem, że ma mocne, zdrowe i białe zęby — rzadko spotykana rzecz w naszych czasach.

— Jestem tylko aktorem, jak to mówią: komediantem — rzekł z udawaną pokorą. — I trudno mi oceniać wielką sztukę. W ogóle, jakąkolwiek sztukę. Choć to, co przygotowałeś, Heinz, podoba mi się. Aaaaargh — zaryczał znowu, obnażając zęby. — Jam jest Tankred Rudy, morderca dziewic i postrach biskupów!

— Odwrotnie — mruknął Ritter chłodnym tonem.

— Ano tak — przyznał aktor po chwili. — Ginę w ostatniej scenie — wyjaśnił mi — ale przedtem jest trochę dobrej zabawy. Mam nadzieję, że nie wytniecie wiele, bo szkoda by było.

— Jestem tu całkowicie prywatnie — zapewniłem, ale wiedziałem, że i tak nie uwierzy.

Przyznam, że moje zainteresowanie sztuką literacką narodziło się na skutek przypadku. Owszem, w Akademii Inkwizytorium poznawaliśmy pewne współczesne i dawne dzieła, a nasi nauczyciele tłumaczyli, jak w niewinnym z pozoru tekście wyłowić bluźniercze herezje. I zdziwilibyście się, mili moi, wiedząc, jak wiele wyczytać pomiędzy słowami potrafi doświadczony inkwizytor. Jednak znajomość współczesnej literatury, tych wszystkich dramatów, komedii, poematów, fraszek i grotesek, zyskałem dzięki mistrzowi drukarskiemu Maktobertowi. Miałem okazję oczyścić go kiedyś z niesłusznych oskarżeń wysuwanych przez zawistników (tak, tak, trafiali się ludzie, którzy sądzili, że święty płomień Inkwizycji może posłużyć podłym celom), a wdzięczny drukarz w zamian obdarowywał mnie wydawanymi przez siebie dziełami. Spiętrzyły się już w spory stos w mojej kwaterze, ale ich lektura sprawiała mi w wolnych chwilach sporą przyjemność.

Daleki byłem, oczywiście, od uważania się za znawcę artystycznych mód, lecz z pełną pokorą mogłem przyznać, iż miałem niejakie pojęcie o tym, jakie gwiazdy świecą najjaśniej na firmamencie wielkiej sztuki. Rzecz jasna to nie Hez mimo swej wielkości był miastem najchętniej odwiedzanym przez artystów. Cesarska stolica biła nas na głowę, być może dlatego, że Najjaśniejszy Pan i jego służby przymykali oko na wybryki poetów, dramaturgów i malarzy. A w Hezie, pod twardą ręką Jego Ekscelencji, nie było tak łatwo o artystyczną swobodę. Zresztą biskup Gersard utrzymywał, że trefnisie, żonglerzy oraz linoskoczkowie najzupełniej wystarczają, by zabawić jego poddanych i wprowadzić stosowną ilość sacrum sztuki do profanum ich codziennego życia.

— Ilona? — zapytał Ritter, obniżając głos. — Już się zjawiła?

Kuffelberg pokiwał głową.

— Oj, tak, tak. Zjawiła się — odparł.

Po czym znowu wzniósł wzrok ku niebu i, przymykając powieki, wyrecytował z uczuciem:

— *Płeć biała niczym śniegów północy*

*W zorzy blasku lśniące połacie*

*Jak diamenty błyszczą jej oczy* —

*Po tym mą lubą poznacie*

— Cera taka, jak na mój gust, zdawałaby się zbytnio wpadać w odcień błękitu — zażartowałem, ale Kuffelberg spojrzał na mnie karcąco.

— Zaraz sami zobaczycie — powiedział. — Ręczę, że serce wam szybciej zabije. Im wszystkim tu bije...

Zostawiliśmy rudobrodego aktora przed ogrodzeniem i weszliśmy do szopy. Na zbitej ze świeżych desek scenie stało już kilku komediantów, a w ławach siedzieli inni, czekający na swoją kolej. Na razie jeszcze większość z nich się nie przebrała, zresztą nic dziwnego, gdyż stroje nie były tanie i zwykle zakładano je tylko w czasie przedstawień, a nie prób.

Kobietę, o której mówili Ritter i Kuffelberg, zobaczyłem od razu. Trudno byłoby nie zwrócić na nią uwagi, gdyż wśród aktorskiej czeredy jaśniała niczym słońce. Wysoka, o długich, falujących, pszeniczno jasnych włosach i alabastrowej cerze. Była ubrana w błękitną suknię, która obnażała smukłą szyję i mocno opinała strome piersi.

— Zatrudniliście kobietę? — syknąłem z niedowierzaniem wprost w ucho Rittera. — Ludzie biskupa obłupią was ze skóry!

Owszem, dochodziły nas wieści o teatralnych nowinkach ze stolicy, gdzie żeńskie role zaczęto powierzać kobietom, ale biskup nie krył, iż uważa to za obrazę dobrych obyczajów, a kobiece kwestie powinny być wypowiadane przez przebranych w niewieście szatki młodzieńców o wysokim głosie. Wszystko po to, by nie urażać publicznej moralności i nie siać zgorszenia wśród naszych owieczek.

— Inaczej nie mielibyśmy funduszy — odszepnął Ritter. — Patrzcie, to jej ojciec. — Pokazał mi dyskretnie grubego mężczyznę w czarnym kaftanie. — Uległ kaprysowi córki... Niech się dziewczyna nacieszy teatrem, póki może, potem i tak rolę dostanie młody Werner.

— Ufam, że powiedzieliście jej o tym?

Ritter spojrzał na mnie z ukosa i nie odezwał się.

— Aha — rzekłem. — Nie zazdroszczę wam, bo dziewczyna wygląda na taką, która wie, czego chce...

— O, tak. „Słabości, twe imię kobieta” — zacytował jeden ze swych dramatów. — Ojca okręciła sobie wokół palca. Szkoda tylko, że stary chodzi za nią krok w krok, bo nikt z nas nawet nie śmie marzyć, by spędzić z nią uroczą chwilę sam na sam.

— A ona? Byłaby nie od tego? — zagadnąłem, gdyż z doświadczenia wiedziałem, że kobieca przebiegłość jest w stanie poradzić sobie ze wszelkimi strażami.

— Czort ją tam... o, wybaczcie, wie — mruknął. — Ma już dwadzieścia lat i pewnie ojciec wymarzył dla niej co najmniej szlachcica z dobrym herbem. Bogaaaty — przeciągnął, jeszcze bardziej obniżając głos. — Prędzej czy później kupi sobie zięcia.

Ilona wzniosła dłonie ku niebu i, zapatrzona gdzieś w dal, skarżyła się Bogu z tęsknoty za ukochanym. Miała dość niski, ale ładny głos i, jeśli tylko me niewprawne ucho mogło to należycie docenić, piękną dykcję. Reszta aktorów stała wpatrzona w nią jak w obrazek, a młodzieniec obok nawet przygryzł sobie koniuszek wysuniętego przed wargi języka. Uśmiechnąłem się.

— Krew nie woda — powiedziałem. — Spójrzcie na tego chłopaka. — Dyskretnie wskazałem młodzieńca.

— Johann Schwimmer — zachichotał Ritter. — Teraz na scenie tworzą parę zakochanych i założę się, że oddałby diabłu duszę... o, przepraszam... — zerknął na mnie niespokojnie, ale ja się nie odezwałem — aby tylko sztuka zamieniła się w rzeczywistość.

— Ma jakieś szanse?

— Gdzie tam! — Ritter machnął dłonią. — Zupełny golas. Nawet mieszka kątem u znajomków. Stary Ulrick prędzej kazałby go zabić, a ją zamknął w klasztorze.

— Ulrick? I jak dalej? — zapytałem.

— Ulrick Loebe — rzekł Ritter. — Ma chyba ze trzy sklepy i magazyn w porcie. Bogaty staruch... Dostać taką Ilonkę, żeby grzała kołdrę, i pieniądze starego, żeby grzały mieszek... Ech, marzenia! — Podniósł teatralnie wzrok ku sufitowi.

— Widzę, że sentymentalna z was natura — rzuciłem złośliwie.

— Sentymenty sentymentami, a żreć i chędożyć trzeba — odparł, wzruszając ramionami. — W końcu czyż Pismo nie mówi: *Roście się i mnóżcie, i napełniajcie ziemię?.* A wierzcie, że z nią mógłbym się mnożyć, ile tylko wlezie, w noc i dzień. Z napełnianiem też nie byłoby problemów. I to nie ziemi, rzecz jasna.

Roześmiałem się.

— Coś czuję, że nie tylko Johannowi mała Ilonka zalazła za skórę — powiedziałem.

— My tu wszyscy... — przerwał i rozłożył dłonie. — A wy co? Jesteście tacy pewni siebie? Inkwizytorów ulepiono z innej gliny niż resztę mężczyzn? — spytał niemal napastliwym tonem.

— Glina zapewne ta sama, lecz proces wypalania inny, a garncarzem raczył być sam Pan — powiedziałem na poły poważnie, na poły żartobliwie. — Zresztą wspomnijcie słowa Pisma: *Kto sieje w ciele swoim, jako plon ciała zbierze zagładę. Kto sieje w duchu, jako plon ducha zbierze żywot wieczny.*

— Ha! — podsumował krótko moje słowa.

Dalej już w milczeniu słuchaliśmy monologu Ilony, ślubującej zgubę barbarzyńskiemu wodzowi, z którego ręki zginął jej narzeczony. Na jasną skórę wyszły jej rumieńce, pięści zacisnęła tak silnie, że widziałem, jak pobielały jej knykcie, a na skroni pulsowała cieniutka, niebieska żyłka. Twarz dziewczyny cudownie oddawała uczucia: nienawiść, kiedy mówiła o Tankredzie, miłość, kiedy wspominała ukochanego, i niezmierzony żal, gdy opłakiwała jego śmierć. Faktycznie, byłem w stanie zrozumieć, czemu zawróciła w głowie członkom teatralnej trupy. Bosko piękna, bajecznie bogata (przynajmniej w mniemaniu tych nie śmierdzących groszem ludzi), a w dodatku fantastycznie utalentowana. Miała wszystko, czego oni nigdy mieć nie będą. Ciekawe, czy w niektórych sercach podziw zdołał się już zamienić w zawiść?

Kiedy skończyła, przez chwilę wszyscy stali w milczeniu, jakby muzyka jej głosu brzmiała nadal w ich uszach oraz sercach. A potem zaczęli bić brawo. I nie były to, wierzcie mi, zdawkowe oklaski. Ritter klaskał jak oszalały, a i ja włączyłem się, nie tylko, by nie odstawać od reszty zgromadzonych, ale dlatego, że gra dziewczyny naprawdę mi się podobała.

— Cudowna, cudowna — mamrotał Ritter i spojrzał na mnie rozpłomienionym wzrokiem. — Powiedzcie sami, czy nie jest cudowna?

Ilona uśmiechała się i kłaniała wszystkim, a co zabawne, zauważyłem, że była lekko zmieszana tymi dowodami uwielbienia. A więc sława nie zdążyła jej jeszcze popsuć... Spojrzałem w stronę ojca aktorki i dostrzegłem, że stary Loebe nie klaszcze, tylko wpatruje się w scenę z wyrazem rozdrażnienia na twarzy. Cóż, pewnie wolałby, aby sceniczna klęska rozwiała marzenia córki o wielkich przedstawieniach. Cześć, jaką darzyła ją aktorska brać, zapewne rujnowała jego plany, i wiedział, że będzie zmuszony już niedługo marzenia Ilony skonfrontować z rzeczywistością. A rzeczywistością miał być bogaty szlachcic z dobrym herbem. Pół biedy, jeśli będzie miły, młody i przystojny, ale nie sądziłem, by Ulrick Loebe szczególnie martwił się zaletami charakteru, wiekiem oraz urodą przyszłego zięcia. Liczyły się tylko koneksje, niezłe nazwisko i fakt, że dzieci z takiego związku oprócz majątku dziadka mieć będą również szlachecki herb ojca. W sumie widziałem dziewczęta, które sprzedawano taniej, więc może Ilona mogła mówić nawet o szczęściu? Niewątpliwie jednak szczęśliwa była właśnie teraz i właśnie tutaj. Oklaskiwana, z rumieńcem na policzkach, kłaniająca się ludziom, którzy niejedno widzieli i z niejednego pieca chleb jedli, a jednak była jak iskra piękna, rozświetlająca ich podłe życie. Chyba tylko ja jeden nie poddawałem się bez reszty urokowi dziewczyny. Bo też naprawdę inkwizytorów ulepiono z innej gliny.

— Przedstawcie mnie, jeśli łaska — poprosiłem cicho.

Ritter uśmiechnął się nieco kpiąco i skinął głową. Podeszliśmy do sceny i wdrapaliśmy się na nią po stromych, nieheblowanych stopniach. Pisarz podszedł do Ilony, a ona objęła go serdecznie i ucałowała w policzek. Kątem oka zauważyłem, jak Ulrick Loebe krzywi się jeszcze bardziej.

— Słońce moje, to było cudowne... — rzekł Ritter z emfazą i wykonał głęboki, teatralny pokłon.

Dostrzegłem, że Johann Schwimmer cofnął się o krok i patrzył w naszą stronę takim wzrokiem, że powinien wybrać się ze starym Loebe na piwo, gdyż pasowali do siebie niczym ukochani bracia bliźniacy.

— Heinz, jak zwykle uroczy — powiedziała z uśmiechem i pogłaskała go po ramieniu. — Ale ja się przecież tylko uczę od najlepszych. A poza tym nie można nie recytować tych strof, nie oddając im całego serca...

Zawsze wydawało mi się, że sformułowanie „pokraśniał z dumy” jest tylko przenośnią, ale cóż... Ritter naprawdę pokraśniał z dumy. Jak niewiele trzeba do szczęścia pisarzowi, pomyślałem.

— Przedstawisz mi swego przyjaciela? — Przeniosła na mnie wzrok i dopiero teraz spostrzegłem, że jej wykrojone na kształt migdałów oczy są tak błękitne, jak górskie jezioro rozjaśnione promieniami południowego słońca. Otrząsnąłem się. Oczywiście tylko w myślach.

— Mordimer Madderdin. — Skłoniłem się lekko. — Inkwizytor Jego Ekscelencji biskupa Hez-hezronu.

— Jesteście tu... służbowo? — spytała, a uśmiech na jej ustach i w jej oczach zgasł.

— Na miecz Pana, nie! — powiedziałem szybko. — Ale to pytanie słyszę aż nazbyt często, czasami jeszcze poprzedzane słowami: „mam nadzieję, że nie”.

Niestety, uśmiech nie powrócił już na jej usta.

— Miło było pana poznać, mistrzu Madderdin. — Pochyliła lekko głowę. — Wybaczcie, panowie, muszę wracać do ojca.

Powiodłem za nią spojrzeniem, kiedy odchodziła. Miała tak wąską kibić, że zastanawiałem się, czy zdołałbym ją objąć dłońmi.

— Jeśli liczyliście na chwilę rozmowy, nie warto było kłuć w oczy swą profesją — mruknął Ritter.

Obróciłem się w jego stronę.

— Nie wstydzę się tego, co robię — rzekłem ostro. — I nie sądzę też, by ratowanie ludzi przed złem było czymś nagannym. Służę prawu oraz sprawiedliwości, tak jak je pojmuję mym wątłym umysłem.

— Nie wiem, czy rozumiecie — powiedział, pochylając się w moją stronę i ściszając głos, jakby zdradzał mi tajemnicę. — Ale kaganek miłości ciężko odpalić od bierwion stosu...

Wzruszyłem tylko ramionami, gdyż stanowczo pozwalał sobie na zbyt wiele. Ku mojemu ubolewaniu, profesję inkwizytora powszechnie kojarzono ze stosami, a przecież błogosławiona śmierć grzesznika w płomieniach była jedynie zwieńczeniem naszej żmudnej pracy. Poza tym w dzisiejszych czasach stosy nie płonęły już tak często jak niegdyś, kiedy to pod wpływem żaru inkwizytorskich serc wyludniały się całe miasta. Dalecy już byliśmy od okresu błędów i wypaczeń, a każdy przypadek staraliśmy się badać z miłą sercu Pana pieczołowitością.

Oczywiście, byli wśród nas i tacy, którzy wszędzie węszyli sprawki szatana. Co zresztą nie było jeszcze problemem. Problemem stawało się wtedy, kiedy wiedząc, że mają do czynienia jedynie z kryminalnymi przestępstwami, starali się je ubrać w kubrak herezji lub czarnoksięstwa.

Tacy ludzie tylko hańbili dobre imię Świętego Officjum. Chyba że, rzecz jasna, przyświecał im poważniejszy cel niż jedynie wykazanie się przed zwierzchnością lub zyskanie złudnej władzy nad bliźnimi. Sam musiałem kilka razy w życiu nagiąć prawo, lecz czyniłem tak z myślą o idei, która ważniejsza jest niż wszelkie przepisy ukute przez ludzi. Bowiem Pan, w swej niezmierzonej mądrości, rozliczać nas będzie z tego, jak służyliśmy Jego chwale, a nie jak pilnie studiowaliśmy prawnicze kodeksy. Zresztą grzeszni oraz winni byliśmy wszyscy i pytaniem były tylko czas i wymiar kary. Tak powiedział niegdyś mój Anioł, a ja nie miałem powodów, by nie wierzyć jego słowom.

— Witaj, Ritter. — Młodzieniec zakochany w Ilonie nie miał już co prawda wysuniętego przed zęby języka, ale nadal wyglądał dość głupawo. — Kogóż to przyprowadziłeś?

— Mordimer Madderdin, inkwizytor — burknąłem zły, że przerwał mi chwilę zadumy. — I nie jestem tu służbowo, jeśli takie miało być wasze następne pytanie.

— Inkwizytor? — zdziwił się. — Czy jesteście tu... Ano tak, powiedzieliście przecież... — Pochylił głowę, by pokryć zakłopotanie.

Przyjrzałem mu się uważnie, gdyż przedtem moja uwaga koncentrowała się głównie na pięknej aktorce. Johann Schwimmer był bardzo wysokim młodzieńcem, niemal o głowę wyższym ode mnie, ale chodził i stał, garbiąc mocno ramiona. Miał jasne włosy, ścięte równiutko tuż nad brwiami, oraz perkaty nos i za szerokie usta, co nadawało mu wygląd wioskowego przygłupa. Zauważyłem również, że ma krótkie, wygryzione paznokcie i świeże ranki na opuszkach palców. Ha, wymarzony kandydat dla Ilony, pomyślałem z jakąś dziwną dla mnie samego satysfakcją.

— Zobacz, co tam z rekwizytami — rozkazał Ritter. — Podobno pękł miecz Fabiana. Zajmij się tym.

— Już się robi — odparł Johann bez entuzjazmu i zniknął za kotarą oddzielającą zaplecze od sceny.

— On nie jest aktorem? — zapytałem.

— Boże mój, oczywiście, że nie. — Ritter niemal się przestraszył. — Nasz młody Fabian znowu zapił ryja z jakimiś dziwkami, a Ilona twierdzi, że nie potrafi grać do pustego powietrza...

— Więc Schwimmer zgłosił się na ochotnika. Typ człowieka, który lubi sobie dłubać w ranie, co? — Uśmiechnąłem się.

— Ot, prawda. Chcecie poznać starego?

Spojrzałem kątem oka w stronę Ulricka Loebe, który troskliwie otulał córkę płaszczem. Świadczyło to o nim jak najlepiej, a ja lubiłem ludzi potrafiących dbać o długoterminowe inwestycje.

— Darujmy sobie — odparłem.

— Ech, Loebe wybrzydza i wybrzydza, a dziewka wszak z latami nie młodnieje...

— Wybrzydza? — zapytałem.

— Ano tak. Ilonie trafiały się już naprawdę niezgorsze partie. Pan de Valettries. — Ritter zagiął wskazujący palec prawej dłoni. — Sekretarz księcia Leonu i ponoć prawy szlachcic. Hubert Gottschalk, trzeci syn barona Gottschalk, Giovanni Pompello, bękart kardynała Santini... No, że wymienię tylko tych znaczniejszych.

— I stary nic? — mruknąłem. — Na co on czeka? Na księcia z bajki?

— W końcu dziewczyna da pierwszemu lepszemu, zbrzuchacieje i tyle będzie miał ze swojego przebierania. — Wzruszył ramionami Ritter. — No, nie życzę jej tego — zastrzegł od razu i nie wyczułem w jego głosie fałszu. — Ale sami wiecie, jak jest... No dobrze, siądźcie sobie i oglądajcie. Przećwiczymy jeszcze kilka scen, a potem możemy zrobić to samo, co Fabian. — Mrugnął do mnie lewym okiem i przyczesał bródkę gestem, który w jego mniemaniu zapewne miał być lubieżny. — Kuffelberg stawia, bo niewielu wśród nas jest takich, co śmierdzą groszem, ale jemu akurat się poszczęściło.

Westchnąłem i usiadłem tak, jak mnie prosił, gdyż nie miałem planów na dzisiejsze popołudnie, a upicie się w towarzystwie Rittera oraz zabawa z dziwkami nie wydawały się najgorszym pomysłem na nieciekawie zapowiadający się wieczór. Co prawda w domu mojej ulubionej Tamili miałem już dość nieprzyzwoicie wysoki dług, ale liczyłem na to, że nie będzie się opierała przed dopisaniem do rachunku kolejnej sumy. Zwłaszcza, że przecież zawsze w końcu spłacałem długi. Doskonale wiedziała o tym Lonna — poprzedniczka Tamili — chociaż z uwagi na pewne pożałowania godne wypadki, od dawna już nie miała z kim dzielić się tą wiedzą.

###### \* \* \*

Zapewne mógłbym mieszkać w bardziej wykwintnej kwaterze. W końcu obecność inkwizytora jest dla każdego właściciela gospody również pewnym zabezpieczeniem. Ot, zapewnieniem nieco większej szansy, że goście nie pozarzynają się nawzajem albo nie zrujnują samego domu. Oczywiście pod warunkiem, że będą na tyle trzeźwi, by jeszcze czegokolwiek i kogokolwiek się bać. Ale jakoś przyzwyczaiłem się do karczmy „Pod Bykiem i Ogierem” oraz jej właściciela — Korfisa, z którym mieliśmy niegdyś nieprzyjemność uczestniczyć w bitwie pod Schengen. Zresztą uciekanie po lasach i bagnach ciężko nazwać bitwą, gdyż jedyne, co pamiętam z tej zawieruchy, to wyłaniającą się z mgły cesarską ciężką kawalerię. A potem już tylko uciekaliśmy. I mimo że były to dawne dzieje, jednak my, którzy przeżyliśmy tę rzeź, darzyliśmy się wzajemnym szacunkiem. Nie raz i nie dwa właściciele innych zajazdów proponowali mi pokój, ale jakoś nie miałem serca wyprowadzać się od Korfisa. Co prawda miał zwyczaj chrzczenia wina (i tak dla waszego uniżonego sługi proporcje wody i trunku były nieco bardziej strawne) oraz dopominania się o zaległe rachunki, ale jakoś jednak znajdowaliśmy wspólny język.

Tego popołudnia leżałem na łóżku i czytałem właśnie ostatni pamflet wydany przez mistrza Maktoberta, w którym to pamflecie naigrawano się z pewnej nie słynącej z surowych obyczajów, a dobrze urodzonej i majętnej damy, przyłapanej z gachem. Podobno pamflet został wydany na koszt męża owej kobiety i pomyślałem sobie, że ludzie znajdują przedziwne sposoby, aby wszystkim wokół donieść o własnej hańbie. Lekturę przerwało mi skrzypnięcie schodka prowadzącego do pokoju, a zaraz potem, zgodnie z przewidywaniami, usłyszałem szybkie i głośne stukanie.

— Wejść — rozkazałem i odłożyłem książkę na podłogę. Z satysfakcją, bo udało mi się zabić spacerującego w szparze pomiędzy deskami wyjątkowo dorodnego karalucha.

Drzwi zaskrzypiały (pomyślałem, że będę musiał kazać Korfisowi, by naoliwił zawiasy) i do środka wszedł mężczyzna, którego twarz wydała mi się znajoma. Nie mam, niestety, niezwykłej pamięci mego przyjaciela Kostucha, a być może również suto zakrapiana poprzedniego dnia kolacja pozbawiła mnie właściwej bystrości spojrzenia oraz zdolności kojarzenia faktów.

Przybysz był starszym, otyłym mężczyzną, ubranym w czarny, haftowany złotem kaftan, a na tłustych palcach ujrzałem szczególnie ponętnie błyszczące pierścienie. Twarz okalała mu przystrzyżona w kwadrat broda i dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że właśnie ta broda mnie zmyliła. Bowiem kiedy widziałem go niespełna miesiąc wcześniej, miał gładko wygolone policzki. Stał przede mną nikt inny jak ojciec pięknej Ilony — Ulrick Loebe. Czego mógł szukać bogaty kupiec w kwaterze skromnego inkwizytora? Ha, tego, czego jemu podobni zawsze szukają! Rozwiązania kłopotów, w które najczęściej wpędziła ich własna głupota. Ciekaw byłem, czy mam rację i tym razem.

— Witajcie, panie Loebe — powiedziałem uprzejmie, ale nie podniosłem się z łóżka. — Siadajcie na zydlu.

Parsknął, widać nienawykły do takich powitań, i podejrzliwie przyjrzał się zydlowi, którego jedną nogę zastępował stos książek wydrukowanych przez mistrza Maktoberta. W końcu usadowił się ostrożnie.

— Co was sprowadza? — zagadnąłem tonem przyjacielskiej pogawędki. — Czym mogę wam usłużyć?

Oparł pięści na kolanach i pochylił się w moją stronę. Dostrzegłem, że ma spoconą, zaczerwienioną twarz, i nie była to chyba tylko wina panującego w Hezie upału, ale również gorączki.

— Poznaliście moją córkę, nieprawdaż?

— Zachwycająca młoda dama — odparłem. — I pozwolę sobie również powiedzieć: obdarzona niezwykłym talentem.

— Diabli tam talent! — niemal ryknął i huknął pięściami w kolana. Wyszczerzył zęby, jakby chciał mnie za chwilę ugryźć. Otarłem policzek, gdyż kropelki jego śliny doleciały do mojej twarzy. — Nieszczęście tylko!

— Cóż się stało? — Poprawiłem się na poduszce, bo opowieść zapowiadała się na interesującą, skoro dotyczyła pięknej Ilony.

— Porwali ją — wydusił z siebie czerwony, jakby za chwilę miał paść na uderzenie krwi do mózgu. — Ten przygłup Schwimmer i jego kompani. Wyobrażacie sobie? Porwali ją!

— Och — rzekłem, nawet nie za bardzo zdumiony, gdyż Schwimmer wyglądał na zaczadziałego z miłości, a tacy ludzie decydują się często na wysoce nierozważne kroki. — Ufam, że powiadomiliście ludzi burgrabiego?

— Panie Madderdin, czy uważa mnie pan za idiotę? — zasyczał. — Oczywiście, że zawiadomiłem burgrabiego, milicje cechowe oraz... — urwał na chwilę, jakby zastanawiał się, jakich użyć słów —...innych ludzi. Takich, którzy wiedzą, co się dzieje w mieście...

Domyśliłem się, że w ostatniej części zdania miał na myśli tongi — niezwykle groźny, ale świetnie zorganizowany cech przestępczy. Musiał być naprawdę zdesperowany, gdyż zaciąganie długów u tongów nie należało do zajęć bezpiecznych, jakkolwiek bogatym czy znaczącym człowiekiem by się nie było.

— I co?

— I co, i co... — powtórzył za mną wściekłym głosem. — I nic! Jak kamień w wodę.

— Czego oczekujecie ode mnie? — spytałem. — Przecież musicie wiedzieć, że taka sprawa nie mieści się w gestii Inkwizytorium.

— Panie Madderdin. — Sięgnął za pas, wyciągnął stamtąd pękaty mieszek i z brzękiem rzucił go na blat.

Zastanawiałem się, czy mieszek ten spęczniał od godnych pożałowania miedziaków, miłego oczom srebra, czy też ślicznego, ciężkiego złota. Wiedziałem, że niedługo sam się o tym przekonam.

— Mówmy szczerze — ciągnął. — Wiem, że jest pan przyjacielem przyjaciół i pomaga czasami ludziom znajdującym się w kłopocie. Sowicie zapłacę, jeśli sprowadzi pan moją córkę. — Czy uwierzycie, mili moi, że oczy mu się zaszkliły? — Nietkniętą i zdrową.

— Nietkniętą? — mruknąłem. — To już ode mnie nie zależy. — Spojrzał na mnie, jakby chciał mnie uderzyć i doszedłem do wniosku, że ma hyzia na punkcie cnoty córki. — Ale bądźmy szczerzy, jak powiedzieliście. Skoro wykorzystujecie do poszukiwań ludzi miasta, to ja na nic wam się nie przydam.

— Ludzi miasta? — Niemal się przestraszył. — Mówicie o tongach? — Obniżył głos, jakby bał się, że ktoś nas podsłucha. — Nie, nie, nie to miałem na myśli. To obosieczny miecz, panie Madderdin. Kto wie o tym lepiej niż kupcy...

No cóż, chwaliło mu się, że przynajmniej zachowywał odrobinę zdrowego rozsądku.

— Sądziłem, że jako człowiek, który zna tę — zgrzytnął zębami — aktorską hołotę, natraficie na jakieś ślady.

— Czy Ritter jest w to zamieszany? — zapytałem. Lubiłem Heinza Rittera i nie byłbym zadowolony, doprowadzając go na szafot. Zresztą, gdyby dziewczynie nie stała się żadna krzywda, pewnie jakoś by się wyślizgał z kabały.

— Nie sądzę. — Pokręcił głową, ale z takim wyrazem twarzy, jakby ciężko mu przychodziło pogodzenie się z myślą, iż któryś z aktorów może nie mieć udziału w nieszczęściu, jakie go spotkało. — To ten dureń Schwimmer.

— Sam?

— Jacyś z nim byli. — Wzruszył ramionami tak mocno, aż podskoczyło mu tłuste podgardle. — Widzicie, panie Madderdin, musiałem wyjechać w interesach i przykazałem dwóm zaufanym oraz służce czuwać nad Iloną noc i dzień. Aleee — machnął dłonią, a słońce przeciskające się przez okiennice zalśniło w kolorowych oczkach jego pierścieni — Schwimmer i jego łajdacy poturbowali wszystkich, a moje słoneczko... moją przyszłość... porwali... Bóg tylko jeden wie, jak straszne rzeczy jej zrobili!

Dopowiadając te słowa, naprawdę już szlochał, a wielkie jak groch łzy spływały mu po czerwonych policzkach. Wykrzywił twarz i przypominał teraz wielkie, skrzywdzone dziecko, obdarowane przez złośliwy los bujną brodą. Tymczasem, cóż, Ilona i tak miała szczęście, że porwał ją zakochany młodzieniec, a nie jakiś stary, bogaty szlachcic, który najpewniej zabawiłby się z nią, póki by mu się nie znudziła, a potem utopił w najbliższej studni. Zastanowić się jednak musiałem nad tym, czy rzecz cała faktycznie była porwaniem. Oczywiście, pamiętając głupkowatą twarz Schwimmera, trudno było wierzyć, by Ilonie marzyła się przyszłość z kimś takim. Niemniej jednak przekonałem się już nie raz i nie dwa, że serca kobiet biją w nieznanym nam, mężczyznom, rytmie i ciężko przewidzieć, kto może zdobyć uczucia pięknej panny.

— Zabili kogoś? — zapytałem.

— Nie, jedynie pobili. Ale mocno — mruknął. — Wybłagałem audiencję u burgrabiego, lecz tylko się śmiał...

Rzecz oczywista. Gdyby jaśnie burgrabia miał się zajmować każdym porwaniem w Hezie, to niewiele innego miałby do roboty. I tak dosyć miał kłopotów z tongami oraz bractwami żakowskimi, które nocami wyprawiały takie brewerie, że część ulic naszego zacnego miasta przypominała miejsca objęte wojną domową.

— Dowiedzieliście się czegoś od swoich ludzi? Pozwolicie, że ich przesłucham? — spytałem.

— Nie, nie, nie! — Zatrzepotał bufiastymi rękawami kaftana. — Na Boga, nie! Uwierzcie, że wypytałem ich z niezwykłą dokładnością.

Wyobrażałem sobie, że Loebe miał dobre chęci. Ale człowiekowi niewprawnemu w sztuce prowadzenia śledztw wiele rzeczy może się wydać na pierwszy rzut oka mało istotnych. Niemniej decyzja należała do niego i doskonale rozumiałem, iż nie chciał, aby inkwizytor prowadził przesłuchania ludzi powiązanych z jego domem.

— To pozwólcie w takim razie, że ja was wypytam — powiedziałem. — Jak to się stało? Gdzie?

— Ot, na ulicy. Przy kramach, w tłoku. Wpadli we trzech, chwycili moją Ilonkę. Zbili tych, którzy próbowali jej bronić. Służkę, że się szarpała i krzyczała, zdzielili pałką w głowę...

— Wiecie, jak wyglądali napastnicy? Jak byli ubrani? Czy mówili coś?

— Zasłonili twarze kapturami, a to już pod wieczór było... Znaczy ci dwaj, bo Schwimmer nawet się nie krył. Mieli pałki schowane pod płaszczami i ogłuszyli moich ludzi. Podobno duzi byli, silni...

Oczywiście. A jacy mieli być w oczach pobitych strażników? Mali oraz słabi?

— Jak byli ubrani? — powtórzyłem. — Biednie? Bogato? A może się przebrali?

Wzruszył ramionami, jakby moje pytania go denerwowały.

— Zwyczajnie — odparł. — Aha, i podobno obaj mieli jasne włosy...

— Możecie mi służyć innymi informacjami? Wskazówkami? Ktoś zauważył coś szczególnego? Przechodnie? Kramarze?

Pokręcił głową.

— Nic. Nikt nic nie widział. Nikt nic nie słyszał.

— Jak zwykle — westchnąłem. — No cóż, pozwólcie, że zapoznam się z waszą ofertą.

Przechyliłem się, sięgnąłem po mieszek (a naprawdę był milutko ciężki) i rozwiązałem go. Sypnąłem na blat strugą złota. Ha, złota! A więc jednak Loebe nie miał węża w kieszeni, a przynajmniej gotów był na wyrzeczenia, jeśli chodziło o córkę.

— Dam wam dwie następne takie kieski, jeśli znajdziecie ją całą i zdrową. I kolejne dwie, jak — jego oczy zwęziły się w szparki, a w głosie usłyszałem zimną nienawiść — nikomu nie mówiąc, dostarczycie mi Schwimmera. Żywego.

Oho ho, pomyślałem, zapewne młody Johann nie będzie miał lekkiej ani krótkiej śmierci, kiedy już trafi w czułe objęcia Loebego.

— Zrobię, co w mojej mocy. — Zapewniłem go szczerze, bo oferował mi prawdziwą fortunę, i jeśli mogłem mu za nią sprzedać towar tak pozbawiony wartości, jak życie aktorskiego pomocnika, to nie miałem nic przeciwko podobnej transakcji.

###### \* \* \*

Skrzesał ogień i postawił świeczkę na stole. Potem zdjął z ramion płaszcz, z westchnieniem przyjrzał się jakiejś plamie (przez chwilę próbował ją nawet wydrapać paznokciem) i pieczołowicie powiesił okrycie na poręczy łóżka.

— Witaj, Heinz. — Byłem ukryty w cieniu, ale rozpoznał mój głos i szarpnął się, jakby chciał uciec.

Postąpiłem dwa kroki, zagradzając mu drogę do drzwi.

— Nie, nie, nie — rzekłem. — Nie będziemy ani krzyczeć, ani uciekać. Porozmawiamy sobie jak przyjaciele.

— Ja nic nie wiem, panie Madderdin. Klnę się na miecz Pana Naszego, że nic nie wiem... — W jego głosie usłyszałem strach. Słusznie, inkwizytorów należy się bać. To pozwala dłużej przeżyć w ich towarzystwie.

— O czym nic nie wiecie, panie Ritter? — zagadnąłem.

Usiadł z westchnieniem na zydlu i nalał sobie wina z butli. Ręka tak mu się trzęsła, że połowę rozlał.

— Myślicie, że nie wiem, z czym przychodzicie? Loebe was kupił, co?

— Nie można kupić inkwizytora — objaśniłem go łagodnym tonem.

— Tak, tak, wybaczcie... Powinienem, do stu diabłów, wyjechać z miasta... Licho mnie podkusiło... Ale cokolwiek byście zrobili, nic wam nie powiem, bo nic nie wiem... Przecież sami widzieliście — spojrzał na mnie wzrokiem zbitego psa — że nie lubiłem tego całego Schwimmera.

— Nie bałbyś się tak, gdybyś nic nie wiedział — rzekłem.

— Boję się, że zrobicie mi krzywdę — odparł szczerze.

— Heinz, Heinz, Heinz. — Podszedłem do niego i poklepałem go po ramieniu. — Myślisz, że chciałbym pozbawić świat twojego talentu? Czy ja wyglądam na bezmyślnego mordercę? Jesteście moim przyjacielem, panie Ritter, i w razie czego usiłowałbym umożliwić wam wyplątanie się z kłopotów. Oczywiście — uśmiechnąłem się — za niewdzięczność uznałbym, gdybyście odtrącili przyjaźnie wyciągniętą dłoń. A teraz pragnę, abyś mi pomógł, Heinz. I wtedy być może część złota z zapasów Loebego skapnie również do twojej kieski.

— Dużo dostaliście? — Ożywił się. — O, wybaczcie, nie powinienem pytać...

Roześmiałem się, gdyż Ritter był bezczelny w sposób, który nie tylko mnie nie złościł, ale wręcz bawił. Miałem tylko nadzieję, że wie, w którym miejscu przebiegają granice, których nie należy przekraczać.

— Przede wszystkim dużo obietnic — odpowiedziałem. — Ale zaliczka również była hojna. No więc? Pogadajmy o Johannie.

— Co ja wam mogę powiedzieć? — Wzruszył ramionami. — Napijecie się?

Skinąłem głową, a on sięgnął po drugi kubek. Kiedy go napełniał, dłoń trzęsła mu się mniej niż poprzednio.

— Gdybym coś wiedział, wcześniej czy teraz, sam bym doniósł Loebemu — rzekł i miałem wrażenie, że słyszę szczerość w jego głosie.

— Czy dziewczyna mogła się z nim zmówić?

— Lubiła go — powiedział po chwili. — Ale wiecie, tak jak się lubi kulawego psa. Tu się mu rzuci parę ochłapów, tam pogłaszcze... Zawsze była miła, ale ona dla wszystkich była miła. Na głowę Belzebuba, żal mi jej...

— Już wolę, żebyście mówili „na miecz Pana” — mruknąłem i usiadłem na skrzyni stojącej przy łóżku. — Loebe mówi, że młokos nie był sam. Kto się przyjaźnił ze Schwimmerem? Czy ktoś z waszych zniknął w tym samym czasie? Nawet na kilka dni?

— Nie. — Zanim odpowiedział, zastanawiał się chwilę. — Nic takiego.

— Nie pomagacie mi.

— Bo nic, na Boga żywego, nie wiem! — niemal krzyknął. — Gadało się o tym wszystkim tu i ówdzie...

— Co się gadało? — przerwałem mu.

— Schwimmer miał, miał... — Pstryknął palcami. — Jak to się mówi, kiedy ktoś bardzo czegoś chce i dąży do tego za wszelką cenę?

— Obsesję? — poddałem.

— O, widzicie! — Ucieszył się. — Właśnie obsesję, dobrze mówicie. Zauważyłem już niegdyś, że macie bogate słownictwo i zręcznie się wysławiacie. Nie myśleliście kiedyś, by popróbować...

— Heinz — przerwałem mu znowu. — Jaką obsesję?

— A tak, wybaczcie... Otóż, że chce ją pozbawić cnoty. Wyobrażacie sobie?

Owszem, wyobrażałem to sobie, choć zwykle w podobnych przyjemnościach gustowali ludzie w leciwym wieku. To dla nich sprowadzano z południa młodziutkie, smagłe dziewice i sprzedawano po niebotycznych cenach. Czasami zresztą po kilka razy, bo rzeczone dziewice szybko uczyły się, jak zręcznie udawać cielesną niewinność.

— Skąd o tym wiecie?

— Coś tam komuś powiedział przy piwie. — Ritter machnął ręką. — Ale nie wiem, czy to wszystko ma jakiś sens.

— Poszukiwanie sensu zostawcie mnie — rzekłem i upiłem łyk wina z kubka.

Było nie najlepszego gatunku i trochę kwaśne, a więc Ritter jak zwykle nie śmierdział pieniędzmi.

— Skąd on się w ogóle wziął w Hezie? Urodził się tu czy przyjechał z prowincji?

— Chyba... — Ritter zastukał palcami w rozlanej na blacie winnej kałuży — przyjechał. Tak, na pewno, ale już dawno temu. Chyba rodzice mieli młyn albo co tam, ale wydziedziczyli go, czy jak...

— No widzicie sami, ile wiecie? — Ucieszyłem się. — Teraz sobie jeszcze przypomnijcie, z jakiej wsi pochodził. Tylko nie zmyślajcie z łaski swojej, bo jeśli udam się w bezowocną podróż, wrócę do Hezu bardzo niezadowolony. A kiedy jestem niezadowolony, moja wrodzona łagodność marnieje, jak niepodlewany kwiat.

— Baaa. — Spojrzał na mnie. — Żebym to ja wiedział! Ale nie mówiłem, że pięknie się wysławiacie? Ja mam ucho, panie Madderdin, wierzcie mi, że mam ucho.

— A kto może wiedzieć? — Puściłem jego uwagi mimochodem. — Z kim Schwimmer pijał? Z kim chodził na dziwki? Komu się zwierzał?

— Na dziwki nie chodził, nie zwierzał się nikomu — mruknął Ritter. — Taki tam, odludek... A pił zwykle z jednym takim. — Pstryknął palcami w powietrzu. — Odświeżycie moją pamięć? — zapytał chytrze.

— Dlaczego ja cię tak lubię, Heinz?

Westchnąłem i wyjąłem z kieski jedną monetę. Poturlałem ją po blacie w jego stronę. Zatrzymała się w kałuży wina, ale nim zdążyła upaść, Ritter zgrabnie ją pochwycił w dwa palce.

— Alois Pimke — powiedział niewyraźnie, bo badał denara w zębach. — Kręcił się tu i tam, czasami pomagał nam przy dekoracjach. Ale on nie zniknął, panie Madderdin. Widziałem go zaraz po wszystkim w karczmie.

— Gdzie znajdę tego Pimke?

— Poszukajcie „Pod Ryjem i Chwostem” albo „Pod Linoskoczkiem”, albo w „Cycatej Figlarce”.

— Heinz, Bóg mi świadkiem, że jak sobie to wszystko wymyśliłeś, obedrę cię ze skóry. Ale zresztą najlepiej będzie, jak pójdziesz ze mną. W końcu znasz Pimkego, więc mi go wskażesz.

— Co to, to nie — zaniepokoił się. — Tego tylko brakuje, żeby na mieście zaczęto mówić, że donoszę do Officjum...

— Heinz, my po prostu pójdziemy się napić — wyjaśniłem. — A jak już pokażesz mi Pimkego, wrócisz sobie spokojnie do domu. Poza tym Inkwizytorium nie ma z tym wszystkim nic wspólnego. To prywatna sprawa.

— A jeśli się nie zgodzę?

Znałem wiele sposobów, by ludzi śmiałych oraz swarliwych przemienić w niezwykle zgodnych, wręcz potulnych. Ale przecież nie zamierzałem przerażać Rittera, który i tak nie był zachwycony, że porwanie Ilony przybrało dla niego inny kształt niż tylko miłe ploteczki w karczmie.

— Wtedy, mistrzu Ritter, szepnę niby nieopatrznie w kilka uszu, że jesteście agentem Inkwizytorium. I to niezwykle pomocnym agentem...

O dziwo, roześmiał się i nawet klepnął w kolano. Ale potem spojrzał na mnie wzrokiem już nieco zasępionym. Widać dotarło do niego, że taką plotkę mogę puścić w każdej chwili, i ciężko mu będzie się z niej wytłumaczyć, zważywszy fakt, ile razy widywano nas razem. Taki to już, niestety, był nasz świat, że informatorzy Świętego Officjum nie mogli się chlubić swą wszak pożyteczną misją, lecz owe zaszczytne powołanie musieli głęboko skrywać. Mogłem nad tym faktem ubolewać, ale nie mogłem go nie wykorzystać.

— Dobrze — rzekł niechętnie, bo w końcu jaki miał wybór. — Lecz zgadzam się tylko dlatego, że darzę was trudnym do wytłumaczenia afektem... Ale — uniósł wskazujący palec — najjaśniejszemu cesarzowi będzie chłodno bez brata bliźniaka.

— Dostaniecie drugą monetę, jak wskażecie mi Pimkego. Od której oberży zaczniemy?

— Dwie monety — sprostował szybko. — A zaczniemy od „Linoskoczka” — dodał, pocierając górną wargę.

— Największe szanse, że tam będzie?

— Nieee. — Przeciągnął z filuternym uśmieszkiem. Jak widać, humor mu wracał całkiem szybko. — Tam warzą najlepsze piwo!

Włożył monetę do mieszka za pasem i zarzucił płaszcz na ramię.

— No, a już myślałem, że przesiedzę noc w smutnej samotności — powiedział zadowolony z siebie. — Tylko błagam was: nie wydacie mnie? Że to ja?

— Jak myślicie, panie Ritter, ilu ludzi byłoby łaskawych służyć mi pomocą, gdybym rozpowiadał po gospodach, komu zawdzięczam informacje?

— Też racja. — Dopił resztę wina już z butelki i odsapnął głęboko.

— A nie zastanawialiście się, panie Madderdin, dlaczego Loebe tak późno się do was zgłosił? — zapytał, odwracając się na progu. — To już drugi tydzień mija, jak Ilonka zniknęła.

— Zapewne byłem dla niego złem koniecznym. — Wzruszyłem ramionami. — Kiedy już wyczerpał wszystkie inne możliwości...

— Ja zaraz bym o was pomyślał.

— Dziękuję, Heinz. Chodźmy już.

###### \* \* \*

W końcu trafiliśmy do „Cycatej Figlarki”, a ponieważ była ona trzecią gospodą, którą odwiedziliśmy, Ritter miał już nieźle w czubie (koniecznie chciał się bić z jakimiś szlachcicami i tylko moje odwołanie się do powagi Świętego Officjum zapobiegło awanturze). Nazwa połączonego z zajazdem szynku pochodziła od ogromnego szyldu, przedstawiającego szeroko uśmiechniętą dziewoję z wielkimi, kiepsko skrytymi piersiami. Z tego, co wiedziałem, straż biskupia usiłowała wymóc na właścicielu zamalowanie tych piersi, ale jakoś wykpił się z całej sprawy i wielgachny, niemal obnażony biust pozostał na swoim miejscu.

Historia nazw gospód, szynków, tawern, oberży i zajazdów zawsze budziła moje zainteresowanie. Czasami były to proste skojarzenia: ot, namalowano szyld z rosłą dziewuchą, to i powstała „Cycata Figlarka”. Ale na przykład nazwa „Pod Linoskoczkiem” wzięła się stąd, że pewien cyrkowiec rozwiesił swą linę właśnie tuż obok karczmy (która nosiła jeszcze wtedy swojską nazwę „U Czerwonego Nochala”) i celnie trafiony jabłkiem przez kogoś z publiczności, fiknął na ziemię, łamiąc sobie kark. Co wzbudziło słuszną radość gawiedzi, a właścicielowi nasunęło pomysł, by ten szczęśliwy traf wykorzystać do zmiany nazwy.

Czasem nazwy gospód mogłyby też zmylić co bardziej prostodusznego obserwatora. Chociażby taka „Pod Rozjuszonym Lwem” nie wzięła miana po drapieżnej zamorskiej bestii, lecz po panu baronie Sapindze, który pieczętował się czerwonym lwem na białym polu, a miał zwyczaj niszczyć w alkoholowym upojeniu każdy zajazd, w którym się właśnie znalazł. Właściciele zresztą nie byli temu niechętni, gdyż pan baron miał mieszek równie ciężki jak pomyślunek i sowicie wynagradzał straty.

Tak czy inaczej, na Aloisa Pimke natknęliśmy się właśnie w „Cycatej Figlarce”, gdzie w chwili naszego przybycia wymiotował pod stół, co jego kompanom nie zdawało się czynić specjalnej różnicy. Oberża była zatłoczona do granic możliwości i na wskroś przesiąknięta fetorem, w którym mieszało się wszystko: smród przypalonych potraw, odór wymiocin i rozlanego piwa oraz zapoconych ciał i niepranej odzieży. Moje nieszczęsne nozdrza zostały porażone od samego progu, ale westchnąłem tylko, gdyż musiałem przecież zarobić na honorarium od Loebego. Zresztą z doświadczenia wiedziałem, że nawet najczulsze powonienie jakoś się w końcu przyzwyczaja do odrażających zapachów i człowiek może wytrzymać, nawet kiedy go zanurzyć w świńskiej gnojówce (oczywiście, jeśli się nie zachłyśnie). Ach, biedny Mordimerze, czego nie musisz znieść, by zarobić na kubeczek wody i pajdkę chleba?

— To ja już idę! — wrzasnął mi w ucho Ritter, przekrzykując panujący w izbie hałas.

— Idźcie, idźcie — odparłem. — Spotkamy się jutro i dam wam resztę pieniędzy.

Nie miałem pojęcia, czy sumka obiecana dramaturgowi mi się zwróci, ale przecież od czegoś trzeba było zacząć, a Pimke mógł być pomostem, który doprowadzi mnie do Schwimmera. Przepchałem się przez tłum i mimochodem zrzuciłem z zydla siwego karła siedzącego obok Pimkego. Karzeł wpadł pod stół i zwinął się tam w kłębek, natychmiast zasypiając z twarzą przytuloną do moich stóp. Miałem tylko nadzieję, że nie obrzyga mi butów. Tymczasem Alois Pimke zwymiotował po raz ostatni, krzywiąc się szczególnie boleściwie, i wyprostował się, ocierając usta w rękaw. Zauważyłem na tym rękawie zaskorupiałe, żółtozielone nacieki, widać pozostałości po skutkach poprzednich biesiad.

— Nie poszszszło — zabełkotał i beknął.

Przyjaciel Schwimmera był człowiekiem, do którego doskonale pasowało określenie: nijaki. Ot, twarz i postura niegodna zapamiętania, jeden z tysięcy nic nieznaczących mieszkańców Hez-hezronu. Jasne, lekko przerzedzone włosy, blada twarz pokryta wykwitami pryszczy, perkaty nos i wodniste oczka. Teraz te właśnie oczka wgapiały się we mnie z czymś na kształt niepewnego zainteresowania.

— Jorguś? — zapytał, niebezpiecznie się chwiejąc. — To ty, Jorguś?

Podtrzymałem go za łokieć.

— Kopę lat, brachu! — Uśmiechnąłem się szeroko i serdecznie.

— Ps-staw klejkę, Jorguś — wymamrotał.

Ani hałas panujący w gospodzie, ani stan Pimkego nie pozostawiały mi złudzeń, że będę mógł spokojnie porozmawiać na temat Schwimmera.

— Mam trochę grosza — wrzasnąłem mu w ucho. — Pójdziemy na dziewczynki?

— Ziewsynki? — Ucieszył się — Iźmy!

Poderwał się z miejsca, ale musiałem go podtrzymać, by nie upadł na stół. Samemu stołowi nic by, co prawda, nie zrobił, bo właściciel rozsądnie poprzybijał wszystkie nogi do podłogi, ale nie chciałem ryzykować, że zwrócimy uwagę innych biesiadujących. Choć w tej gospodzie trzeba by chyba było wprowadzić do izby słonia, aby wzbudzić czyjekolwiek zainteresowanie.

Jakoś przedostaliśmy się do wyjścia, a ja musiałem nie tylko rozpychać się w tłumie, ale i holować za sobą Pimkego, którego nogi ciągle nie chciały nadążyć za resztą ciała. Wreszcie wyszliśmy za próg, na świeże powietrze. Jeśli, oczywiście, świeżym powietrzem można było nazwać panujący na dziedzińcu smród moczu oraz kału, gdyż goście załatwiali fizjologiczne potrzeby tuż za progiem.

— Ziewsynki, ziewsynki, iziemy na ziewsynki — pochwalił się Pimke przechodzącym obok mężczyznom.

Rudobrody chudzielec o lisiej twarzy i nadspodziewanie trzeźwych oczach obrócił się w naszą stronę.

— A to może z nami? — zaproponował przymilnie. — Znam taki jeden miły domek...

— Ruszaj, bracie, w swoją stronę — powiedziałem zimnym tonem — jeśli nie chcesz kłopotów.

Sięgnął do pasa, najwyraźniej po nóż, ale spojrzał mi przedtem w oczy i coś w moim wzroku musiało go zastanowić. Cofnął się o krok.

— Niech idą — rzucił do swoich kompanów, którzy już zaczęli się nami interesować.

Uśmiechnąłem się do niego półgębkiem, bo lubiłem ludzi, u których instynkt samozachowawczy odzywał się w stosownej chwili i brał górę nad ambicjami. Poza tym nie miałem ochoty zostawiać za sobą trupów, gdyż Pan nie obdarzył mnie zdolnościami i siłą, bym używał ich w karczemnych bójkach. Jednak, tak czy inaczej, Alois Pimke nie nadawał się do niczego poza plątaniem pod nogami, przewracaniem w błoto i mamrotaniem: „zie te ziewcynki, Jorguś?” Postanowiłem więc dotaszczyć go do gospody „Pod Bykiem i Ogierem”. Oczywiście nie zamierzałem się z nim dzielić mą skromną izbą, gdyż mimo iż jestem naturą dość wielkoduszną, uznałbym to za objaw nadmiernego miłosierdzia. Liczyłem jednak, że Korfis zamknie Aloisa w składziku albo piwnicy, gdzie będę mógł spokojnie przesłuchać go następnego dnia, kiedy już trochę przetrzeźwieje.

###### \* \* \*

Korfis nie był zachwycony, kiedy zmusiłem go do zamienienia składziku w celę dla Pimkego. Burczał coś w rodzaju: „mało macie lochów w Inkwizytorium, żeby zabierać jeszcze moją piwnicę?”, ale puszczałem jego zgryźliwości mimo uszu. Do pomieszczenia zszedłem dopiero koło południa następnego dnia, gdyż chciałem odespać uciążliwy wieczór. Zresztą Alois Pimke spał również, przytulony do kilku desek, i zauważyłem, że jest to człowiek mający pewne szczęście, gdyż moim zdaniem tylko temu właśnie szczęściu zawdzięczał fakt, że nie wykłuł sobie oka o któryś z wystających gwoździ. Oczywiście, szczęście mogło się od niego szybko odwrócić, jeśli odpowiedzi, których udzieli na moje pytania, nie będą ze wszech miar zadowalające.

Postawiłem świecznik na pustej beczce po oliwie (składzik, co prawda, miał maleńkie okna sięgające tuż nad powierzchnię gruntu, ale zostały one pieczołowicie zabite deskami) i obudziłem Pimkego kopniakiem pod żebra. Jęknął i zatrzepotał powiekami. Potem skulił się i zachrapał. Na szczęście, przewidując podobny rozwój wypadków, przydźwigałem ze sobą wiadro zimnej, studziennej wody, a teraz chlusnąłem całą jego zawartość na Aloisa. Wrzasnął i poderwał się na równe nogi, rozdzierając sobie przy okazji policzek o sterczący z desek gwóźdź. Cóż, jednak nie miał tyle szczęścia, jak sądziłem.

— Cco jest?! — wrzasnął i potoczył wokół nieprzytomnym spojrzeniem, które w końcu sięgnęło i mnie. — Ja cię, kurwa, zaraz... — dodał wściekle, kiedy zobaczył wiadro w moich dłoniach, więc domyślił się, że to właśnie ja byłem sprawcą jego chłodnej kąpieli.

Kopnąłem go pod prawe kolano, a kiedy nogi się pod nim załamały, dołożyłem solidnego kopniaka w brzuch. Jęknął i narzygał sobie na buty.

— Fe — powiedziałem. — Jak można tak się zachowywać w gościnie?

Odpełznął tak daleko, jak tylko mógł odpełznąć, aby znaleźć się najdalej ode mnie. Po rozszarpanym gwoździem policzku spływała mu krew.

— Alois Pimke, nieprawdaż? — zapytałem.

— Nie — odparł wściekłym tonem. — Nie znam żadnego Pimke! Jestem Tobias Schule, łajdaku!

Człowiek o wyczulonym słuchu i mający doświadczenie w prowadzeniu przesłuchań nie mógł nie zauważyć, że po słowie „jestem” nastąpiła ledwo wyczuwalna chwila wahania, jakby mój rozmówca nie mógł sobie przypomnieć swojego nazwiska. Postąpiłem więc krok i nadepnąłem mu na dłoń, którą się podpierał. Przekręciłem się na obcasie, a wycie Pimkego zagłuszyło chrupot łamanych kostek. Zszedłem z jego ręki, a on rozpłakał się i zaczął tulić dłoń do piersi.

— Bydlę! Połamałeś mi palce! — wychlipał.

— Alois Pimke, nieprawdaż? — powtórzyłem.

— Tak, tak, Pimke, ty kurwi synu! Czego chcesz ode mnie? Co, ja ci piniondze winnym, czy co?

Kucnąłem przy nim, a on niemal starał się wleźć pomiędzy ciasno zsunięte beczki. Rzecz jasna, nie udało mu się to.

— Alois, ustalimy teraz pewne zasady — powiedziałem spokojnie. — Ja zadaję pytania, a ty na nie odpowiadasz, starając się jednocześnie nie obrażać Boga bluźnierstwami. Jeżeli nie będziesz stosował się do tych zasad, połamię ci drugą dłoń. A potem zajmę się innymi delikatnymi częściami twojego ciała. Natomiast jak będziesz grzeczny, wyjdziesz stąd i wyleczysz kaca winem. Rozumiemy się?

Wpatrywał się we mnie rozszerzonymi z przerażenia oczami i w milczeniu, ale gorliwie, pokiwał głową. Zabawne, lecz wydawało mi się, że jego strach sięgnął zenitu, kiedy powiedziałem, aby nie obrażał Boga. Czyżby świtało mu już w zapijaczonej głowie, z kim ma do czynienia?

— Dobrze, że się zgadzamy w tej mierze — rzekłem serdecznym tonem. — Chciałbym również, abyś odpowiadał na moje pytania zgodnie z prawdą, gdyż zauważ, że Pismo, ustami świętego Jana, w swej mądrości mówi: *Nie* *znam większej radości nad tę, kiedy słyszę, że dzieci moje postępują zgodnie z prawdą.* Hm?

— Tak, tak, tak — wychrypiał.

— Znasz niejakiego Johanna Schwimmera?

— Znam, panie, ale co to za znanie, ledwo my czasem...

— Dość! — Uniosłem dłoń, a on wgapił się w nią z twarzą wykrzywioną lękiem. — Powódź może być równie nieznośna, jak susza, drogi Aloisie.

Po głupkowatym wyrazie jego twarzy poznałem, że nie zrozumiał i nie docenił mojej lekkiej, zabawnej i jakże celnej metafory.

— Nie gadaj tyle, tylko odpowiadaj ściśle na pytania, rozumiemy się? No! Ile ci dał Schwimmer za pomoc w porwaniu Ilony Loebe?

— Nie! — wrzasnął i teraz był naprawdę, ale to naprawdę przerażony. — To nie ja, panie, przysingam na głowy mych dzieciaczków!

— A ile ich masz?

— Troje, panie, troje i żunkę chorą... — urwał, bo widocznie przypomniał sobie, co mówiłem na temat nadmiernego gadania.

Zabawne, oni zawsze mają troje dzieci. Czy to jakaś magia, czy co?

— Mam ci połamać drugą rękę? — spytałem.

— Nie, panie, błagam was, ja nie porwałem tej dziwczyny, Bóg mię świadkiem. — Łzy na jego policzkach mieszały się z krwią i spływały na podbródek. Wyglądał żałośnie.

— Dziwne — powiedziałem z zastanowieniem. — A mówili, że ty byłeś jednym z dwóch mężczyzn, którzy pobili straż i zabrali dziewczynę.

— Nie, panie, o nie, to nie byłem ja! Ja bym koguś pobił? Przeca patrzcie, jakżeście mnie obrządzili bez nijakiego trudu...

Nie da się ukryć, że mimo przerażenia znajdował rozsądne argumenty na swą korzyść i popisał się swoistą bystrością umysłu (a może jedynie karaluszym instynktem przetrwania?). Oczywiście, byłem od początku niemal pewien, że nie ma on nic wspólnego z porwaniem. Cieszyłem się, iż pierwsze wrażenie mnie nie zmyliło: Pimke nie był typem porywacza.

— Mówią, że cię dobrze widzieli — rzekłem jednak, by go pognębić, a on znowu się rozszlochał i zabełkotał coś przez przyciśnięte do twarzy dłonie.

— Więc kto, jeśli nie ty? — zapytałem. — Może gotów byłbym ci nawet uwierzyć — dodałem z namysłem — ale muszę znaleźć prawdziwych winowajców. Posłuchaj, Alois, twój przyjaciel jest oskarżony o herezję. Czy mam cię zaprowadzić do lochów Inkwizytorium i poddać oficjalnemu przesłuchaniu, czy wolisz pogadać ze mną szczerze tu i teraz?

— O Boże, mój Boże — zajęczał. — Jonni heretykiem? Mylicie się, panie...

— Zarzucasz mi fałsz? — wycedziłem z jadowitą słodyczą w głosie.

— Nie, panie, jak Boga... — Po palcach spływała mu krew zmieszana ze smarkami. — Może i był, może i był, co ja tam wiem...

— Wiesz kto z nim był, prawda?

— Nie! Nic nie wiem!

— Alois, czy pamiętasz, że Mądra Księga mówi: *Kto miłuje ojca albo matkę więcej niż mię, nie jest mnie godzien?* A ty nie chcesz opowiedzieć mi całej prawdy o człowieku, którego, jak twierdzisz, ledwo znałeś? Tak mało dla ciebie znaczy Pan Bóg?

Chwycił mnie kurczowo za kostki i wdusił twarz w moje buty.

— Puśćcie mnie, panie, ja niewinny... — wymamrotał.

Wydostałem się z jego uścisku i cofnąłem o krok. Kiedy unosił głowę, kopnąłem go czubem buta nad górną wargą i złamałem mu chrząstki nosa. Zawył i chwycił się za twarz. Odturlał się znowu pod beczki, zawodząc i łkając.

— Nie bawi mnie sprawianie ci bólu, ale widzę, że będę musiał solidnie zabrać się do roboty — rzekłem.

— Nieeeeee!!! Panie, nie!

Kucnąłem obok niego i chwyciłem go mocno za ramię.

— Patrz na mnie, Alois! — rozkazałem twardym głosem. — I milcz teraz! — Wierzchem dłoni uderzyłem go w usta.

Wciągnął powietrze z bolesnym sykiem i umilkł.

— Rozmawiam z tobą tu i w tej chwili, bo wszyscy mówią, żeś człek zacny i poczciwy. Ale zawsze mogę cię zabrać do lochów Inkwizytorium. Czy wiesz, co się dzieje z ciałem człowieka, kiedy szarpać je rozgrzanymi do czerwoności kleszczami? Czy widziałeś maszynkę gruchoczącą kości tak chytrze, że krew wypływa razem ze szpikiem? Czy wiesz, jak tańczy człowiek postawiony na rozpalonej blasze?

— Błaaaagam... — wydusił z siebie.

— Nie pozwól mi tego zrobić, Alois. Nie zmuszaj mnie, bym sprawiał ci ból — powiedziałem, łagodząc ton głosu. — Kto był ze Schwimmerem?

— Chyy-yba je-ego bra-acia, ale nie wie-em...

— Bracia? Jacy bracia? Skąd się wzięli w Hezie?

— Z ichniej wioo-oski...

— Jak się nazywa ta wioska? Tylko nie próbuj mnie zwodzić, Alois!

— Jakojsi ta-ak... prze-epomniałem...

Widziałem, że naprawdę stara się przypomnieć, ale był oszołomiony strachem oraz bólem, więc postanowiłem dać mu chwilę wytchnienia. Odszedłem na bok i przysiadłem na wieku zabitej gwoździami skrzyni.

— Przypomnij sobie — powiedziałem spokojnie. — A potem dostaniesz parę groszy na wino i zapomnisz o wszystkim. Spokojnie, Alois, mamy czas... Schwimmer opowiadał ci o swojej wiosce?

— Tak, panie. To jakojsi Sitten albo Sittard albo Seinen. Cuś tak...

— Jakie miasto jest niedaleko, co?

— Gottingen, panie! — wykrzyknął i uniósł głowę, a na jego umorusanej krwią twarzy pojawiła się radość. — Jak Boga...! Gottingen! Mówił, co na jarmarki tam jeździł.

No, to już było coś. Gottingen leżało pięć, może sześć dni drogi od Hezu i faktycznie było sporym miastem targowym. Miało swoją twierdzę i, jeśli dobrze pamiętałem, znajdowała się w nim również siedziba lokalnego oddziału Inkwizytorium. Zbierając do kupy wiadomości, a więc nazwę wsi na literę „S” oraz fakt, że rodzice Schwimmera posiadali młyn, mogłem już próbować odnaleźć jego miejsce urodzenia. Pytanie tylko brzmiało, czy nie zaprowadzi mnie to wszystko w ślepy zaułek? Przecież Schwimmer nie musiał wcale szukać schronienia w rodzinnych stronach. Zresztą ciekawe, jak poradził sobie z przewiezieniem dziewczyny traktami patrolowanymi zarówno przez ludzi biskupa, straże miejscowych feudałów, jak i justycjariuszy. Musiałby mieć wóz, a Ilonę ukryć wśród przewożonych towarów. Lecz skąd biedak jego pokroju wziąłby pieniądze na realizację tak skomplikowanego oraz kosztownego przedsięwzięcia? Nie, nie, to musiała być ślepa uliczka. Gdyby wioska Schwimmera była dzień drogi od Hezu, no, góra dwa dni, być może pokusiłby się o przemycenie dziewczyny. Ale w ciągu sześciu dni podróży z całą pewnością by go przyłapano. Chyba, że Ilona o wszystkim wiedziała i na wszystko się zgadzała, a tej wysoce nieprawdopodobnej ewentualności nie mogłem jednak do końca wykluczać.

Wychodziło więc na to, że zupełnie niepotrzebnie postraszyłem Rittera oraz Pimkego, a odpowiedzi należało jednak szukać w Hezie. Chyba że... bracia Schwimmera pomogli mu w porwaniu, a potem wrócili do domu. Natomiast sam Schwimmer ukrył się wraz z Iloną w sobie tylko znanym miejscu. Ale kto w takim razie przynosił mu jedzenie, gdyż nie był chyba na tyle durny, by paradować po ulicach? Nawet jeśli poczynił stosowne zapasy, na ile mogły mu one wystarczyć? Poza tym Hez jest miastem ciekawskich ludzi. Czy nie opuszczająca całymi dniami swej kwatery para młodych nie zainteresowałaby sąsiadów? Zwłaszcza że Loebe rozpuścił w mieście wieści o porwaniu? Podrapałem się po głowie, gdyż sprawa, o której myślałem, że jej wyjaśnienie znajduje się krok ode mnie, niepotrzebnie się komplikowała. A to oznaczało, że oddalało się również moje honorarium.

— Jak wyglądają bracia Schwimmera?

— A co ja ich oglądałem? Razże tylko wpadłem na nich, jak we trzech gdziesik szli. Tacy tam, jak on...

— Jasne włosy? Wysocy? Barczyści?

— Znacie ich, panie? — W jego oczach odbiło się zdumienie.

— No, Alois — rzekłem, nie siląc się, by mu odpowiedzieć na pytanie. — Przysłużyłeś się dobrej sprawie. Zmykaj!

Sięgnąłem do kiesy i rzuciłem mu trójgroszaka. Jak znalazł będzie na piwo, którym podleczy przeżycia wczorajszej nocy i dzisiejszego południa. Rozpłynął się w podziękowaniach i skulony, ciągle się kłaniający, wlazł na schody, po czym usłyszałem tylko szybki tupot jego butów. Dla niego sprawa Johanna Schwimmera właśnie się zakończyła. Swą wiedzę o porywaczu okupił, co prawda, zgruchotanym nosem i połamanymi kostkami dłoni, ale można powiedzieć, że wykpił się tanim kosztem. Niestety, tak to już bywa, że *biada marnym istotom, gdy wchodzą pomiędzy ostrza potężnych szermierzy,* jak napisał w jednym z dramatów mój przyjaciel Ritter.

Wychodząc ze składziku, natknąłem się na Korfisa, który stał z ponurą miną w progu oberży.

— Witaj. — Skinąłem mu głową.

— Mordimer... — Korfis obniżył głos. — Widziałem, jakżeś obrządził tego tam. Nie chcę, by zaczęto mówić, że w mojej gospodzie takie się rzeczy dzieją... Co to, wy lochów już nie macie?

— Musisz zważyć rachunek zysków i strat. — Obojętnie wzruszyłem ramionami, gdyż naprawdę miałem na głowie większe problemy niż kłopotanie się opinią klientów o karczmie Korfisa. — Wiesz że z pocałowaniem ręki dadzą mi kwaterę gdzie indziej. — Spojrzałem mu prosto w oczy. — Mam się wyprowadzić, Korfis?

Uciekł wzrokiem i splótł palce tak, że mu zachrzęściły kostki.

— Nie, co ty Mordimer, nie chciałem cię urazić...

— No to przyślij mi na górę butelkę najlepszego wina na koszt firmy i zapomnimy o rozmowie — powiedziałem, uśmiechając się.

Skręciłem na schody prowadzące na pięterko i słyszałem tylko Korfisa mamroczącego coś pod nosem, i nie brzmiało to bynajmniej jak serdeczności. Niemniej butelkę faktycznie nawet nie przysłał, ile sam się pofatygował do mojej skromnej izby, abyśmy mogli pogawędzić przy kubeczku lub dwóch niezłego trunku (choć słowo „niezły” znamionuje w tym wypadku pewną przesadę).

— Ciężkie czasy, Mordimerze — westchnął, kiedy stuknęliśmy się już kubkami. — Podatki zdzierają, klientów coraz mniej, na żebry przyjdzie pójść...

— Już to widzę... — mruknąłem i opróżniłem naczynie do dna.

Sięgnąłem na półkę po wędzoną kiełbasę i ser, które zostały mi z kolacji. Zakąsiliśmy i wypiliśmy następną porcję. Wino smakowało jakby nieco lepiej niż poprzednio.

— Tak, tak. — Otarł wąsy. — Biskupowi płać, cesarzowi płać, cechowe składki płać... — urwał na moment. — Chłopcom z miasta płać... — Machnął dłonią. — Takie to życie ono jest...

— I nic nie poradzimy. — Znowu się stuknęliśmy.

Dopiliśmy butelkę i Korfis zawołał na dół po następne dwie. Posługacz przyniósł nam nie tylko trunek, ale również winogrona i pomarańcze.

— Wszystko drożeje — westchnął Korfis, patrząc na półmisek z owocami. — A biskup chce jeszcze wprowadzić podatek od drzwi. Wyobrażasz sobie?

— Jak to od drzwi? — zapytałem zdziwiony, gdyż człowiekowi o tak mizernych dochodach jak moje wysokość oraz rodzaj podatków nie spędzały zazwyczaj snu z powiek.

— Ano tak to. Jak prowadzisz sklep czy karczmę, czy warsztat, to ci policzą za każde drzwi. Więcej, jeśli są od głównej ulicy, mniej, jak od zwykłej, najmniej, jeśli żeś się w jakimś zaułku schował...

Roześmiałem się, choć mojemu gospodarzowi najwyraźniej do śmiechu nie było.

— Przecież masz wejście od zaułka — powiedziałem.

— No, ale to nie do izby, tylko do składziku i piwnicy.

— Zamurujesz główne drzwi, zamiast nich wymalujesz wielki szyld ze wskazówką, gdzie szukać wejścia, a wejście zrobisz od zaułka. — Wzruszyłem ramionami. — Co za problem?

Spojrzał na mnie z podziwem.

— Masz łeb, Mordimerze. — Pokręcił głową, jakby z niedowierzaniem. — Pewnie, że zrobię, jak mówisz.

— I nie ty jeden, znając życie... A biskup wtedy wprowadzi podatek od szyldów. — Zaśmiałem się, bo podobne przepychanki wydały mi się zabawne. — Tak to już zawsze się potoczy. Władza będzie się starała nas obłupić z pieniędzy, a my będziemy się przed tym łupieniem bronić. — Znowu wzruszyłem ramionami. — Uczciwi ludzie nigdy nie będą rządzić, a wiesz czemu? — Najwyraźniej złapał mnie nastrój do filozofowania, ale postanowiłem się mu poddać.

— No? Czemu?

— Gdyż uczciwi ludzie chcą zarobić na chleb własną pracą, a ci, co rządzą, chcą zarobić na luksusy, wykorzystując tych, co pracują. Bo nic innego robić nie umieją, jak tylko wymyślać durne przepisy i wprowadzać nowe podatki, żeby mogli więcej ukraść. A im więcej kradną, tym większy mają apetyt.

— Ciiii — syknął Korfis. — Mówisz o biskupie — zaszeptał niespokojnie i rozejrzał się, jakby ktoś mógłby nas tu podsłuchiwać.

— O wszystkich. — Machnąłem ręką. — Napijmy się lepiej, bo szlag mnie trafia.

— Coś nie poszło? — zagadnął domyślnie, kiedy już po raz kolejny opróżniliśmy kubki.

— Ano czuję, że mi przejdzie koło nosa duża wypłata — mruknąłem.

— Tak bywa. Człek dziś się weseli, jutro robaki żrą go w grobie...

— Jeśli ma choć kogo bliskiego, żeby mu ten grób wykopał — westchnąłem.

— Ja ci wykopię — zaoferował się Korfis z pijackim rozczuleniem. — Choć groszem nie śmierdzę, bo zresztą wśród nas niewielu jest takich. Ale czego się nie robi dla przyjaźni!

— Bardzo zacnie z twojej strony, ale nie spiesz się jeszcze z łaski swojej z tym kopaniem... — powiedziałem, a potem coś tknęło mnie w słowach Korfisa: — Co powiedziałeś przed chwilą?

— Ja? — zdziwił się głupkowato. — A! No, że dla przyjaźni wszystko... — Zawahał się przez moment. — Prawie wszystko...

— Nie, nie, wcześniej, że niewielu wśród was śmierdzi groszem, tak?

— Ano niewielu. — Pokiwał smutno głową. — Podatki, Mordimerze, podatki. Wypijmy!

Przechyliłem kubek do ust, ale jedynie machinalnie, bo pochłonięty byłem pewną myślą. Czy przypadkiem Ritter nie użył tych samych słów dotyczących pieniędzy, opowiadając o Andreasie Kuffelbergu — aktorze odgrywającym rolę rudobrodego barbarzyńcy, Tankreda? I czy nie stwierdził, że to jedyna osoba w tym towarzystwie, której się poszczęściło? Wcześniej natomiast wspomniał, że Kuffelberg pochodzi z zacnej kupieckiej rodziny... Czy więc to właśnie Andreas mógł wspomóc finansowo Johanna Schwimmera? Ha, zapewne było go na to stać, ale czy chciał? Wiedziałem, iż najprościej będzie moje nowe podejrzenia sprawdzić na miejscu. Być może byłem tylko tonącym, chwytającym się brzytwy, ale zdawałem sobie sprawę z tego, że bez pieniędzy nie da się w Hezie nic zrobić. Jeżeli wyśledzę, skąd Schwimmer miał gotówkę, rychło dowiem się również, gdzie się ukrywa, niezależnie od tego, czy wrócił do rodzinnej wioski, czy też zaszył się gdzieś w mieście.

— Polej, Korfis — rzuciłem weselszym tonem. — Na pohybel poborcom podatków.

— Ażeby ich pogięło — warknął.

— Tak jest. A jak staną przed niebieskim ołtarzem Pana, to niech On w swej mądrości wyliczy im podatek od wszystkich ludzkich krzywd, których byli przyczyną.

Korfis spojrzał na mnie z zadziwieniem w mętnych już oczkach.

— Ty jak coś powiesz. — Pokręcił głową. — Ale niech ich zaraza zeżre!

###### \* \* \*

Obawiałem się, czy mistrz Ritter nie będzie miał towarzystwa w postaci jednej z licznych wielbicielek jego talentu, ale na szczęście tej nocy spał sam. Głośno chrapał i wypuszczał powietrze z przeciągłym świstem, a tuż przy łóżku stała niemal pusta butelka wina, ku mojemu zdziwieniu nakryta fikuśną czapką z kolorowym piórkiem. Obok leżała do połowy ogryziona, soczysta gruszka. Oczywiście mogłem przysiąść na zydlu i poczekać, aż dramaturg się obudzi, ale uznałem, że nie mam czasu na takie ceregiele. Dlatego poklepałem go lekko po policzku.

— Mmmm — wymruczał z niezadowoleniem. — Nie teraz, Ofko.

Ofka. Ha, całkiem przyjemne imię. Poklepałem go jeszcze raz.

— No mówię, że nie. Mało ci? — Chciał się obrócić na drugi bok, ale tym razem szarpnąłem go już za zmierzwioną bródkę.

— Oż ty, cholera! — Poderwał się, otwierając czerwone od przepicia i niewyspania oczy.

Zobaczył mnie i po wyrazie jego twarzy poznałem, że nie było to przebudzenie, jakiego oczekiwał.

— O mój Boże — zachrypiał tylko i zamacał dłonią po podłodze.

Uprzejmie podałem mu gruszkę, ale tylko zaklął wściekle, więc sięgnąłem po butelkę. Najwyraźniej to jej właśnie szukał, bo natychmiast przybliżył szyjkę do ust i dopił wino do końca. Odetchnął głęboko, a ja zmarszczyłem nos, gdyż najwyraźniej jedynym sposobem dbania o zdrowie zębów przez Rittera było płukanie gęby trunkami.

— Nie pomyliliście kwater? — spytał zgryźliwie. — Widzę, że mogę sobie darować zamykanie drzwi na skobel.

— Cóż — odparłem. — Wyszkolono nas tak, byśmy nie musieli kłopotać ludzi pukaniem.

— Bardzo wielkoduszne — stwierdził, spoglądając w okno. — Dopiero świt. Boga w sercu nie macie?

— Z całym szacunkiem, chciałbym wam jeszcze zadać kilka pytań — wyjaśniłem łagodnym tonem.

— Aha, widziałem dzisiaj, jak Pimke wygląda po konwersacji z wami... — Przyjrzał mi się uważnie. — Mogliście chociaż jakieś wińsko przynieść — dodał.

— Wybaczcie. — Rozłożyłem ręce. — Pochłonięty własnymi kłopotami, nie pomyślałem o waszych. Pozwólcie jednak, że szybko wyjawię wam, z czym przychodzę, a potem z powrotem pójdziecie spać...

Pokiwał głową ze zrezygnowaniem.

— Udało mi się dowiedzieć co nieco o waszym koledze Schwimmerze. Wychował się w okolicach Gottingen, kilka dni drogi od Hezu, ma co najmniej dwóch braci, którzy, być może, pomogli mu w porwaniu.

— Fascynujące — mruknął.

— Pomyślałem sobie, że może uprowadził Ilonę w rodzinne strony...

— A to ciekawe, czego szukacie u mnie?

— Ale do Gottingen jest co najmniej pięć dni drogi — kontynuowałem, nie zwracając uwagi na jego docinki. — W jaki sposób można przewieźć tam dziewczynę, która, jak mniemam, opiera się i nie opuści żadnej okazji, by wydać porywacza i wezwać ratunku? Jesteście dramaturgiem, więc odpowiedzcie.

— Na miecz Pana — jęknął. — Teraz jestem tylko diablo śpiącym człowiekiem. I tak mnie łeb boli... — poskarżył się. — No, ale niech wam będzie. Związałbym dziewkę, zakneblował, władował na wóz, przykrył jakimiś towarami, nocą dał coś zjeść... — Wzruszył ramionami i stęknął.

— Byłaby pewnie zachwycona. — Uśmiechnąłem się. — Nie w tym rzecz jednak. Skąd wzięlibyście pieniądze na wóz i konie?

— Pożyczyłbym?

— A od kogo? Jeśli bylibyście tylko pomocnikiem aktorów? Człowiekiem bez majątku i perspektyw?

— Skoro miał braci, może oni przyjechali wozem?

— Mówiliście, że ojciec wydziedziczył Schwimmera, a więc wnioskuję, że trzyma rodzinę twardą ręką. Dałby synom wóz oraz konie, nie wiedząc w dodatku, na co są im potrzebne? Oni nie muszą jeździć do Hezu, bo w Gottingen jest duży targ. A więc?

— Na miecz Pana, uwiecznię was w którymś z dramatów i ręczę, że tego pożałujecie! Czego wy ode mnie chcecie?

— Myślcie!

— Nie chcę myśleć — zajęczał. — Chcę spać!

— A jeśli nie udał się do domu pod Gottingen, to na pewno potrzebował bezpiecznego schronienia tu, w Hezie, i również jakiejś gotówki. Kto z waszych znajomych mógł mu zaoferować gościnę? Kto nie ma kłopotów z pieniędzmi?

— Oooo. — Przeciągnął, podnosząc się na łóżku i patrząc na mnie nagle otrzeźwiałym wzrokiem. — Chyba wiem, dokąd zmierzacie...

— Czy to możliwe, Heinz?

— Na głowę Belzebuba — mruknął. — Trafiło się ślepej kurze ziarno. To możliwe, panie Madderdin, diablo możliwe — urwał na moment, a potem pogłaskał się po brodzie i zagryzł wargi, jakby myśląc, czy może się zdobyć na wyznanie. — Andreasa łączyły szczególne więzy z Johannem — rzekł w końcu. — A w każdym razie Andreas dążył, by szczególne więzy ich połączyły. Pojmujecie, o czym mówię?

— Czyżby o budzącej odrazę namiętności, za którą sprawiedliwy Bóg pokarał mieszkańców Sodomy? — zapytałem i nie ukrywam: byłem zdumiony, choć wiedziałem też, że w aktorskim światku dzieją się takie rzeczy, iż w zasadzie jakiekolwiek zdumienie mogłem sobie darować.

— Ano właśnie — odparł.

— I Kuffelberg pomógł Schwimmerowi w porwaniu oraz ukryciu dziewczyny w zamian za to, że Schwimmer obdarzy go swymi względami?

— Być może.

— To chore, Heinz.

— Miłość — westchnął, jakby to słowo tłumaczyło wszystko.

— A skąd u was taka chęć do pomocy, co?

— Skoro wpadliście na ten trop, prędzej czy później sami odkrylibyście co trzeba — powiedział. — A że zaoszczędziłem wam czasu oraz wysiłku, więc pewnie okażecie swą wdzięczność w stosowny sposób. — Uśmiechnął się z trudem.

— Ano okażę — obiecałem mu. — Choć nie ukrywam, że wcześniej mogliście się podzielić ze mną tymi rewelacjami.

— Nie donoszę na kolegów — odparł z godnością.

— I nikt by się nie ośmielił was do tego nakłaniać — odparłem.

###### \* \* \*

Ritter wyjaśnił mi dokładnie, gdzie mieszka Andreas Kuffelberg. Była to mniej zamożna część dzielnicy kupieckiej, położona częściowo przy jednej z rzecznych odnóg, a częściowo na wyspie, gdzie pasażerów przez płytkie błocko przewoził ciągnięty linami prom. Jednak domostwo Kuffelberga znajdowało się jeszcze niedaleko brzegu. Był to dom położony w wąskiej uliczce i przyciśnięty do innych budynków tak, że ich mieszkańcy mogliby sobie podawać ręce przez okno, gdyby tylko dobrze się wychylili. Heinz odwiedził kilka razy Kuffelberga, więc wyjaśnił mi, że dom składał się z położonych na parterze kuchni oraz stołowego pokoju i dwóch niewielkich izb na piętrze. Do tego dochodził loszek, w którym Ritter co prawda nie był, ale wiedział o jego istnieniu, gdyż gospodarz trzymał tam między innymi trunki.

Długą chwilę stałem ukryty w cieniu jednego z zaułków i obserwowałem wejście. Jednak nic się tam nie działo. Nikt nie wchodził ani nikt nie wychodził, dostrzegłem tylko, że ktoś otworzył okiennice na parterze, ale te w izbach na piętrze pozostały cały czas zawarte na głucho. Czyżby w jednej z nich krył się właśnie Schwimmer wraz ze swą ofiarą? No cóż, nie miałem innego wyjścia, jak to zbadać. Podszedłem do drzwi i zastukałem przerdzewiałą kołatką o kształcie lwiej głowy (a raczej połowy lwiej głowy, gdyż reszta się wykruszyła). Po chwili usłyszałem człapanie i głos starej kobiety.

— Czego tam?

— Do mistrza Kuffelberga z poleceniem od mistrza Rittera — wyjaśniłem, zdobywając się na ton jednocześnie uniżony i lekko zniecierpliwiony.

— Już, już... — Dla kobiety nazwisko Rittera nie było widać obce, bo usłyszałem chrzęst odmykanego skobla.

Drzwi się uchyliły i w progu zobaczyłem starą, pomarszczoną kobiecinę, której twarz przypominała wymięte i brudne prześcieradło poznaczone kozimi bobkami. W tym wypadku rolę kozich bobków grały brązowe brodawki, obrastające jej twarz ze zdumiewającą równomiernością. Wszedłem do środka, spychając staruszkę na bok.

— Gdzie Kuffelberg? — zapytałem tym razem ostrym tonem.

Z pokoju wyłoniła się jakaś barczysta postać i stanęła w cieniu. Trudno jednak było nie rozpoznać w niej Kuffelberga, pomimo że tym razem miał gładko wygolone policzki, a nie doczepioną rudą, rozwichrzoną brodę.

— Pan Madderdin? — W jego głosie zaniepokojenie walczyło o lepsze ze zdziwieniem. Postąpił kilka kroków w moją stronę. — Wejdźcie, proszę.

— Słówko na osobności — powiedziałem.

Wydawało mi się, że pobladł, ale bez słowa wskazał stołowy pokój, w którym obok ogromnego łoża piętrzyło się mnóstwo aktorskich rekwizytów. Zamknął za nami drzwi.

— Czym wam mogę służyć? — spytał.

— Gdzie jest Schwimmer? — Postanowiłem nie owijać niczego w bawełnę.

— Ha, więc dlatego tu jesteście! — Klepnął się dłońmi w uda. — Ludzie Loebego też mnie o to pytali. Nawet pozwoliłem im rozejrzeć się po domu...

— Nie twierdzę, że jest tutaj — powiedziałem — ale uwierz mi, Andreasie, że lepiej dla ciebie będzie, jeśli wyznasz całą prawdę. Pomaganie przestępcy jest karane z całą surowością prawa, choć wiem też, że Loebe zamierza je w tej mierze zastąpić...

— Ja tam nic nie wiem — burknął. — A w ogóle spieszę się na próbę, więc jeśli nie macie nic przeciwko...

Nie zamierzałem dalej słuchać, gdyż jego bezczelność obrażała moje uczucia. Zrobiłem szybki krok i złapałem go lewą ręką za krocze, a prawą dłoń zacisnąłem mu na gardle, by nie mógł krzyczeć. Zwarłem na jego przyrodzeniu palce, jakby były kleszczami imadła. Zachrypiał, nie mogąc krzyknąć, a oczy niemal wypłynęły mu z bólu. Zwolniłem nieco uścisk, gdyż chciałem, by skupił się na wysłuchaniu moich słów, a nie kontemplowaniu własnego cierpienia.

— Przykro będzie, jeśli już nigdy nie dasz rady wsadzić go w rzyć młodego chłopca, prawda? — spytałem i znowu ścisnąłem mocniej.

Zaraz jednak ponownie zwolniłem chwyt, bo nie chciałem, by mi tu zemdlał. Po policzkach Kuffelberga spływały rzęsiste łzy, a w oczach malowało się już tylko przerażenie oraz boleść. Pociągnąłem nosem.

— Zesrałeś się — powiedziałem z obrzydzeniem.

Odepchnąłem go i padł pod ścianę. Skulił się tam natychmiast w kłębek, obejmując dłońmi krocze. Pozwoliłem mu trochę powyć i trochę poszlochać, po czym kucnąłem przy nim.

— Gdzie jest Schwimmer? — zapytałem, wyciągając zza cholewy buta krótki, ale ostry sztylet, i starając się, by aktor dostrzegł ten gest.

— Uuuuu sieeebie — wychlipał cicho. — Gdzieś tam w wiosce.

— Niedaleko Gottingen?

— Seitzen, nazywa się Seitzen!

Przekląłem w myślach pamięć Aloisa Pimke, który na trzy strzały wszystkie miał nietrafione. Niemniej literę „S” zapamiętał dobrze.

— Oooo... Jeeezu, jak boli...

— Zamknij się — rozkazałem. — Bo zaboli jeszcze bardziej.

Zachłysnął się powietrzem i własnymi łzami.

— Nieee, błagam...

Błagania robią na mnie niewielkie wrażenie, chociaż jestem gotów ich wysłuchać, kiedy tylko widzę u błagającego szczerą chęć poprawy. Miałem nadzieję, że taką właśnie chęć zobaczę u Kuffelberga, gdyż nie bawiło mnie dalsze prowadzenie śledztwa. Oczywiście, znałem ludzi, którzy znajdowali grzeszną uciechę w dręczeniu bliźnich, ale sam byłem jak najdalszy od podobnych skłonności. Jeśli jednak czyjeś cierpienie mogło doprowadzić mnie do celu, nie widziałem powodów, by nie wziąć na ramiona krzyża podobnej odpowiedzialności.

— Porwał dziewczynę czy sama chciała jechać?

— Pooorwał, panie, pooorwał. O-ostrzegałem go, ale...

— Z braćmi?

— Tak.

— Dałeś mu pieniądze na wóz i konie? Ukryli dziewkę wśród towarów?

— Skąd wiecie?

Uderzyłem go wierzchem dłoni w zęby.

— To ja zadaję pytania — przypomniałem.

— Tak, tak, wóz. Pożyczyłem mu wóz.

— A co dostałeś w zamian?

Wciągnął głęboko powietrze w płuca, nic nie odpowiedział i tylko skulił się jeszcze bardziej, jakby oczekując na cios.

— Zresztą, nieważne — wiedziałem przecież, co otrzymał w zamian, więc wstałem. — Jeśli masz jeszcze coś do powiedzenia, Andreasie Kuffelberg, mów zaraz. Bo kiedy wrócę z Seitzen z pustymi rękami, to nie omieszkam cię odwiedzić w celu kontynuowania naszej uroczej pogawędki.

— To wszystko, co wiem, przysięgam! Znajdziecie ich tam, panie.

— Lepiej byłoby dla ciebie, abym ich naprawdę znalazł — powiedziałem poważnym tonem.

###### \* \* \*

W siedzibie Inkwizytorium w Hezie nie tylko przesłuchuje się oskarżonych lub świadków. Mieszkają tu zarówno inkwizytorzy prowadzący ważne śledztwa, jak i ci, którzy pragną odnaleźć chwilę skupienia w rozmodlonej ciszy naszych sal. Hezkie Inkwizytorium posiada też dobrze zaopatrzoną bibliotekę, choć, rzecz jasna, nie jest to biblioteka, której zasoby mogłyby się równać z bogactwem zgromadzonym w klasztorze Amszilas. Niemniej księgozbiór mamy okazały i nie znajdują się w nim tylko tomy poświęcone religii, teologii oraz filozofii, ale również dzieła znacznie lżejsze. Poza tym Inkwizytorium słynie ze swych map. Nasi kartografowie zbadali oraz opisali cały znany nam świat, i podobno czytelnością oraz dokładnością mapy z Hezu przewyższają nawet te znajdujące się w bibliotece Ojca Świętego. Oczywiście, inkwizytorów nieszczególnie zajmują przedstawienia odległych krain: Abisynii, zamieszkanej przez jeżdżących na koniach w paski ludzi o psich głowach, Persji, rządzonej przez wyznawców ognia, czy też dalekich Chin lub Wysp Korzennych. My zajmujemy się daleko bardziej przyziemnymi sprawami. Nas interesuje, byśmy na mapach mogli odnaleźć każde miasteczko, a nawet większą wioskę na terenie naszego prześwietnego Cesarstwa. Bo jakżeż by to było, gdyby inkwizytor, dowiedziawszy się, że ma szukać podejrzanego w miejscowości Seitzen, musiał wpierw prowadzić uciążliwe i wnikliwe śledztwo, by dowiedzieć się, gdzie ta wioska w ogóle leży? Cóż to byłoby za marnotrawstwo sił i czasu!

— Wiecie, mistrzu Madderdin, że Jego Świątobliwość wysłał ekspedycję do Indii? — zagadnął mnie bibliotekarz, podnosząc wzrok znad woluminów.

— Panie, świeć nad duszami tych biednych żeglarzy — mruknąłem.

— Ha! — Bibliotekarz rozpromienił się w bezzębnym uśmiechu. — Wysłał ich drogą nie na wschód, lecz na zachód!

— Dopłyną nad krawędź Wielkiego Oceanu i spadną. — Wzruszyłem ramionami.

— Kto wie, kto wie — wymruczał starzec. — A jeśli Basil Lascaris ma rację i Ziemia jest wielką kulą?

Szczerze mówiąc, problem wyprawy do Indii interesował mnie w znikomym stopniu, niezależnie od tego, czy żeglarze płynęliby na wschód, czy też na zachód. I tak sądziłem, że jedyne, z czym wrócą (jeśli w ogóle wrócą), to pamięć o zabitych towarzyszach. Uważałem, że Ojciec Święty mógłby rozsądniej wydawać pieniądze, gdyż topienie ich w okalających świat oceanach wydawało mi się zajęciem co najmniej mało rozsądnym, zwłaszcza iż oceany te były ponoć bezdenne. Tak więc pokiwałem tylko głową i pożegnałem brata bibliotekarza, nie wdając się w dalsze dyskursy. Później przypomniałem sobie, że słyszałem niegdyś o planach powołania wyprawy pod sztandarami Inkwizytorium, której celem miałoby być spenetrowanie i nawrócenie Chin, ale pomysł ten traktowano (i słusznie) jak fantasmagorię. Bo skoro już od lat nie organizowano krucjat, by wyzwolić cierpiącą w pogańskim jarzmie Ziemię Świętą, to niby w jaki sposób zamierzano poprowadzić ekspedycję do tak groźnego i odległego kraju jak Chiny? Istniała, co prawda, teoria mówiąca, iż nasz Pan po zdobyciu Rzymu nie dostąpił Wniebowstąpienia, lecz udał się właśnie do Chin, by tam stworzyć nowe Królestwo Jezusowe, ale Kościół tego typu herezje tępił z całą stanowczością.

Tak czy inaczej, nie miałem zamiaru zawracać sobie głowy Chinami lub Indiami, gdyż w tym momencie mego życia dużo bardziej zajmująca wydawała mi się wioska Seitzen, do której drogę poznałem dzięki doskonałym mapom naszego Inkwizytorium. Miałem nadzieję, że właśnie tam wreszcie rozwiążę sprawę porwania pięknej Ilony, by spokojnie móc zainkasować honorarium z rąk Loebego. A w czasie trwającego kilka dni powrotu do Hezu, kto wie, czy powabna panna nie zechce okazać gorącej wdzięczności inkwizytorowi, który wybawił ją z niewoli? Powiem szczerze, że nie miałbym nic przeciwko takiemu obrotowi spraw. Choć musiałem przed samym sobą przyznać, że w ślicznej Ilonie było coś, co pozwalało na przekucie pożądania w uwielbienie. I pomimo swego niezwykłego talentu oraz wielkiej urody budziła we mnie uczucia sięgające sporo dalej niż chęć niewinnego pofiglowania.

###### \* \* \*

Nie musiałem się specjalnie przygotowywać do drogi. Ze stajni Inkwizytorium wypożyczyłem rosłego konia, którego siła i budowa gwarantowały, że przetrzyma szybką podróż, do juków wepchnąłem najpotrzebniejsze rzeczy, założyłem kolczugę i przypasałem miecz. Trakt prowadzący do Gottingen uchodził za spokojną drogę, ale zbrojnych traktowano zwykle z dużo większym respektem niż innych podróżnych, a poza tym zawsze można było trafić na jakiegoś zdesperowanego bandytę. A ja nie miałem ani czasu, ani ochoty na utarczki po gościńcach. Oczywiście, w naszym przesławnym Cesarstwie w ogóle nie zalecano nocnych podróży (chyba że ktoś nie cenił szczególnie życia lub szukał dreszczyku emocji) i ja też zamierzałem każdego wieczoru zatrzymywać się w którejś z licznych oberż położonych wzdłuż traktu.

Na dzień dobry minąłem obficie obwieszoną trupami podmiejską szubienicę, nad którą unosiła się chmara głośno kraczących wron. Był to niewątpliwie budujący przykład gorliwości burgrabiego oraz justycjariuszy, a także widok mogący wzbudzić głębokie przemyślenia u wszystkich obwiesi pragnących łatwego zarobku i uciesznego życia nie okupionego uczciwą pracą.

Podróż do Gottingen minęła bez żadnych kłopotów, jeśli oczywiście nie liczyć zwyczajowych kłótni o lepszą kwaterę. Ponieważ chciałem wywiedzieć się, gdzie dokładnie znajdę młyn należący do rodziny Schwimmerów, więc pomyślałem, że któż może służyć mi lepszą radą niż poborca podatków z Gottingen? Jego kantor znalazłem w miejscu nad wyraz stosownym, tuż obok miejskiego więzienia. Sam poborca był dobrze wypasionym, starszym mężczyzną o naburmuszonej twarzy sprawiającej wrażenie, że jej właściciel gniewa się na cały świat i należy przedsięwziąć wszelkie kroki, by ten gniew ułagodzić.

— Czego tam chcecie? — zagadnął nieprzyjaźnie, kiedy pokonując opór służących, wdarłem się do izby, w której śniadał przy suto zastawionym stole.

— Wina, kurczaka, pieczonego pstrąga, na deser trochę owoców — powiedziałem, patrząc na pyszniące się przed nim wiktuały.

— Zawołaj straż, Dietrich — rozkazał służącemu i z trudem uniósł się z krzesła.

— Nie trzeba. — Uniosłem dłoń. — Jestem Mordimer Madderdin, licencjonowany inkwizytor Jego Ekscelencji biskupa Hez-hezronu. Sądzę, że pogadamy chwilę przy śniadanku. Przynieś drugie nakrycie, Dietrich — poleciłem.

Poborca usiadł z westchnieniem, a jego różowa twarz lekko pobladła.

— Służę, mistrzu, służę uprzejmie — wymamrotał. — Jakież to szczęśliwe wiatry sprowadzają was do Gottingen?

— Pokorna prośba o pewną informację — powiedziałem. — I sądziłem, że u was najszybciej znajdę w tym pomoc.

— Pytajcie.

— Znana jest wam wioska Seitzen?

— Znana, jakżeby nie znana. — Zaśmiał się. — Od piętnastu lat jestem poborcą podatków, mistrzu Madderdin. Joachim Kniprode, do waszych usług. Jakżebym mógł nie znać nawet nie każdej wioski, ale każdego domu w najbliższej okolicy?!

— Wiedziałem, że jesteście właściwym człowiekiem na właściwym miejscu — stwierdziłem z uznaniem i podziękowałem skinieniem głowy Dietrichowi, który postawił przede mną cynowy talerz oraz solidnej objętości kielich.

Kniprode wychylił się z trudem i nalał mi do pełna. Uniósł swój kielich.

— Za podatki, mistrzu Madderdin — rzekł, uśmiechając się.

— Wysokie i o czasie ściągane — dodałem, po czym wypiliśmy do dna.

Poborca beknął głęboko.

— Co chcecie wiedzieć o Seitzen? — zagadnął.

— Słyszałem, że okoliczny młyn należy do rodziny Schwimmerów. Czy możecie, z łaski swojej, potwierdzić tę informację? I wskazać mi dokładną drogę, bo z map widzę, że to rozległa wioska?

— Młyn, młyn, młyn... — Potarł palcami tłusty podbródek. — Zgadza się: młyn. I powiem lepiej, mistrzu Madderdin. Nie tylko wskażę wam drogę, ale wyślę z wami chłopaka, żeby pokazał, co trzeba.

— Uniżenie dziękuję — odparłem. — Okażecie mi w ten sposób wielką pomoc.

— A czy mogę wiedzieć, z przeproszeniem waszym, mistrzu Madderdin, cóż takiego was sprowadza do Seitzen?

— Wybaczcie, ale moja służba w wielkiej mierze polega na konfidencji.

— No tak, tak, tak — wycofał się od razu. — To wy mi wybaczcie głupie pytania... Napijmy się jeszcze i spróbujcie pstrąga. Dzisiaj złowiony...

Pojedliśmy i popiliśmy aż do słodkiego przesytu, a poborca Kniprode nieoczekiwanie okazał się człowiekiem rozmownym oraz dowcipnym. Tuż przed zachodem słońca wezwał jednego ze swoich pracowników i kazał mu zaprowadzić mnie do młyna w Seitzen.

— Chyba żebyście przenocowali w Gottingen — rzekł. — Bo w Seitzen nie będziecie szybciej niż za kilka godzin.

— Dziękuję wam — odpowiedziałem — ale to mi nie przeszkadza.

I rzeczywiście, nawet wolałem znaleźć się koło gospodarstwa Schwimmerów nocną porą, gdyż wiedziałem, że wtedy będę mógł poczynić stosowne badania oraz obserwacje, nie narażając się na ludzką ciekawość. A wiadomo, jak to jest w małych wioskach — każdy obcy budzi tam żywe zainteresowanie.

###### \* \* \*

W Seitzen znaleźliśmy się po zachodzie słońca, ale w półmroku widać było doskonale okazały młyn, górujący nad spiętrzonym strumieniem.

— Oto i Schwimmerowie — powiedział, wskazując budynek palcem, mój przewodnik, młody chłopak o twarzy liska chytruska.

Przywiązaliśmy konie do drzew na wzgórzu, a sami staliśmy ukryci za bujnie pieniącymi się krzewami. Rozejrzałem się po okolicy i dostrzegłem siwy dym unoszący się z kominów niedalekich zabudowań.

— Tu mieszkają, tak?

Pomocnik Kniprodego pokiwał gorliwie głową.

— Mogę już jechać, mistrzu? — zapytał pokornym tonem. — Skoro wszystko wam pokazałem jak trza...

Najwyraźniej nie chciał uczestniczyć w dalszych wydarzeniach wieczoru i nie dziwiłem mu się.

— Jeszcze chwila, chłopcze — odparłem. — Nie wiesz, czy to jedyne ich zabudowanie? Ten młyn tylko?

— Hem, hem. — Potarł palcami pryszczatą brodę. — A wiecie, że nie? — Klepnął się w czoło tak silnie, jakby zabijał uprzykrzającego życie komara.

— Tak? — poddałem.

— A taką szopę mają jeszcze, niby skład czy co... Wiem, bo żeśmy kiedyś z szanownym panem Kniprode szukali tam starego Schwimmera.

— To jeszcze pokaż mi tę szopę i możesz zmykać do Gottingen.

Wróciliśmy do koni, ale pomocnik Kniprodego powiedział, żeby nie wsiadać, bo poprowadzi mnie krętą, boczną dróżką, gdzie są kamienie i stromizny, a gałęzie drzew zwieszają się zbyt nisko, by było to wygodne dla jeźdźca. Posłuchałem go i faktycznie wyprowadził mnie na szczyt wzgórza, u podnóża którego dostrzegłem w blasku księżyca drewnianą szopę. Dostrzegłem ją tym wyraźniej, że blask ognia prześwitywał przez liczne szpary w deskach.

— To co, poradzicie sobie, panie, tak? — zapytał chłopak, a ja machnąłem ręką, pozwalając mu odjechać.

Zostawiłem konia na wzgórzu i zszedłem stromą dróżką wiodącą wśród malinowych krzewów. Zamierzałem przekraść się pod samą ścianę szopy, ale nagle poczułem ból w prawym ramieniu. Zobaczyłem leżącego na dachu mężczyznę, który, widząc, jak walę się na ziemię, zaśmiał się triumfująco. Wyraźnie czułem truciznę. Szybko działającą truciznę. Cały świat zdawał się wirować wokół mnie. Nie musiałem nawet wyrywać strzały, gdyż sama odpadła przy gwałtowniejszym ruchu. Podniosłem ją i zobaczyłem, że ma celowo stępiony grot. A więc nie chciano mnie zabić, przynajmniej tyle. Sięgnąłem po miecz, ale ktoś kopnął mnie w dłoń.

— Stary, domowy sposób. — Roześmiał się piskliwie Schwimmer, gdyż to on właśnie stał nade mną. Drugi mężczyzna, posapując, złaził z dachu.

Johann przyglądał mi się z wyjątkową złośliwością, a potem kopnął mnie kilka razy pod żebra, by sprawdzić, czy naprawdę trucizna podziałała. O dziwo, wcale mnie nie bolało. Jednak trudno było się powstrzymać od pewnej myśli: dlaczego mnie nie zabili? Czy byłem im jeszcze na coś potrzebny, czy kierowali się miłosierdziem (a w to ciężko mi było uwierzyć), a może strachem, czy też egzekucja miała jedynie zostać odłożona w czasie?

— Wilki tak łapiemy, żeby potem je wypuszczać do walk. Bo we wnykach to sobie łapy ranią albo i co... — Uśmiechnął się głupkowato.

— Schwimmer, nie bądź idiotą... — powiedziałem, czując, że usta i język mi sztywnieją, a słowa wypowiadam z ogromnym trudem.

Sam siebie słyszałem tak, jakby mój głos dochodził z pewnego oddalenia lub zza ściany i w dodatku odbijał się niewyraźnym echem. Johann Schwimmer miał natomiast czworo oczu, a ta druga para wędrowała mu po całej twarzy. Usiłowałem skoncentrować wzrok i zrobiło mi się niedobrze.

Twarz Schwimmera zogromniała i dopiero po chwili zorientowałem się, że aktorski pomocnik zbliżył się do mnie. Blask bijący od płomieni pochodni tańczył na jego twarzy.

— Nie trza było się w to mieszać — rzekł zduszonym głosem. — Trza było siedzieć na dupie w Hezie...

Roześmiałem się, bo usta Schwimmera były ogromne jak wrota i ruszały się niezależnie od wypowiadanych słów. Zastanawiałem się, dlaczego w ogóle spotkałem się z nim w tak dziwnym miejscu? Mieliśmy o czymś chyba porozmawiać, ale o czym?

— Zostaw go. — Dobiegł mnie głos gdzieś z daleka. — Już zasnął. Chodźmy zabrać konia, bo jeszcze kto przyuważy...

Wydawało mi się, że w każdej chwili mogę zerwać się na równe nogi i dopaść Schwimmera oraz jego braci. Ale jednocześnie ogarnęło mnie jakieś dziwne otumanienie i rozleniwienie. Postanowiłem, że odpocznę chociaż chwilę zanim zabiorę się do bitki. Poza tym nie za bardzo wiedziałem, dlaczego w zasadzie miałbym się z kimkolwiek bić. A potem myśli zgasły.

Ocknąłem się, gdyż było mi zimno, całym ciałem targały dreszcze i miałem tak potężne mdłości, że ledwo powstrzymywałem wymioty. Leżałem na kamiennej, wilgotnej podłodze. Wiedziałem, że jest kamienna i wilgotna, gdyż wyczuwałem to palcami. Ale nie widziałem nic. Musiałem znajdować się w jakiejś zamkniętej piwnicy, gdyż nie byłbym w stanie dostrzec nawet własnej dłoni, kiedy wystawiłbym ją tuż przed twarz. Niestety, nie mogłem jednak wykonać takiego gestu, gdyż ręce w nadgarstkach miałem skrępowane powrozem. Sznur dodatkowo oplatał mnie przez pas, a moje dłonie znajdowały się tuż nad pośladkami i nie mogłem nimi ruszyć w żadną stronę. Trzeba przyznać, że szubrawcy związali mnie solidnie i fachowo, a ja mogłem mieć tylko nadzieję, że od tej ich solidności i fachowości nie stracę na zawsze czucia w dłoniach. Zresztą słówko „zawsze” nie musiało w moim wypadku oznaczać szczególnie długiego okresu, bo nie sądziłem, aby byli takimi głupcami, by zostawić mnie przy życiu.

Usłyszałem szczęknięcie skobla, a potem skrzypnięcie drzwi. W prześwicie pojawiło się światło. Do środka wszedł ktoś niosący w dłoni nasmołowaną pochodnię. Zmrużyłem oczy i rozpoznałem Schwimmera. Za jego plecami stał drugi mężczyzna, ale jego twarzy nie mogłem już dostrzec.

— Ocknął się — rzekł Schwimmer z radością godną lepszej sprawy. — No to co, wypytamy go, prawda, Oli?

Nazwany Olim mruknął coś, co zapewne miało być potwierdzeniem.

— Przyniosłeś młotek i cęgi? — zapytał Schwimmer swego towarzysza, a ja poczułem się nieswojo, gdyż słowa „młotek i cęgi” w połączeniu ze słowem „wypytamy” mogły oznaczać tylko kłopoty.

— Daj spokój — mruknął Oli i wyszedł zza pleców Johanna. Zauważyłem, że jest wysoki, barczysty i ma jasne włosy. Jak nic, brat i pomocnik Schwimmera. — Jeśli będzie trzeba, to go przypalisz... — dorzucił.

— Nie będzie trzeba — rzekłem stanowczym tonem. — Gdyż jestem gotów udzielić wam wszelkich wyjaśnień, jakie uznacie za konieczne...

— Ot, jak się rozgadał — burknął Schwimmer i kopnął mnie w łydkę.

— Poza tym nie wiem, czy zdajecie sobie sprawę, co czeka ludzi więżących inkwizytora na służbie — dodałem, nie reagując na kopniak.

— On jest inkwizytorem? — niemal wrzasnął Oli i odwrócił w stronę brata twarz wykrzywioną gniewem. — Dlaczego mi nic nie powiedziałeś, głupcze?! Skąd się tu wziął? Co wie?

— Zaraz sobie z nim pogadamy. — Schwimmer nie przejął się wybuchem Oliego. — Sam chcę wiedzieć...

Zbliżył się do mnie i machnął mi przed oczyma pochodnią. Od głowni oderwała się iskierka i spłonęła na moim policzku. Johann wyszczerzył się w uśmiechu.

— Myślisz, że się ciebie boję, inkwizytorze? — zapytał, a potem roześmiał się jakby do własnych myśli. — Nie boję się, bo wiem, że i tak jestem martwy...

— Jonni — odezwał się jego brat karcącym tonem. — Wszystko będzie dobrze, ukryjecie się gdzieś...

— Może, może, może. — Zauważyłem, że oczy Schwimmera były puste i rozbiegane. Ten człowiek najwyraźniej oszalał albo był bliski szaleństwa. — Zostało nam jeszcze osiem dni...

— Osiem dni? — zapytałem najłagodniejszym z tonów.

Chciał mnie uderzyć w twarz pochodnią, ale rzuciłem głową i oberwałem tylko w bok głowy. Poczułem swąd palonych włosów i pomyślałem sobie, że jeśli Bóg da, porozmawiam kiedyś ze Schwimmerem na temat tego, w jaki sposób nie należy traktować funkcjonariuszy Świętego Officjum.

— Dlaczego przyszedł sam? — zapytał Oli. — Przecież oni zawsze chodzą gromadą...

— Jego nie wysłali z Inkwizytorium. — Schwimmer przyglądał mi się badawczo i z takim wyrazem twarzy, jakby za chwilę miał zakrzyknąć „a tu cię mam!”. — Loebe go kupił, ta stara świnia... Czy nie tak, Mordimerze, jeśli dobrze pamiętam imię? Mogę ci mówić Mordi?

— Nie — odparłem.

— No to nie. — Wzruszył ramionami.

Od dłuższego już czasu starałem się delikatnymi ruchami poluzować więzy na nadgarstkach, ale równie dobrze mogłem sobie darować to bezowocne zajęcie. Jedynym pozytywnym efektem było to, że poczułem, iż mija mi odrętwienie dłoni. Więc Bogu dziękować, nie straciłem jeszcze w nich czucia.

— Myślę, że nikt nie wie, że on tu jest — powiedział z namysłem Schwimmer. — Mam rację, Mordusiu? A wobec tego — był tak pewien siebie, że nie czekał na odpowiedź — wsadzimy go do wora, nawrzucamy kamieni i utopimy w tej rozpadlinie pod Wapieniem. Nikt go nie znajdzie. Wytniemy tylko otwory w worze — patrzył na mnie z głupkowatym uśmiechem — żeby węgorze mogły swobodnie się dostać do środka. Ha, pod Wapieniem pełno jest węgorzy... Łowiłem je, jak byłem dzieckiem, wiesz? — Zwrócił się do mnie.

— Jonni, a może mu powiemy? — zapytał cicho brat Schwimmera.

— Nie! — niemal wrzasnął Johann i obrócił się z twarzą zmienioną gniewem. Przy okazji tego gwałtownego ruchu znowu wyrżnął mnie pochodnią w głowę, ale tym razem już nieumyślnie. — Nie pamiętasz, co zrobili z naszą mamusią?

Ha, ciekaw byłem, co zrobili bracia-inkwizytorzy z mamusią Schwimmerów. Czyżby została kiedyś oskarżona o czary i torturowana lub spalona? Nie dziwiłem się więc nienawiści Johanna, choć raczej powinien się cieszyć, że Święte Officjum pomogło jego rodzicielce pogodzić się z Bogiem. Niestety, ludzie zwykle nie podzielali tego sposobu myślenia, powodowani zapewne nawet nie złą wolą, lecz brakiem odpowiedniej edukacji. Najbardziej jednak interesowało mnie, o czym mówił Oli. Cóż takiego chciał mi wyjawić? Jaka tajemnica skrywała się za porwaniem dziewczyny, jeśli w ogóle była tu jakaś tajemnica? Dlaczego po ośmiu dniach sprawa mogła zmienić bieg?

— Mogę wam pomóc — powiedziałem. — Przecież nic dziwnego, że uwięziliście człowieka, który plątał się nocą obok waszego domu. I nikt nie może mieć do was o to żalu. Jednak teraz, kiedy ujawniłem już, że jestem inkwizytorem, powinniście mnie wypuścić. Johann, Oli, nie dajcie się zwieść podszeptom Złego, nie narażajcie życia i nie bierzcie na swe sumienie śmiertelnego grzechu, jakim jest zabicie bliźniego.

Starałem się mówić spokojnym i przekonującym tonem, ale nie sądzę, by moje słowa docierały do Johanna. Natomiast jego brat przyglądał mi się uważnie, a kiedy skończyłem, westchnął głęboko.

— Jonni, zróbmy, jak on radzi — powiedział cicho. — Przecież może nam pomóc...

— Nie! Nie rozumiesz, głupcze, że mówi tak tylko po to, byśmy go uwolnili?

Oho ho, widać mały Johann nauczył się od swych przyjaciół komediantów sztuki obrazowego wysławiania. Aby podkreślić wagę własnych słów, wymachiwał pochodnią, ale tym razem udało mi się uniknąć ciosu. Tylko znowu kilka iskier oderwało się od głowni i zgasło na mojej twarzy.

— Ależ pomyśl... — ciągnął brat Johanna, a ja obiecałem sobie, że kiedy przyjdzie co do czego, postaram się okazać mu łaskę, tak jak on okazywał ją mnie.

— Nie będę nad niczym myślał! — wrzasnął Schwimmer, a jego chrapliwy krzyk przeszedł w zduszony pisk przy ostatnim słowie. Tak, tak, ten człowiek nie był przy zdrowych zmysłach. — Zabijmy go i już!

— Ciężkie to brzemię dźwigać w swej pamięci wspomnienie o zamordowanym człeku — rzekłem, patrząc prosto w oczy Oliemu. — Czyż Pismo nie ostrzega nas, że: *każdy, kto nienawidzi swego brata jest zabójcą, a wiecie, że żaden zabójca nie nosi w sobie życia wiecznego?*

— Nie jesteś moim bratem! — warknął Johann.

— *Sądźcie innych sprawiedliwie i bez trwogi. Lecz pamiętajcie, że którym byście sądem sądzili, sądzeni sami będziecie, i którą miarą mierzyć będziecie, odmierzą wam —* dodałem, podnosząc głos. — Czy jesteście pewni, że wasz sąd jest sprawiedliwy? Czy kiedy przyjdzie pora stanąć przy wadze złych i dobrych uczynków, powiecie Panu: tak, uczyniłem wtedy dobrze, zabijając człowieka, który nie wyrządził mi najmniejszej krzywdy?

Oli odwrócił wzrok i zamamrotał coś do siebie. Nie usłyszałem słów, widziałem tylko, jak poruszyły mu się usta.

— Trzeba go było zakneblować — rzekł Schwimmer i pogroził mi pochodnią. — Gdzie jest Aldi? — Zwrócił się w stronę brata.

— Pilnuje domu — mruknął tamten po chwili.

Domyśliłem się, że mowa była o trzecim bracie, i sądziłem, że na tym kończy się liczba osób wtajemniczonych w porwanie. Gdyby sytuacja była inna, to trzech chłopków nie stanowiłoby żadnej przeszkody dla inkwizytora Jego Ekscelencji. Ale człowieka związanego jak prosię potrafi zarżnąć nawet dziecko...

— Co zrobiliście z dziewczyną? — spytałem. — Gdzie ona jest?

— Bezpieczna — odpowiedział szybko Oli. — Pilnujemy jej.

— Czego z nim gadasz? — znowu warknął Schwimmer.

— Posłuchajcie mnie uważnie — rzekłem, starając się przemawiać jednocześnie stanowczo i łagodnie. — Wiele osób wie lub domyśla się, gdzie jestem. Joachim Kniprode, poborca podatków z Gottingen, Heinz Ritter, Andreas Kuffelberg. — Kiedy wypowiadałem to ostatnie imię, Johann drgnął, a przez jego twarz przebiegł grymas. — Prędzej czy później Inkwizytorium dotrze do nich i dowie się, gdzie zniknąłem. Czy myślicie, że można bezkarnie zabijać inkwizytorów?

— To wszystko nieważne — powiedział nadspodziewanie spokojnym głosem Schwimmer. — I tak wszyscy musimy uciekać i ukryć się. Co za różnica, kto jeszcze będzie nas ścigał? Dobra, Oli, bierzmy go. I nie opieraj się, inkwizytorze, bo będę musiał cię ogłuszyć.

Zrobiłem, co mogłem, by ich przekonać, a w sytuacji, w jakiej się znajdowałem, niewiele pozostało mi argumentów. Podejrzewałem, że dałbym radę przekonać brata Schwimmera, ale sam Johann najwyraźniej oszalał i nie obchodziło go już nic poza tym, aby uciec jak najdalej z dziewczyną, niezależnie od konsekwencji.

Wzięli mnie za ręce i za nogi, a ja faktycznie się nie opierałem, gdyż nie miałem wątpliwości, że Schwimmer zrealizowałby swą groźbę. Zapewne nawet uczyniłby to z przyjemnością. A póki byłem przytomny, mogłem mieć jeszcze nadzieję, że wyjdę z życiem z całej tej katastrofy, w którą zamieniły się poszukiwania Ilony Loebe. Bracia zaczęli taszczyć mnie na schody, ale w pewnym momencie Schwimmer puścił moje ramiona i wyrżnąłem głową w kamienny stopień. Zakląłem, a Johann zachichotał.

W końcu wwlekli mnie do drewnianej szopy. Spomiędzy szpar w deskach widać było prześwitujący blask dnia, ale na ile zdołałem się zorientować, słońce chyliło się już raczej ku zachodowi. W szopie leżały wory z mąką, pod ścianą stały cepy oraz zardzewiała brona z wykoślawionymi ostrzami, a w kącie piętrzyła się kupa zalatującego zgnilizną siana. Dopiero po chwili zobaczyłem, że na dość wygodnie urządzonym (przynajmniej na pierwszy rzut oka) posłaniu, pomiędzy worami, leży Ilona Loebe. Związana, zakneblowana i rozczochrana, ale mimo upokarzającej sytuacji wydawała się nie doznać żadnej większej krzywdy. A więc mogłem sobie pogratulować: tropy zaprowadziły mnie wprost do kryjówki porywaczy, a ja wykazałem się (przynajmniej do czasu) stosowną bystrością umysłu. Tyle że nie miałem tutaj wjechać związany jak szynka, ciągnięty za stopy i stukający głową w śmierdzące łajnem klepisko. Nie tak, zapewne, piękne panny wyobrażają sobie tego, kto oswobodzi je z niewoli...

Teraz też zobaczyłem trzeciego z braci, którego Schwimmerowie nazywali Aldim. Podobny był do Johanna oraz Oliego. Wysoki, barczysty, o jasnych włosach i twarzy wioskowego przygłupa. A jednak trudno było nie zauważyć, że nie byli tak kompletnymi idiotami, skoro to ja leżałem związany w pień u ich stóp, a nie odwrotnie. Jednak doświadczenie dane mi przez łaskę Boga uczyło, że wszelkie sytuacje mogą się jeszcze zmienić. Miałem tylko nadzieję, że nie będzie to zmiana na gorsze.

— Uwolnijcie dziewczynę — powiedziałem i w podzięce za dobrą radę oberwałem kolejnego kopniaka. — Czego chcecie w zamian? — zapytałem, starając się nie okazywać bólu ani strachu. — Złota? Stary Loebe zapłaci bez wahania. Wymazania win? Gwarantuję to wam powagą Świętego Officjum.

Oczywiście, równie dobrze mogłem gwarantować im willę z ogrodem w Hez-hezronie, stado służby oraz Jego Ekscelencję biskupa w charakterze kamerdynera. Lecz w tej sytuacji gotów byłem zaoferować wszystko, aby tylko poniechali niegodnych planów. Dostałbym kolejnego kopniaka, ale zwinąłem się i czubek buta Johanna tylko drasnął mnie po żebrach.

— Zabierzmy się za inkwizytora — rzekł Johann z niezdrowym zapałem w głosie.

— Czekaj no. — Aldi, który tkwił przy drewnianej ścianie z okiem przy szczególnie sporej szparze w deskach, uniósł dłoń. — Chyba ktoś jedzie...

— Co takiego?! — Johann podskoczył, odepchnął go i sam przytulił twarz do desek. — Jadą — dodał po chwili głuchym głosem. — Loebe... z ludźmi...

Oli przeżegnał się gwałtownie i ruszył pod ścianę. Ujął w obie dłonie cep. Aldi chwycił widły, ale widziałem, że ręce mu drżą.

— Poddajcie się — nie rezygnowałem. — Gwarantuję wam bezpieczeństwo.

Nawet nie udawali, że słuchają, ale nie próbowali również uciszać mnie za pomocą kopniaków. Schwimmer odwrócił się od ściany i spojrzał na Ilonę. Nie podobał mi się jego wzrok.

— Brońcie drzwi — rzekł głucho. — Ja zrobię, co trzeba.

Oli przełknął ślinę tak głośno, że nawet ja to usłyszałem, mimo że leżałem ładnych kilka kroków od niego.

— Jesteś... jesteś pewien? — zapytał.

Johann nic nie odpowiedział, tylko ruszył w stronę posłania dziewczyny, już w marszu rozwiązując pas, którym przytrzymywał portki. Na miecz Pana, pomyślałem, on jeszcze w ostatnich chwilach życia chce zażyć rozkoszy! Ilona musiała również widzieć, co się święci, gdyż próbowała krzyczeć i odpełznąć na bok, ale knebel szczelnie tamował jej usta, a więzy uniemożliwiały gwałtowne ruchy. Aktorski pomocnik runął na nią, jedną ręką zdzierając jej kaftan, a drugą podkasując spódnicę. Próbowała się opierać, ale huknął ją w twarz otwartą dłonią.

— Powstrzymajcie go, na Boga! — wrzasnąłem, ale Aldi i Oli nie zamierzali się nawet ruszyć i czekali na walkę, która niewątpliwie za moment miała wybuchnąć.

Na posłaniu trwała bezładna kotłowanina, widziałem tylko zadarte, nagie nogi Ilony i pryszczaty tyłek Schwimmera oraz jego poczerwieniałą z wysiłku twarz.

— Ech, ech, ech — sapał, wciągając powietrze ze świstem.

W końcu odepchnął Ilonę i poderwał się z miejsca.

— Nie mogę, Oli! — wrzasnął z rozpaczą i wściekłością. — Nie mogę, cholera jasna!

Oli odwrócił się w jego stronę.

— Co, co? — zapytał nieprzytomnie. Na zewnątrz słyszeliśmy już tętent kopyt.

Schwimmer podbiegł do brata i szarpnął go za kubrak. Wyrwał mu cep z dłoni.

— Ty idź — rzekł gorączkowo. — Załatw ją jak trzeba.

— Na pomoc! — wydarłem się, ile tylko miałem sił w płucach. — Panie Loebe, jesteśmy tutaj! Szybko!

Podobne wołanie o ratunek nie przyszło mi łatwo, gdyż pomimo że jestem człowiekiem pokornym oraz skromnym, to jednak mam pewną zawodową dumę. Jednak uznałem, że skoro bracia Schwimmerowie chcą zakończyć swe ziemskie sprawy, to po gwałcie na Ilonie może przyjść kolej na potraktowanie inkwizytora cepem bądź widłami. O dziwo jednak, nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Johann szturchnął brata cepem.

— Idź — warknął. — Bo jak tego nie zrobisz, to ubiję cię, jak amen w pacierzu!

Oli ruszył niechętnie w stronę kulącej się dziewczyny i popchnięty przez Johanna wywrócił się wprost na nią. Zacisnął palce na jej nagiej piersi. Ilona wiła się pod nim, ale Johann trzasnął ją pięścią w twarz. Znieruchomiała, a wtedy rozsunęli jej nogi i Oli z opuszczonymi portkami opadł na nią. Nawet mimo że była zakneblowana, słyszałem jej pełen bólu jęk. Jak bardzo Johann musiał nienawidzić Loebego oraz samej Ilony (zapewne za to, że nie chciała być z nim z dobrej woli), by w ostatnich chwilach życia uczynić coś, za co niewątpliwie zapłaci już wkrótce przed obliczem Pana! Nie zrozumcie mnie źle, mili moi, gwałt jest rzeczą dość powszechną w naszych niespokojnych czasach, a dziewczęta w końcu nie mają tej rzeczy z mydła i nie zużywa się ona na tyle szybko, by nie móc uraczyć nią wielu mężczyzn. Jednak to, co się działo tutaj, budziło zarówno moje obrzydzenie (z uwagi na fakt, że Ilona była piękna i urocza), jak i głębokie zdumienie spowodowane tak niezwykłą zajadłością Johanna.

Usłyszeliśmy łomotanie w deski i wściekły, donośny głos Loebego.

— Otwierać, łajdaki, otwierać!

A potem musiały pójść w ruch siekiery, gdyż usłyszałem charakterystyczne uderzenia w drewno. Szopa nie wyglądała solidnie, tak więc byłem pewien, że za chwilę kupiec wraz z towarzyszącymi mu ludźmi znajdą się w środku.

Oli zerwał się z nieruchomej Ilony i ruszył pod ścianę po cep. Zauważyłem, że ma zakrwawione podbrzusze, a więc widać było, że dopiął swego.

Padły wyłamane deski. Najpierw jedna, potem druga i trzecia. Aldi wkłuł się w powstałą szparę widłami, ale ktoś musiał przepuścić ostrza i przytrzymać drzewce. Johann zawył wielkim głosem, ale już w tym momencie do środka wpadł wielki, czarnobrody mężczyzna. Zręcznie uchylił się przed ciosem cepa, po czym przeszedł na prawą stronę i łupnął Oliego toporem. Nie trafił w głowę, ale niemal odciął mu ramię, a uderzenie było tak mocne, że Oli zatoczył się do tyłu i, wrzeszcząc z bólu, wpadł prosto na ostrza zardzewiałej brony. Dwa z nich przebiły go powyżej pasa i wyszły w fontannie krwi, razem z flakami.

Czarnobrody stracił topór, ale wyszarpnął z pochwy miecz. Ruszył w stronę Johanna, który oparty o ścianę kołysał cepem. Do środka już wleciał Loebe oraz drugi z jego towarzyszy, łysy jak kolano osiłek z wężowiskiem blizn na twarzy. Poznałem go. To był jeden z chłopców z tongów. A więc kupiec oszukał mnie, twierdząc, że nie korzysta z ich pomocy. Loebe cisnął kamieniem wielkości pięści i trafił Schwimmera prosto w czoło. Johann z ogłupiałym wyrazem twarzy opadł na kolana i podparł się na cepie. Loebe odepchnął szykującego się do ciosu czarnobrodego i skoczył w stronę aktorskiego pomocnika. Obalił go na ziemię i wyrwanym zza pasa nożem dźgnął prosto w pierś. Johann szarpnął się ostatkiem sił i chwycił kupca prawą dłonią za gardło. Jednak nic mu to już nie mogło pomóc. Loebe, nie zważając na chwyt, walił nożem, spod ostrza którego bluzgały strugi krwi. Musiał uderzyć Schwimmera co najmniej pięć lub sześć razy, zanim ten puścił jego szyję i znieruchomiał z zaciśniętą w pięść dłonią. Loebe podniósł się, cały zakrwawiony, jakby przed momentem zarzynał świnię, z twarzą zmienioną grymasem wściekłości w upiorną maskę. Ruszył w stronę Ilony, zataczając się niczym pijany.

— Nie zrobili... Nic ci nie zrobili? — zapytał chrapliwym, urywanym głosem.

Ona nie odpowiedziała, ale sam musiał już wszystko dostrzec. Rozerwany kaftan, podniesioną suknię, odsłaniającą nagie uda, i krew na ubraniu oraz ciele.

— Nieeeeeeeee! — wrzasnął tak przeraźliwie, jakby katowano go żywym ogniem. — Nieeeee! Moja przyszłość, moja nadzieja, nie mogli tego zrobić!

Opadł na kolana i zaczął rwać włosy z głowy. Zawsze sądziłem, że wyrażenie „rwać włosy z głowy” jest tylko zręczną i obrazową metaforą na oddanie czyjegoś cierpienia, ale oto widziałem na własne oczy, jak Loebe, wyjąc niczym wilk, rwie włosy ze swej czaszki pełnymi garściami. Potem wbił się pazurami w klepisko i, zagłuszając wszystko potępieńczym skowytem, zaczął tłuc głową w ziemię. Wreszcie łysy pomocnik nie wytrzymał tego i chwycił kupca za ramiona. Poderwał go siłą na nogi.

— Spokój, spokój! — Jego głos nie brzmiał bynajmniej uspokajająco. — Uciekajmy stąd, do cholery! Nie wiadomo, kto jeszcze przyjedzie...

Stary Loebe otrząsnął się, przetarł czoło dłońmi, ale nadal wyglądał jak szaleniec. Miał zmierzwione włosy, spoconą, czerwoną twarz, naderwane ucho, z którego ściekała strużka krwi i mokre od posoki ubranie. Przez chwilę wpatrywał się w martwego Johanna Schwimmera wzrokiem otępiałym z bólu i wściekłości, a potem jego spojrzenie ześlizgnęło się na mnie. I kiedy zobaczyłem oczy Loebego, coś powiedziało mi, że jego słowa nie będą brzmieć: „na co czekacie? Rozwiążcie inkwizytora!”. I faktycznie, nie brzmiały.

— Zabij go! — rzucił do czarnobrodego mężczyzny, który wycierał właśnie zakrwawioną klingę w kaftan martwego Oliego.

— Ojcze, on przyszedł mnie ratować! — krzyknęła Ilona i byłem zdumiony tym, że straszne przeżycia nie odebrały jej, po pierwsze, zdolności pojmowania sytuacji, a po drugie, godnego chwały współczucia dla bliźniego.

— Milcz, parszywa dziwko! — wrzasnął kupiec, a Ilona opadła na barłóg, jakby ją spoliczkowano.

Czarnobrody tylko się zaśmiał, wyszczerzając wykruszone zęby, i podszedł do mnie. Dźgnął mieczem, trzymając oburącz rękojeść, tak jakby zamierzał stemplem wbić gwóźdź w podłogę. Jęknąłem boleśnie i znieruchomiałem, a on wyciągnął na nowo pokrwawione ostrze.

— I już — zarechotał. — Po robocie...

Nie zamierzałem dawać jakiegokolwiek znaku życia, chociaż przeżyłem to mocne, choć niewprawne uderzenie. Udało mi się przyjąć ostrze w taki sposób, aby wbiło się pomiędzy ramię a klatkę piersiową. Oczywiście żelazo solidnie mnie poraniło, czułem ból zarówno w ręku, jak i rozharatanych żebrach. Niemniej morderca był pewien, że trafił w serce, a szeroki płaszcz, który miałem na sobie, utrudnił mu rozeznanie. Również tego typu zachowań uczono nas w Inkwizytorium. Jak zmylić wroga, jak udawać ciężko rannego lub zabitego, jak ułożyć ciało, aby cios nie uszkodził witalnych miejsc. Jasne, że nic by mnie nie ocaliło, gdyby czarnobrody miał w ręku topór albo gdyby zamierzał mnie mieczem posiekać, a nie tylko przebić. On jednak, na moje szczęście, był zarówno mało doświadczony, jak i zapewne zmęczony pościgiem oraz walką.

— A co z nią? — Pokazał w stronę szlochającej w kącie Ilony.

— Co ma być? Nic! — warknął Loebe. — Uciekajmy stąd, póki ktoś się nie zjawi.

Spod przymrużonych powiek widziałem, jak ruszają do wyjścia, zostawiając za sobą trzy ciała martwych braci, mnie oraz pokrwawioną, rozpaczającą Ilonę. Córka kupca, widząc, że odchodzą, poderwała głowę.

— A ja? — krzyknęła głosem ciężkim od szlochu. — Ojcze, co ze mną?

Stary Loebe obrócił się na pięcie. Twarz miał zmienioną w grymasie gniewu. Splunął tylko pod nogi i roztarł krwawą plwocinę podeszwą.

— Ty możesz robić, co chcesz! — Wyrzucił z siebie te słowa, jakby były przekleństwem.

Huknęły drzwi od szopy, potem usłyszałem tylko ciche rżenie koni i coraz bardziej oddalający się stukot końskich kopyt.

— Ilono — starałem się zawołać, ale z moich ust wyszedł tylko zduszony szept.

Obróciła się gwałtownie w moją stronę.

— Żyjecie — powiedziała. — Jak to...?

— Więzy — rzekłem szybko, gdyż chwila nie była odpowiednia na to, by tłumaczyć, w jaki sposób uniknąłem śmierci. — Przetnij mi więzy i pomóż zatrzymać krwotok!

Poderwała się, potknęła o kraj rozdartej sukni, wywróciła, boleśnie uderzając łokciem w podłogę, po czym przypełzła do mnie. Spod porwanego kaftana wyłoniła się pierś ze zsiniałymi śladami od palców Oliego Schwimmera.

— Nóż — szepnąłem. — Poszukaj noża.

Rozejrzała się wokół bezradnie, a ja czułem, jak krew coraz bardziej zlepia mi ubranie. Starałem się mocno przyciskać ramię do tułowia, ale wiedziałem, że to pomoże tylko na krótko.

— Poszukaj przy ciałach — rozkazałem mocniejszym głosem, choć wydobycie go z siebie przyszło mi z ogromnym trudem. — Szybciej, dziewczyno!

Najbliżej leżało ciało Oliego, ale ominęła je. Zbliżyła się do martwego Aldiego i zamarła z dłońmi nad jego ramieniem. Aldi miał głowę rozłupaną niemal na pół oraz oczy wytrzeszczone bólem i strachem.

— Przy pasie albo w cholewie buta! — rzuciłem ponaglająco.

Wreszcie zdecydowała się dotknąć zwłok. Nie wiem, dlaczego tak wielu ludzi ma problemy z dotykaniem martwego ciała. Przecież to już tylko pozbawiony duszy i myśli strzęp mięsa.

— Jest! — wykrzyknęła i zza cholewy wyciągnęła nóż.

Podbiegła z nim do mnie i kucnęła tuż obok. Jej poraniona pierś znowu wyłoniła się zza rozerwanego kaftana. Ale teraz nagość tej dziewczyny nie budziła we mnie żadnych emocji poza współczuciem. W dodatku byłem jej głęboko wdzięczny, że nie oddała się w kącie rozpaczaniu nad własnym losem, pozostawiając waszego uniżonego sługę, by wykrwawił się na śmierć. A ośmielałem się sądzić, że wiele kobiet słabszego ducha tak właśnie by uczyniło.

Na szczęście Ilona radziła sobie z nożem całkiem nieźle i udało jej się szybko rozciąć więzy oraz kaftan, jednocześnie nie dodając mi nowych ran (co zdecydowałem się zachować we wdzięcznej pamięci). Moje odzienie było już całe przesiąknięte krwią, ale wiedziałem, że ostrze nie przecięło żadnej ważnej żyły lub tętnicy, gdyż wtedy na wszelki ratunek byłoby za późno. Kazałem Ilonie, by założyła mi opaskę na górną część ramienia i owinęła szmatami poraniony bok (wycięła je z własnej sukni). Miałem nadzieję, że dzięki temu zdołam przetrzymać następnych kilka chwil.

— Ilono — powiedziałem. — Musisz teraz biec po pomoc. Znajdź jakichś ludzi i powiedz im, że tutaj leży umierający szlachcic. Nie mów, że jestem inkwizytorem, bo jeszcze pchną mnie widłami. — Pozwoliłem sobie na żarcik, ale ona nawet się nie uśmiechnęła. — Biegnij, moje dziecko, a ja na miecz Pana, odwdzięczę się za twoją dobroć...

Spojrzała na mnie poważnymi, pełnymi łez oczyma i wolno skinęła głową.

— Wrócę tak szybko, jak tylko będę mogła — obiecała.

Wybiegła z szopy, a ja zastanawiałem się, czy oto nadeszły ostatnie chwile Mordimera Madderdina, umierającego jako przypadkowa ofiara sporów pomiędzy ludźmi, którzy tak naprawdę nic go nie obchodzili. Miałem jednak nadzieję, że Pan uważa mnie za na tyle pożyteczne narzędzie, tu, na tym nieszczęsnym padole łez, by nie powoływać mnie jeszcze do swej chwały. Nagle rozmyślania przerwał mi jęk i bulgot. Spojrzałem w tamtą stronę. Na ustach Johanna Schwimmera pojawił się krwawy bąbel i pękł, rozbryzgując czerwień na jego twarzy. Ha, a więc nędzny porywacz i niedoszły gwałciciel jeszcze żył, a ręka kupca Loebego nie okazała się tak pewna jak myślałem! Podpierając się zdrową ręką, powlokłem się w jego stronę, mając nadzieję, że uda mi się pomóc mu i zachować go przy życiu. Oczywiście, nie kierowało mną godne pożałowania miłosierdzie, lecz jedynie wiara, że śmierć Schwimmera powinna być znacznie sroższa niż tylko cięcie nożem. Ażeby taką śmierć mu zadać, musiałem go wcześniej uratować. Niestety, kiedy tylko podpełzłem bliżej, zobaczyłem, że aktorski pomocnik nie przeżyje nawet godziny, a za cud tylko można było poczytywać, że w ogóle przeżył do tej pory.

Musiał mnie usłyszeć, a może dostrzegł kątem oka, gdyż obrócił na mnie wzrok. Nie był jednak w stanie nawet ruszyć głową, a tylko jego źrenice wykonały ruch w moją stronę.

— Mmm... mmmo... — zajęczał, a z jego ust popłynęła krew.

— No, bracie — powiedziałem. — Właśnie idziesz gotować się w kotle wiecznego potępienia. Myśl o tym, dopóki nie zdechniesz...

Wypowiedź była zbyt długa jak na mój nędzny stan, i zmęczyłem się na tyle, że opadłem na podłogę. Leżeliśmy teraz ze Schwimmerem ramię przy ramieniu niczym bliźniacy lub bojownicy, umierający za wspólną sprawę. Ha, jakżeż złudne bywają pierwsze wrażenia!

— Mmm... mmmo... — zajęczał znowu Schwimmer.

Kiedy spojrzałem na niego, zauważyłem, że jego oczy wykonują dziwny pląs. Jednak, o dziwo, nie był to wynik jakichś przedśmiertnych konwulsji, lecz przemyślane działanie. Wyraźnie starał się coś mi pokazać. Spojrzałem w dół i dostrzegłem, że Schwimmer ma kurczowo zaciśniętą dłoń. Spomiędzy palców wystawał złoty łańcuszek.

Przysunąłem się jeszcze bliżej w stronę Johanna, tak blisko, że jego krew pobrudziła mi policzek. Sięgnąłem i położyłem swoją dłoń na jego umazanej czerwienią dłoni.

— O to ci chodzi? Żebym to zabrał?

Odpowiedział gwałtownym ruchem powiek. Z trudem rozgiąłem jego mocno zaciśnięte palce i wydobyłem spomiędzy nich złoty amulet o średnicy nieco większej niż średnica złotego denara. I natychmiast, kiedy dotknąłem tej ozdoby, poczułem niemal fizyczny ból. Wypuściłem amulet z palców, a on spadł prosto w kałużę krwi. Teraz pysk istoty wyobrażonej na awersie wyglądał jeszcze bardziej przerażająco.

— Na miecz Pana — szepnąłem, gdyż wiedziałem, że mam do czynienia z rodzajem bardzo potężnego, demonicznego talizmanu, jednak nie miałem najmniejszego pojęcia, jakim mrocznym siłom może on służyć.

— Skąd go masz? — Chciałem potrząsnąć Schwimmerem, ale zdałem sobie sprawę, że wtedy może skonać i nic już nie powie. Zresztą ja sam nie czułem się na tyle mocny, by kimkolwiek potrząsać.

Wtedy jednak olśniło mnie. Przymknąłem oczy i scena po scenie zacząłem przypominać sobie walkę Schwimmera z Loebem. To, jak tarzali się po podłodze, jak kupiec w końcu trafił nożem w pierś porywacza i jak Johann ostatkiem sił, kurczowo, rozpaczliwie pochwycił go za gardło. Czy tylko wydawało mi się, że kiedy Loebe odtrącał jego dłoń i zadawał następne ciosy, to w garści Schwimmera zalśniło coś złotem?

— Zerwałeś go z szyi Loebego, tak? — zapytałem, a umierający chłopak zamrugał gwałtownie na znak potwierdzenia.

— U... ura... ato... — Krew buchała mu z ust, kiedy starał się mówić. Jednak nie zdołał dokończyć zdania i skonał z wytrzeszczonymi oczami.

Ja tymczasem ostatkiem sił ukryłem amulet w zanadrzu, cały czas czując promieniującą z niego mroczną moc. Przymknąłem oczy, by bliżej przyjrzeć się świetlistemu korytarzowi, który wydawał się rozpościerać tuż za moimi źrenicami. Zrobiło mi się lekko, ból powoli mijał, a ja wiedziałem, że tracę przytomność i umieram. Ale wtedy usłyszałem tupot nóg na klepisku oraz podniesione męskie głosy i mocny, przekonujący głos Ilony Loebe.

— Podnoście ostrożnie, bo się wykrwawi... To możny pan, zapłaci złotem, jak go ocalicie...

###### \* \* \*

Klasztor Amszilas stał na zalesionym wzgórzu, wznoszącym się nad zakolem rzeki. To piękne miejsce, a mnisi, gdyby tylko chcieli, mogliby podziwiać z okienek swych cel słońce zachodzące nad błękitną tonią. Jednak mnisi z Amszilas — pokorni funkcjonariusze Świętego Officjum — nie zebrali się w klasztorze, aby przeżywać estetyczne uniesienia. W pocie czoła, w codziennym trudzie i z bezmierną miłością wysłuchiwali grzechów najbardziej zatwardziałych i najgroźniejszych grzeszników — zbłąkanych inkwizytorów, czarnoksiężników oraz wiedźm. To tu trafiali nie tylko bluźniercy i heretycy, lecz również przeklęte księgi. To tu właśnie zgłębiano mroczną wiedzę, tak, by jej tajniki nie stanowiły już zagadki dla sług Bożych. Każdy młody inkwizytor, na zakończenie swej nauki w Akademii, ma prawo odwiedzić klasztorną bibliotekę i na własne oczy przyjrzeć się niezmierzonej potędze zła, która została zamknięta w murach Amszilas. Tomy pisane krwią, księgi oprawione w ludzką skórę i zdobione ludzkimi kośćmi, woluminy zapisane w antycznych, nieznanych już niemal nikomu językach, stoją na półkach, grzbiet przy grzbiecie, rząd przy rzędzie i regał przy regale. Czasem starsze są niż Chrystusowa nauka i pochodzą z wieków, w których panował bezmierny mrok, a prawda jedynej i świętej wiary nie została jeszcze objawiona światu.

Jednak nikt z nas do końca nie wie, co kryją lochy klasztoru Amszilas. O tym się nie mówi. Ba, o tym nie powinno się nawet myśleć. Poza tym, że tu właśnie zabłąkane dusze dzielą się swą mroczną wiedzą, odnajdują ukojenie w wyznaniu grzechów i zyskują łaskę nieogarnionego cierpienia. Tak, by oczyszczone bólem mogły odnaleźć drogę przed tron Pański.

Amszilas strzegą potężne mury, ale na blankach nie ma łuczników, a zbrojni nie patrolują okolicy. Święty przybytek chroniony jest mocą wiary, tak silną, że wiemy, iż nikt nigdy nie odważy się bez pozwolenia przekroczyć furt klasztoru.

Zastukałem mocno do bramy. Na tyle mocno, że zabolały mnie nie zagojone do końca rany. Syknąłem.

— Któóóż tam? — zapytał starczy, lecz silny jeszcze głos.

— Mordimer Madderdin, inkwizytor Jego Ekscelencji biskupa Hez-hezronu, pokornie prosi o posłuchanie — wykrzyknąłem, a wiatr wiejący od rzeki połknął moje słowa.

— Czego chcesz, inkwizytorze?

Tłumaczenie się komuś, kogo nawet nie widziałem (i kto zapewne nie był tu ważną osobistością, skoro wysłano go do pilnowania bramy), wydawało mi się odrobinę upokarzające. Lecz klasztor z całą pewnością nie był miejscem, w którym proszący o posłuchanie inkwizytor mógłby rozpocząć dysputy na temat swej rangi.

— Chciałbym skorzystać z wiedzy braci bibliotekarzy — odparłem głośno.

— Nie wrzeszcz tak, inkwizytorze, słuch mam dobry — zaskrzypiał furtian niechętnym tonem. — Przyjedź jutro albo najlepiej któregoś innego dnia...

— Jeśli pozwolisz, ojcze — powiedziałem. — To pilna sprawa i wielkiej wagi.

Roześmiał się suchym, nieprzyjemnym śmiechem, który przeszedł w chrypliwy kaszel. Odcharknął i splunął głośno kilka razy. Spokojnie czekałem.

— Pilne sprawy — burknął w końcu. — Wszyscy macie pilne sprawy... Przyjdź jutro.

— Obawiam się, że to nie może czekać — odparłem, starając się nadać głosowi zdecydowany ton.

— Ten klasztor ma niemal sześćset lat. — Usłyszałem po chwili. — Jak myślisz, wytrzyma bez ciebie jeszcze rok lub dwa?

Pięknie, pomyślałem, skoro jutro lub pojutrze zamienia się w jego ustach tak łatwo w rok lub dwa...

— Otwieraj, na miecz Pana! — wrzasnąłem w końcu. — Albo wejdę do środka i rozwalę bramę twoim zakutym łbem!

Oczywiście, mili moi, jeśli odnajdziecie brak logiki w słowach waszego uniżonego sługi, dobrze to tylko będzie świadczyć o waszym zmyśle obserwacji. Gdyż przecież, będąc w środku, nie musiałbym już się starać o otwarcie wrót, nieprawdaż? Niezależnie od tego, czy faktycznie chciałbym użyć głowy mnicha jako tarana, czy też nie. Jednak byłem zdesperowany, nie miałem zamiaru dać się odprawić z kwitkiem i liczyłem, że zuchwalstwo zostanie mi wybaczone.

— Ho, ho — zachichotał, a jego chichot znowu przeszedł w chrapliwy kaszel, zakończony soczystym splunięciem. — Inkwizytor-raptus, tego już dawno nie było. Nie uczono cię pokory oraz cierpliwości, inkwizytorze? Co? No to nauczysz się tutaj...

Z rozpaczą spojrzałem na mury. Były wysokie, zbudowane ze ściśle dopasowanych kamiennych bloków. Nawet, gdybym posiadał zręczność linoskoczka, nie zdołałbym się na nie wspiąć. Bezsilnie uderzyłem pięścią we wrota.

— Otwieraj! — zawołałem.

— Jakieś kłopoty? — Usłyszałem za sobą cichy głos i odwróciłem się gwałtownie.

Bóg w swej niezmiernej mądrości obdarzył mnie nie tylko czułym powonieniem (czego czasami zresztą nie uważałem za tak wielką łaskę, zwłaszcza kiedy trzeba było się przedzierać przez tłum w upalne południe), ale również niezgorszym słuchem. Tymczasem nie usłyszałem nawet, że ten człowiek się zbliżał, i stał teraz dwa kroki ode mnie. Był chudy, niski, otulony szarym, obszarpanym płaszczem. Ale widywałem już wcześniej ludzi takich jak on, i coś mi mówiło, że nie należeli oni do osób, które należałoby lekceważyć.

— Mordimer Madderdin, inkwizytor Jego Ekscelencji biskupa Hez-hezronu — przedstawiłem się. — Usiłuję uprosić, aby dopuszczono mnie przed oblicze któregoś z braci bibliotekarzy.

— A to ciekawy w istocie macie styl wyrażania próśb. — Uśmiechnął się, ale tylko samymi ustami, bo jego szare oczy spoglądały na mnie martwo.

Nie zdziwiłem się, że nie podał imienia, bo wcale się tego po nim nie spodziewałem. Zresztą cóż mogłoby mi to dać, zważywszy że zapewne człowiek ten miał wiele imion na wiele różnych okazji.

— Wybaczcie — rzekłem — ale sprawa, z którą przybywam nie jest błaha, gdyż nigdy nie ośmieliłbym się niepokoić zacnych braci jedynie z powodu zadośćuczynienia własnym kaprysom.

— Dobrze powiedziane. — Skinął głową, nie spuszczając ze mnie wzroku. — Słyszałem o was, inkwizytorze Madderdin — dodał. — I rzeczywiście lepiej będzie, jak wejdziecie.

— Już, już, już — zachrypiał z góry odźwierny. — Ale musicie poczekać, bo ten kołowrót diablo się zacina...

Widać więc było, że nie tylko słuchał naszej małej pogawędki, ale znał również mego rozmówcę. I jasne się stało, że człowiek stojący obok nie należał do ludzi, którym odmawia się wejścia na teren klasztoru. Co mogło się okazać sprzyjającym zbiegiem okoliczności. Lub też mogło się nim wcale nie okazać...

Usłyszeliśmy skrzypienie kołowrotu, głośne stękanie okraszone przekleństwami, doprawdy, niezbyt odpowiednimi do miejsca, i wreszcie potężne wierzeje drgnęły. Rozchyliły się na tyle, by mógł się przez nie przecisnąć mój wierzchowiec, po czym z góry dobiegł nas charkot, serdeczne splunięcie i zduszony głos.

— Wnijdźcie z Bogiem, bracia.

Człowiek w szarym płaszczu bez słowa przecisnął się przez szparę, a ja poszedłem w jego ślady, choć mój koń nie był zachwycony i musiałem mocno pociągnąć wodze, by zanurzył się w mrok za bramą.

— Co mam zrobić z koniem? — zawołałem, kierując głowę ku górze.

— Zostaw go na dziedzińcu — odparł furtian. — Ktoś się nim zajmie. Tylko niech krzewów nam nie obeżre!

— Pozwól za mną, Mordimerze. Zaprowadzę cię do kancelarii — rzekł człowiek w szarym płaszczu, kiedy już udało nam się dostać na dziedziniec.

Idąc za nim, miałem czas, by się rozejrzeć, gdyż klasztoru Amszilas nie pamiętałem zbyt dobrze. Odwiedziłem go przecież tylko raz i to w gronie innych inkwizytorów — młodych absolwentów naszej przesławnej Akademii. Wtedy byliśmy oficjalnie witani przez opata oraz innych mnichów, podjęto nas obiadem w refektarzu i zarządzono uroczyste modły. Teraz natomiast klasztor był cichy i sprawiał wrażenie wymarłego. Mignął mi tylko jakiś braciszek z ogromnymi nożycami do przycinania krzewów w dłoni.

— Pora wieczornej modlitwy — powiedział mój towarzysz tonem wyjaśnienia. — Ale bracia bibliotekarze są na pewno u siebie. Mają specjalną dyspensę.

Weszliśmy do niewielkiej sieni, potem wdrapaliśmy się na strome schody, wreszcie przeszliśmy krużgankiem nad ogrodem pełnym ozdobnych krzewów, aż w końcu mój towarzysz zastukał do drzwi w głębi korytarza.

— Wejść, wejść — odezwał się ze środka starczy głos.

Człowiek w szarym płaszczu pchnął drzwi i znaleźliśmy się w niewielkim, ciemnym pokoiku, w którym mrok rozjaśniała tylko oliwna lampka stojąca na biurku pełnym dokumentów. Przy biurku siedział zasuszony starzec o pergaminowej, pomarszczonej twarzy. Podniósł na nas wzrok i zobaczyłem, że jedno oko ma pokryte bielmem.

— Niech będzie pochwalony — powiedział mój towarzysz.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — odparł z naganą w głosie mnich. — Czy wy, młodzi, aż tak bardzo się spieszycie, że nie potraficie dopowiedzieć do końca powitania? Już teraz słyszę takich, co tylko krzykną „pochwalony”, jakby zamawiali piwo w oberży. A tu trzeba z sercem, uczuciem, namaszczeniem. — Machnął dłonią, która w drgającym świetle lampki wydawała się być jedynie kruchymi kostkami, obciągniętymi niemal przezroczystą skórą. Rękawy jego habitu zatrzepotały jak skrzydła szarego ptaka. — Co wy tam wiecie...

— I ja się cieszę, że widzę cię w dobrym zdrowiu, ojcze Adalbercie — rzekł mój towarzysz, a w jego głosie wyczułem lekkie rozbawienie. — Przyprowadziłem gościa. — Mnich zwrócił na mnie czujne spojrzenie zdrowego oka. — To Mordimer Madderdin, mistrz Inkwizytorium z Hezu. Bądź tak uprzejmy i spraw, by któryś z braci bibliotekarzy zechciał go przyjąć jeszcze dzisiaj. A teraz wybaczcie, ale obowiązki wzywają. Cieszę się, że cię poznałem, Mordimerze. — Skinął mi uprzejmie głową.

— Dziękuję za wsparcie, bracie — odparłem grzecznie. — I jeśli Bóg pozwoli, kiedyś będę mógł odpłacić za twą uprzejmość.

— Z całą pewnością. — Uśmiechnął się i wyszedł.

Usiadłem na zydlu pod kamienną ścianą, a stary mnich nie zwracał na mnie uwagi i wertował papierzyska, mrucząc coś pod nosem. Oparłem się o mur i przymknąłem oczy, gdyż zaczynałem czuć zmęczenie długą, szybką podróżą.

— Madderdin! — Głos kancelisty wyrwał mnie z półsennego bezmyślenia. — Co wiesz o Hagath? Miałeś z nią do czynienia, nieprawdaż?

Otrząsnąłem się i spojrzałem na niego zdumiony. Skąd, na Boga, ten mnich wiedział o moich nie tak dawnych perypetiach z piękną demonicą? Owszem, złożyłem oczywiście stosowny raport w biskupiej kancelarii (szczególnie podkreślając tragiczną rolę bohaterskiego proboszcza Wasselrode), ale nie sądziłem, że tutaj, w Amszilas, o wszystkim wiedzą oraz pamiętają.

— Tak, bracie — odparłem. — Czy mogę służyć pomocą?

— Nieee — przeciągnął. — Śliczna bestyjka, co?

Nie były to może słowa, których spodziewałbym się po sędziwym mnichu, ale postanowiłem niczemu się już nie dziwić.

— W kobiecej postaci i owszem — odpowiedziałem uprzejmie.

W tym samym niemal momencie skrzypnęły drzwi za plecami kancelisty i w prześwicie ujrzałem młodego mnicha. Ubrany był tak samo, jak wszyscy w Amszilas — w bury habit, obwiązany białym sznurem, ale w przeciwieństwie do wszystkich tu widzianych mnichów był człowiekiem, który nie osiągnął jeszcze nawet średniego wieku. Długie, jasne włosy spływały mu aż na ramiona — rzecz niezwykła u zakonnika — a spod rękawów habitu dostrzegłem błysk złotych pierścieni.

— Witajcie, mistrzu — rzekł serdecznym tonem i wyciągnął dłoń w moją stronę. Zauważyłem, że ma wypielęgnowane paznokcie, a jego palce nie są poznaczone plamami inkaustu. — Jestem brat Kleofas, do waszych usług.

Podałem mu rękę i poczułem silny uścisk, którego raczej spodziewałbym się po człowieku nawykłym do ciężkiej pracy, a nie po bibliotekarzu, zwyczajnym wszak ślęczeć nad księgami oraz manuskryptami.

— Co was sprowadza do wesołego Amszilas? — zapytał z ledwie uchwytną nutą ironii w głosie, a kancelista z bielmem na oku prychnął niechętnie, słysząc te słowa.

— To. — Wyjąłem z zanadrza amulet, który zgubił stary Loebe w czasie walki.

Wyciągnąłem go na otwartej dłoni. Błysnął złotem w świetle oliwnej lampki, a ja znowu poczułem emanującą z niego mroczną moc.

— Nigdy nie widziałem podobnego talizmanu — rzekłem. — Wyczuwam w nim potęgę, której nie potrafię określić, a która budzi mój najgłębszy niepokój...

— Dobrze wyczuwacie — przerwał mi.

Nie kwapił się, by przejąć amulet z mojej dłoni i tylko przyglądał mu się badawczo, a jego twarz ściągnęła się w grymasie zakłopotania.

— Nie wiem, nie wiem — odezwał się w końcu, wyraźnie zły, że nie potrafi na pierwszy rzut oka rozpoznać przeklętego przedmiotu. — Muszę to sprawdzić... Ale — podniósł na mnie wzrok — dobrze, że pojawiliście się w Amszilas. Zaczekajcie tu, jeśli łaska. Mogę?

Skinąłem głową, a on zabrał amulet z mojej dłoni.

— To może trochę potrwać — rzekł. — Chcecie czegoś? Jesteście głodni? Spragnieni?

— Spragniony wiedzy — odparłem, gdyż byłem tak zmęczony, że nie chciało mi się ani jeść, ani pić.

— A to tak jak my wszyscy — odparł bez uśmiechu i pospiesznie zniknął za drzwiami.

Stary mnich nadal wertował pergaminy, mrucząc, i to jego spokojne, ciche, przypominające zaśpiew mruczenie ukołysało mnie do snu. Ale otworzyłem oczy, kiedy tylko usłyszałem skrzypnięcie drzwi. Tym razem w progu stanął kolejny starzec, wyglądający niczym brat bliźniak mojego cichego towarzysza. Nawet bielmo również miał na oku, tyle że nie na lewym, lecz na prawym. Wstałem.

— Mordimer Madderdin, tak? — zapytał, a ja skinąłem głową.

— Przygotowano dla was celę, mistrzu Madderdin — rzekł. — Dostaniecie papier, inkaust, a jeśli zechcecie, to zejdźcie do kuchni na kolację. Życzymy sobie, byście szczegółowo opisali, w jaki sposób weszliście w posiadanie tego przedmiotu. Zrozumieliście mnie?

— Tak, bracie — odparłem, bo przecież niewiele tu było do rozumienia.

— Dobrze, możecie więc odejść.

— Dziękuję, bracie — powiedziałem i odwróciłem się.

— Mordimer... — Jego głos, nieco łagodniejszy niż przed chwilą, zatrzymał mnie w progu. — Nie chciałbyś zadać żadnych pytań?

Zauważyłem, że kancelista uniósł głowę znad stosu dokumentów.

— Nie, bracie — rzekłem. — Ale szczerze wdzięczny jestem za twą troskę...

Roześmiał się suchym, starczym śmieszkiem i obnażył w tym śmiechu gołe dziąsła.

— Amulet, który przyniosłeś, służy do odprawienia krwawego obrzędu przywołania demona — powiedział. — Rzekłbym nawet, że jest niezbędnym składnikiem tegoż obrzędu. W czasie ceremonii mężczyzna musi w dzień swych pięćdziesiątych urodzin poświęcić młodą kobietę, aby odzyskać młodość oraz siły witalne. — Pokiwał głową. — Istnieją jednakże dwa warunki, znacznie utrudniające dokonanie ofiary...

Tym razem wyraźnie czekał na moje pytanie, więc postanowiłem je zadać.

— Jakież to warunki, jeśli wolno wiedzieć, bracie?

— Kobieta, po pierwsze, musi być dziewicą, a po drugie... — zawiesił głos dla lepszego efektu — jego córką. — Znowu zachichotał. — Czegóż to ludzie nie oddadzą za młodość i jurność, prawda?

Nie odezwałem się ani słowem, gdyż nic już nie było do powiedzenia. Zrozumiałem, jakim byłem idiotą i jak dałem się wykorzystać chytremu Loebe. Pojąłem również, dlaczego kupiec pilnie chronił córkę przed mężczyznami i dlaczego młody człowiek, kochający Ilonę, tak rozpaczliwie pragnął pozbawić ją dziewictwa. Wolał, żeby go znienawidziła, wolał dać głowę jako sprawca raptu, niżby straciła życie w czasie dokonywania krwawej ofiary. Ba, aby jej pomóc, zdecydował się nawet zostać ofiarą obrzydliwych, sodomicznych igraszek, zyskując pomoc Andreasa Kuffelberga. Zrozumiałem też wreszcie jego ostatnie słowa. To bełkotliwe „U... ura... ato...” miało znaczyć nic innego jak: „uratowałem ją”.

Oczywiście, wystarczyło, by porywaczom udało się przetrwać jeszcze tych osiem dni, o których mówili w piwnicy Johann z Olim. Wtedy minąłby termin urodzin Loebego, a wraz z tym terminem minęłoby również śmiertelne zagrożenie dla dziewczyny. Niestety, najpierw wasz uniżony sługa, a potem już sam kupiec byli na tyle sprytni, że dotarli do kryjówki Schwimmerów.

Teraz również oczywisty stawał się nieprawdopodobny atak szaleństwa starego Loebe, którego powody wcześniej wydawały mi się mocno wyolbrzymione. Pamiętałem jego rozpaczliwy szloch, wilcze wycie i wściekłość w oczach, która ustąpiła miejsca bolesnemu otępieniu. A więc nie chronił własnego dziecka, lecz dbał jedynie, by dziewczyny nie zbezczeszczono zanim nie zostanie poświęcona demonowi... Rozpaczał, gdyż stracił szansę na drugą młodość, a nieszczęście córki nic dla niego nie znaczyło.

Zagadką pozostawało dla mnie jedynie, w jaki sposób Johann dowiedział się o zdradzie Loebego? Czy podsłuchał jakąś rozmowę lub podejrzał mroczne rytuały? I dlaczego wiedząc, co się ma stać, nie powiadomił Świętego Officjum! Cóż, tego nie dowiem się nigdy, gdyż Schwimmer zdawał już relację ze swych uczynków przed Panem oraz Jego Aniołami. Trudno jednak nie zauważyć, iż był sam sobie winien, próbując rozwiązać rzecz własnymi siłami, a nie starając się nawet zaufać mądrości Inkwizytorium. Wszak to my jesteśmy od tego, by mierzyć siły ze złem i badać oraz karać przeklęte herezje. My czuwamy nad spokojem duszy prostych ludzi i jakże bolesne było przekonać się po raz kolejny, że ci, których z całej mocy bronimy, nie ufają nam, tak jak ufać powinni.

Zabawny jednak wydawał mi się fakt, że Loebe był przekonany, iż o wszystkim doskonale wiem, i właśnie dlatego kazał mnie zabić oraz zdecydował się na pospieszne zlikwidowanie wszelkich interesów oraz ucieczkę (bo nie mógł mieć pewności, iż nie pozostawiłem komuś informacji). Przecież w innym wypadku wzięłaby górę ostrożność i kupiecka chytrość i nie mając świadków swych złowrogich postępków, starałby się zatuszować całą sprawę, uznając ją za zwykłe porwanie. W jakiś więc sposób, choć wysoce nieświadomie, przyczyniłem się do wykrycia podłego kultu wyznawców demona. Przyznam jednak szczerze, że niewielkie było to pocieszenie...

Nie sądziłem, by ktokolwiek w Amszilas był zachwycony moim raportem, ale nie zamierzałem również niczego ukrywać. Czym innym bowiem było składanie niepełnych raportów Jego Ekscelencji biskupowi Hez-hezronu, a czym innym próba oszukania mnichów i powiązanego z nimi Wewnętrznego Kręgu Inkwizytorium. Miałem wrażenie, że nie wyszłoby mi to na zdrowie, i nie byłem na tyle głupi, by próbować podobnych sztuczek.

— Błogosławieni ubodzy duchem, gdyż ich jest Królestwo Boże — powiedziałem tylko z gorzkim szyderstwem, myśląc o własnej nieroztropności.

Stary mnich pokiwał głową, a potem odwrócił się i zniknął za drzwiami znajdującymi się za biurkiem kancelisty. Westchnąłem i wyszedłem na korytarz, gdzie oczekiwał już nowicjusz, mający wskazać mi drogę do celi.

Czekała mnie ciężka noc, którą zamierzałem poświęcić na napisanie raportu, tak jak mnie zobligowano. Nie miałem również wątpliwości, że prędzej czy później czeka mnie sprawiedliwa kara, ale wiedziałem, iż przyjmę ją z właściwą sobie pokorą, wypełniony tęskną radością oraz bojaźnią Bożą. Ośmielałem się mieć nadzieję, że Święte Officjum pozwoli mi zmazać winy i powierzy zadanie wytropienia Ulricka Loebe, aby następnie przywieść go na przesłuchanie do Amszilas. Oczywiście, kupiec musiał ukryć się daleko od Hezu i zmienić nazwisko, ale wiedziałem też, że nic i nikt nie może się równać z cierpliwą miłością Inkwizytorium, które prędzej czy później znajdzie okazję, aby przywrócić każdego grzesznika na łono naszego błogosławionego Kościoła.

### Epilog

Użyłem swych wpływów, by umieścić Ilonę w siedzibie hezkiego Inkwizytorium, teoretycznie, by mogła składać zeznania dotyczące postępowania ojca, w praktyce dlatego, że nie miała po prostu gdzie się podziać. Jednak taki stan rzeczy nie mógł trwać wiecznie. Inkwizytorium nie jest zajazdem, w którym można odpocząć i przeczekać złe chwile.

Z córką Loebego spotkałem się w bocznym skrzydle gmachu Świętego Officjum, w małej izdebce, którą dla niej przeznaczono. Kiedy wszedłem, siedziała na łóżku smutna i blada, wpatrzona niewidzącym wzrokiem w rozproszone światło dnia bijące z niewielkiego, wąskiego okienka.

— Witaj, Ilono — powiedziałem.

Obróciła się w moją stronę, a ja zauważyłem, że straszne przeżycia wyryły na tej pięknej twarzy, tuż pod oczami, głębokie zmarszczki. O, mili moi, nie zrozumcie mnie źle. Ilona nadal była olśniewająca, lecz urodą kobiety, a nie niewinnej dziewczynki pozbawionej trosk oraz zmartwień.

— Witajcie — rzekła bezbarwnym tonem. — Będę musiała stąd odejść, prawda?

— Tak, moja droga — odparłem. — Nic na to nie mogę poradzić. Czy nie masz żadnej rodziny?

— Nie, mówiłam wam już. — Wzruszyła ramionami. — Matka umarła przy połogu, braci ojca zabrał mór... Miałam tylko jego. A teraz mam jedynie to, co tu. — Spojrzała w stronę rzeźbionego w gryfy kufra, który stał w rogu izby.

— Klejnoty? Kosztowności? Naczynia?

— Trochę sukien. — Pokręciła głową. — Trochę świecidełek. Może wystarczy na kilka miesięcy skromnego życia. Ritter mówi, żebym pojechała do stolicy. — Ożywiła się nieco. — Że poleci mnie swym przyjaciołom. Może będę mogła grać?

— To ciężki chleb, Ilono — powiedziałem. — Zwłaszcza jak zaczyna się bez przyjaciół i pieniędzy.

— Oświadczył mi się, wiecie, mistrzu? — Uśmiechnęła się leciutkim uśmiechem, pozbawionym jednak wesołości.

— O! — powiedziałem tylko, gdyż nabrałem do mistrza Rittera nowego szacunku. — I co odpowiedziałaś, jeśli wolno spytać?

— Nie kocham go — rzekła po prostu. — Jest... przyjacielem.

— Przykro mi to powiedzieć, Ilono, ale jeśli złapiemy twego ojca i jeśli zostanie skazany przez Święte Officjum, co, da Bóg, niedługo się wydarzy, to cały jego majątek przepadnie na rzecz Inkwizytorium. Takie jest prawo.

— Wiem — odparła.

Podniosła na mnie oczy pełne łez.

— Dlaczego mi to zrobił? — zapytała. — Przecież tak bardzo go kochałam. Myślałam, że dba o mnie, że opiekuje się mną... A byłam tylko jak świnia, którą trzeba tuczyć na rzeź — dodała ostrzejszym tonem i zobaczyłem, że palcami ściska fałdy sukni.

— To prawda — odparłem, gdyż nie zamierzałem jej pocieszać. — Ale musisz teraz nauczyć się żyć z tą myślą. Jeżeli nie możemy czegoś zmienić, musimy się z tym pogodzić. A przeszłości z całą pewnością zmienić nie potrafimy.

— Znajdziecie go? — zapytała, patrząc teraz gdzieś nad moją głowę.

— Oczywiście — odparłem. — Nie dziś, to jutro, nie za miesiąc, to za dwa lub za rok. Officjum jest cierpliwe i wytrwałe...

— Jak już go znajdziecie... Spytajcie... dlaczego...

Pokiwałem głową, ale szczerze mówiąc, nie musiałem rozmawiać z Loebem, by znaleźć odpowiedź na tak postawione pytanie. Ludzie zawsze pragnęli nieśmiertelności lub choćby długiego życia. Młodości, sił witalnych, bogactwa. I za te marności doczesnego bytu potrafili poświęcić nieśmiertelną duszę. Byli godni nie tylko potępienia, ale także, a może przede wszystkim, litości. Potępienie leżało w rękach Wszechmocnego Pana, my mogliśmy im ofiarować jedynie litość i posłać ich przed Tron Pański drogą nieogarnionego, lecz pełnego miłości bólu.

— Zastanawiałem się, co mógłbym dla ciebie zrobić — powiedziałem powoli. — I przyszło mi do głowy pewne rozwiązanie.

— Tak? — Spojrzała na mnie bez cienia zainteresowania.

— Znam dobrze kobietę, prowadzącą dom, w którym spotykają się bogaci kupcy oraz szlachta. Sądzę, że mógłbym jej polecić właśnie ciebie...

— A cóż miałabym robić?

— Pięknie wyglądać, mądrze rozmawiać, sączyć wino, flirtować...

— Mówicie o domu schadzek! — Wbiła we mnie wzrok z niedowierzaniem i nagle się rozpłakała. — Naprawdę chcecie dla mnie takiego losu? Już tak bardzo jestem nic niewarta w waszych oczach? Może to i prawda — ciągnęła ze szlochem — bo i w moich własnych nic nie znaczę.

Objąłem ją i przytrzymałem, bo szarpnęła się mocno.

— Dziecko — powiedziałem. — Wysłuchaj mnie, zanim potępisz. Owszem, to dom schadzek, ale nie zmuszą cię do niczego wbrew twej woli. Zrozum, będziesz atrakcją dla gości. Piękna, zdolna, ujmująca, niegdyś bogata dziewczyna, którą własny ojciec wydziedziczył i chciał zamordować. Nie wolno ci wspomnieć o tym, czego dowiedziałaś się w czasie przesłuchań, ale przecież możemy rzucić słówko tu i tam, by podsycić ludzką ciekawość. Zapłacą szczerym złotem, aby tylko móc z tobą porozmawiać oraz zyskać nadzieję, że rozmowa przyniesie bardziej szczodry plon.

Znieruchomiała w moich ramionach i tylko szlochała mi w szyję. Czułem jej ciepły oddech oraz łzy.

— Po miesiącu, natomiast, udamy się z pewną wizytą, która, mam nadzieję, przyniesie ci wiele korzyści. Uwierz mi.

— Inkwizytorowi? — szepnęła z ustami przy moim karku.

— Cóż, skoro nasz Pan mógł zawierzyć celnikom oraz nierządnicom... — odparłem.

###### \* \* \*

Tamila nie była kobietą pierwszej młodości i zapewne minęło już kilka lat od czasu, kiedy przekroczyła trzecią dziesiątkę życia. Jednak na jej twarzy nie zatarł się dziewczęcy wdzięk, może tylko przywrócenie go zajmowało jej każdego ranka nieco więcej czasu niż dawniej. Niemniej, miała nie tylko interesującą twarz, ale i piękne ciało. Którego powabów w dodatku, jak przystało na szanującą się właścicielkę znanego domu schadzek, nie zamieniała na brzęczące denary.

Usiedliśmy w wygodnych fotelach w pokoju, w którym przyjmowała gości chcących wyłuszczyć jej szczególne prośby. Pokrótce opisałem problem, z jakim miałem do czynienia, oczywiście nie wnikając w mroczne tajemnice śledztwa, o których nie powinien wiedzieć nikt postronny. Wysłuchała mnie spokojnie, a potem milczała przez chwilę.

— Zwariowałeś? — zapytała w końcu, spoglądając na mnie wzrokiem, który trudno było uznać za przyjazny. — Czy ten dom przypomina ci filozoficzną akademię?

— A skąd ty znasz takie trudne słowa? — zadrwiłem.

— Zdziwiłbyś się — odparła ostrym tonem. — Mogę przyjąć tę twoją dziewczynę, ale będzie robić wszystko, co trzeba tu robić. A wiedz, że na nieposłuszne mam chłostę, wizyty klientów o szczególnych — uśmiechnęła się wyjątkowo wrednie przy tym słowie — upodobaniach oraz wyrzucenie na ulicę.

Rozejrzałem się po pokoju i wskazałem palcem wiszący na ścianie okazały gobelin, przedstawiający świętego Jerzego zabijającego smoka. Smok pełzał pod kopytami wierzchowca z głupawym wyrazem pyska, jakby dziwił się, skąd w jego piersi wziął się ten ostro zakończony kawałek drewna. Święty Jerzy natomiast uśmiechał się triumfalnie, a jego złotą czuprynę okalała promienista aureola.

— Czyż to nie gobelin, który kupiła jeszcze świętej pamięci Lonna? — spytałem łagodnie. — Piękny, prawda?

Wzrok Tamili pobiegł najpierw w stronę gobelinu, a potem wrócił do mnie. Przypomnienie Lonny musiało jej dać do myślenia. W końcu poprzednia właścicielka tego wesołego domu została skazana za szereg grzechów. A skazanie to dziwnie zbiegło się w czasie z zerwaniem więzów przyjaźni, które niegdyś łączyły ją z waszym uniżonym sługą. Oczywiście, była to jedynie sprawa przypadku...

— To wbrew obyczajom tego domu — powiedziała łagodniejszym tonem i wiedziałem już, że się podda.

— Przecież to ty ustalasz reguły — odparłem. — To ciebie inni muszą słuchać, a nie odwrotnie.

Odetchnęła, a bujne piersi poruszyły się pod suknią.

— Masz rację. — Kiwnęła głową. — Ale wiedz, że zrobię to tylko w imię przyjaźni, która nas łączy. Zaopiekuję się tą dziewczyną i nie spotka jej krzywda.

— Jestem szczerze wdzięczny i z całą pewnością nie zapomnę o oddanej mi przysłudze. Poza tym jestem przekonany, iż wielu ludzi zadziwi twa niezwykła wielkoduszność. Gdyby jednak, z woli nie dającego się wszak przewidzieć przypadku, nastąpiły jakiekolwiek komplikacje, byłbym doprawdy niepocieszony...

— O jakich komplikacjach mówisz? — Spojrzała na mnie bystro.

— Gdyby, na przykład, dziewczynę wbrew twej woli i bez twej zgody, rzecz jasna, zgwałcił któryś z klientów, oczywiście, taki z ciężkim mieszkiem i dużymi wpływami, wtedy odwiedziłbym cię pewnej pięknej nocy, moja miła przyjaciółko...

— I? — spytała, a ja z satysfakcją zauważyłem, że zadrżały jej usta.

— I ponieważ, przy wszystkich innych talentach, jestem również zręcznym iluzjonistą, więc pokazałbym ci kilka sztuczek, które zapamiętałabyś do końca życia — dokończyłem łagodnym tonem.

— Ach tak... — szepnęła i spojrzała na mnie, a ja zauważyłem, że ma zamglone oczy. — Ciekawe, dlaczego czuję dreszcz, kiedy słyszę w twoim głosie tak przekonującą słodycz?

Ująłem jej upierścienioną dłoń. Cudnie błyszczący pierścień z rubinem musiał być wart co najmniej kilkaset koron. Podobnie jak jego szmaragdowy braciszek.

— Czy to miły dreszcz? — zapytałem.

Wciągnęła lekko powietrze i przysunęła się w moją stronę.

— Niepokojący — odparła, zagryzając pełne usta.

Powiodłem delikatnie palcami od opuszka jej wskazującego palca aż po nadgarstek.

— Czy mogę coś na to zaradzić?

— Mmmm... tak... — westchnęła i znalazła się tuż przy mnie. Jej włosy załaskotały mnie w nos. — Jesteś taki słodki, Mordimerze — zaszeptała. — Taki uroczy...

Wyczułem w jej głosie żar, który znamionował, że nieprędko opuszczę ten pokój. Zresztą, nie miałem nic przeciwko temu, gdyż uznałem, że określenia „słodki” i „uroczy” zdumiewająco dobrze pasują do mojego łagodnego charakteru oraz wykwintnych manier.

###### \* \* \*

— Nie jest źle — powiedział kancelista Jego Ekscelencji, kiedy mnie zobaczył.

Wykrzywił w uśmiechu suche wargi, a ja odpowiedziałem uśmiechem i odetchnąłem z ulgą. Słowa „nie jest źle” oznaczały, że biskup był w nie najgorszym nastroju, może lekko pijany, ale w każdym razie nie dręczyły go ani podagra, ani wrzody, ani uczulenia skóry. Całe szczęście, gdyż konwersacja z cierpiącym Gersardem kończyła się zwykle mało przyjemnie dla rozmówców. Humory Jego Ekscelencji nauczyłem się już znosić ze stoickim spokojem i traktowałem niczym naturalne kataklizmy, ale tym razem zależało mi na pomyślnym zakończeniu audiencji, która mogła przecież zadecydować o przyszłości Ilony.

Zastukałem do drzwi, nie nazbyt głośno, by nie poczytano tego za arogancję, ale i nie nazbyt cicho, by nie wydać się zbyt bojaźliwym. Biskup lubił bowiem odwagę cywilną. No, oczywiście, do pewnych granic, do pewnych ściśle określonych granic...

— Wejść. — Usłyszałem dziarski głos Gersarda i nacisnąłem klamkę.

Jego Ekscelencja siedział przy ogromnym stole w pierwszej komnacie swego gabinetu — przy stole, który otaczało szesnaście czarnych, rzeźbionych krzeseł. Przed Gersardem piętrzył się stos dokumentów, a obok stała jasnozielonego koloru flasza do połowy wypełniona winem i kryształowy kielich kunsztownie inkrustowany złotem.

— Mordimer, mój synku — zagadnął przyjaźnie biskup i wtedy dostrzegł Ilonę. — Ach, a to zapewne młoda dama, o której wspominałeś — dodał, wstając z miejsca. — Pozwól no, moje dziecko...

Ilona podeszła do Jego Ekscelencji i przyklękła, pochylając nisko głowę. Miała wysoko zaczesane włosy, czepeczek na głowie i ciemną, skromną suknię upiętą pod samą szyję. Wyglądała w tej chwili niemal jak zakonnica oddająca hołd swemu duszpasterzowi.

— Nie trzeba, nie trzeba — rzekł dobrotliwie biskup, ale wysunął pierścień do ucałowania. — Posiedźcie chwilę ze starym, samotnym człowiekiem. — W jego głosie zadrgał smutek, a ja domyśliłem się, że butelka stojąca na blacie nie była dzisiaj pierwszą, z której zawartością zapoznawał się Gersard.

— Widzisz, Mordimerze, czego ode mnie chcą. — Szerokim gestem omiótł biurko. — Petycje, wyroki, sprawozdania, raporty, bilanse, skargi, donosy... A ty czytaj wszystko, człowieku, mimo że oczy ślepną w mroku... Z miesiąca na miesiąc coraz gorzej widzę — poskarżył się Ilonie boleściwym tonem.

— Ktoś powinien tego zabronić Waszej Ekscelencji — powiedziałem stanowczo.

— Słucham? — zapytał biskup nagle otrzeźwiałym tonem i obrócił głowę w moją stronę.

— Wasza Ekscelencja jest zbyt wielkim skarbem dla naszego miasta, abyśmy mogli spokojnie patrzeć, jak zapracowuje się, nie bacząc na własne zdrowie...

Gersard patrzył na mnie przez chwilę w milczeniu. Jego oczy przypominały przez chwilę ciemne kamienie, ale potem znowu po pijacku się zamgliły. Gersard wzruszył ramionami i uśmiechnął się smutno.

— I widzisz, dziecko — zwrócił się do Ilony. — Niewielu jest takich, jak ten zacny chłopiec. Im tam — znowu machnął dłonią, ale tym razem w stronę drzwi — wszystko jedno, czy jestem zdrowy, czy chory, abym tylko czytał, podpisywał, wysłuchiwał, radził, zalecał. — Siorbnął głośno z kielicha. — Pan ciężko doświadcza swe wierne sługi...

Zważywszy na dochody z biskupich lenn oraz fakt, że dłużnikami Gersarda było wielu kardynałów, a nawet sam Ojciec Święty, doświadczenia te nie były, moim zdaniem, nazbyt ciężkie. Ale, rzecz jasna, nie zamierzałem dzielić się z Jego Ekscelencją mymi spostrzeżeniami, gdyż w następstwie takiej rozmowy nie miałbym zapewne okazji dzielić się już niczym i z nikim.

— Nalejcie sobie, dzieci, winka — zaproponował biskup. — I powiedzcie, z czym przychodzicie do starego człowieka?

Z doświadczenia wiedziałem, że biskupa, kiedy był w podobnym nastroju, bardzo łatwo było zanudzić, a wtedy już małe były szanse, aby uzyskać, czego się pragnęło. Dlatego niezwykle krótko, ale też obrazowo opowiedziałem historię Ilony. Kiedy mówiłem, że zmuszona jest teraz mieszkać u swej dalekiej krewnej Tamili, prowadzącej dom schadzek, oraz znosić widoki, których nie powinna znosić żadna młoda, wychowana w niewinności dama, biskupowi Gersardowi zaszkliły się oczy.

— Moje dziecko, moje dziecko — wymamrotał. — Co za straszna historia. Jak twój ojciec mógł wykorzystać tak niewinne stworzenie...? — Przetarł oczy wierzchem dłoni. — Co zrobiliśmy w tej sprawie, Mordimerze? — zapytał nagle rzeczowym tonem.

— Rozesłano rysopis Loebego do wszystkich oddziałów Inkwizytorium — odparłem szybko, gdyż spodziewałem się tego pytania. — Powiadomiono justycjariuszy, cechy, rady miejskie, mówiąc im, że poszukujemy fałszerza oraz zabójcy. Powiadomiono także... — zawiesiłem głos — kogo trzeba.

— Kogo trze... — zaczął biskup. — Ach, tak — dodał po chwili. — To dobrze, że ich również... — Potarł palcami podbródek. — To dobrze. Tak, rzekłbym nawet, że to więcej niż właściwe...

— Czyli zostałaś bez majątku? — Obrócił spojrzenie na Ilonę.

— Tak, Wasza Ekscelencjo — odparła, pochylając głowę.

— Mordimer mówił, że grałaś z komediantami. Zabawisz starego człowieka?

Przygryzłem usta. Rozmowa zbaczała w niebezpiecznym kierunku, zważywszy fakt, że Gersard uznawał występy kobiet na scenie za nieobyczajne. Czyżby chciał dla kaprysu lub też z czystej złośliwości upokorzyć dziewczynę, by w następstwie tego upokorzyć mnie? Nie wiedziałem, gdyż humory podchmielonego biskupa zmieniały się jak pogoda na wiosnę. Może był i starym, schorowanym pijakiem, ale nie doszedłby do tego, do czego doszedł, gdyby nie potrafił krzywdzić ludzi. I zawsze trzeba było pamiętać o tym, iż towarzystwo Jego Ekscelencji jest równie bezpieczne, co towarzystwo jadowitego węża.

— Oczywiście, Wasza Ekscelencjo — odpowiedziała cicho Ilona i wstała.

Rozpoczęła monolog, który słyszałem już przedtem. Na początku jej głos lekko drżał, a biskup wydawał się nawet nie słuchać i przerzucał dokumenty ze znudzonym wyrazem twarzy. Ale potem Ilona przymknęła oczy, jakby chcąc znaleźć się w świecie, który widziała tylko ona jedna i nikt poza nią. Jej głos spotężniał. Opowiadała o tęsknocie i miłości, o nienawiści i strachu, o poświęceniu oraz odwadze. Gersard zamarł z palcami na jednej z kart, a jego wzrok powędrował w stronę pięknej aktorki. Ilona wydawała się w tym momencie jaśnieć niczym pochodnia rozpalona w mrocznym pokoju, a jej głos rozbrzmiewał nie tylko wokół nas, ale i w naszych sercach. Potężniał, zagarniał i opromieniał. Kiedy mówiła o zemście na mordercy ukochanego, zauważyłem, że bezwiednie sięgnąłem dłonią do przytroczonego u pasa sztyletu. Wreszcie skończyła i zwiesiła głowę, a Gersard długą chwilę wpatrywał się w nią martwym wzrokiem.

— Zostaw nas teraz samych, moje dziecko — rozkazał chrapliwie.

Ilona wycofała się w milczeniu. Gersard spojrzał na mnie bystro, kiedy drzwi się już zamknęły.

— Czego ty ode mnie chcesz, Mordimerze? — zapytał tonem, który z obojętnego zaciekawienia mógł się rychło zmienić w niechęć. — Kim ona dla ciebie jest? Cudzołożysz z nią?

— Przysięgam, że nie, Wasza Ekscelencjo — odparłem pospiesznie.

— A więc? Od kiedy moi inkwizytorzy bezinteresownie zajmują się losem pokrzywdzonych dziewic? — Usłyszałem w jego pytaniu drwinę.

Sam zadawałem sobie podobne pytanie, więc nie tak łatwo było mi odpowiedzieć, kiedy je zadał.

— Jej życie zawaliło się w gruzy — powiedziałem. — I nie widzę w tym nawet ułamka jej własnej winy. Czy zasłużyła na tak gorzki los?

To, co mówiłem, było oczywiście prawdą, ale z pewnością nie całą prawdą. W Ilonie Loebe było po prostu to coś, co powodowało, że chciałem wydać się w jej oczach lepszym człowiekiem. Widziałem ją upokorzoną, brudną, gwałconą, nieszczęśliwą, z twarzą wykrzywioną nienawiścią, strachem oraz rozpaczą. Niektóre z tych obrazów budziły mój żal lub gniew, ale żaden nie budził odrazy. Widziałem ją też szczęśliwą, roześmianą, natchnioną, z oczami rozpłomienionymi miłością lub rozjarzonymi gniewem. I sądziłem, że świat zasłużył na odrobinę piękna, którą ona mogła mu dać. Nie zamierzałem jednak tego wszystkiego mówić Gersardowi, gdyż niechybnie uznałby, że oszalałem. Zresztą... może nie?

— A ja? Czy mój los nie jest gorzki? Czy zasłużyłem sobie na podagrę, wrzody, na codzienne obcowanie z głupcami takimi jak ty i setki innych? — zapytał rozeźlony biskup.

— Oczywiście, że Wasza Ekscelencja na to zasłużył — odparłem i zobaczyłem, jak na jego twarzy pojawia się gniewne zaskoczenie, a oczy znowu ciemnieją. — Gdyż Wasza Ekscelencja — kontynuowałem szybko — nie bacząc na własne cierpienie, poświęcił siły Bożej chwale i doczesnemu szczęściu niewdzięcznych obywateli tego miasta. Wasza Ekscelencja dźwiga krzyż Chrystusowy, nie bacząc na cenę, którą przychodzi płacić każdego dnia oraz nie oczekując uznania bliźnich.

Zamilkłem i z drżeniem serca czekałem, jak zareaguje biskup. Gniewny grymas powoli ustąpił z jego twarzy. Przetarł powieki dłonią.

— To prawda — powiedział w zamyśleniu i uniósł wzrok ku sufitowi. — Szczera prawda, synku, że służę Panu, jak tylko potrafię, choć każdego dnia płaczę, mówiąc: „Eli, Eli, lama sabachtani”. Ale nie każdy jest zdolny ponieść krzyż. To chciałeś powiedzieć, czyż nie?

— Wasza Ekscelencja czyta w moich myślach — odparłem cicho.

— Ona go nieść nie musi — rzekł jakby do siebie. — I ja go zdejmę z jej ramion — zadecydował, wzdychając głęboko. — Podaj mi pióro, synku.

Szukał przez dłuższy czas czystej karty, a potem zaczął pisać, lecz bałem się przyglądać, co dokładnie. W końcu posypał pismo piaskiem i przeczytał uważnie. Popchnął dokument w moją stronę.

— Niech kancelaria go podpieczętuje — rzekł. — Każ im też przygotować wniosek o przyznanie pannie Loebe dożywotniej rocznej pensji w wysokości... — urwał i spojrzał na mnie. — W jakiej wysokości, Mordimerze?

— Sama świadomość łaskawej pamięci Waszej Ekscelencji będzie dla niej wystarczającą pociechą — odparłem uniżonym tonem, gdyż Gersard zapewne wystawiał mnie na próbę.

— Ja wiem — znowu westchnął — ale żyć trzeba... Powiedzmy: trzysta koron.

Nie były to wielkie pieniądze, zwłaszcza by utrzymać się za nie przez cały rok, ale komuś chcącemu żyć skromnie, choć godnie, mogły najzupełniej wystarczyć.

— To więcej niż szczodrobliwie, jeśli wolno mi wyrazić własne zdanie — powiedziałem.

— Albo i pięćset. — Machnął upierścienioną dłonią. — Te kilka groszy nie zuboży przecież biskupstwa. Możesz już odejść.

Skłoniłem się głęboko, ale biskup nagle wstał z krzesła i zbliżył się do mnie chwiejnym krokiem. Owionął mnie zapach wina.

— Kiedy na nią patrzyłem — powiedział Gersard, opierając się ciężko na moim ramieniu. — Pragnąłem, by... — zatoczył się niebezpiecznie, więc go podtrzymałem za łokieć — by jej oczy... — zamilkł na długą chwilę.

— Odbiły prawdziwy obraz? — spytałem cicho, chociaż zapewne powinienem ugryźć się w język.

Spojrzał na mnie spod zapuchniętych powiek. Teraz dopiero, z bliska, zauważyłem, że na twarzy pojawiły mu się ciemne, wątrobiane plamy. Był tylko starym, chorym i nieszczęśliwym człowiekiem, w którego oczach malowało się śmiertelne znużenie.

— Tak — odparł. — Ty rozumiesz, Mordimerze, prawda?

— Rozumiem, Wasza Ekscelencjo — odparłem, zastanawiając się, czy w przyszłości nie zapłacę zbyt wysokiej ceny za chwilę szczerości biskupa.

— Właśnie. — Popchnął mnie lekko. — Idź wreszcie, niech nie czeka.

Przyklęknąłem i ucałowałem biskupi pierścień. W oku tego pierścienia wprawiony był okruch kamienia, na który nastąpił nasz Pan, schodząc z krzyża swej męki. Lecz Gersard nie patrzył na mnie, ale gdzieś w przestrzeń. Może spozierał na zgliszcza własnej młodości, a może z obawą popatrywał w przyszłość? A może tylko zastygł w pijackim otępieniu? Któż to mógł wiedzieć? I kogo to tak naprawdę obchodziło?

Zamknąłem za sobą ostrożnie drzwi i wtedy dopiero spojrzałem na dokument. List kredytowy opiewał na sumę płatną na okaziciela.

— Mój Boże — powiedziałem i podałem kartę Ilonie.

Wpatrywała się w niewyraźne pismo Gersarda, jakby nie mogła pojąć jego treści.

— Pomylił się o jedno zero, prawda? — zapytała cicho.

— Nie — odparłem. — Suma została również wypisana słownie. Do tego zapewnił ci roczną pensję. — Odetchnąłem głębiej. — Zostań tu, moja droga, a ja załatwię niezbędne formalności. To jeszcze chwilę potrwa.

###### \* \* \*

Staliśmy przy białej bramie biskupiego pałacu, kilkanaście kroków od znudzonych strażników, którzy drzemali, opierając głowy na drzewcach halabard. Zachodzące słońce połyskiwało na srebrnych kopułach dachów.

— Ja nie wiem... Nie obraźcie się... Ale czy nie powinnam wam jakoś... podziękować. — Ilona sięgnęła bezwiednie dłonią tam, gdzie ukryła list kredytowy od Jego Ekscelencji.

— Nie, moja miła — odparłem stanowczym tonem, gdyż Mordimer Madderdin nie okrada biedaków, nawet jeśli niespodziewanie się wzbogacili. — Musisz zacząć nowe życie, a ta suma z całą pewnością ci się przyda. Pozwól też, że dam ci radę płynącą ze szczerego serca: nigdy więcej nie mów, że jesteś nic niewarta. Bo znaczymy tylko tyle, na ile potrafimy wycenić się we własnych oczach.

Podniosła na mnie wzrok i zobaczyłem, że płacze.

— To może zjecie ze mną chociaż obiad? — zapytała przez łzy.

— Niestety, moja piękna. Wybacz, ale jestem umówiony w pewnej nie cierpiącej zwłoki sprawie.

Pocałowałem ją w oba policzki, a ona uścisnęła mnie mocno i długo pozostała w moich objęciach.

— Dziękuję — powiedziała. — Naprawdę dziękuję. Zawsze, jeśli byście potrzebowali przyjaciela, możecie na mnie liczyć...

— To ja ci dziękuję — odparłem i kiwnąłem tylko głową, kiedy spojrzała na mnie z niezrozumieniem w oczach.

— Napisz, jak ci się wiedzie — powiedziałem na koniec. — A gdybyś miała kłopoty, nie zawahaj się mnie zawiadomić. Przybędę tak szybko, jak tylko będę mógł.

— Mój rycerz na białym koniu... — Uśmiechnęła się przez łzy i pogłaskała mnie po policzku.

Roześmiałem się, a potem patrzyłem za nią, jak odchodziła, smukła i śliczna, gotowa stawić czoła nowym wyzwaniom, które czekały ją w życiu. Westchnąłem. Mnie również czekały pewne wyzwania, choć nieco odmiennego rodzaju. Nie skłamałem bowiem, że czeka mnie nie cierpiąca zwłoki sprawa, gdyż dostałem kolejny czuły, acz ponaglający liścik od Tamili, z którą od pewnego czasu łączyły mnie głębsze więzy duchowej natury. Pokiwałem jeszcze Ilonie na pożegnanie dłonią, choć byłem pewien, że nie może tego gestu widzieć. Ale ja, cóż, po prostu lubiłem, jak słońce przegląda się w krwiście czerwonym krysztale rubinu, który od niedawna pysznił się na moim palcu. I miałem wrażenie, że być może nawet tej nocy dołączy do niego równie piękny szmaragdowy braciszek. Gdyż cóż, Tamila miała cechę, którą bardzo lubię u kobiet: wdzięczność za okazane jej, szczere i niewymuszone, względy.

## Kości i zwłoki

A jeśli u was jeden drugiego kąsa i pożera,

baczcie, byście się wzajemnie nie zjedli.

św. Paweł, list do Galatów

Kostucha trudno nazwać pięknym mężczyzną. Baaa, trudno go nawet nazwać mężczyzną niebudzącym odrazy. Przez jego płaską, ziemistego koloru twarz biegnie od ucha aż po kącik ust szeroka, pofałdowana blizna. Kiedy Kostuch mówi, blizna wydaje się poruszać, tak jakby pod skórą kłębiły się długie glisty, za wszelką cenę pragnące wyjść na światło dzienne. Jednak ja przyzwyczaiłem się już do mego towarzysza, odbyliśmy razem wiele kształcących podróży i przeżyliśmy przygody, w czasie których mogliśmy okazać przywiązanie do naszej świętej matki — Kościoła, a przy okazji zarobić również kilka groszy. Ot, tak, by dość było na suchy chleb i kubeczek wody, bo nawet inkwizytorom i ich pomocnikom choćby najgorętsza i najżarliwsza modlitwa nie wystarcza do życia.

Tym razem siedzieliśmy w zatęchłej oberży, gdzie dym i smród przypalonej kaszy unosiły się pod samą powałę, dziewka służebna miała twarz niechlujnej maciory, a karczmarz pochrapywał z głową opartą na szynkwasie, nurzając koniec nosa we własnych, zaschniętych już, wymiocinach.

Kostuch siedział naprzeciw mnie, z kapturem płaszcza zarzuconym na głowę i osłaniającym twarz. Jestem pewien, że nie czynił tak, by oszczędzić bliźnim przykrości oglądania swej twarzy. On po prostu lubił tę chwilę, kiedy dobrze oświetlony blaskiem świec, mógł jednym ruchem zerwać kaptur z głowy i spojrzeć na rozmówcę. Wierzcie mi, moi mili, że większości ludzi słowa więzły wtedy w gardle. Mnie osobiście bardziej przeszkadzał smród bijący z niemal nigdy niemytego ciała mego towarzysza, a także jego nigdy niepranej odzieży. Bóg w swej łasce obdarzył mnie czułym powonieniem, więc zwykle starałem się siadać w stosownej odległości od Kostucha lub po zawietrznej, ale tym razem, w karczmie, trudno było dokonywać podobnych manewrów. Przynajmniej smród spalonej kaszy był na tyle silny, że niemal zabijał słodki odór Kostuszej zgnilizny.

Kostuch zagmerał leniwie łyżką w czymś, co miało być wedle słów posługaczki cielęcą potrawką na białym winie. Obawiałem się jednak, że ta szarobrązowa breja, znajdująca się w jego misce, nie widziała nigdy ani cielaka, ani wina. Nawet Kostuchowi, którego podniebienie cechowała niemal taka sama wykwintność, jak zewnętrzny wygląd, jedzenie wyraźnie nie szło.

— I po cośmy tu przyjechali? — burknął. — Było jechać do Hezu, prosto jak w pysk, a nie włóczyć się tu i ówdzie...

Zmilczałem i upiłem łyk wina z poszczerbionego kubka. Wyraźnie zalatywało octem, więc odplunąłem pod stół.

— Grubo się mylą, jeśli myślą, że im za to zapłacę — mruknąłem do siebie.

Wziąłem pajdę chleba i zmacałem ją w palcach. W dotyku przypominała świeżo wyrobioną glinę i cuchnęła drożdżami.

— Na miecz Pana — jęknąłem.

Zgniotłem chleb w kulę i cisnąłem nią, celując w głowę śpiącego karczmarza. Nie trafiłem, a to dodatkowo popsuło mi humor.

— Spróbuj nożem — poradził Kostuch, lecz ja tylko westchnąłem.

Cechowała mnie bowiem nadmierna łagodność charakteru i na odbieranie życia bliźnim decydowałem się jedynie w krytycznych sytuacjach. Nic już nie mogłem na to poradzić, że byłem człowiekiem cierpliwym, miłosiernym oraz chętnie wybaczającym winy. Przynajmniej... do czasu.

— Przyjezdni, co? — Rozległ się głos za nami, odwróciłem wolno głowę.

Zobaczyłem chudego mężczyznę o twarzy porżniętej głębokimi dziobami po czarnej ospie. Jego kubrak nosił ślady łatania i cerowania oraz, jak mi się wydawało, był kopalnią informacji o jadłospisie właściciela. Przybysz wyglądał na pijaczka-naciągacza, jacy trafiają się zwykle w miejscach, gdzie ploteczki można sprzedać za pełen kielich. Niemniej człowiek ten musiał mieć w życiu trochę szczęścia, gdyż ślady po ospie świadczyły, że z dziesiątkującej przed laty ludność mocy strasznego moru udało mu się wyjść niewielkim kosztem.

— A co ci do tego? — warknął Kostuch, który w przeciwieństwie do waszego uniżonego sługi nie był człowiekiem łagodnych obyczajów.

— A nieeee, cu mi tam do tego... Wybaczcie, panowie. — Przybysza wyraźnie zaniepokoił ton Kostucha i chciał się cofnąć, ale zatrzymałem go gestem.

— Siadaj no. — Wskazałem mu miejsce na ławie i podsunąłem kubek kwaśnego wina.

Uśmiechnął się ze szczerą wdzięcznością i zaraz przechylił naczynie do ust.

— Mmmm — zamruczał. — Specjał, panie, ot, cu wam powiem...

Jak widać człowiek ten nie grzeszył nadmiernie wysublimowanym gardłem, ale niewątpliwie krzepiący był fakt, że Bóg stworzył nas, ludzi, tak różnych, iż trafiali się nawet tacy, którzy dziękowali Mu za możliwość napicia się skwaśniałej lury.

— Myślicie se no, panowie — chudzielec otarł usta zabrudzonym rękawem — że to ot, takie miasteczko, cu? A nieprawda. — Machnął w powietrzu wskazującym palcem. — Straszliwe tu się rzeczy dziejom, powiem wam, ot, straaszliwe...

— Jakież to rzeczy? — zapytałem.

Zawsze uważałem, że warto słuchać miejscowych legend, plotek i pogłosek. Czasami dostarczały nieco płochej rozrywki, a czasami można było dzięki nim odkryć coś znacznie ważniejszego, co ukryte było pod całym stosem bredni. A przecież nas — inkwizytorów — uczono właśnie, byśmy w pokorze słuchali ludzi i odsiewali ziarno prawdy od plew łgarstw.

Nasz nowy towarzysz smętnie zajrzał do pustego już kubka, więc kiwnąłem na posługaczkę.

— Przynieś no dzbanek — rozkazałem.

— A juże przynoszę — powiedziała, wyszczerzając w uśmiechu szeroko rozstawione, żółte zęby. — A jakbyście, panie, co innego sobie zażyczyli, to ja i usłużę wam jak trzeba... — Niby bezwiednym gestem przejechała opuchniętymi palcami po piersiach.

— Na razie tylko wina — mruknąłem.

— Abo widzicie, panowie dostojni, ale mamy tu w miasteczku — chudzielec pochylił się nad stołem i obniżył głos — ghula. Ot! — Pstryknął palcami, by nadać znaczenia swoim słowom.

— Ghula? — powtórzyłem. — Czyli, jak mniemam, ktoś zjada trupy?

— Ano. — Przytaknął. — Trupożerca, panowie, niech nu skonam. Grzebuje groby, wyciunga zwłoki, wyrzyna kawałki miensa, a czasem i całe nogi czy tam rynce pozabiera, taka jego mać...

Dziewczyna przyniosła dzbanek i postawiła go z hukiem na blacie. Mrugnęła do mnie.

— Pijcie. — Wskazałem wino miejscowemu. — I powiedzcie, jak was zwą?

— Achim Myszka, dostojny panie. Ojcu było Achim, dziadkowi Achim, to i jażem jestem Achim, jakby nie patrzyć...

Kostuch sięgnął po dzban, nalał sobie pełen kubek trunku i zaczął go sączyć. Ocienionej kapturem twarzy nadal nie było widać, ale zauważyłem, że Achim zerka w stronę mego towarzysza. No cóż, nie będzie zachwycony, kiedy jego ciekawość zostanie wynagrodzona.

— Wycina, mówisz? — spytałem. — A to sprytny ghul, że nie rwie ciała zębami i pazurami, ale używa noża.

— Ano... ot, sprytny... — Przytaknął chudzielec z wahaniem w głosie.

Wysączył wino z kubka do dna i szybko wlał sobie następną porcję.

— Pok-kornie dźkuję waszej dostojeności zza częstunek. — Głos mu się zaczął już plątać.

Widać miał wyjątkowo słabą głowę, gdyż nie dałbym złamanego szeląga, że ktoś zdoła upić się tą cienką lurą. Ale tak to już jest, że ludzie bez umiaru folgujący trunkowym upodobaniom potrafią z biegiem lat wypić coraz mniej wina czy piwa. Oczywiście bywały chwalebne wyjątki, ale Achim Myszka najwyraźniej do nich nie należał.

— I długo to już trwa?

Zagapił się na mnie z otwartymi ustami.

— Tego ghula. Dawno już macie? — dodałem.

— Oooo! — Machnął dłonią. — Byndzie ot, z rok, a może — zamyślił się — i ze dwa.

Spojrzałem na Kostucha, a on pokręcił głową.

— Do Hezu, Mordimerze — powiedział cicho, ale z naciskiem. — Jedźmy do Hezu.

Wzruszyłem ramionami, bo i tak wiedziałem, że będzie musiał zrobić, co rozkażę. W końcu właśnie ja byłem przywódcą stada, a na rządy demokracji pozwalałem jedynie wtedy, kiedy jej wyroki były po mojej myśli. Teraz, co prawda, stado składało się jedynie z Kostucha, ale zwykle podróżowaliśmy wraz z bliźniakami. Tym razem jednak Pierwszy i Drugi pozostali w Hezie, a z tego, co wiedziałem, mieli pilnie zająć się sprawami spadkowymi pewnego człowieka, na którego drodze do majątku po umierającym ojcu stał starszy brat. Nie pochwalałem takiego sposobu zarabiania pieniędzy, ale nie było też w nim nic, co mogłoby mnie niepokoić jako inkwizytora. W końcu zwykłe oszustwa czy morderstwa nie znajdowały się w obrębie zainteresowań Świętego Officjum. I naprawdę mieliśmy ważniejsze sprawy na głowie niż zajmowanie się skomplikowanymi sporami rodzinnymi. Miałem jednak nieodparte wrażenie, że dzięki bliźniakom zagmatwana sytuacja prawna zyska nieoczekiwaną klarowność, a juryści nie będą już mieli w tym wypadku wiele do roboty.

— Pojedziemy, Kostuch, pojedziemy — rzekłem uspokajającym tonem.

I rzeczywiście, kiedy wypowiadałem te słowa, jeszcze w nie wierzyłem, bowiem zajmowanie się jakimś obłąkanym trupojadem nie wydawało mi się zajęciem specjalnie interesującym. Chociaż z drugiej strony ludzkie mięso i kości mogły przecież służyć odprawianiu mrocznych rytuałów. Nie raz i nie dwa byłem już świadkiem tego, że zło potrafi zalęgnąć się nawet w najbardziej zapyziałej mieścinie. A może i chętniej zalęgało się właśnie tam, gdzie nie sięgało błogosławione światło Inkwizytorium. I choć staraliśmy się nieść pochodnie wiary (co niektórzy z mych braci pojmowali z daleko idącą dosłownością) do każdego zakątka naszego świata, jednak było nas zbyt niewielu, by wyplenić wszelkie zło. Cóż, jak mówiła Święta Księga: *żniwo co prawda wielkie, lecz robotników mało.*

— I co, zajął się ktoś waszym trupożercą? — spytałem Achima Myszkę, który opróżniał kolejny kubek.

Spojrzał na mnie niewidzącym wzrokiem i polało mu się na brodę.

— Żżecco? — zająknął się.

— Trupożercą. Czy zajął się ktoś? — powtórzyłem cierpliwie.

— Zajoł — odparł radosnym tonem. — Probosz napsał do kogositam. Szyjedzie tu. — Pokiwał palcem z powagą. — Szyjedzie donas... szyjedzie donas. — Wyraźnie się zamyślił. — Ktojsik szyjedzie — dokończył z satysfakcją i znowu chwycił za dzbanek.

Najwyraźniej nie było sensu dalej wypytywać, więc odsunąłem się trochę, gdyż Achim Myszka nadto śmiało balansował na dłoni kubkiem pełnym wina, a nie chciałem, by ochlapał mi płaszcz.

— Słyszałeś? — zagadnąłem Kostucha. — Ktoś ma przyjechać do tej dziury.

— Szyjedzie, szyjedzie... — zapewnił nas Achim bełkotliwie.

— Gdzie napisał proboszcz? Do najbliższego oddziału Inkwizytorium? Ciekawe, co? Zapytamy go więc...

— Żegnaj, Hezie — powiedział Kostuch, a ja spojrzałem na niego ze zdumieniem, gdyż rzadko wykazywał się poczuciem humoru.

###### \* \* \*

Proboszcz, jak to proboszcz małego miasteczka, był dobrze wypasionym mężczyzną w sile wieku. Pucułowatą, szczerą twarz okalały mu dostojne bokobrody, a ogromne brzuszysko trzęsło się za szerokim, zdobionym pasem. Drzwi na probostwo otworzyła hoża dziewoja z aż nadto śmiało wyciętym dekoltem i długimi, jasnymi warkoczami. I w tym również nie było nic dziwnego, bo wszak bogobojny ojcaszek musiał sobie jakoś umilać długie wieczory.

— Witajcie — powiedziałem. — Nazywam się Mordimer Madderdin i jestem licencjonowanym inkwizytorem Jego Ekscelencji biskupa Hez-hezronu.

Kostuch znalazł dobry czas na ukazanie swego ponętnego oblicza i odrzucił kaptur na plecy. Hoża dziewoja pisnęła głośno, potem spłoniła się i uciekła do domu. Ksiądz na chwilę zapomniał języka w gębie, a ja nie wiedziałem, czy ta nagła niemota została spowodowana ujawnieniem mej profesji, czy też tym, że proboszcz miał okazję obejrzeć sobie dokładnie mego towarzysza.

— Witajcie, mistrzu — rzekł w końcu i dostrzegłem, że dolna warga drga mu nerwowo. — Co was sprowadza do spokojnego Stolpen?

A więc miejscowość nazywała się Stolpen. No i dobrze. A skoro proboszcz tak pospieszył z zapewnieniem, iż jest spokojna, widać, że sprawa wymagała sprawdzenia.

— Jedynie przerwa w podróży — wyjaśniłem i spojrzałem znaczącym wzrokiem w głąb domu.

— Aaa, zapraszam, zapraszam, serdecznie zapraszam. — Zamachał dłońmi. — Jakiż to ze mnie, Bóg mi świadkiem, gospodarz! Wejdźcie panowie, wejdźcie, czym chata bogata. Może kolacyjkę? Albo naleweczki? Pierwszorzędną tu mamy naleweczkę, ze śliwek, z czarnych porzeczek, z bzu... A i winko znajdzie się jak się patrzy... Ażem się nie przedstawił jeszcze, gdzie ja mam głowę, Bóg mi świadkiem. Albert Lambach, do waszych usług, mistrzu, mam ten jakże niekłamany zaszczyt pełnić tu, na Bożą chwałę, obowiązki proboszcza.

Coś za dużo, jak na mój gust, gadał ten ksiądz, a doświadczenie nauczyło mnie, że wartki potok mowy ma czasem na celu zatopienie prawdy. Wiedziałem jednak, że rychło się przekonam, jak rzecz wygląda w tym wypadku.

— Nie pogardzę zaproszeniem płynącym ze szczerego serca — powiedziałem z uśmiechem.

Kostuchowi kazałem iść do kuchni, bo uznałem, że jego smród będzie ciężki do zniesienia w niewielkim pomieszczeniu, a nie chciałem sobie psuć apetytu. To, iż księżulo śmiesznie marszczył nos i starał się dyskretnie odwracać głowę, tylko mnie bawiło, ale uznałem, że dla chwili płochej rozrywki nie będę robił sam sobie na złość.

Usiedliśmy w dużej, starannie wybielonej izbie. Na ścianie wisiał ogromny obraz Chrystusa Zstępującego z Krzyża, ale widać dzieło wykonał jakiś miejscowy talent, gdyż nasz Pan miał nogi tak wykoślawione jakby całe życie spędził w siodle, a miecz trzymał w lewej dłoni. Tymczasem żadne źródła nie podawały, żeby Jezus był mańkutem. Zauważyłem również, iż jeden z rzymskich legionistów dzierżył arbalistę, co było już prawdziwą niedorzecznością.

— Piękny obraz — powiedziałem.

— Prawda? — Rozpromienił się Lambach. — W kościele to dopiero zobaczycie... Mamy tu na przykład niezwykłe dzieło obrazujące przybycie świętego Pawła do Stolpen...

Ośmielałem się przypuszczać, że w czasach świętego Pawła w miejscu Stolpen rosła jeszcze nie wykarczowana puszcza, ale nie zamierzałem sprzeczać się z Lambachem, gdyż niemal każde miasteczko tworzyło własne legendy, w których Apostołowie i święci zajmowali poczesne miejsce. Trudno jednak było oprzeć się myśli, iż musieliby oni dosiadać pegazów, aby dotrzeć wszędzie tam, gdzie ich ponoć widziano. Tymczasem służąca proboszcza wniosła mięso, pajdy świeżego chleba i dzban piwa. Proboszcz rozlał piwo do pękatych, glinianych kufli.

— Dla spłukania ust po podróży, a zaraz pociągniemy gorzałeczki, jeśli wasza wola, mistrzu. Przynieś no tej bzowej — rozkazał dziewczynie. — A w miejscowym relikwiarzu mamy nawet palec świętego Ambrożego — pochwalił się. — Oraz pióro ze skrzydeł archanioła Gabriela, które poronił, zwiastując Maryi.

Nie skomentowałem tych rewelacji, nie chcąc urażać lokalnego patriotyzmu proboszcza, który najwyraźniej był szczerze dumny ze zgromadzonej kolekcji relikwii. Ciekaw byłem tylko, ile one kosztowały miejscowych parafian. Hoża dziewoja zakręciła się w miejscu i zakołysała ciężkim kuprem.

— Niezła sztuka — mruknąłem.

— O, mistrzu, kto mojego stanu by zwracał uwagę na takie rzeczy? — Ksiądz zrobił cierpiętniczą minę i złożył dłonie na piersiach. — Gotować umie, czysta jest, sprząta chętnie i nie kradnie. — Wyliczając zalety służącej, zaginał po kolei palce prawej dłoni, a ja zauważyłem na tych palcach dwa zacne pierścienie, jeden z rubinem, a drugi z szafirem. Nieźle musi golić trzódkę, pomyślałem, skoro stać go na takie świecidełka.

— Czyli mówicie, mistrzu, że przerwa w podróży sprowadziła was do Stolpen? — rzekł z ustami pełnymi mięsa. — Długo u nas zabawicie?

— Niech tylko konie wypoczną — odparłem. — A jutro wyjedziemy.

Przypiął się do kufla, chyba po to, by ukryć przede mną uczucie ulgi, które pojawiło się na jego twarzy, a które nieudolnie starał się zamaskować.

— Chyba że... — rzekłem.

— Chyba że? — zamamrotał z ustami przy krawędzi kufla i spojrzał badawczo.

— Chyba że zatrzymają mnie tu sprawy natury zawodowej — odparłem, uśmiechając się.

— Zawodowej?! — niemal krzyknął. — Bóg mi świadkiem: żartujecie, mistrzu! Jakież to sprawy natury zawodowej możecie mieć w Stolpen?

— A to już wy mi objaśnicie — powiedziałem serdecznym tonem.

Wyraźnie przygasł. Odstawił kufel i, opierając łokcie o stół, wsparł głowę na pięściach.

— A więc wiecie... — rzekł ponurym tonem.

— Oczywiście, że wiemy — prychnąłem. — Myślicie, że są takie miejsca na świecie, gdzie nie sięga miłosierny wzrok Inkwizytorium?

— Nic takiego nie śmiałbym...

— Do kogo wysłaliście list? — przerwałem mu.

— Do mojego biskupa — objaśnił szybko. — I zaszczycono mnie odpowiedzią, iż szczęśliwie się składa, że na dworze biskupim gości akurat brat Maurizio Sforza, jeden z jałmużników Ojca Świętego. Otrzymałem, Bóg mi świadkiem, zapewnienie, że brat Sforza zechce pochylić się z troską nad naszymi kłopotami. A człowiek to wielce kształcony i doświadczony w odnajdywaniu sług szatana oraz wyjawianiu wszelkich jego sprawek.

— W to akurat święcie wierzę — powiedziałem.

Papiescy jałmużnicy byli, mówiąc szczerze, nie wiedzieć czym. Ni to osobnym zakonem, ale bez hierarchii oraz struktury, ni to luźnym stowarzyszeniem, lecz za to wyposażonym w niezliczone przywileje oraz prerogatywy pochodzące z kancelarii samego Ojca Świętego. Istnieli już od wielu lat, ale dopiero ostatnio zwrócili na siebie baczną uwagę Inkwizytorium. Dlaczego? Ano dlatego, mili moi, że zamiast zajmować się pozyskiwaniem datków, zaczęli się mieszać w sprawy ścigania czarów oraz herezji. Jak widać więc, niektórzy ludzie w Stolicy Apostolskiej sądzili, że dyletancki zapał wystarczy, by konkurować z inkwizytorami wyćwiczonymi w przesławnej Akademii. Oczywiście, próby podważania kompetencji Inkwizytorium i zastępowania nas duchownymi zdarzały się ciągle. Miałem niegdyś okazję zdemaskować ścigającego czarownice kanonika Pietro Tintallero, który w końcu pełen żalu wyznał, iż sam jest przywódcą czarnoksięskiego sabatu i bluźni naszej świętej wierze. Ponieważ dowody jego działalności były nie do podważenia, więc wszystko zakończyło się szczęśliwie i poprzez płomienie stosu poprowadziliśmy jego duszę ku Królestwu Niebieskiemu. Za co zresztą gorąco nam dziękował. A ja utwierdziłem się w przekonaniu, iż nie ma piękniejszego widoku nad skruszonego grzesznika, który pogrążony w bolesnej ekstazie, pośród płomieni, głośno wyznaje grzechy i błogosławi Inkwizytorium, iż w swym miłosierdziu naprostowało kręte ścieżki jego życia.

Obecność brata jałmużnika nie wróżyła jednak niczego dobrego. Nie słyszałem, co prawda, nigdy o Maurizio Sforzy oraz jego dokonaniach, ale sam fakt, że duchowni mieliby się zajmować tak złożoną materią, jak ściganie czarnoksięstwa oraz herezji, budził moje najgłębsze zaniepokojenie. Tak to już bowiem jest, że jeśli pozwoli się, by woda uczyniła nawet najmniejszy wyłom w tamie, wtedy wyłom zacznie się powiększać, aż w końcu niepowstrzymany strumień rozerwie mur i zaleje spokojne doliny. A na to nikt przy zdrowych zmysłach nie mógł przecież pozwolić.

— Kiedy brat Sforza zawita do Stolpen? — zapytałem.

— Oczekujemy go lada dzień — odparł szybko proboszcz. — A więc, jak widzicie, nie ma potrzeby, byście zmieniali plany i poświęcali cenny czas naszemu jakże nędznemu miasteczku. Bóg mi świadkiem, mistrzu, że zapewne bardziej zajmujące rzeczy zaprzątają wasz umysł.

Oj, widać, księżulo chciał się mnie pozbyć, gdyż najwyraźniej sądził, iż łatwiej mu będzie dogadać się z innym księdzem czy też zakonnikiem (gdyż wśród jałmużników byli i tacy, i tacy) niż z inkwizytorem. Nie wiem, dlaczego większość ludzi naiwnie sądziła, że głównym marzeniem funkcjonariusza Świętego Officjum jest rozpalenie maksymalnie dużej liczby stosów na maksymalnie dużym obszarze. Tymczasem wzniesienie stosu dla sprawiedliwie skazanych grzeszników było jedynie błogosławionym zwieńczeniem naszej pracy, do którego dążyliśmy, prowadząc wnikliwe śledztwa. A w czasie tych śledztw oraz procesów pełniliśmy rolę zarówno żarliwych oskarżycieli, bogobojnych adwokatów, jak i najsprawiedliwszych sędziów. No a przynajmniej tak głosiła teoria...

— Niestety — powiedziałem. — Widzę, że regulamin Świętego Officjum nie jest wam dobrze znany. Inkwizytorowi, który ma choć cień podejrzenia, że natknął się na heretyckie lub czarnoksięskie praktyki, nie wolno zrezygnować ze sprawy pod groźbą kary wyznaczonej przez sąd Inkwizytorium. A wierzcie mi, że nawet litościwe Inkwizytorium cechuje się daleko posuniętą konsekwencją w tej materii.

Jakoś po jego wyrazie twarzy poznałem, że słowo „litościwe” nie za bardzo pasowało mu do słowa „Inkwizytorium”. Niesłusznie, gdyż nad grzesznikami zawsze pochylamy się z żarliwą litością, której dorównuje jedynie równie żarliwa miłość.

— Ależ tu, jak Bóg mi świadkiem, nie ma mowy o czarnoksięstwie! — znowu niemal wykrzyknął. — To jakiś szaleniec rozgrzebuje groby i bezcześci zwłoki!

— Dlaczego w takim razie powiadomiliście biskupa, a nie justycjariuszy? — zapytałem. — Skoro uważacie, iż to zaledwie kryminalna sprawa?

Poczerwieniał, a na czoło wystąpiły mu kropelki potu.

— Z całym szacunkiem, mistrzu, ale nie macie chyba prawa...

— Mam, mam, wierzcie mi — przerwałem mu pobłażliwie, gdyż nazbyt często słyszałem podobną śpiewkę, traktującą o tym, do czego ma prawo funkcjonariusz Świętego Officjum. — I jeśli myślicie, że sprawi mi przyjemność zostanie w tej dziurze jeden dzień dłużej niż to będzie konieczne, to się głęboko mylicie.

— Moim obowiązkiem było zawiadomienie biskupa — powiedział, przełykając głośno ślinę, i otarł pot z czoła.

— Zapewne — rzekłem. — A moim jest bacznie przyjrzeć się wzmiankowanej sprawie, która, jak ośmielam się sądzić, niepokoi nie tylko księdza dobrodzieja, ale również zacnych obywateli spokojnego Stolpen. — Słowo „spokojnego” wypowiedziałem w taki sposób, aby nawet człowiek najbardziej podejrzliwy nie wyczuł w nim cienia ironii.

— Czego ode mnie oczekujecie? — zapytał ponurym tonem.

— Radości — odparłem, patrząc mu w oczy — spowodowanej tym, iż Święte Officjum, zaprzątnięte wszak wieloma ważkimi problemami i borykające się z walką o dusze ludzi na całym świecie, odnalazło czas, aby wspomóc wysiłki wiernych w tym miasteczku.

— Pokornie dziękuję — powiedział szybko. — I Bóg mi świadkiem, cieszę się z całego serca, że zechcecie poświęcić nam swój jakże cenny czas.

— Nie mnie dziękujcie, lecz Panu, który pokierował moimi krokami — odrzekłem, nie spuszczając z niego wzroku.

— Zawsze dziękuję Panu za wszelkie łaski, którymi mnie obdarza — wymamrotał jeszcze szybciej.

Widziałem już, że człowiek ten zaczyna odczuwać lęk przed waszym uniżonym sługą, i tak właśnie stać się powinno. Nie było jednak we mnie ani krzty grzesznej radości z tego powodu. Jakimż byłbym inkwizytorem, gdyby podobnie niskie uczucia gościły w moim sercu? W końcu jestem sługą Bożym i młotem na czarownice, a te tytuły, choć dalece nieoficjalne, jednak do czegoś zobowiązują.

— Opowiedzcie więc o trupojadzie — poddałem.

— Bóg mi świadkiem, niewiele jest do opowiadania — powiedział, wzdychając. — Od półtora roku ktoś rozgrzebuje groby i wycina ze zwłok części ciała. Czasem urżnie ledwie pośladki, czasem ukradnie całą kończynę... Ludzie są przerażeni. Boją się chować bliskich na naszym cmentarzu.

— Ślady ugryzień? — spytałem.

— Nieee. — Pokręcił głową. — Nic takiego.

— A więc to nie ghul — stwierdziłem. — Bo żaden nie miałby dość rozumu, by użyć noża.

— Wierzycie w ghule? — Proboszcz otworzył szeroko oczy. — Toż to zabobon...

— Jeśli nie wierzycie w potęgę zła, jak możecie uwierzyć w nieskończoną siłę Dobra? — odpowiedziałem pytaniem na pytanie. — Skoro wątpicie w moc szatana, Bóg na próżno będzie kołatał do waszego serca.

— Nie wątpię! — Tym razem naprawdę krzyknął. — Bóg mi świadkiem, że moja wiara jest potężna niczym forteczne mury.

— Zapewniacie o tym mnie czy samego siebie? — zapytałem uprzejmie, a potem machnąłem dłonią. — Ale dajmy pokój teologicznym rozważaniom. Nikt przecież, drogi proboszczu, nie podważa siły waszej wiary — powiedziałem to takim tonem, że miał prawo czuć się zaniepokojony.

###### \* \* \*

Kogo moglibyście się spodziewać, mili moi, słysząc, że do Stolpen przybywa jeden z braci jałmużników? Mnicha w burym habicie, który z opuszczoną i ukrytą pod kapturem głową wślizgnie się do miasteczka? Ha, ja nie spodziewałem się takiego widoku, ale to, co ujrzałem, przeszło moje najśmielsze oczekiwania. Bowiem do Stolpen zajechała konna kawalkada, na czele której z poważną miną kłusował Maurizio Sforza, otoczony kilkunastoma zbrojnymi. W orszaku dostrzegłem również młodą damę, na której dłoni siedział sokół w kapturze osłaniającym głowę.

Jałmużnik trzymał się w siodle zaskakująco dobrze, chociaż podkasany habit niezbyt pasował do sięgających po uda skórzanych butów ani do kapiącej od złota końskiej uprzęży i czapraka z fantazyjnym kutasem. Jak się domyślacie, mili moi, czaprak znajdował się na głowie wierzchowca, a nie brata jałmużnika, choć przyznam, że ta druga ewentualność byłaby z pewnością bardziej ucieszna.

Z Maurizio Sforzą spotkaliśmy się u proboszcza, a jałmużnik po zejściu z konia okazał się człowiekiem nikłego wzrostu. Nie podobały mi się jego pomarszczone, blade policzki oraz błyszczące oczy. Zauważyłem, iż wychudłe, węźlaste palce mnicha były w ciągłym ruchu, tak jakby coś stale ugniatał, dusił albo szarpał na kawałki. I ten gest również mi się nie podobał. Postanowiłem jednak nie poddawać się pierwszemu wrażeniu i traktować papieskiego jałmużnika, jeśli nie z sympatią, to chociaż z zawodową uprzejmością. W końcu nie zamierzałem narobić sobie kłopotów z powodu głupich wypadków w miasteczku Stolpen, o którym nawet wcześniej nigdy nie słyszałem.

— Inkwizytorze Madderdin — rzekł Sforza, a jego głos miał nieoczekiwanie miłe, głębokie brzmienie. — Rad jestem, iż będziemy działać razem, gdyż wasza sława dotarła nawet do Stolicy Apostolskiej.

Skłoniłem się głęboko, choć zastanawiałem się, czy te słowa są tylko zdawkową uprzejmością, czy też raczej zawoalowaną groźbą.

— Zawstydzają mnie tak przychylne słowa, zwłaszcza kiedy padają z ust znamienitego filozofa, którego dzieła podziwiam, ubolewając serdecznie nad niedostatkami własnej wiedzy.

— A cóż mojego czytaliście? — spytał nieufnie, mrużąc oczy.

— Wasze komentarze... Mój Boże, jakże to nowe naświetlenie spraw powszechnie znanych. Wierzcie mi: byłem poruszony.

Nie ryzykowałem zbyt wiele, gdyż zazwyczaj każdy z pasożytów wałęsających się po Stolicy Apostolskiej uważał, że wnosi wielki wkład w historię naszej cywilizacji, kiedy napisał kilka idiotycznych komentarzy do dzieł dawnych mistrzów, świętych lub apostołów.

— Nie przypuszczałem... — Jego wychudłe, blade policzki pokryły się rumieńcem. — A jeśli wolno wiedzieć, jaki problem was najbardziej poruszył?

— Rozważania na temat doktryny wiary — rzekłem z absolutnym przekonaniem.

— Mistrzu Madderdin, nie sądziłem... — Rozpromienił się. — W sumie zagadnienia te są niezwykle złożone, by nie powiedzieć wręcz: hermetyczne, i nawet nie śmiałem przypuszczać, że zainteresują szerszą publiczność...

— O, wierzcie mi, że były przedmiotem zażartych dyskusji w hezkim Inkwizytorium — powiedziałem ze śmiertelną powagą w głosie.

— Coś takiego! — Złożył dłonie na piersiach. — Zdumiewacie mnie...

— Skromność godna geniuszu, jeśli wolno mi zwrócić się tak poufale — odparłem i przez myśl mi przeszło, czy aby nie przeholowałem, ale Sforza przełknął komplement gładko, jak kormoran rybę.

Boże mój, pomyślałem, dzięki ci, że w swej niezmierzonej łasce nie uczyniłeś mnie pisarzem, gdyż nie ma chyba ludzi bardziej łatwowiernych i łasych na pochwały niż oni.

Towarzyszący Sforzy młody szlachcic w błyszczącym srebrem półpancerzu chrząknął znacząco i niecierpliwym ruchem odgarnął długie, jasne włosy.

— Och, wybaczcie — rzekł jałmużnik z prawdziwą skruchą w głosie. — Pozwólcie, że wam przedstawię. Oto cny rycerz Rodrigo Esteban de la Guardia y Torres, który przybył ze słonecznej Granady, aby wspomóc nas w walce z herezją.

— To dla mnie zaszczyt — powiedziałem.

Szlachcic skłonił lekko głowę i uśmiechnął się. Miał niemal dziewczęce, czerwone usta, a zarost wyraźnie nie chciał się przyzwyczaić do jego twarzy, na której tylko wyrastały rzadkie kępki jasnych włosów.

— Ślubowałem odnajdywać i niszczyć czarownice, kacerzy oraz wszelkich wrogów naszego Pana — powiedział łagodnym tonem. — Sam Ojciec Święty raczył mnie zaszczycić swym błogosławieństwem i życzył, bym obdarował łaską stosu jak największą liczbę grzeszników.

Na miecz Pana, westchnąłem w myślach, oto kolejny poszukiwacz wrażeń oraz przygód, którego marzeniem jest podpalenie świata. Czy to naprawdę zbyt wielkie życzenie, by sprawy religijnej natury pozostawić w rękach profesjonalistów?

— Niezwykle śmiałe i godne zamiary — rzekłem uprzejmie. — Ale nie sądzę, byście w Stolpen mogli dopełnić ślubów.

— A, jeszcze zobaczymy. — Jałmużnik wzniósł wskazujący palec i spojrzał na mnie znacząco. — Bowiem wielce nam miły ksiądz proboszcz doniósł o niegodziwościach, których doznaje pobożne stado Pańskie w Stolpen, a które wytrzebić mogą jedynie ludzie głębokiej wiary.

— O tak, zapewne... — powiedziałem i byłem już niemal pewien, że zostając w miasteczku, wdepnąłem w kolejne kłopoty, których jako człowiek spokojny wolałbym uniknąć.

— Ale, ale... pozwólcie panowie, zajmę się napisaniem listu do świątobliwego biskupa, któremu obiecałem dać znać natychmiast, kiedy przybędziemy. Księże proboszczu, mogę was prosić?

— Oczywiście, bracie, tak tylko myślę sobie, Bóg mi świadkiem, gdzie my wszystkich dostojnych państwa, co raczyli bratu towarzyszyć...

— Nie kłopoczcie się kwaterami — przerwał mu Sforza. — Czcigodni hrabia Scheifolk i hrabina Scheifolk wraz ze świtą goszczą w zamku pana de Vries. Obiecali jedynie mnie tu odprowadzić i zaraz wracają na polowanie. Jedynie ja i szlachetny rycerz la Guardia poprosimy was o byle kąt, gdzie moglibyśmy się spokojnie oddać pobożnym rozmyślaniom.

— Nie, nie żaden byle kąt! — Proboszcz zamachał dłońmi, ale widać wyraźnie mu ulżyło, że miasteczko nie będzie mieć na głowie hordy kapryśnych arystokratów. — Mam piękne pokoje na plebanii, akurat żeśmy je wyrychtowali w tym roku na przyjazd świątobliwego biskupa, który to biskup, Panie bądź mu łaskaw, zważcie, bracie, raczył u nas gościć przez całe dwa dni!

Jałmużnik z wyraźnym znudzeniem słuchał potoku wymowy księdza dobrodzieja, ale cierpliwie mu nie przerywał. W końcu jednak duchowni zostawili mnie w komnacie samego z rycerzem de la Guardią i przez chwilę milczeliśmy, wsłuchując się w cichnący głos proboszcza, który opowiadał Sforzy o piórze ze skrzydeł archanioła Gabriela. Wreszcie odchrząknąłem.

— Cóż — rzekłem. — Skoro nie przydam się wam na nic, panie, pozwólcie, że rozejrzę się po miasteczku...

— Jeśli łaska... — Spojrzał w moją stronę i zobaczyłem, że ma lodowato błękitne oczy, jakoś nie pasujące do tej urodziwej, niemal dziewczęcej twarzy. — Czy mogę z wami zamienić słowo?

— Uprzejmie proszę — odparłem.

— Czy słyszeliście o... — urwał na moment. — O człowieku... nazywanym Wesołym Katem z Tiannon?

— Słyszałem. — Wzruszyłem nieznacznie ramionami. — Wolno wiedzieć, czemu pytacie?

— I co o nim sądzicie?

Nie przepadam, kiedy ktoś pytaniem odpowiada na pytanie, zwłaszcza że nie jestem przyzwyczajony do takiego postępowania. Tak to już bowiem, mili moi, został ułożony świat, iż powinnością inkwizytorów jest badanie wiedzy rozmówców. A nie odwrotnie. Tym razem jednak postanowiłem nie spierać się z Rodrigiem, zwłaszcza że temat nie był tego wart.

— Jestem zdumiony, iż jeszcze żyje — odparłem szczerze. — Ale trudno mi wyrokować jedynie na podstawie wieści zasłyszanych tu lub tam. Jednak to, co słyszałem, wystarcza, bym nie darzył go nadmierną atencją.

De la Guardia pokiwał głową i nie wiedziałem, czy zgadza się z moimi słowami, czy też jedynie przyjmuje je do wiadomości.

— Sądzę więc, że będziecie mieli okazję wyrobić sobie własną opinię — powiedział w końcu. — Bowiem brat Sforza zapowiedział mi, że Wesoły Kat pojawi się niedługo w Stolpen...

Chciałem powiedzieć: „żartujecie”, ale powstrzymałem się w porę. Rycerz najwyraźniej nie żartował, a nie miał również powodu, by mnie zwodzić. Nie zauważyłem też, aby zachwycił go pomysł sprowadzenia do Stolpen Wesołego Kata i tu najwyraźniej nasze poglądy były więcej niż zbieżne.

— Ach tak — rzekłem jedynie.

— To, co robi ten człowiek, jest odrażające i cieszę się, że podzielacie moje zdanie — ciągnął de la Guardia i choć nie wyraziłem myśli tak jak to ujął, w zasadzie nie miałem powodów, aby protestować. — Przecież, na Boga żywego, grzesznik powinien otrzymać... nie tylko cierpienie, ale i... szacunek. — Słowa przychodziły mu z wyraźną trudnością i zapatrzył się teraz gdzieś nad moją głową. — Mam nadzieję, że zgadzacie się ze mną?

— Tak właśnie szkoleni są inkwizytorzy — odpowiedziałem spokojnie. — Macie całkowitą rację, panie.

— W końcu nawet oni... — Machnął dłonią w powietrzu, ale zrozumiałem, że chodzi mu o kacerzy, czarowników i wiedźmy. — Są stworzeniami Bożymi, a naszym zadaniem jest przywrócić ich chwale Pana i utulić na łonie Kościoła. Zwrócić im godność, którą stracili, obcując z nieczystą siłą. Nieprawdaż?

Nie powiem, aby spodobało mi się słowo „naszym” w jego ustach, gdyż przywracanie grzeszników Panu było zadaniem moim i innych inkwizytorów, a nie paniczyków z dobrych domów, którzy uznali, że dworskie zabawy, chędożenie poddanek i sąsiedzkie zajazdy nie są już tym, co ich pociąga. Ale, pomijając tę kwestię, rycerz de la Guardia miał świętą rację. Lecz jeszcze ciekawsze było to, że wydał mi się teraz znacznie bardziej zajmującym człowiekiem, niż uznałem na pierwszy rzut oka.

— I tym razem się z wami zgadzam. — Kiwnąłem głową. — A jednak, gwoli sprawiedliwości, muszę przyznać, że doszły mnie słuchy, iż działania kata z Tiannon są równie odrażające, jak skuteczne. Dlatego też korzysta się z jego usług.

— I ja tak słyszałem — rzekł poważnie. Pogłaskał się po brodzie takim gestem, jakby spodziewał się, że zastanie tam bujny zarost, po czym cofnął dłoń. — I choć zrozumiałbym podobne postępowanie w przypadku złodziei lub morderców, to ciężko mi pojąć, jak świątobliwy brat Sforza może korzystać z takiej... pomocy.

— Nic na to nie poradzę — powiedziałem. — Tak samo, jak i, z całym szacunkiem, wy nic nie poradzicie. Brat Sforza ma pełnomocnictwa Ojca Świętego, a my jedynie możemy służyć mu radą oraz pomocą, jeśli tego sobie zażyczy.

To, co mówiłem, nie było do końca prawdą, ale na ogół nikt postronny nie orientował się w niezwykle zawiłych zależnościach służbowych oraz szczeblach kościelnej i inkwizycyjnej hierarchii. Zresztą ostatnie papieskie encykliki jeszcze bardziej skomplikowały i tak już zdumiewająco zagmatwaną sytuację. Biegli w kodeksach juryści twierdzili raz to, a raz tamto, w zależności od tego, czy bliżej im było do Hezu, czy też do Stolicy Apostolskiej. Zresztą Jego Ekscelencja biskup Hez-hezronu również nie ułatwiał nam sytuacji. I pomimo że był nominalnym zwierzchnikiem Inkwizytorium, potrafił inkwizytorom nieźle zaleźć za skórę. Do tego wszystkiego dochodziły jeszcze roszczenia cesarza, który również pragnął mieć swój rząd dusz, a coraz częściej dawały się słyszeć gniewne pohukiwania imperialnego parlamentu, dowodzącego, że należy mu się ostatnie słowo nie tylko w sprawach świeckich. Wierzcie mi, mili moi, iż wszystko to nie sprzyjało skutecznemu odkrywaniu oraz piętnowaniu herezji, a to, że w ogóle ktokolwiek jeszcze zwalczał bluźnierców i odstępców, zawdzięczaliśmy tylko cichej, wytrwałej pokorze Inkwizytorium, które starało się wykonywać jak najlepiej swą pracę, nie zważając na wręcz w oczach rosnące przeszkody. Niemniej, Ojciec Święty miał pełne prawo obdarzyć kogoś swymi pełnomocnictwami i niezbyt bezpiecznie było pełnomocnictwa te podważać. Gdyż wtedy można było zostać wezwanym na przesłuchanie do Zamku Aniołów. A ponieważ spadkobiercy naszego Pana, włodarze Państwa Jezusowego, nie mieli zbyt wiele czasu, więc nieszczęsny wichrzyciel mógł spędzić nawet pół życia w małej, nieprzytulnej celi, daremnie czekając, aż ktoś zechce wysłuchać jego racji. Co prawda, obecnie nam panujący Ojciec Święty miał nieco więcej umiaru niż jego dostojny poprzednik (zmarły w wyniku nieszczęśliwego wypadku na polowaniu), ale i tak ostrożność była więcej niż wskazana. Niegdyś zdarzyło mi się niefrasobliwie ulec pokusie czynienia prawa wbrew woli dostojników kościelnych i jedynie interwencji Wewnętrznego Kręgu Inkwizytorium zawdzięczałem, że wyszedłem z opałów w jednym kawałku. Niemniej nie mogłem przecież zawsze liczyć na pomoc Kręgu. Zresztą, korzystając po raz kolejny z jego łaski, wykazałbym się godną pożałowania słabością, a przez to okazałbym się niewart uwagi, którą Krąg niespodziewanie raczył mi poświęcić.

— Myślę jednak, że brat Sforza będzie się liczył ze zdaniem człowieka takiego jak wy — rzekł Rodrigo łagodnym tonem. — Człowieka wyszkolonego w trudnej sztuce odnajdywania prawdy.

Nie dałbym za tę tezę złamanego grosza, z pewnością rycerz z Granady był człowiekiem uprzejmym. Szlachetnie urodzeni na ogół nie przepadali za inkwizytorami (nawiasem mówiąc: z wzajemnością), ale ten człowiek, jak widać, ulepiony został z innej gliny. Chociaż nie zamierzałem też zbyt łatwo dać się nabrać na lep pięknych słówek. W końcu słowa zwykle nic nie kosztują.

— I ja mam taką nadzieję — odparłem.

— Czy możecie mi wyjawić, co zamierzacie? W jaki sposób pragniecie odkryć prawdę?

— A jak wy sobie to wyobrażacie? — Tym razem ja odpowiedziałem pytaniem na pytanie.

— Ha! — Potarł znowu palcami brodę. — Rad jestem, że pytacie, choć wybaczcie, jeśli moje słowa okażą się jedynie zdaniem niekształconego prostaka...

Zamachałem dłonią, jakby chcąc powiedzieć, iż nic takiego nie przemknęłoby mi przez myśl. Nie zwrócił na ten gest uwagi, wpatrzony gdzieś za moją głowę.

— Sądzę, że przesłuchałbym grabarza oraz rodziny ludzi, których zwłoki zbezczeszczono. Zasięgnąłbym też języka, kogo miejscowi uważają za człowieka dziwnego, stroniącego od sąsiadów, niezapraszającego nikogo do domu, ponurego... — Wzruszył ramionami. — Wybaczcie, jeśli to, co mówię, wydaje się wam naiwne.

— Ależ skąd — odparłem. — Wasze myśli podążają w słusznym kierunku. Bylibyście dobrym inkwizytorem.

Być może nie uwierzycie, mili moi, ale rycerz Rodrigo oblał się szczęśliwym rumieńcem i zerknął na mnie niemal spłoszonym wzrokiem.

— Jesteście nad-der uprzejmi — wyjąkał.

###### \* \* \*

Trzeba przyznać, iż księgi parafialne prowadzono w sposób czytelny oraz rzetelny, a ksiądz proboszcz miał ładny, wyraźny charakter pisma. Oczywiście, my — inkwizytorzy — jesteśmy szkoleni w odcyfrowywaniu nawet najbardziej zagmatwanych bazgrołów, lecz nie powiem, by ślęczenie nad poplamionymi i zamazanymi manuskryptami sprawiało mi szczególną satysfakcję. Tymczasem podczas badania sądowych papierów zdarzało się to aż nazbyt często, gdyż pisarze mieli skłonność do nieposkromionego raczenia się gorzałką w czasie przesłuchań.

— I co? — zapytał ciekawie proboszcz, stawiając przede mną dzbanek wina. Podziękowałem mu skinieniem głowy. — Znaleźliście coś przydatnego?

— Być może — odparłem. — Być może...

— Taaak?

— Jedenaście udokumentowanych wypadków — odparłem. — A wszystkie miały miejsce zawsze co najmniej na trzy dni przed pełnią księżyca.

— Na miecz Pana! — aż jęknął. — Więc to czarownik, nie trupojad!

— Nie wyciągałbym pochopnych wniosków — odparłem. — Niemniej sądzę, że wasze rozumowanie, drogi księże proboszczu, idzie w jednym z możliwych kierunków.

— Ha! — Rozpromienił się.

— Oczywiście, i nie omieszkam tego zaznaczyć w raporcie, nie byłbym w stanie dojść do podobnych wniosków, gdyby nie niezwykle rzetelne prowadzenie ksiąg parafialnych przez księdza dobrodzieja... — Zdanie to wypowiedziałem całkowicie szczerze, gdyż gdyby proboszcz mniejszą wagę przykładał do dat, nawet najbardziej wnikliwe studiowanie dokumentów nic by nie dało.

— Bóg mi świadkiem, serdecznie się cieszę — odparł radosnym tonem i nawet poklepał mnie po ramieniu, co zniosłem cierpliwie, mimo iż nie przepadam, kiedy dotykają mnie obcy ludzie.

— A jak myślicie? — zagadnął po chwili. — Po co on to robi?

Nalałem wina jemu i sobie, a potem upiłem łyk.

— Tego nigdy do końca nie wiemy — rzekłem. — Póki nie wysłuchamy spowiedzi nieszczęśnika, który dał się zwieść mrocznym siłom. Ale coś mnie tu niepokoi...

— Taaak? — Pochylił się nade mną szczęśliwy, że może uczestniczyć w śledztwie.

— Czarownikom zwykle potrzebne są bardzo konkretne partie ludzkiego ciała. Palec wisielca, przyrodzenie cudzołożnika, głowa, serce... A tutaj? — Pokręciłem głową. — Wiecie, jakie on kawałki wybierał?

— Jakie, jakie?

— Najsmaczniejsze — odparłem, patrząc proboszczowi prosto w oczy, i dostrzegłem, jak jego źrenice się powiększają.

— Ccco?

— No właśnie — rzekłem. — Traktował tych ludzi, czy raczej ich zwłoki, jak świnie lub woły. Zauważyliście też może, że nigdy nie wybrał starca? To zawsze byli ludzie, że tak powiem, jędrni oraz solidnej budowy. A również nie nazbyt otłuszczeni. Bardzo pieczołowicie ich dobierał nasz zbrodniarz...

— Matko Boża!

— Dlatego, ale mogę się rzecz jasna mylić, nie sądzę, iżbyśmy mieli do czynienia z czarnoksięstwem. Myślę raczej, że to chory człowiek, znajdujący zbrodniczą uciechę w zjadaniu przedstawicieli własnego gatunku. Studia w naszej przesławnej Akademii pozwoliły mi się dowiedzieć, iż podobne postępowanie jest nader częste wśród odległych ludów, które nie poznały jeszcze nauk naszego Pana i dla których człowiek nie jest lepszy niż świnia lub koza.

Wiedziałem, że od pewnego czasu w progu stoi brat Sforza, ale udawałem, że go nie widzę. Teraz jałmużnik postanowił się odezwać.

— Wyciągacie nader pochopne wnioski, inkwizytorze — rzekł suchym tonem.

— Mogę się mylić — powiedziałem, odwracając na niego wzrok. — Lecz do tezy końcowej można dojść jedynie po analizie oraz odrzuceniu wszelkich pojawiających się w czasie śledztwa hipotez.

— Wolę ufać wierze niż rozumowi — powiedział wyniośle.

— Co więc wam dyktuje wasza wiara? — zapytałem.

— Bez wątpienia mamy do czynienia z czarnoksiężnikiem — rzekł ostro. — Który przygotowuje jakieś potężne zaklęcia mające zaszkodzić bogobojnym mieszkańcom spokojnego Stolpen...

Proboszcz przeżegnał się, słysząc te słowa.

— Doceniam siłę waszego rozumowania, mistrzu Inkwizytorium — kontynuował Sforza. — Lecz wiedzcie, że nadmierne zaufanie do nauki i logiki może przysłonić wam sedno sprawy. Bowiem uczynków szatana nie możemy opisać umysłem, a jedynie sercem. Czarnoksiężnik zapewne chciał, aby ktoś taki, jak wy, dał się zwieść i doszedł do podobnych, fałszywych wniosków.

— A więc to gra? — zapytałem. — Zostawił fałszywe ślady, by poszedł za nimi łatwowierny inkwizytor?

— Wyście powiedzieli.

— Niczego nie wykluczam, bracie Sforza — powiedziałem, uśmiechając się. — I sądzę, że to nas różni.

— Być może — odparł, a jego oczy były teraz wrogie i zimne. — Lecz nie zapominajcie, że właśnie ja prowadzę śledztwo.

— Oczywiście — rzekłem. — Nigdy nie ośmieliłbym się kwestionować waszych praw, zwłaszcza kiedy przypominacie o nich tak dobitnie.

— Jutro weźmiemy na spytki grabarza — zadecydował. — Obliguję więc was, abyście przygotowali się w odpowiedni sposób do śledztwa.

— Co macie na myśli? — spytałem, chociaż doskonale wiedziałem, do czego zmierza.

— Mam na myśli, że przygotujecie narzędzia oraz zastosujecie je w sposób, którego uczono was w Akademii — odpowiedział zimno.

— Oczywiście — powtórzyłem. — Stanie się wedle waszej woli. Pozwólcie więc, że porozmawiam z moim pomocnikiem, który zajmie się szczegółowymi preparacjami.

Stolpen nie miało własnego ratusza, a nawet siedziby miejskich władz (nie byłem nawet pewien, czy miało miejskie prawa). Dla szczególnej potrzeby przesłuchań zdecydowałem się więc zaadaptować izbę jednego z magazynów, a Kostuch miał się już zająć należnym urządzeniem tegoż pomieszczenia, aby przesłuchania można było prowadzić zgodnie z prawem i obyczajem.

###### \* \* \*

Grabarz był wyschniętym na wiór starcem o poskręcanych reumatyzmem stawach i nie byłem w stanie sobie wyobrazić, jak może wykonywać tak ciężką pracę. Wydawało mi się bowiem, że miałby kłopoty z utrzymaniem w dłoniach łopaty, a co dopiero mówić o sprawnym nią operowaniu. Oczywiście, powinienem go wypytać zanim został zabrany do izby przygotowanej na przesłuchania, ale brat Sforza uwinął się ze wszystkim jeszcze nim zdążyłem wstać. Tak więc zostałem postawiony przed faktami dokonanymi i nie ukrywam, że nie byłem zachwycony przebiegiem spraw. Bowiem każdy inkwizytor winien wpierw poznać przesłuchiwanego, przepytać go rzeczowo oraz spokojnie, a nie od razu zabierać do izby pełnej narzędzi tortur. Jasne, że inaczej postępowało się ze świadkami, inaczej z podejrzanymi, a jeszcze inaczej z postawionymi w stan oskarżenia. Tego człowieka natomiast potraktowano od razu, jakby był winowajcą lub co najmniej głównym podejrzanym.

W izbie siedzieliśmy przy stole we czterech: ja, brat Sforza, proboszcz, którego poprosiłem, by pełnił rolę protokolanta, oraz rycerz de la Guardia. Kostuch przycupnął na zydelku koło paleniska i zajmował się rozgrzewaniem narzędzi. Grabarz został rozebrany do naga i przywiązany do stołu. Jego starcze, chude ciało z wystającymi kośćmi, powęźlonymi postronkami żył oraz pomarszczoną skórą sprawiało wrażenie, jakby za chwilę miało się rozsypać. Wpatrywał się w nas wzrokiem obłąkanym z przerażenia i bełkotał coś pod nosem. Ślina spływała mu po siwej szczecinie brody.

— Zanotujcie, księże proboszczu, jeśli łaska — powiedziałem. — Dnia tego a tego, sąd w składzie...

Dyktowałem, co ma zapisać, i przypatrywałem się jednocześnie grabarzowi. Byłem niemal całkowicie przekonany, że nic nie wie o całej sprawie, ale nie mogłem sprzeciwić się decyzji brata Sforzy. Oczywiście, życie tego starego człowieka nie było nic warte, niemniej branie go na tortury nie wydawało mi się najszczęśliwszym pomysłem. Moim zdaniem marnowaliśmy tylko czas, a w tym wypadku sprawianie bólu wydawało się bezcelowe. Tymczasem ja zawsze ośmielałem się sądzić, iż przemoc powinna być jak wyostrzony miecz i trafiać prosto we właściwy punkt, gdyż w innym wypadku była jedynie grzechem.

Proboszcz skończył notować, a ja podszedłem do stołu, na którym leżał grabarz.

— Nazywasz się Kurt Bachwitz i jesteś grabarzem w mieście Stolpen. Czy tak?

Patrzył na mnie rozszerzonymi oczami, ale nie sądziłem, by mnie tak naprawdę widział. Jego blade usta poruszały się, lecz nie byłem w stanie dosłyszeć, czy starzec wypowiada jakieś sensowne słowa.

— Zapiszcie, że przesłuchiwany nie zaprzeczył — wtrącił brat Sforza. — A poza tym ksiądz proboszcz potwierdzi, iż tak jest w istocie.

— Co wam wiadomo o okradaniu grobów i bezczeszczeniu zwłok? — spytałem.

Odczekałem chwilę.

— Na gniew Pański, Kurcie Bachwitz — rzekłem ostrzejszym tonem. — Czy wy mnie słyszycie, człowieku?

— Zacznijcie od cęgów — rzucił Sforza od stołu.

— Może sami zechcecie poprowadzić przesłuchanie? — Odwróciłem się w jego stronę. — Zważcie jednak, że istnieją pewne procedury, których wypada przestrzegać.

— A czy ja coś mówię? — Wzruszył ramionami i byłem niemal pewien, że w jego słowach słyszę drwinę.

— Kurt. — Położyłem grabarzowi dłoń na suchym ramieniu. — Jesteśmy tu tylko po to, by pomóc ci i byś ty pomógł nam. By w Imię Pańskie dojść prawdy. Czy zechcesz nas wesprzeć w tym świętym dziele?

Równie dobrze mogłem mówić do stołu, na którym leżał, ponieważ nie sądzę, by rozumiał, a choćby słyszał cokolwiek, co się działo. Wiedziałem, że przesłuchiwanie takiego człowieka mija się z celem. Podobne otępienie nie zdarzało się często, niemniej w wypadku ludzi starych lub obłąkanych nie było niczym dziwnym. Każdy inkwizytor wiedział, że wtedy należy przerwać przesłuchanie, a oskarżonego lub świadka doprowadzić do stanu nieco przejaśniającego umysł. Jedzenie i kubek wina potrafiły zdziałać cuda większe niż szarpanie ciała rozpalonymi kleszczami. W końcu naszym celem miało być dojście do prawdy, a nie sprawianie bezcelowej męki.

Zauważyłem, że Kostuch miesza siarkę w żelaznym kociołku. Na ogół był to widok, który przerażał nawet najbardziej zatwardziałego grzesznika (choć jeszcze bardziej przerażony był on wówczas, gdy taki kociołek przechyliło się nad jego przyrodzeniem), ale w tym wypadku nie sądziłem, by cokolwiek odniosło skutek. Oczywiście, kiedy przesłuchiwany nie chciał odpowiadać na pytania, pierwszym moim zajęciem powinno być przedstawienie mu narzędzi oraz wyjaśnienie skutków ich działania. Postanowiłem tak uczynić, ale tylko, by trzymać się wyznaczonej procedury, gdyż nie widziałem żadnego sensu w ostrzeganiu człowieka nie słyszącego moich słów.

— Czy zrozumieliście? — zapytałem, kiedy już skończyłem objaśniać do czego służą narzędzia.

Grabarz wyjęczał coś bełkotliwie i wpatrywał się we mnie bolesnym spojrzeniem przekrwionych oczu.

— Napiszcie, że zrozumiał — podpowiedział Sforza.

— Nie! — Odwróciłem się. — Nic takiego nie będziecie pisać! Ten człowiek nie jest w stanie pozwalającym na prowadzenie przesłuchania. Kostuch, odwiąż go i zaprowadź do celi. Daj mu jeść i pić.

— Nie będziecie prowadzić przesłuchania? — Sforza poderwał się od stołu, a na jego pomarszczone policzki wystąpił ceglasty rumieniec.

— Nie — odparłem krótko. — Ale jak chcecie — wskazałem ręką grabarza — zawsze możecie spróbować...

Wiedziałem, że należy do tego gatunku ludzi, którzy chętnie każą zadawać mękę innym, ale sami nieskorzy są, by przyłożyć rękę do tortur. Tymczasem łaska umiejętnego sprawiania cierpienia jest krzyżem, który nosi każdy inkwizytor. Poddajemy ludzi straszliwym próbom tylko dlatego, iż wierzymy, że mostem niezmierzonego bólu zawędrują oni do Królestwa Niebieskiego. Nie zamierzałem więc dopuścić, by jałmużnik wysługiwał się mną niezgodnie z prawem oraz obyczajem.

— Niech będzie po waszemu — powiedział w końcu Sforza, ale przyznanie się do porażki w obecności proboszcza oraz granadzkiego rycerza musiało go zaboleć.

— Dziękuję wam uprzejmie. — Skinąłem głową.

Grabarza zamknięto w ciasnej izbie przy magazynie, i dopilnowałem, aby rzeczywiście dano mu jedzenie, wodę i ciepły koc. Zajrzałem do niego nieco później i kiedy otworzyłem drzwi, zobaczyłem, że siedzi przy pustej już misce. Na mój widok zajęczał, skulił się w kącie. Chudymi ramionami zakrył głowę, tak jakby się spodziewał, że zacznę go bić.

— Kurt — powiedziałem, starając się, aby mój głos zabrzmiał łagodnie. — Wybacz bratu jałmużnikowi jego pochopność. Wierz mi, że chcę tylko z tobą porozmawiać i nie uczynię ci żadnej krzywdy.

Łypnął na mnie poprzez szparę między kościstymi łokciami.

— Napijesz się wina? — spytałem.

Zagulgotał coś niezrozumiale, ale ja, niezrażony, usiadłem obok niego na wilgotnej posadzce. Potarłem nos opuszkami palców i skrzywiłem się, bo grabarz najwyraźniej zanieczyścił wcześniej swe odzienie i skutki tego dawały się odczuć aż nadto wyraźnie. Delikatnym ruchem włożyłem w jego dłoń bukłak z winem, a on zacisnął na nim węźlaste palce przypominające szpony jakiegoś wielkiego, chorego ptaka.

— Na zdrowie, Kurt — powiedziałem. — To dla ciebie. Wszystko.

Znowu coś wybełkotał, ale przechylił naczynie do ust. Pił, a wino lało mu się po siwej szczecinie brody i spływało aż na wychudłą pierś. Opróżnił bukłak i oddał mi go ostrożnie, jakby bojąc się, czy jednak go nie uderzę.

— Ciężko już sobie poradzić — zagadnąłem — z łopatą i grzebaniem dołów w twardej ziemi, co? Mój ojciec też miał chore ręce. Mówił, że nie ma to jak wyciąg z gorącego rumianku do moczenia dłoni i kilka łyków mocnej gorzałki, żeby rozgrzać stare kości.

Mój ojciec nic takiego nie mówił, a przynajmniej ja słyszeć tego nie mogłem, gdyż nigdy los nie przeciął naszych dróg. Matka twierdziła, co prawda, że był jej mężem zaślubionym przed Bogiem oraz księdzem, ale w sąsiedztwie różnie o tym gadano. Jednak uznałem, że dla dobra sprawy taka bajeczka może pomóc i nieco rozruszać język starca.

— Nie masz syna, Kurt? Żeby ci pomagał w ciężkiej pracy?

Pokręcił tylko głową, ale widziałem, że spogląda na mnie już z mniejszym strachem. Być może to moje słowa, a być może wino, dodały mu odwagi.

— Chciałbym, byś stąd jak najszybciej wyszedł — westchnąłem. — Bo, mówiąc między nami, strasznie durny jest ten zakonnik, co?

Uśmiechnął się, obnażając sine dziąsła i pieńki sczerniałych, przegniłych zębów, ale nic nie powiedział.

— Muszę cię stąd wyciągnąć, Kurt, bo nie godzi się, żeby zacny grabarz siedział w celi. Od dawna już chowasz ludzi ze Stolpen, co?

— Ho, ho — rzekł tylko. — Tatko byli grabarz i przy nim żem się wprawiał — dodał po chwili skrzypiącym głosem.

— A teraz ciężko — westchnąłem. — Na pewno ktoś z dobrych ludzi wspomaga cię w ciężkiej pracy, prawda?

Pokiwał głową.

— Oj, są jeszcze dobrzy ludzie, panie — zamruczał. — Bo takimi łapami — wyciągnął przed siebie chude, poskręcane i drżące jak na zimnie ręce — to już nijak nie wydoli.

— Bieda — powiedziałem współczującym tonem. — Wyciągnę cię stąd jutro, Kurt, i postawię najlepsze piwo w karczmie. Swoją drogą — obniżyłem głos — okropne szczyny warzy ten wasz karczmarz.

Bachwitz zachichotał piskliwie, zatchnął się i odkasływał długą chwilę. W końcu splunął w kąt kulą gęstej, zielonej plwociny.

— Gadają, co naprawdę szczy do tego piwa — rzekł i otarł łzy z policzków.

W myślach podziękowałem Panu, że wczorajszego dnia jedynie popróbowałem wina z kubka, a resztę wylałem i nie zamawiałem żadnego piwa. Miałem tylko nadzieję, że karczmarz nie lubił również wzbogacać smaku wina swoim moczem. Niemniej należały mu się tęgie baty za takie żarty z klientów. Chociaż, z tego, co wiedziałem, w Hezie także nie stroniono od podobnych praktyk, zwłaszcza w podłych spelunach odwiedzanych przez najgorsze szumowiny. Czyli tam, gdzie najczęściej miał okazję bywać wasz uniżony sługa.

— I co mają robić ludzie, jak ty siedzisz w celi? — zapytałem. — Kto pogrzebie zwłoki?

— Jakie zwłoki? — Uniósł na mnie wzrok.

— Pan powołał do swej światłości Achima Myszkę — skłamałem. — I trzeba mu wykopać solidny dół.

— O, Panie! — Złożył dłonie na piersiach. — Zlituj się nad jego pijaną duszą.

— I przyjmij go do swej światłości — zakończyłem poważnie.

— Póki mię nie ma, to Rudi się sprawi, jak się patrzy — rzekł grabarz. — Nie macie no jeszcze winka, panie?

Pokręciłem głową przecząco.

— Co za Rudi?

— A taki tam. Śpi Bóg wi gdzie, włóczy się, ale zawsze parę miedziaków mu się przyda...

— On ci zwykle pomagał?

— No, jakżeby nie on. Dawałem mu cosik tam. I Mathias tyż... Nawet Mathias pewnikiem lepiej, bo z dobrego serca mnie wspomaga i grosza nie weźmie...

To mnie zainteresowało. Jakoś nie za bardzo wierzę we współczujące serca i bezinteresowne uczynki. Zwykle tak już jest, że jeśli ktoś pragnie ci coś ofiarować za darmo, to prędzej czy później będziesz musiał zapłacić drożej niż myślałeś. Ale kim był Mathias tak ochoczo pomagający grabarzowi? Dowiedzielibyśmy się tego zapewne dużo wcześniej, gdyby nie pochopność brata jałmużnika, każąca mu od razu przejść do torturowania grabarza, zamiast szczerze z nim pogawędzić. Jak jednemu człowiekowi wypada pogawędzić z drugim człowiekiem. Dlaczego niektórzy sądzili, iż pożyteczne zeznania można wydobyć jedynie zadając mękę?

— Mathias? — poddałem. — I jak dalej?

— Mathias Litte — dodał skwapliwie. — Dobry człek, powiem ja wam...

— Dziękuję ci, Kurt — rzekłem serdecznie. — Posiedzisz sobie jeszcze przez noc, a rano cię wypuszczą. Może tak być?

Pokiwał gorliwie głową.

— Niech Bóg Wszechmogący jaśnie pana prowadzi — powiedział i z oczu znowu polały mu się łzy.

Wyszedłem i zamknąłem za sobą drzwi izby na klucz. Cóż, należało pójść tropem pomocników grabarza. Sprawdzić, kim są Rudi oraz Mathias Litte. Na początek postanowiłem zainteresować się tym drugim, gdyż tak, jak już powiedziałem, intencje ludzi nie żądających pieniędzy za przysługi budzą moje głębokie podejrzenia. Być może grzeszyłem niewiarą w istoty, które stworzono wszak na obraz Pański, ale miałem serdeczną nadzieję, że Pan daruje mi te wątpliwości, widząc skuteczność mych działań.

###### \* \* \*

Kostuchowi kazałem usiąść w karczmie i zasięgnąć języka u miejscowych, bo jak słusznie twierdził rycerz de la Guardia, zawsze warto się dowiedzieć, kto w miasteczku jest uznawany za cudaka, czy stroni od innych ludzi. Kostuch nie był, co prawda, wymarzonym wywiadowcą, gdyż jego ponury charakter, szpetota i smród bijący od nigdy nie mytego ciała czyniły go mało pożądanym kompanem w wykwintnym towarzystwie. Miałem jednak nadzieję, iż bywalcom stolpeńskiej oberży nie będzie to wszystko przeszkadzało, zwłaszcza kiedy piwo lub wino zaszumią im w głowach. Oczywiście, zwykle w podobnych celach wysyłałem bliźniaków, ale teraz nie miałem innego wyboru, jak skorzystać z pomocy Kostucha. Spisał się zresztą nad wyraz dobrze i oprócz wielu nic niewartych plotek przyniósł również interesujące wieści na temat Mathiasa Litte. Wieści, które należało sprawdzić na miejscu.

Szybko wywiedziałem się, iż Mathias Litte wraz z żoną mieszkali w małym domku na obrzeżach miasteczka. Skierowałem się w tamtą stronę i przyjrzałem gospodarstwu. Parterowy dom otoczony był drewnianym płotkiem o wyblakłych na słońcu sztachetach, a w niewielkim ogrodzie zauważyłem kilka drzew owocowych, studnię o kamiennej cembrowinie i zielnik, z którym obiecałem sobie zapoznać się dokładniej, jeśli tylko zajdzie taka konieczność. Na razie jednak pchnąłem furtkę. Spod jednego z drzew uniósł się wielki pies o posiwiałym pysku i przyjrzał mi się otępiałym wzrokiem. Po chwili opadł z powrotem na brzuch, złożył mordę na łapach i przymknął oczy, całkowicie ignorując moją obecność.

— Tyle na temat domowego bezpieczeństwa — mruknąłem do siebie.

Podszedłem do drzwi i zastukałem w nie mocno. Raz i drugi, a kiedy nikt ze środka nie odpowiadał, również trzeci. Wreszcie usłyszałem w sieni powolne, szurające kroki.

— Kto tam? — zapytał męski, zmęczony, głos.

— Szukam Mathiasa Litte — odparłem.

— No to żeście znaleźli — usłyszałem po chwili milczenia. — Czego chcecie?

— Nazywam się Mordimer Madderdin i jestem licencjonowanym inkwizytorem Jego Ekscelencji biskupa Hez-hezronu — rzekłem. — Będziecie uprzejmi wpuścić mnie do środka?

Za drzwiami nastała długa cisza. W końcu mężczyzna westchnął ciężko i usłyszałem chrobot klucza w drzwiach.

— Czemu nie? — odparł zrezygnowanym tonem. — Choć, dalibóg, nie wiem, czego może u mnie szukać Święte Officjum...

Nie zamierzałem, rzecz jasna, odpowiadać na tak postawione pytanie, chociażby dlatego, że Inkwizytorium zawsze ciekawe jest tego, jak żyją zwyczajni ludzie. Zwłaszcza w miasteczku, w którym dzieją się nadzwyczajne rzeczy.

Mathias Litte uchylił drzwi i przyglądał mi się przez wąską szparę. Oględziny wypadły widać po jego myśli, gdyż otworzył je szerzej. Teraz dopiero z cienia wyłoniła się zmęczona, chuda i przeorana zmarszczkami twarz. Mężczyzna miał podsiniałe oczy, a długi nos oraz wybijająca się z długiej szyi grdyka nadawały mu wygląd nastroszonego ptaka.

— Wejdźcie, panie — mruknął głosem, w którym nie było ani krztyny entuzjazmu.

Cofnął się o krok i machnął dłonią w geście, który w jego mniemaniu miał być zapewne zaproszeniem.

Wszedłem do sieni cuchnącej zbutwiałym drewnem i skierowałem się za Mathiasem, który poprowadził mnie do mrocznej izby, gdzie nie było nic prócz szerokiej deski ułożonej na drewnianych kozłach, nadpalonej skrzyni oraz paleniska, na którym żarzyły się grube, brzozowe szczapy. Rozejrzałem się, na czym można by usiąść, ale ponieważ nie znalazłem nie tylko krzesła, ale nawet byle zydla, stanąłem pod ścianą.

— Bieda, panie. — Litte zauważył mój wzrok. — Wszystko posprzedawalim. Żona chora...

Czyż nie było tym bardziej dziwne, że człowiek tak biedny nie żądał pieniędzy za pomoc w pochówku zmarłych?

— A gdzie ona? — zagadnąłem.

Wskazał palcem grubą, poszarzałą kotarę.

— A tamże leży — mruknął. — W komórce.

— Na co jest chora?

— A bo to wiadomo? — Wzruszył ramionami. — W piersiach coś jej tak... — urwał, szukając słowa — rzęzi. Nie wstaje już z rok z okładem.

Podszedłem do kotary i zajrzałem za nią, nie pytając o zgodę gospodarza. W ciemnym pomieszczeniu na rozgrzebanym barłogu leżała kobieta o siwych, skudłaconych włosach i ziemistej twarzy. Miała przymknięte oczy i nie sądzę, aby mnie słyszała. Poczułem ostry smród zastarzałego potu oraz moczu. Cofnąłem się.

— Kurt Bachwitz nie może się was nachwalić — powiedziałem, uważnie patrząc na Mathiasa. — Jak to go wspieracie w ciężkiej pracy.

— Ludzie powinni sobie pomagać... — odparł, uciekając ze wzrokiem.

— O, tak — rzekłem. — Z całą pewnością.

Byłem niemal pewien, mili moi, że mam przed sobą złodzieja zwłok. Jednak nie wyglądał na czarownika przygotowującego z ludzkich ciał straszliwe ingrediencje lub wykorzystującego je do preparacji obrzydliwych zaklęć mrocznej sztuki. Oczywiście, intuicja mogła mnie mylić i potrzebowałem dowodów. Człowiek pochopny i mniej cierpliwy zapewne wziąłby Litte na przesłuchanie, ale ja ośmielałem się sądzić, że dowody z rzeczy są o wiele bardziej przekonujące niż dowody z zeznań. Bo treść zeznań, cóż... zależy tylko od zdolności przesłuchującego.

— Podobnież Kurt ma kłopoty — powiedział Mathias cicho.

— Ano tak — rzekłem poważnie. — Przyznał, iż jest złodziejem zwłok, a części ludzkich ciał wykorzystywał do przygotowywania przerażających zaklęć godzących w życie i zdrowie mieszkańców Stolpen... Zostanie więc spalony na chwałę Bożą.

— Ależ to nieprawda! — zawołał Litte, a potem usiadł ciężko na skrzyni i ukrył twarz w dłoniach. — A zresztą, co ja tam wiem... — wymamrotał.

— Dlaczego nieprawda? — spytałem łagodnie. — Czy wiecie coś, co mogłoby pomóc waszemu przyjacielowi?

— Jaki tam przyjaciel... — żachnął się.

Ha, nie zdziwiła mnie taka postawa. Ludzie aresztowani przez Święte Officjum w sposób wręcz niepojęty, a za to błyskawiczny, tracili przyjaciół, rodziny oraz znajomych. Dawniej taki człowiek otoczony był wianuszkiem krewniaków i znajomków, a tu patrzcie... Nagle zostawał sam jak palec. Ponieważ część z tych podejrzanych lub oskarżonych opuszczała mury więzień uniewinniona, więc z całą pewnością zyskiwali oni nowe doświadczenie życiowe oraz nowe rozumienie słów takich jak: przyjaźń, miłość lub wierność.

— Jednak na tyle przyjaciel, że pomagaliście mu bez własnych korzyści — wyjaśniłem.

Ujrzałem, że Mathias Litte położył dłonie na kolanach i prawą dłonią przytrzymywał lewą, aby powstrzymać ich drżenie. Niepotrzebnie, gdyż i tak widziałem wszystko, co warte było zobaczenia.

— Co robiłeś z ciałami? — zapytałem ostro.

Poderwał głowę.

— Jjj-ja? — zająknął się.

— Tak. Ty! Co robiłeś z ciałami?!

Dolna warga drżała mu tak, jakby dostał ataku febry. Jego spłoszony wzrok powędrował w stronę ułożonych przy palenisku polan i wbitego w drewno toporka.

— Nie bądź głupi, Mathias — powiedziałem. — Pismo w swej mądrości mówi: *Nie* *możemy dokonać niczego przeciwko prawdzie, lecz wszystko dla prawdy.* Pamiętaj, że tylko szczere wyznanie win może cię uratować.

Gwoli prawdy nie mogło uratować go już nic, ale przecież nie było moim obowiązkiem przekazywanie mu tej smutnej nowiny. Zwłaszcza, że człowiek mający jeszcze nadzieję jest sto razy bardziej użyteczny od tego, który nadzieję raz na zawsze utracił.

Litte rozpłakał się zduszonym płaczem, pełnym jęków, kaszlu i posmarkiwania. Nie patrzyłem nawet z obrzydzeniem na jego wykrzywioną, ptasią twarz, gdyż zbyt wielu grzeszników widziałem już w swoim życiu. Najczęściej jednak płaczem wyrażali oni jedynie żal za utraconą wolnością czynienia zła. Czas szczerego, niewymuszonego smutku nadchodził zazwyczaj dużo później, kiedy ich ciała pogrążały się w tak głębokim bólu, iż w cudowny sposób dotykał on samej duszy. Miałem nadzieję, iż łaska oczyszczenia zostanie ofiarowana również Mathiasowi Litte.

Na razie jednak musiałem mieć dowody. Zbyt wielu już widziałem ludzi biorących na swe sumienie niepopełnione winy, iż wolałem się upewnić nawet w tym wypadku.

— Gdzie chowałeś ciała, Mathiasie? — spytałem raz jeszcze i chwyciłem go za ramiona.

Jego barki wydawały się tak wątłe, iż wystarczyłoby silniej ścisnąć, aby połamać mu kości.

— Nie chowałem — wychlipał. — Wszystko od razu zjadalim. Gotowałem rooo-soooły... — Niemal mnie osmarkał, więc cofnąłem się o krok. — I peklowałem... Jeszcze tam trocha zostało w beczce...

— A kości?

— Mieee-liłem, bo to powiadają, że z kości człeka można taki proszek, co by żona wyzdro-owiała. Aby tylko w pełnię księżyca...

— Mathiasie Litte — powiedziałem surowym tonem. — W imieniu Świętego Officjum kładę na was areszt. Pójdziesz teraz ze mną.

Podniósł na mnie zdziwione, załzawione i zapuchnięte oczy.

— A-aaa żona? — wyjąkał. — Co się z nią stanie, jak mnie nie będzie?

— Cóż mnie to może obchodzić? — odparłem i szarpnąłem go za ramię.

###### \* \* \*

— On nie jest czarnoksiężnikiem — stwierdziłem.

— Jaka grzeszna pewność przez was przemawia. — Brat Sforza teatralnie wzniósł oczy ku sufitowi.

— Może tylko doświadczenie — odparłem.

— Więc co? — sapnął jałmużnik. — Mówicie, że po prostu wygrzebywał zwłoki i je pożerał?

— Nie on pożerał — wyjaśniłem. — A przynajmniej na początku nie on. Gotował z ludzkich ciał rosół dla chorej żony, a kości mielił, gdyż uważał, że zmielone ludzkie kości są świetnym lekarstwem na płucną chorobę. Potem bieda ich przycisnęła i sam zakosztował w tak tanim kosztem pozyskiwanych posiłkach...

— Phi — parsknął Sforza. — Chytra z niego sztuka. Omamił was. Przyznał się do potwornego występku, by ukryć zbrodnię jeszcze ohydniejszą. Zbrodnię czarnoksięstwa!

— Nie sądzę — odparłem, gdyż nie wyobrażałem sobie człowieka mniej pasującego do wizerunku czarownika niż Mathias Litte. — I wydaje mi się, że ani wy, ani Inkwizytorium nic w tym przypadku nie ma do roboty. Trzeba by go odwieźć do Kaiserburga i oddać w ręce miejskiej ławy. Niech go powieszą czy poćwiartują, czy co tam będą chcieli...

— Jestem pewien, że stosownie przeprowadzone przesłuchanie przyniesie pożądane rezultaty — stwierdził Sforza. — Lecz nie wydaje mi się, byście potrafili sprostać temu zadaniu...

— Tak sądzicie? — spytałem, mrużąc oczy.

— Będę z wami szczery, inkwizytorze Madderdin — powiedział, wstając. — Aż nazbyt głośno jest o waszym nader pobłażliwym traktowaniu heretyków oraz czarowników. Wydaje się, że próbujecie znajdować zwykłą ludzką słabość tam, gdzie w grę wchodzą bezpośrednie zakusy Złego. Grzeszycie zaniechaniem...

— Nie wy będziecie mnie oceniać — przerwałem ostrym tonem jego wywody. — I pilnujcie się, bracie Sforza, byście nie pobłądzili zuchwałością sądów. Nawet miłosierdzie Inkwizytorium ma granice.

— Grozicie mi? — Jego blada twarz wydawała się jeszcze bledsza niż zazwyczaj.

— Nigdy bym się nie ośmielił — odparłem, patrząc mu prosto w oczy.

Byłem ciekaw, czy wie, jak potoczyły się wypadki w Wittingen, i czy wyciąga z tego wnioski. No, ale tu — w Stolpen — sprawa była odmiennej natury. Nie miałem ze sobą bliźniaków ani gotowego do poświęceń grona lokalnych inkwizytorów. Sam, jedynie z Kostuchem, niewiele mogłem zdziałać w bezpośredniej konfrontacji. Miałem jednak nadzieję, że jałmużnik nie będzie do niej dążył.

— Odsuwam was od śledztwa, inkwizytorze Madderdin — rzekł zimnym tonem.

— Nie możecie tego uczynić — odparłem spokojnie. — Macie listy papieskie, ale ja mam za sobą powagę Świętego Officjum. I mam nie tylko prawo, ale również obowiązek pozostać w Stolpen, aż do wyjaśnienia sprawy. Jeżeli się nie zgadzacie z takim poglądem, możemy, na wasze żądanie, posłać po opinię do kancelarii Jego Ekscelencji.

Musiał sobie zdawać zapewne sprawę, że nieprędko doczekalibyśmy się wiążącego wyroku, a biskup Hez-hezronu z pewnością byłby zachwycony, iż inkwizytor oraz jałmużnik zawracają mu głowę kompetencyjnymi sporami. Gdyby akurat w czasie zapoznawania się z naszymi wywodami miał atak podagry lub wrzodów, to skutki tegoż zachwytu mogłyby przerosnąć nasze najśmielsze oczekiwania.

— Nie rozumiem was — rzekł po chwili Sforza spokojniejszym, i nawet jakby pojednawczym, tonem. — Dlaczego stajecie po stronie obmierzłego bluźniercy?

— Staję po stronie prawdy. Jak zawsze powinien czynić szczery funkcjonariusz Świętego Officjum — odparłem, chociaż nie sądziłem, aby był w stanie to zrozumieć. — Mathias Litte jest niegodny, by żyć wśród ludzi. Jest ohydnym trupojadem, którego postępki mogą budzić tylko litość oraz obrzydzenie, zwłaszcza że zmusił do grzechu nieświadomą niczego żonę.

— Ha, nieświadomą! Dobre sobie... — burknął jałmużnik. — Jeszcze wyjaśnimy, czy aby nie pomagała mu w czarnoksięskich praktykach.

— Ale nie jest czarownikiem — mówiłem dalej, nie zwracając uwagi na jego słowa. — Zostanie osądzony i skazany, lecz nie za czyny, których nie popełnił!

— To dopiero mogą wyjawić przesłuchania.

— Powiedział mi wszystko.

— Wy tak sądzicie. Bogu dziękować, nie będę potrzebował więcej waszej pomocy, która zresztą bardziej była dla mnie ciężarem... Jutro pojawi się tu człowiek, którego zdolności są powszechnie znane, a który zdobył sławę, wydobywając zeznania od najbardziej zatwardziałych przestępców, dzięki swym szczególnym metodom perswazji.

— Wesoły Kat... — mruknąłem.

— Jeśli chcecie go tak nazywać... — Wzruszył ramionami. — Być może macie rację, że nie mogę wam zabronić śledztwa, ale i wy nie macie prawa ingerować w moje postępowanie. Wyjawię całą prawdę o potwornościach, których zaznało to nieszczęsne miasteczko.

— Ja już znam całą prawdę — powiedziałem.

— Wierzcie mi, że wasza pycha i upór spotkają się z należytą uwagą w Stolicy Apostolskiej — rzekł. — Biada wam, jeśli śledztwo odkryje, że mamy do czynienia z czarami.

Wyszedłem z izby, gdyż nie było nic do dodania. Nie miałem żadnych wątpliwości, iż Sforza uzyska to, czego pragnie, a więc odkryje w Stolpen czarnoksiężnika. Zapewne nawet nie jednego, lecz całą sektę. Powiedziałem kiedyś, że najczęściej byle oprawca z rozgrzanym do czerwoności dłutem potrafi przekonać przesłuchiwanego, iż jest zielonym osłem w pomarańczowe ciapki. Cała mądrość polegała na tym, aby, mając taką władzę nad ludźmi, nie pozwolić sobie, by jej ulec. Lecz zrozumieć to mogli tylko ci, którzy przeszli wytężone szkolenie w Akademii Inkwizytorium.

Na progu domu zobaczyłem zasępionego rycerza de la Guardię, który powitał mnie niechętnym skinieniem głowy. Ale domyślałem się, że ta niechęć ma niewiele wspólnego ze mną, i jak się okazało, miałem rację.

— Powiedział wam, prawda? — właściwie stwierdził, a nie spytał.

— O Wesołym Kacie? Owszem, powiedział.

— Nie zamierzam uczestniczyć w śledztwach, które będzie prowadzić ta kreatura — stwierdził z obrzydzeniem. — A wy?

— Panie rycerzu — powiedziałem. — Mylicie pojęcia. Wesoły Kat nie poprowadzi przesłuchań, a jedynie wykona polecenia brata Sforzy. To dwie różne sprawy, gdyż...

— Nie wiem — przerwał mi. — Nie znam się na tym...

— Wasza obecność, rzecz jasna, nie będzie konieczna — rzekłem uspokajającym tonem. — Chociaż być może wasz wpływ mógłby nieco złagodzić ostrość sądów brata jałmużnika.

I do czego to doszło, biedny Mordimerze, pomyślałem z ironią, abyś uznał za korzystny obrót losu, iż w przesłuchaniach ma uczestniczyć szlachetnie urodzony, nie mający wszak większego pojęcia o prawie, herezji oraz czarach. A jednak wiedziałem, że obecność rycerza faktycznie może złagodzić spór pomiędzy Sforzą a mną, którego celowo podżegać nie miałem przecież zamiaru.

— Pomyślę jeszcze nad tym — odparł de la Guardia. — Ale to się nie godzi, to się nie godzi... — Pokręcił głową i, nie zwracając już na mnie uwagi, skierował się w stronę plebanii.

###### \* \* \*

Wesołego Kata ujrzałem jednak nie nazajutrz, a jeszcze tego samego dnia. Nie wiem, kogo spodziewałem się zobaczyć, lecz na pewno nie tę jednocześnie groteskową i straszną postać. Wesoły Kat z Tiannon ubrany był w obcisły kubrak z ponaszywanymi kolorowymi łatami, długie ciżmy o zagiętych noskach i bufiaste, mieniące się wieloma barwami pantalony. Szyję oraz nadgarstki otaczały mu szerokie kryzy ze sztywnego, białego jedwabiu. Jednak nie to, że wyglądał jak trefniś, było najbardziej zdumiewające. Wesoły Kat miał twarz zasłoniętą złotą maską wyobrażającą roześmiane oblicze pucułowatego, złotowłosego amorka. Nawet jego oczu nie było widać spoza wąskich, poziomych szczelin. Ale trudno było nie dostrzec, że ten strój nosił niepokojące ślady. Kryza prawego rękawa naznaczona była burordzawą plamą, jakby po zaschniętej krwi, a na zielonym pasie pantalonów widniał podobnego koloru naciek.

— Żesz ty... — mruknął Kostuch i było to niezłe podsumowanie.

— Pozwólcie sobie zaprezentować, panie Madderdin — rzekł brat Sforza z niekłamaną satysfakcją w głosie. — Oto mistrz cechu katowskiego, Gaspar Louvain.

— *Wesołym Katem zwany na szerokim świecie, bowiem radośniejszego człeka nigdzie nie znajdziecie.*

Głos Gaspara był jednocześnie chrapliwy i piskliwy, tak jakby kat właśnie wkraczał w wiek męski, kiedy wysokie chłopięce tony zaczynają ścierać się z męskimi brzmieniami. Ponieważ jednak słyszałem o jego dokonaniach sprzed kilku lat, więc byłem przekonany, że na pewno nie jest młodzieniaszkiem. Przyglądałem mu się dłuższą chwilę.

— Trzymajcie swojego psa z dala ode mnie, jałmużniku — ostrzegłem beznamiętnym tonem.

— *Przecież żeśmy bracia w fachu, obaj ludzi ślem do piachu —* zapiszczał Wesoły Kat z jawnym wyrzutem w głosie.

— A rymy też ma podłe — powiedziałem. — I powtórzcie mu, jeśli łaska, że gdy raz jeszcze nazwie mnie bratem, to będziecie mu wybierać jego własne zęby z mózgu.

— Wyjdź — rozkazał Gasparowi dość ostrym tonem brat Sforza, a Wesoły Kat teatralnie wzruszył ramionami, lecz usłuchał.

Przyglądałem się, jak idzie w stronę drzwi, i nawet jego chód wydawał się zarazem dziwaczny i odrażający. Bowiem człowiek ten sunął głęboko zgarbiony, tak, że dłonie zwieszały mu się aż za kolana i drobił kroczki, kolebiąc się na obie strony. Gaspar Louvain był postawnym mężczyzną, ale kiedy szedł, wydawał się jakimś obrzydliwym, skurczonym stworzeniem, które dopiero co nauczyło się naśladować człowieka, ale które w tym naśladownictwie nie zyskało jeszcze należytej biegłości. Odwrócił się od samych drzwi.

— *Wesoły Kat się na ciebie nie gniewa, gdyż jeno radość w sercu mu rozbrzmiewa —* rzekł tym razem chrapliwym głosem, patrząc w moją stronę. A przynajmniej po ruchu głowy poznałem, że zerka na mnie, bo spoza maski nie widziałem źrenic.

— Nie życzę sobie, byście obrażali człowieka, który przybył, aby mi pomóc — rzekł Sforza, kiedy Wesoły Kat opuścił już izbę.

— Będę miał to na uwadze — odparłem.

Zastanawiałem się, co może łączyć tych dwóch ludzi. Brata ze Stolicy Apostolskiej i cudaczną postać, która wydawała się pozbawiona ludzkich cech, lecz która cieszyła się znaczną, choć złą sławą. Czy jałmużnicy zamierzali w śledzeniu oraz badaniu herezji (nawiasem mówiąc, wysoce naganny był ten nagły zapał do brania się za nie swoje sprawy) wykorzystywać podobne kreatury? Zresztą, nie sądzę, aby na świecie był ktoś drugi podobny do Wesołego Kata z Tiannon. Tyle że, jak znałem życie, to prędzej czy później znajdą się naśladowcy podobnego postępowania, którzy zechcą się upodobnić do Gaspara Louvaina zarówno z wyglądu, jak i zachowania. Zresztą taka jest już natura ludzka, że lgnie do zła oraz grzechu, jak ćma do rozpalonej świecy. I nie miałem wątpliwości, że Wesoły Kat jest człowiekiem zarówno złym, jak i grzesznym. A przy tym wszystkim najprawdopodobniej również niespełna rozumu. Co nie zmieniało postaci rzeczy, iż w sojuszu z bratem Sforzą mogli okazać się niebezpieczni nie tylko dla miasteczka Stolpen, którego losy obchodziły mnie w nikłym stopniu, ale również dla waszego uniżonego sługi.

###### \* \* \*

Przesłuchanie Mathiasa Litte miało rozpocząć się o świcie następnego dnia i tym razem nie zaspałem. Ale kiedy pojawiłem się w izbie, zauważyłem, że kat już krząta się przy palenisku. Dostrzegł mnie i zwrócił ku mnie twarz, czy raczej, złotą, roześmianą maskę, jaką na twarzy nosił.

— *Ach, toż to inkwizytor, co odrzucił me powitalne ramiona. Lecz zaraz się o Wesołego Kata talentach przekona. I nie będzie już gardził biednym Gasparem, kto z jego narzędzi zapozna się czarem.*

Cofnąłem się na próg, bo nie zamierzałem rozmawiać z tą kreaturą ani nawet wypytywać jej o brata Sforzę oraz oskarżonego. Jednak zaraz usłyszałem ze schodów głos proboszcza Lambacha, który cierpliwie tłumaczył, że być może szczera modlitwa z trupożercą wywrze lepszy skutek niż zadawanie mu cierpienia. Wyraźnie słyszałem zaniepokojenie w jego głosie, gdyż zapewne pierwszy raz miał uczestniczyć w przesłuchaniu połączonym z torturami. Cóż, dla ludzi delikatnego usposobienia doświadczenie to rzeczywiście nie należało do najprzyjemniejszych, choć do wszystkiego wszak można się przyzwyczaić...

— Przyprowadźcie no tego ludojada — rozkazał komuś Sforza żartobliwym tonem i usłyszałem dwa mrukliwie przytakujące głosy oraz stuk podkutych podeszew.

Wszedłem z powrotem do izby i usiadłem na zydlu przy położonym na kozłach, zbitym z desek, blacie. Po chwili do środka weszli również proboszcz oraz jałmużnik.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — rzekł z namaszczeniem Lambach, kiedy tylko mnie zobaczył.

— Na wieki wieków — odparłem.

— Witaj, Gaspar — zawołał niemal wesołym tonem Sforza, ignorując moją obecność.

— *Gdy ktoś niechętnie na cię spoziera, dobrze wreszcie ujrzeć przyjaciela —* wypiszczał Wesoły Kat, kiwając gorliwie głową.

Jałmużnik podszedł do niego i poufale poklepał po ramieniu. Zauważyłem, że kat z Tiannon wyprężył się przy tym, jak pies przyjmujący pieszczotę pana.

Usłyszałem szuranie, zduszone przekleństwa i do izby weszło dwóch osiłków (nie widziałem ich nigdy przedtem) ciągnących za sobą Mathiasa Litte. Trupojad miał poszarpane ubranie, włosy zlepione zaschniętą już krwią, podpuchnięte siniakami oczy i niemal zmiażdżony nos.

— A kto go tak obrządził? — zapytałem.

— A kogo to obchodzi? — odparł Sforza pytaniem na pytanie. — Rozłóżcie go na stole — rozkazał.

Mężczyźni rzucili oskarżonego na stół pośrodku izby, jakby rzucali tam wór kartofli. Litte zajęczał coś i wtedy oberwał pięścią prosto w zęby. Drgnąłem, ale postanowiłem się nie odzywać, wiedząc, że moja opinia o przebiegu przesłuchania w najmniejszym stopniu nie obejdzie brata Sforzy. Potem Mathiasowi Litte związano ręce i nogi tak, że leżał na blacie jak ukrzyżowany, a sznury przechodziły dołem. Wesoły Kat podśpiewywał coś i szczękał narzędziami przy ogniu. Zauważyłem, że Litte stara się unieść głowę i zobaczyć, co się dzieje.

Ksiądz proboszcz rozłożył obok mnie pergamin i sprawdził, czy pióro jest dobrze naostrzone. Spojrzał w moją stronę, uśmiechnął się trochę zaniepokojonym, a trochę przestraszonym uśmiechem.

— No to zaczynajmy. — Sforza zatarł dłonie, a potem powiódł wzrokiem po wilgotnych ścianach. — Przynieście no butelczynę gorzałki albo jakiego wina i kubki — rozkazał osiłkom, którzy stali już przy drzwiach i tępym wzrokiem przyglądali się oskarżonemu. — Trzeba się troszkę wzmocnić. — Mrugnął w stronę proboszcza, a Lambach roześmiał się jak na zawołanie.

Z ukosa przyglądałem się jałmużnikowi, który z wyraźną satysfakcją wodził wzrokiem od Mathiasa Litte po, obróconego teraz do nas tyłem, Wesołego Kata. Zauważyłem, że palce Sforzy znowu wykonywały bezwiednie te dziwne ruchy, jakby wysłannik Ojca Świętego kogoś dusił, czy rwał coś na strzępy.

— *Nie dostaniesz wina, bracie, ale Gaspar ma coś dla cię —* niemal wyśpiewał Wesoły Kat i chyboczącym się krokiem przytruchtał w stronę Mathiasa Litte. W chronionych rękawicami dłoniach niósł garnek, z którego wydobywała się para.

— *Nie bądź takim niewiniątkiem, patrz, tu garnek jest ze wrzątkiem. Wleję ci go do gardzieli, ach, będziemy się dziś śmieli! —* Pochylił się nad stołem i zauważyłem, że oskarżony przygląda mu się wybałuszonymi ze strachu oczyma.

Jednak Wesoły Kat nie wprowadził swej groźby w życie, a po prostu chlusnął wrzątkiem na kolana i uda Mathiasa Litte, a potem położył mu garnek o rozgrzanym dnie na nagim brzuchu. Litte zawrzeszczał przeraźliwie i szarpnął się, ale więzy trzymały go mocno. Nie zdołał zrzucić z siebie ciężkiego garnka, chociaż naczynie zakołysało się na jego brzuchu. Wesoły Kat docisnął je, podśpiewując pod nosem coś, czego tym razem nie zrozumiałem. Litte krzyczał cały czas, strasznym, zachrypniętym, pełnym bólu głosem. Zbyt często uczestniczyłem w przesłuchaniach, by miało to na mnie wywrzeć wrażenie, ale zauważyłem, że twarz proboszcza robi się coraz bledsza. Sforza natomiast uśmiechał się, a całe przedstawienie zdawało się go bawić.

— Gaspar, jeszcze nie teraz — powiedział łagodnie. — Najpierw pytania.

— *He, he, he. He, he, he.* *Brat pytania zadać chce —* zaśpiewał kogucim głosem Wesoły Kat.

Ujął garnek w prawą dłoń i zabrał go z brzucha Litte. Nim zdołałem jednak zorientować się, co robi, huknął trupojada z rozmachem żelaznym dnem prosto w połamany nos. Jednocześnie szorstką rękawicą przejechał mu z całej siły po poparzonej i złażącej już z ciała skórze ud. Torturowany zawył i zwiotczał w sznurach.

— A to pięknie — powiedziałem. — Ciekawe, jak go teraz przesłuchamy.

Wesoły Kat niedbałym ruchem strzepnął kawałek skóry, który przywarł mu do rękawicy.

— *Gaspar nie ma dzisiaj wprawy, zbyt jest skłonny do zabawy —* powiedział niemal przepraszającym tonem.

— Ocuć go — mruknął Sforza, wyraźnie niezadowolony. — Tylko delikatnie.

Kat z Tiannon wysupłał z zanadrza jakąś brązową buteleczkę, odkorkował ją, powąchał wylot, głośno pociągając nosem, i kichnął serdecznie.

— *Kto Gasparowi zdrowia pożyczy? Wesela, radości i samej słodyczy? —* Rozejrzał się po nas wąskimi szparami maski.

— Sto lat, Gaspar — odparł brat Sforza, a proboszcz wymruczał coś niezrozumiale.

— *Sto lat bę-dzie Gas-par żył, mę-czył lu-dzi co ma sił. —* Wesoły Kat tym razem wspomógł się radosnymi przytupami z obu nóg. Zauważyłem, że ksiądz Lambach wbija paznokcie w blat, a jego oczy robią się coraz większe.

Trzeba przyznać, że katowi z Tiannon doprowadzanie Mathiasa Litte do przytomności poszło dużo lepiej niż tortury. I rychło znowu usłyszeliśmy jęk przerywany żałosnym łkaniem. Ramiona trupojada drżały jak w febrze, zarówno z bólu, jak i przerażenia.

— Nie, nie, nie — wydusił z siebie, kiedy tylko ujrzał nad twarzą złotą maskę. — Czego ode mnie chcecie?

— *Byś prawdę nam rzekł, niebożę, zanim ból cię straszny zmoże...*

Wesoły Kat pokuśtykał do paleniska; zauważyłem, że wyjmuje z ognia rozgrzane do czerwoności cęgi.

— *Teraz sięgnę ci do gęby, z korzeniami wyrwę zęby. I krew buchnie hen wokoło, oj wesoło, oj wesoło!*

— Może zadalibyśmy pytania oskarżonemu? — zasugerowałem.

— Pytania, no tak, pytania... — powiedział leniwie Sforza i zaplótł palce w węzeł. — Jakie zaklęcia chciałeś przygotować, obrzydliwy czarnoksiężniku? — zagrzmiał niespodziewanie i szczerze zdumiałem się, że ma tak silny głos.

Poderwał się od stołu, przy którym siedzieliśmy, i zbliżył do torturowanego szybkim krokiem. Jego habit zafurkotał.

— Mów, Litte, ty parszywy czarowniku! Kogo chciałeś zabić? Kto ci pomagał? Kto cię wyuczył zaklęć i rytuałów? Gdzie spotykaliście się na sabatach? Gdzie oddawaliście cześć czartowi i jego pomiotom?

Mathias Litte wpatrywał się zapuchniętymi i załzawionymi oczyma w twarz brata jałmużnika i byłem pewien, że niewiele rozumie z jego pytań. Zapewne niewiele by z nich zrozumiał, nawet gdyby nie był otumaniony bólem oraz strachem.

Wesoły Kat zaszczękał tymczasem cęgami, które zdołały ostygnąć i nie żarzyły się czerwienią.

— *Odpowiadaj na pytania, bo nadejdzie już czas rwania —* zaśpiewał. — *Jeden ząbek, drugi, trzeci, zaraz z gęby ci wyleci!*

Trupojad wpatrywał się oszołomiony w złotą maskę i byłem pewien, że nie pamięta nie tylko o pytaniach zadanych przez Sforzę, ale nawet o jego obecności. Wesoły Kat pochylił się błyskawicznie, niemal odtrącając jałmużnika, chwycił Litte za dolną szczękę, a cęgi wsadził mu w głąb ust. Szarpnął potężnie i równo z ogłuszającym krzykiem wyciągnął tkwiący między żelaznymi szczypcami zakrwawiony ząb.

— *Następny, następny! —* Ni to zapiszczał, ni to zacharczał z wyraźnym podnieceniem w głosie i nawet nie silił się na rymy. Krew zbryzgała białe, nastroszone rękawy jego kubraka. Jedna kropla padła na złotą maskę.

— Dość! — krzyknął Sforza i odepchnął kata.

Nachylił się nad duszącym się z bólu i trwogi Mathiasem.

— Mów, a oszczędzimy ci cierpienia — powiedział z niespodziewaną łagodnością w głosie. — Kto był twoim wspólnikiem?

— Syso pofiem — wybełkotał Litte, a z jego ust buchała krew.

Wstałem, odsuwając z hurkotem zydel.

— Dość już zobaczyłem — powiedziałem.

— Nie podoba wam się, że zmierzamy do ujawnienia prawdy, co? — Sforza odwrócił się i spojrzał na mnie złym wzrokiem.

— Skądże. Jestem pod wrażeniem waszych metod — odparłem i wyszedłem.

###### \* \* \*

Nie ukrywam, że naprawdę byłem pod wrażeniem przesłuchania, w którym miałem nieprzyjemność uczestniczyć, i zdecydowałem się podzielić mymi wrażeniami z Kostuchem. Starałem się mówić krótko oraz zwięźle, ale w ten sposób ciężko było oddać cały ten dziwaczny, złowieszczy i odrażający rytuał, który stosował Wesoły Kat za aprobatą brata Sforzy. Myślę jednak, że mój towarzysz zrozumiał, co trzeba było zrozumieć.

— Tak sobie myślę — rzekł powoli. — Że może go zabiję, co? Mordimer? Tego jałmużnika...

— No — odparłem. — Pewnie... Ty już lepiej nie myśl, bardzo cię proszę...

— A Wittingen? Gdybyśmy zrobili to samo, co w Wittingen?

— Kostuch, jak sądzisz, ile razy można powtarzać ten sam manewr? Pomyśl chwilę i zastanów się, co by powiedział Ojciec Święty, gdyby okazało się, że jego specjalny wysłannik jest heretykiem albo czarnoksiężnikiem? I po raz kolejny takie straszne odstępstwo wykrywa inkwizytor Madderdin z Hezu?

Mój towarzysz wzruszył ramionami.

— No? Co takiego by powiedział?

— Pewnie nie chciałbyś tego słyszeć. — Wzruszyłem ramionami.

Owszem, w czasie osławionych wypadków w Wittingen przeprowadziliśmy śledztwo, które dało niespodziewane i dla niektórych przykre rezultaty. Ale nigdy nie wchodzi się do tej samej rzeki, jak stwierdził pewien pogański filozof. Gdyby Mordimer Madderdin po raz drugi spalił wysłannika Ojca Świętego, mogłoby się to wielu ludziom wydać nie tyle nadużyciem, co wręcz nader nagannym przyzwyczajeniem. Byłem pewien, że w takiej sytuacji zażądano by ode mnie obszernych wyjaśnień, a ostatnim, na co miałem ochotę, była wizyta w słynnym Zamku Aniołów.

— Więc co zrobisz? — zapytał Kostuch.

— Nic — odpowiedziałem. — Poczekamy, jak sprawy się ułożą. Jedyne, co mogę uczynić, to wysłać list do Hezu. Ale... — machnąłem zrezygnowany dłonią — i tak pewnie nikt go nie przeczyta.

Mogłem również próbować zaangażować w działania miejscowy oddział Inkwizytorium, znajdujący się w Kaiserburgu, ale byłem więcej niż pewien, iż braci inkwizytorów nie zachwyciłaby perspektywa uczestniczenia w konflikcie, który tak naprawdę mało ich obchodził. Oczywiście, zawodowa solidarność zmusiłaby ich, aby stanęli po mojej stronie, lecz nie wierzyłem, by zrozumieli sedno problemu. Cóż, szczerze mówiąc, sądziłem że lokalni inkwizytorzy mogliby uznać za zupełne dziwactwo stawanie w obronie kreatury tak obrzydliwej, jak Mathias Litte. Zwłaszcza jeśli spowodowałoby to konflikt z człowiekiem na tyle potężnym, co brat Sforza.

— Przede wszystkim jednak bardzo chciałbym zobaczyć, co kryje się pod złotą maską naszego kata wesołka. Mam wrażenie, że gdzieś go już widziałem. — Potarłem czoło palcami.

— Ja tam nie — burknął Kostuch. — I ciekaw też nie jestem. Ale może jego by zabić, co? — Ożywił się nieco.

— Z tym prędzej się zgodzę — powiedziałem. — Ale mamy czas...

Wiedziałem, że przesłuchanie nie może potrwać długo, bo nawet Sforza nie był chyba aż tak głupi, by zamęczyć na śmierć oskarżonego, skoro chciał wydobyć od niego konkretne zeznania. Wesoły Kat kwaterował na piętrze plebanii (proboszcz nie miał innego wyjścia i musiał pozwolić na takie towarzystwo), więc zdecydowałem, że poczekam, aż będzie wracał. Wybrałem sobie dobre miejsce — ciemną sień pod schodami i nie minęło wiele czasu, jak usłyszałem dziwne odgłosy: ni to szuranie, ni to przytupywanie, ni to kuśtykanie. Piosenka nucona na poły piskliwym, na poły chrapliwym głosem umocniła mnie w przekonaniu, że oto Wesoły Kat wraca na kwaterę po znojnym dniu. Poczułem też ostry zapach świeżej krwi, a kiedy kat mijał moją kryjówkę, ujrzałem sam skraj czerwonej od posoki, jedwabnej kryzy jego rękawa.

Nieźle zabawili się z Mathiasem Litte, pomyślałem, ale nie było we mnie szczególnego współczucia dla losów trupożercy. Zapewne jego życie nie układało się nazbyt szczęśliwie, ale czyż nie był sam sobie winien? Po co od lat opiekował się starą, chorą i brzydką żoną? Czy nie mógł wziąć sobie takiej, która jemu mogłaby pomagać, a nie tylko żądała pomocy? Ha, ludzie zazwyczaj przegrywają życie na swoje własne życzenie i Mathias Litte był tego najlepszym przykładem. Gdyby łóżko grzała mu młoda, zdrowa dziewucha, a nie usychająca starowina, to i nie byłoby całego nieszczęścia...

Na razie jednak musiałem zaprzestać jakże interesujących rozważań na temat życia małżeńskiego bliźnich i cichutko wszedłem po schodach, ostrożnie stawiając stopy, tak by drewno nie zatrzeszczało pod nogą. Co prawda, Wesoły Kat śpiewał i pomrukiwał na tyle głośno, że nie powinien słyszeć niczego poza sobą, ale jednak wolałem uważać.

Trzasnęły drzwi prowadzące do jego izby, a ja już za chwilę zjawiłem się pod nimi. Przyłożyłem ucho do drewna i przez chwilę słyszałem jeszcze chrapliwe podśpiewywanie, które jednak niespodziewanie umilkło w pół nuty. Wtedy zobaczyłem w drzwiach, tuż przy futrynie, wąskie, jasne pęknięcie i postanowiłem spojrzeć, a nuż zobaczę, co dzieje się w środku. Szpara była niemiłosiernie wąska, ale zbliżając oko do samego drewna, byłem w stanie dojrzeć mały wycinek izby. W zasięgu mojego wzroku pojawiły się obleczone kolorowym kubrakiem szerokie plecy Wesołego Kata. Usłyszałem stęknięcie, kiedy siłował się z ciasnym ubraniem i zaraz potem został w samej bieliźnie. Nadal odwrócony był do mnie plecami, ale dostrzegłem, że zdejmuje złotą maskę. Odłożył ją gdzieś poza zasięg mojego wzroku, lecz zauważyłem, że na ramiona sypnęły mu się, spięte do tej pory i skryte pod maską, jasne loki. A potem obrócił się twarzą w stronę drzwi. Nie krzyknąłem ze zdumienia, nie jęknąłem w przerażeniu i nie wciągnąłem powietrza z głośnym sykiem. Nie jestem egzaltowaną dziewoją, mdlejącą na widok, który poruszy jej wrażliwym serduszkiem. Jestem inkwizytorem Jego Ekscelencji i niejedno już w życiu widziałem. W każdym razie uznałem, że oto nastał najlepszy moment, by wasz uniżony sługa wtargnął do środka i położył kres całej sprawie.

###### \* \* \*

— Nie rozumiem — powiedział, wpatrując się osłupiałym wzrokiem w złotą, roześmianą maskę. — Na Boga żywego, nic nie rozumiem! — dodał z rozpaczą w głosie. — Skąd to się wzięło? I ja skąd się wziąłem w tej izbie?

Obrócił na mnie twardy i zły wzrok.

— To jakaś wasza intryga, tak? Drogo mi za to zapłacicie!

— Do tej izby wszedł Wesoły Kat — powiedziałem spokojnie. — Wiem, gdyż śledziłem jego kroki.

— Taaak? I gdzie teraz się podział, waszym zdaniem? — spytał pogardliwie.

Znaczącym wzrokiem spojrzałem na ciżmy o wydłużonych, wygiętych noskach, które de la Guardia miał na stopach. Powiódł oczami za moim spojrzeniem.

— Nie wiem — rzekł głucho, wpatrzony w ciżmy z obrzydzeniem i jednocześnie jakąś dziwną fascynacją. — Nie wiem, skąd je mam... Dlaczego je włożyłem? Ja chyba... spałem. Tylko dlaczego tutaj? Ktoś mnie w to ubrał... Wy?

— Oczywiście, że nie — odparłem. — Jak to sobie wyobrażacie? Spójrzcie... — Pokazałem palcem rozłożony na łóżku strój Wesołego Kata. Łaciaty kubrak oraz kolorowe pantalony.

— A więc on tu wszedł — rzekł de la Guardia. — I rozebrał się. Ale... po co? Na Boga żywego! — Grymas przebiegł nagle po jego twarzy. — Nie sądzicie chyba, że ja...

— Że hołdujecie ohydnym, sodomickim praktykom? — spytałem, starając się nie pokazać, jak bardzo mnie ta myśl rozbawiła. — Nie, oczywiście, że nie.

— Więc? — Patrzył na mnie, trąc brodę palcami, a skóra na jego twarzy czerwieniała coraz bardziej.

— Odpowiedź jest jedna, panie rycerzu. Pismo oraz nauki doktorów Kościoła przygotowały nas w swej mądrości na podobne przypadki. To wy jesteście rycerzem de la Guardia i wy również jesteście Wesołym Katem z Tiannon. Bóg obdarzył was szlachetną duszą granadzkiego szlachcica, lecz szatan w swej złośliwości spowodował, by w waszym ciele zagościła również ohydna dusza Gaspara Louvaina. I jestem pewien, że Rodrigo Esteban de la Guardia y Torres nie ma najmniejszego pojęcia, iż dzieli ciało z tak obrzydliwą kreaturą.

Nie wiedziałem, jak się zachowa. Czy skoczy na mnie z nożem w dłoni, czy zaśmieje się lekceważąco, uważając mnie za szalonego? Ale on tylko ciężko usiadł na łóżku i wpatrywał się we mnie osłupiałym wzrokiem.

— Nie wierzę — powiedział cicho. — Na Boga żywego, nie wierzę...

— Przypomnijcie sobie — niemal szepnąłem. — Czy nie za wiele razy los krzyżował wasze drogi z Wesołym Katem? Czy nie było tak, iż akurat przybywał on do miasta, w którym właśnie wy gościliście?

Po wyrazie jego twarzy poznałem, że utrafiłem w sedno.

— Wspomnijcie słowa Ewangelii — rzekłem. — *Rozkazywał bowiem Jezus duchowi nieczystemu, by wyszedł z tego człowieka. I zapytał go: jak ci na imię? On odpowiedział „legion”, bo wiele złych duchów weszło w niego. Te prosiły Jezusa, by im nie kazał odejść do czeluści. Zważcie,* panie de la Guardia: „legion”. A więc więcej niż jeden tylko duch może przebywać w ludzkim ciele. Ten właściwy, dany nam mocą Pańską, oraz inne, które na utrapienie nieszczęsnej ofiary, wniknęły dzięki potędze Złego.

— Jestem o-pę-ta-ny — powiedział wolno. — To chcecie powiedzieć?

— Tak — odparłem po prostu.

— Potraficie przeprowadzić odpowiednie... egzorcyzmy? A może brat Sforza? Jak myślicie? — Oczy zapłonęły mu nadzieją.

— Brat Sforza? — Uśmiechnąłem się. — Przecież to jemu służy Wesoły Kat z Tiannon. Myślicie, że czcigodny jałmużnik o niczym nie wie?

— Boże mój — zajęczał Rodrigo, kiedy zdał sobie sprawę z wagi moich słów. — Boże mój, dlaczego mi to uczyniłeś? Zawsze starałem się tylko chwalić imię Pańskie...

— Jak Hiob — powiedziałem. — Nie zapominajcie o tym, który wytrwał, chociaż wszystkie rzeczy na niebie i ziemi próbowały podważyć jego wiarę. Okazał się wierny Panu i otrzymał za to nagrodę.

— Co mam robić? Powiedzcie mi, co mam robić? — zapytał z głęboką rozpaczą w głosie.

Nie wiem, czy słyszał moje słowa o Hiobie. Zresztą sam zastanawiałem się, czy mogły one być tak naprawdę wystarczającym pocieszeniem, gdyż grzesznie sądziłem, że Hiob jednak nie cieszył się szczególną miłością Pana. A nawet jeśli, to była to miłość wyrażana w sposób dla samego Hioba mocno niezrozumiały.

— Nie jestem egzorcystą — odparłem. — Nie ośmieliłbym się liczyć, że zdołam powtórzyć dzieła Jezusa Chrystusa. Niemniej znam ludzi, którzy obdarzeni Boską łaską, poświęcili życie uwalnianiu niewinnych spod mocy złego ducha. Zaprowadzę was do nich, jeśli taka wasza wola.

Ostatnie słowa dodałem tylko z grzeczności, gdyż zamierzałem rycerza de la Guardię zaprowadzić przed oblicze egzorcystów, czy tego będzie chciał, czy nie. Byłem pewien, iż mnisi z klasztoru Amszilas mieli do czynienia z podobnymi przypadkami i poradzą sobie z kolejnym. Chociaż co do tego, czy Rodrigo przetrwa ich zabiegi, żywiłem już pewne wątpliwości...

— Gaspaaaar! — Usłyszałem za oknem przeciągłe wołanie brata Sforzy. — Pozwól tu, mój chłopcze.

Rycerz de la Guardia usłyszał te słowa i jego piękna twarz wykrzywiła się nienawiścią. Ale potem opuścił nagle głowę i zamarł w bezruchu. Kiedy otworzył oczy, zobaczyłem, że na jego obliczu nie maluje się żadne ludzkie uczucie. Było jak zastygła maska.

— *Ktoś Wesołego Kata wzywa, gdyż żadna rzecz się bez niego nie obywa —* wydusił z siebie skrzekliwym głosem.

— Panie de la Guardia — powiedziałem. — Na Boga żywego!

Coś drgnęło w jego oczach.

— Boże, byłem nim... Czułem to... — jęknął. — Proszę... nie... nie więcej...

Runął w moją stronę tak szybko, że nawet nie zdołałem się cofnąć. Ale on tylko padł na klęczki i przytulił twarz do moich kolan.

— Błagam — wyszeptał. — Błagam was...

Położyłem dłonie na jego ramionach i poczułem, jak mocno drżą.

— Gaaaaspaaar! — Rozległo się zza okna.

— Póki jestem — wyjęczał rycerz u moich kolan. — Zróbcie to, póki to właśnie ja jestem... Ja nie mogę, grzech śmiertelny, ale wy...

— Wstań, Rodrigo — rozkazałem twardo, a on z trudem się podniósł.

Cały czas przytrzymywałem go, teraz spojrzałem mu prosto w oczy.

— Panie Rodrigu Estebanie de la Guardia y Torres — powiedziałem. — Jesteście prawym szlachcicem i dobrym człowiekiem.

Pchnąłem go ostrzem pod serce tak, że nie mógł nawet poczuć, co się stało. Tylko jego oczy, wpatrzone we mnie z cierpieniem, nagle złagodniały. Nie pozwoliłem upaść ciału na podłogę i przeniosłem je na łóżko. Ze stóp rycerza zdjąłem ciżmy i wzułem mu jego długie buty z twardej skóry. Złotą maskę, kubrak, pantalony oraz ciżmy zawinąłem w koc. Zamierzałem je wynieść i spalić, tak aby żaden ślad nie pozostał po Wesołym Kacie z Tiannon. Wychodząc, spojrzałem raz jeszcze na leżące ciało i uradował mnie spokój, który zobaczyłem w martwych źrenicach. Miałem nadzieję, że dusza rycerza de la Guardii stoi już przed Tronem Pańskim, czekając na sprawiedliwy osąd. I taką samą miałem nadzieję, jeśli chodzi o Wesołego Kata z Tiannon. Tyle, że pozwalałem sobie ufać, iż dusze te nie spędzą wieczności w tym samym miejscu.

— Będę o tobie pamiętał w modlitwach, rycerzu — powiedziałem.

Miałem jedynie nikłą nadzieję, by modlitwy człowieka tak nędznego jak ja mogły przeważyć szalę na błogosławionym ołtarzu Pana. Jednak szczerze wierzyłem, iż nawet jeśli Pan zdecydował się ukarać granadzkiego szlachcica, to kara ta nie będzie zbyt sroga.

— Gaaaspaaar! — Rozległo się znowu wołanie brata Sforzy. — Czekam na ciebie w moim pokoju, chłopcze!

I wtedy do głowy wpadła mi szalona myśl. Zwykle jestem człowiekiem rozważnym, cierpliwym, nieskorym do pochopnych czynów i prowadzącym nudne, leniwe życie. Ale teraz postanowiłem działać, chociaż zdawałem sobie sprawę z tego, iż działanie takie może mnie sporo kosztować.

Rycerz Rodrigo Esteban de la Guardia y Torres był człowiekiem zbliżonym do mnie posturą i niemal identycznego wzrostu. A ponieważ jako Wesoły Kat chodził ciągle skulony, wykrzywiony i kolebiąc się jak kaczka, więc miałem nadzieję, że drobne różnice między nami nie zostaną przez nikogo zauważone. Pewien problem byłby z włosami, gdyż la Guardia miał włosy koloru dojrzałej pszenicy, a moje przypominają barwą nocne niebo (nawet srebrzą się w nich niestosowne do mego wieku pasma siwizny — skutek wytężonej walki o dusze grzeszników). Na szczęście, nosząc złotą maskę, Gaspar spinał wysoko włosy, więc ich koloru nie było widać.

Wyrzuciłem na podłogę cały strój Wesołego Kata i zacząłem się szybko przebierać. Z nieukrywanym obrzydzeniem, gdyż szaty Gaspara przesycone były smrodem zastarzałego potu oraz krwi. Swoje własne ubranie zawinąłem w koc i wsadziłem pod łóżko. Wyszedłem z izby, starannie zamykając za sobą drzwi. Czekała mnie pierwsza próba. Musiałem przyjść do brata Sforzy, gdyż inaczej mógłby poczuć się zaniepokojony. Zorientowałem się, że nie wiem przecież, jakie mają obyczaje. Czy Gaspar pukał, wchodząc do pokoju jałmużnika, czy też nie przejmował się konwenansami? Postanowiłem, że nie zastukam, i nacisnąłem klamkę. Skuliłem się w sobie i wszedłem do środka kolebiącym krokiem. Stanąłem tuż przy progu, aby trzymać się jak najbliżej cienia i nie wchodzić w plamę słonecznego światła, która rozlewała się na środku podłogi.

— No, jesteś wreszcie — powiedział serdecznie Sforza.

— *Źle się Gaspar dzisiaj miewa, smutek w sercu mu nabrzmiewa —* zaskrzeczałem, starając się nadać głosowi ton i brzmienie jak najbardziej podobne do tych, które słyszałem z ust Wesołego Kata.

— Dbaj o gardło, Gaspar — powiedział surowym tonem Sforza. — Bo coś strasznie dzisiaj chrypisz.

— *Biedny Gaspar dziś choruje, czy go troszkę ktoś żałuje? —* skleciłem rym, mając nadzieję, że nie jest gorszy od tych, którymi raczył nas Wesoły Kat.

— O tak, biedny Gaspaaar — przeciągnął jałmużnik. Zbliżył się do mnie, a ja nie miałem się już gdzie cofnąć, gdyż za mną były tylko drzwi. Zakonnik wyciągnął dłoń i wolno przeciągnął koniuszkami palców po moim ramieniu. Ach, to takie buty, pomyślałem i, o ile to możliwe, poczułem jeszcze większe obrzydzenie.

— *Źle się Gaspar teraz czuje, lecz wieczorem pofigluje —* zrymowałem, starając się skrzeczącemu głosowi nadać ton zalotności. Szczerze mówiąc, wyszło to upiornie, ale Sforza cofnął dłoń.

— Idź, idź — rzekł. — Prześpij się albo co. Wieczorem cię zawołam.

— *Każdy dzień jest jak niedziela, gdy czekasz na przyjaciela —* zamruczałem pod nosem i uchyliłem drzwi. Od własnych rymów już mnie zęby bolały.

Poszedłem do izby Wesołego Kata i starannie zaryglowałem drzwi oraz zatrzasnąłem okiennice. Nie chciałem, aby ktokolwiek mnie niepokoił zanim nie nadejdzie zmierzch.

Przesiedziałem do zmroku w samej bieliźnie, gdyż nie mogłem wytrzymać w obrzydliwym stroju Wesołego Kata. Ale kiedy zobaczyłem, że na zewnątrz zrobiło się już ciemno, wtedy z powrotem przybrałem postać Gaspara Louvaina. Wziąłem ze sobą skrzyneczkę z rzeczami niezbędnymi do osiągnięcia celu, który sobie wyznaczyłem, i koc, w który wcześniej zawinąłem własne ubranie. Potem cichutko wyszedłem na korytarz. Delikatnie zapukałem do drzwi kanonika.

— Gaspaaar? — zapytał. — Lepiej już się czujesz?

— *Żaden człek nie narzeka, gdy uciecha przed nim czeka —* zaskrzypiałem i tak podrażniłem gardło, że o mało się nie rozkaszlałem.

Szczęknął odsuwany skobel i jałmużnik wpuścił mnie do izby, w której mrok rozjaśniał tylko żółty, drgający płomień lampki.

— Chodź, chodź — nakazał pospiesznie, a ja bez słowa wślizgnąłem się do pokoju.

Nie czekałem, gdyż nie miałem na co czekać. Zdzieliłem brata jałmużnika w skroń, a on padł na ziemię, jak worek kartofli, i huknąłby jeszcze czerepem w podłogę, gdybym nie chwycił go na czas za ramię. W końcu nie chciałem, by umarł, prawda? Nie byłem aż tak litościwy, aby na to pochopnie pozwolić.

Przywiązałem brata Sforzę do łoża, tak że pozycja, którą przybrał, przypominała literę „X”. Potem zapaliłem drugą lampkę (lubię mieć dobre światło w czasie pracy, gdyż tylko wtedy można osiągnąć komfort zadowalający obie strony) i rozłożyłem na stole narzędzia. Nie było tego dużo, ale osobie o bogatej wyobraźni oraz jakich takich umiejętnościach powinno wystarczyć. Ja na brak wyobraźni nie narzekałem, a więcej niż skromne umiejętności zawdzięczałem nauce w naszej przesławnej Akademii Inkwizytorium. Miałem więc pewność, że spędzimy z jałmużnikiem kilka długich, niezwykle zajmujących chwil, choć, niestety, nie obfitujących w rozmowy.

Na razie starannie zakneblowałem Sforzę, a potem przyłożyłem mu do nozdrzy sole trzeźwiące, które były w posiadaniu Wesołego Kata. Podziałały szybciej i skuteczniej niż sądziłem. Sforza zatchnął się, kichnął przeraźliwie kilka razy, a potem wlepił we mnie spojrzenie wybałuszonych z przerażenia oczu i zaskomlał coś pod kneblem.

— *Wszystko pójdzie teraz z górki, zaczniem, bracie, rwać pazurki —* na pół wyśpiewałem, na pół wydeklamowałem, sięgając po zgrabnie wyglądające, niewielkie cęgi.

Jałmużnik bełkotał coś niezrozumiale, ale knebel skutecznie tłumił wszelkie odgłosy. Zachichotałem i mocno przytrzymałem dłoń mej ofiary, a potem chwyciłem cęgami paznokieć kciuka. Wierzcie mi albo nie, mili moi, ale nie zdążyłem nawet szarpnąć. Sforza poczerwieniał, jakby ktoś oblał mu twarz kubłem krwi, dostał spazmatycznych drgawek, wyprężył się niczym naciągnięta do granic możliwości struna, a potem znieruchomiał.

— Na miecz Pana! — warknąłem wściekle już własnym głosem.

Przyłożyłem palce do szyi jałmużnika i wyraźnie poczułem puls. A więc żył, ale przecież nie zamierzałem torturować nieprzytomnego, gdyż mijałoby się to z celem. Oj, z kiepskiego materiału ulepił nasz Pan brata Sforzę! Obawiałem się, że doznał on pod wpływem szoku wylewu krwi do mózgu, i wiedziałem, że na to żadne trzeźwiące sole już nie pomogą. Zakląłem i wpakowałem z powrotem narzędzia do skrzynki. Nie mogłem się tylko powstrzymać i na obu policzkach jałmużnika głęboko wyrżnąłem litery „GL”. Niech przynajmniej do końca życia (jeśli oczywiście w ogóle się kiedyś dobudzi) nosi inicjały Wesołego Kata, którego sam stworzył.

Następnie wróciłem do pokoju, w ciało rycerza la Guardii, w ranę, którą miał pod sercem, wbiłem sztylet należący do Wesołego Kata. A potem przeszedłem się po miasteczku, starając się, by zobaczyło mnie jak najwięcej osób. I by wyraźnie dostrzegli krew na moim ubraniu oraz usłyszeli, jak bełkoczę coś pod nosem i wyśpiewuję bezsensowne piosenki. Wreszcie zniknąłem w lesie, zakopałem odzież Wesołego Kata, przebrałem się we własną i cichutko zakradłem do mej izby. Wszyscy będą sądzili, że Gaspar Louvain oszalał, zabił rycerza, zabił jałmużnika, a potem uciekł. Być może będą go nawet ścigać. Życzę szczęścia... Oczywiście, istniała szansa, że Sforza przeżył. Wtedy on jeden będzie wiedział, co stało się naprawdę i że Wesoły Kat nie mógł nigdzie uciec. Czy domyśli się niewinnej intrygi, przeprowadzonej przez waszego uniżonego sługę? Zapewne tak, lecz najbardziej bawiło mnie to, że z nikim nie będzie mógł się podzielić swymi interesującymi przemyśleniami.

### Epilog

Dwaj słudzy wnieśli Sforzę, który siedział na fotelu, mając bezwładne nogi oraz ramiona. Lewa część jego twarzy była sparaliżowana i wyglądała jak wymięta czy zgnieciona. Na obu policzkach miał pokryte strupami rany w kształcie liter „GL”. Uśmiechnąłem się, gdyż widok ten wydał mi się całkiem zabawny.

— Inkwizytorze Madderdin — powiedział z wyraźnym trudem, a słowa brzmiały jak „ipfisytoże materin”. Uśmiechnąłem się raz jeszcze, gdyż to było również zabawne. — W toku postępowania zostało udowodnione, iż w mieście Stolpen działał potężny czarnoksiężnik. A wy w niepojęty sposób wzbranialiście się przed podobną konkluzją. Uważam więc, iż sprawa wymaga pieczołowitego wyjaśnienia. Dlatego udacie się pod strażą do Stolicy Apostolskiej, gdzie otrzymacie szansę, by udowodnić siłę swej wiary i wskazać nam błąd, który, jeśli zajdzie taka potrzeba, Ojciec Święty przyjmie z pełną pokorą.

Ledwo rozumiałem, co też brat Sforza bełkocze, i tylko wieloletnie doświadczenie w przesłuchiwaniu ludzi, którzy wyglądali gorzej niż on, pozwoliło mi pojąć jego słowa.

Nie znałem się na kodeksach aż tak, by stwierdzić, czy jałmużnik miał prawo podjąć podobną decyzję, czy też nie. Zapewne byłby to interesujący przedmiot sporu dla biegłych jurystów. Niemniej, nie miało to teraz żadnego znaczenia, gdyż za bratem jałmużnikiem stali zbrojni hrabiego Scheifolk, których przezornie wcześniej wezwał. A ja miałem po swej stronie jedynie Kostucha. I wolałem jednak nie jechać do Stolicy Apostolskiej w kajdanach.

— Czy przyjmujecie moją decyzję, czy też życzycie sobie wyjaśnienia sprawy na miejscu, zdając się na sąd oraz miłosierdzie Kościoła?

Wyjaśnienie sprawy na miejscu brzmiało niewinnie. Tyle, iż ja wiedziałem, co kryje się pod tymi słowami. Zdanie się na sąd kościelny unicestwiało wszelkie moje przywileje jako inkwizytora. Mógłbym być przesłuchiwany i, rzecz jasna, poddany torturom. Jak się domyślacie, mili moi, nie miałem ochoty dobrowolnie kłaść głowy na pieńku, a na temat miłosierdzia Kościoła, reprezentowanego przez jałmużnika, miałem wyrobione doświadczeniem zdanie.

— Bracie Sforza — powiedziałem. — Z całą stanowczością protestuję przeciwko uzurpowaniu sobie przez was władzy wam nienależnej. Co więcej, nie zamierzam poddawać się waszej jurysdykcji, a tu obecnych zapewniam i biorę na świadków, że Święte Officjum wyciągnie surowe konsekwencje wobec wszystkich, którzy ośmielili się znieważyć jego funkcjonariusza.

Sforza słuchał mnie, zdawałoby się uważnie, ale ani jeden mięsień nie drgnął na jego bladej, pomarszczonej twarzy. Wpatrywał się we mnie z bezbrzeżną nienawiścią, a ja uśmiechnąłem się łagodnie.

— Zakujcie go — rozkazał, starając się tym razem jak najwyraźniej artykułować słowa.

Zbrojni hrabiego ruszyli w moją stronę. Dwóch durnych wieśniaków, którym pozwolono nałożyć skórzane zbroje, a do garści dano tępe miecze. Dla wyszkolonego inkwizytora nie mogli być przeszkodą. Ale pod oknem stał jeszcze hrabia Scheifolk oraz jego przyboczny, który wyglądał już na człowieka lepiej przygotowanego do walki. Zostało mi niewiele czasu, by podjąć decyzję, co wypada czynić. Miałem miecz, miałem też shersken — jedną z najobrzydliwszych znanych trucizn. Jedna garsteczka rzucona w oczy wystarczy, by ofiara zaniewidziała i poczuła przeraźliwe swędzenie w źrenicach. Lecz jeśli zatrze oczy, to jej własne palce będą ostatnim widokiem, który ujrzy. Oczywiście, mogłem mieć nadzieję, że pokonam hrabiego oraz jego sługusów. Ale co dalej? Czy Mordimer Madderdin nie stanie się wtedy bardzo pilnie poszukiwaną zwierzyną? Zabicie szlachetnie urodzonego arystokraty wykonującego polecenia wysłannika Ojca Świętego nie zyskałoby mi popularności. Niewiele miałem czasu na podjęcie decyzji, lecz nagle od drzwi usłyszałem spokojny głos.

— Chyba jednak nie.

Odwróciłem się. W progu stał szpakowaty inkwizytor o końskiej, zmęczonej twarzy. Na jego płaszczu błyszczał wyhaftowany srebrną nicią połamany krzyż. Inkwizytor nie był sam. Za jego plecami stali trzej inni funkcjonariusze Świętego Officjum. Wszyscy z mieczami u pasów. I wszyscy trzymali dłonie na ich rękojeściach.

— Jestem Ruprecht Zeedorf, przełożony Inkwizytorium z Kaiserburga — rzekł obojętnym tonem. — Mam rozkaz dla inkwizytora Madderdina nakazujący mu natychmiastowe stawienie się przed obliczem Jego Ekscelencji biskupa Hez-hezronu.

W komnacie zaległa cisza. Zbrojni hrabiego zastygli w pół drogi do mnie. A ja zastygłem z palcami w woreczku z sherskenem. W końcu brat Sforza ocknął się ze zdumienia.

— Pokażcie te rozkazy — rzucił nerwowym tonem, a w jego nieruchomej, zaciętej twarzy coś wreszcie drgnęło.

Ponieważ zabrzmiało to jak „pofacietekazy”, więc ani Zeedorf, ani jego ludzie nic nie zrozumieli i tylko przyglądali się jałmużnikowi ze zdziwieniem zmieszanym ze szczyptą rozbawienia. Spojrzenia przełożonego inkwizytorów z Kaiserburga i moje skrzyżowały się na moment, a ja dostrzegłem, że źrenice Zeedorfa przypominają dwa błyszczące okruchy obsydianu. Były równie czarne i równie martwe.

— Brat Sforza pragnie, byście pokazali mu rozkazy — wyjaśniłem uprzejmie. — I prosi, żeby mu wybaczyć, gdyż z nieznanych bliżej przyczyn ma jakieś kłopoty z wymową...

— Z całym szacunkiem — powiedział Zeedorf z uśmiechem, który nie miał z szacunkiem nic wspólnego. — Ale nie widzę powodów, aby pokazywać wam rozkazy pochodzące ze Świętego Officjum. Ta sprawa was nie dotyczy, jałmużniku. Ale możecie odejść. Inkwizytorium nic do was nie ma. Na razie...

Ha, mili moi, jakże byłaby to zajmująca sprawa dla jurystów! Czy rację ma pełnomocnik papieski wzywający inkwizytora do Stolicy Apostolskiej, czy też przeważa bezpośrednie polecenie od przełożonego — biskupa Hez-hezronu — nakazujące inkwizytorowi stawić się przed jego obliczem? I czy inkwizytor musi pokazać papieskiemu jałmużnikowi właściwe dokumenty? W tym jednak wypadku znaczenie miał fakt, że nie byłem sam. Za moimi plecami stał Ruprecht Zeedorf oraz trzech braci-inkwizytorów. Tylko idiota mógłby nie wiedzieć, że inkwizytorzy są szkoleni tak, by biegle władać zarówno umysłem, jak i orężem.

— Cc-coś takiego! — Sforza wyraźnie stracił język w gębie. — Kim wy w ogóle jesteście?

— Nie dosłyszeliście? — Zeedorf tym razem zrozumiał słowa kanonika i odezwał się z jakąś szyderczą słodyczą w głosie. — Jestem przełożonym Inkwizytorium z Kaiserburga. A dawno temu, zanim zostałem inkwizytorem, miałem zaszczyt uczestniczyć w wyprawie do Ziemi Świętej. — Spojrzał w stronę hrabiego i jego ludzi. — Pod nieco innym mianem — dodał z uśmiechem pozbawionym wesołości. — Jako trzeci syn księcia von Zeedorf, jeśli któremuś z panów to cokolwiek mówi.

Hrabia Scheifolk przełknął ślinę tak głośno, że musieli to usłyszeć chyba wszyscy w komnacie.

— Książę — rzekł. — Prawdziwy zaszczyt. Proszę mi wierzyć, że...

— Chciałbym, aby dzisiejsze spotkanie było zaszczytem i dla mnie — przerwał mu surowym tonem Zeedorf. — A poza tym nie jestem i nigdy nie byłem księciem, gdyż wybrałem służbę Chrystusowi ponad złudne przywileje mojego stanu.

— Oczywiście, nie chciałem urazić...

Nie dziwiłem się konsternacji hrabiego Scheifolk, gdyż ród von Zeedorf należał do najbardziej zasłużonych i najpotężniejszych w Cesarstwie. Oczywiście Ruprecht był tylko przełożonym lokalnego oddziału Inkwizytorium, ale jego wpływy mogły sięgać daleko ponad niezbyt w końcu znaczne stanowisko.

— Mistrz Mordimer Madderdin został zobligowany, by udać się wraz ze mną — obwieścił Zeedorf. — Mam nadzieję, panie hrabio, że nie zechcecie przeszkodzić w wykonaniu woli Inkwizytorium?

— Ja? Ja? — powtórzył hrabia i zerknął niepewnie w stronę Sforzy. — Oczywiście, że nie... Przecież to nie moja sprawa... Jakże bym śmiał...

Sądzę, że hrabia wiedział, jakie grożą kary za sprzeciwienie się woli inkwizytora legitymującego się stosownymi rozkazami. W końcu, gdyby nie powaga Świętego Officjum, jakie mielibyśmy szanse, aby przeżyć na tym nie najlepszym ze światów?

— Zabierzcie więc ludzi i pozwólcie mistrzowi Madderdinowi wypełnić rozkazy Świętego Officjum — rzekł twardo Zeedorf.

— Jeśli tylko można, jedno słowo, inkwizytorze — zwrócił się do mnie nadspodziewanie grzecznym tonem jałmużnik i widziałem już, że pogodził się z losem, który tak piękną zdobycz wyrywał z jego rąk.

Dał znak służącym i ci przenieśli go wraz z fotelem pod okno o szeroko rozwartych okiennicach. Jesienny wiatr wdzierał się do środka. Spojrzałem na niebo i zauważyłem, że słońce zaszło ciężkimi, burzowymi chmurami. Przeniosłem wzrok na Maurizio Sforzę. W jego oczach znowu dostrzegłem nienawiść i ten widok serdecznie mnie ubawił. Jednak nie zamierzałem okazywać mych uczuć, gdyż zwycięstwo byłoby w tym przypadku aż nazbyt łatwe.

— Do zobaczenia, Mordimerze — powiedział tonem, który zapewne w moich uszach miał brzmieć złowieszczo. — A wierz mi, że jeszcze się spotkamy.

Na jego bladych, pomarszczonych policzkach pojawiły się rumieńce.

— Być może nie będę niecierpliwie oczekiwał podobnego spotkania, ale pogodzę się z losem, jeśli tak zdarzy — odparłem z uprzejmym uśmiechem.

— Nie zapomnę wam tego wszystkiego — wysyczał nagle, i wierzcie mi lub nie, ale w jego oczach dojrzałem łzy. Szkoda, że nie miał nawet sprawnej ręki, by sobie je obetrzeć.

— Wierzcie mi, bracie jałmużniku, że i ja wam tego wszystkiego nie zapomnę. A stosowny raport trafi do... odpowiednich rąk.

Celowo nie powiedziałem, iż taki raport trafi przed oblicze Jego Ekscelencji biskupa Hez-hezronu. Nie zamierzałem go kłopotać podobnymi problemami, gdyż miał już za dużo własnych. Podagra, hemoroidy, uczulenia skóry — skutecznie przeszkadzały mu w zarządzaniu ogromnym majątkiem biskupstwa, a na sprawy dotyczące Inkwizytorium poświęcał niewiele czasu. Zwłaszcza, że kiedy nie dręczyły go żadne choroby, pił z bezmiernej radości, a kiedy go dręczyły, pił, by ugasić ból. Natomiast z całą pewnością zamierzałem powiadomić o zatrważającym i zdumiewającym wydarzeniu Wewnętrzny Krąg Inkwizytorium. Nigdy nie wiedziałem, jaka jest wiedza duchownych o najtajniejszej instancji Świętego Officjum. Baaa, czasami nawet przypuszczałem, że sam Gersard, biskup Hez-hezronu, niewiele wie o jej wpływach oraz możliwościach. A były one... cóż, olbrzymie. Jeśli słowo „olbrzymie” oddaje w pełni problem. Miałem okazję tylko kilka razy w życiu zobaczyć członków Wewnętrznego Kręgu i byłem im głęboko wdzięczny za okazaną pomoc. Wiedziałem też, że Wewnętrzny Krąg w jakiś sposób jest powiązany ze sławnym klasztorem Amszilas — wyłączonym spod zwyczajowej kościelnej jurysdykcji i podlegającym samemu Ojcu Świętemu.

Skinąłem głową Sforzy i odszedłem w stronę Zeedorfa oraz jego inkwizytorów, którzy spokojnie czekali, aż zakończę konwersację.

Kiedy jechaliśmy już traktem prowadzącym do Kaiserburga, prowadziłem swego konia tuż przy koniu Zeedorfa. Zaczynał padać drobny, ale zacinający z ukosa, dokuczliwy deszczyk, więc narzuciłem na głowę kaptur płaszcza.

— Czy mogę spojrzeć na pisma z Hezu? — zagadnąłem.

Przełożony kaiserburskiego Inkwizytorium zerknął w moją stronę i uśmiechnął się.

— Jakie pisma? — spytał.

— Ach, oczywiście — odparłem tylko po chwili. — Dziękuję, bracie — dodałem.

— Potraktuj to jako rewanż za Wittingen — rzekł. — Myślisz, że wieści się nie rozchodzą? Jeśli nie będziemy solidarni, wszystkich nas wyłapią i wybiją.

— Sądzę, że nie dojdzie aż do tego — odparłem, ale już wypowiadając te słowa, nie byłem pewien, czy mówię tak, gdyż w nie wierzę, czy też tylko chcę wierzyć.

Pokiwał głową bez przekonania.

— Podziękuj też swojemu człowiekowi. — Ruchem głowy wskazał. — Bo on zawiadomił nas o kłopotach w Stolpen.

Przyznam szczerze, mili moi, że zamurowało mnie. Kostuch, który zdecydował się podjąć jakiekolwiek działanie bez wyraźnego rozkazu? Kostuch, który w tajemnicy przede mną wysłał posłańca do Kaiserburga? To się po prostu nie mieściło w głowie!

— Ha! — rzekłem jednak tylko i zastanowiłem się nad tym, czy powinienem mego towarzysza ukarać za samowolę, czy też nagrodzić, że przyniosła ona w efekcie szczęsny plon.

— Domyślam się, iż książę Zeedorf bardzo by się zdziwił na wieść, że ma trzeciego syna, w dodatku służącego Świętemu Officjum — powiedziałem z uśmiechem, aby zmienić temat.

— Cóż... — Wzruszył ramionami. — Być może kiedyś sam go spytasz... Myślę jednak, Mordimerze, że nadchodzą ciężkie czasy dla inkwizytorów. Kto wie, czy za kilka lat na nas nie będzie się polować, jak my polujemy teraz na czarowników oraz odstępców? Coś się stanie, Mordimerze, wierz mi, że chciałbym być złym prorokiem, ale coś się niedługo stanie...

— Ocali nas żar prawdziwej wiary, który pielęgnujemy w naszych sercach — powiedziałem.

— Jesteś jednym z nich?! — Obrócił się gwałtownie w moją stronę.

Ach, tak. A więc inkwizytor Zeedorf również miał styczność z przedstawicielami Wewnętrznego Kręgu! Przypomniałem sobie ostatnią rozmowę z ich wysłannikami i słowa dotyczące „żaru prawdziwej wiary”. Zresztą te właśnie słowa padły również, kiedy ocalili mnie przed konsekwencjami decyzji podjętych w Wittingen.

— Nie — odparłem — ale wiem, o czym mówisz, bracie.

Spojrzałem w niebo i zobaczyłem, iż wiatr przygania z południa ciężkie chmury o czarnych brzuszyskach. Nie chciałem snuć takich rozważań, lecz jednak trudno było mi odpędzić myśl, że stanowiło to dobrą scenografię dla słów Zeedorfa. A burzowe chmury, nadciągające od strony Stolicy Apostolskiej, świetnie pasowały jako temat alegorii. Mogłem mieć tylko nadzieję, że nie stanę się jednym z bohaterów tej właśnie alegorii. Lecz, przyznam szczerze, że nie była to nadzieja szczególnie potężna...

## Sierotki

Legion mi na imię, albowiem jest nas wielu.

Ewangelia św. Marka

Najpierw poczułem mdlący smród palonego surowego mięsa. Dopiero później ujrzałem kłęby szarego dymu, które wzbijały się w pochmurne niebo spoza gęstej zasłony drzew. Na samym końcu usłyszałem radosne krzyki, przyśpiewki i nawoływania. Wstrzymałem konia, gdyż wiedziałem, co dzieje się przede mną, i wiedziałem też, że jeśli ruszę dalej, to będę musiał ponieść pełne konsekwencje uczynionego wyboru. Ale tak naprawdę nie miałem się nad czym zastanawiać. Moja powinność nakazywała mi sprawdzić, cóż takiego zdarzyło się w miejscu ukrytym za drzewami.

— Mordimer, nie... — Usłyszałem za sobą cichy głos Kostucha, gdyż on również się domyślał, co się święci.

Pokręciłem tylko głową, nie odwracając się w jego stronę, i ruszyłem naprzód. Zza pleców dobiegło mnie westchnienie i przytłumione szepty bliźniaków. No cóż, chłopcy chcieli już wracać do Hezu, a ja zamierzałem wpakować ich w nową kabałę. Chociaż mogłem mieć nieśmiałą nadzieję, że wieśniacy palą na przykład mięso zarażonej krowy lub świni. Ale czy w takim wypadku wznosiliby te radosne okrzyki? Zbyt często miałem okazję obserwować ludzi płonących na stosach, by wiedzieć, że tak właśnie zachowuje się oglądająca mękę gawiedź. I ku mojemu ubolewaniu, nie było w tym nic ze wzniosłej radości wynikającej z ratowania duszy grzesznika, lecz jedynie pusta uciecha, spowodowana przypatrywaniem się cierpieniu drugiej istoty.

Niestety, moje podejrzenia okazały się słuszne. Zza drzew wyjechaliśmy prosto na łąkę rozłożoną w zakolu szerokiej, leniwie toczącej nurt, rzeki. A na środku tej łąki stał dopalający się już stos (bardzo niefachowo ułożony, gdyby ktoś mnie pytał). Wokół niego kłębiła się czereda chłopstwa — mężczyźni, kobiety i dzieci. Widać cała wioska, a może nawet kilka okolicznych wiosek wyległo, by przypatrywać się przedstawieniu. Krzyczeli, śmiali się, pili piwo, ktoś rzucał w płomienie szyszkami, a ktoś inny tańczył wokół, głośno wywrzaskując „u-ha!, u-ha-ha!” i rzucając pod niebo kapelusz. Kto spłonął na stosie — tego już dopatrzyć się nie byłem w stanie, gdyż z nieszczęśnika, czy też nieszczęśnicy, nie pozostało nic poza zwęglonymi szczątkami, jedynie z grubsza przypominającymi kształtem człowieka.

Wjechaliśmy na łąkę stępa, ja na przedzie, za moimi plecami Kostuch i bliźniacy. Kmiecie jednak byli tak zajęci zabawą, że przez długą chwilę nikt nas nie zauważył. Stanęliśmy więc spokojnie, ale nagle pod Pierwszym szarpnął się koń, a bełt wystrzelony z kuszy gwizdnął mi koło ucha.

— Yaah, wybacz, Mordimer — burknął Pierwszy, a ja tylko westchnąłem.

Wtedy chłopi wreszcie dostrzegli, że nie są sami, i zaczęli się odwracać w naszą stronę. Była ich spora gromada. Może pięćdziesięciu, a może sześćdziesięciu, w tym co najmniej dwudziestu mężczyzn w sile wieku. Kilku miało siekiery w dłoniach, a zauważyłem też, że parę innych siekier, a także widły i kije leżały porzucone w trawie. Rozglądałem się w milczeniu, a tłum przypatrywał się nam z mieszaniną zaciekawienia oraz obawy. Nie lękałem się, że nas zaatakują, bo tylko szaleniec rzucałby się z toporkiem czy drągiem w ręku na czwórkę zbrojnych. Musieli przecież widzieć kolczugi pod naszymi płaszczami, krzywą, szeroką szablę Kostucha, kusze bliźniaków i mój miecz kołyszący się u końskiego boku. Niemniej wiedziałem dobrze, iż zdesperowany szczur rzuci się nawet na uzbrojonego człowieka. Nie zamierzałem więc doprowadzać tych chłopów do desperacji.

— Nazywam się Mordimer Madderdin — rzekłem głośno, ale spokojnie. — I jestem licencjonowanym inkwizytorem Jego Ekscelencji biskupa Hez-hezronu. Kto z was, ludzie, jest przy władzy?

Tłum wyraźnie się cofnął. Zauważyłem, że kilka bab nader szybkim krokiem ruszyło w stronę brodu, za którym dostrzegłem strzechy chałup. Mężczyźni zbili się w gromadkę i zagadywali coś jeden do drugiego, popatrując na nas spode łba. Kapelusz człowieka, tańczącego jeszcze przed chwilą wokół stosu, wylądował w płomieniach.

— Sołtys. Wójt. Musicie mieć kogoś takiego... — ponagliłem, kiedy cisza się przedłużała.

W końcu krok przed gromadę wystąpił chudy, wysoki starzec w szarej opończy. Miał siwe, skudlone włosy, wymykające się spod nakrycia głowy, i twarz przeoraną dziobami po ospie.

— Ja jezdem wójd — powiedział, biegając wzrokiem na boki.

— Chodź no tu. — Pokiwałem na niego palcem. — No chodź, chodź, nie bój się...

Zbliżył się ostrożnie, ale stanął jednak w sporej odległości ode mnie.

— Złucham jaźnie pana — burknął.

— Kapelusz — rzekłem łagodnym tonem, a on zagapił się na mnie.

W końcu zrozumiał, zerwał kapelusz z głowy i zmiął go w dłoniach. Powiodłem wzrokiem po tłumie, reszta chłopów też zaczęła ściągać czapki.

— Co to jest? — Wskazałem palcem dopalające się bierwiona.

Wójt obejrzał się przez ramię i długą chwilę przyglądał stosowi, jakby widział go po raz pierwszy w życiu i jakby widok ten wprawił go w nieopisane zdumienie.

— To? — spytał w końcu głupawo.

— Czarownicę spalilim! — wrzasnął ktoś z tłumu, ale nie zauważyłem kto.

— To prawda? — Pochyliłem się w stronę wójta.

— Ano wychodzi, że, jaźnie panie, tag a nie inadżej... — mruknął.

— Powiedz no, Kostuch, przyjacielu, jaka jest kara dla tych, którzy uzurpują sobie prawa sądu inkwizycyjnego? — rzekłem donośnym głosem.

Kostuch wyjechał naprzód i odrzucił kaptur. Wójt zamarł z rozdziawionymi ustami, kilka osób jęknęło, a kilka innych się przeżegnało. No cóż, Kostuch nie grzeszy urodą, a biegnąca przez całą twarz szeroka, pofałdowana blizna też nie dodaje mu uroku. Nie ukrywam, że lubię wrażenie, które na ludziach wywołuje jego fizjonomia.

— Tą karą jest kastracja, darcie pasów i palenie na wolnym ogniu — oznajmił Kostuch bardzo głośno.

— Dzieci nam chciała pozabijać, wiedźma przeklęta! — zapiszczała jakaś baba, a zaraz potem przytaknął jej chór głosów.

Wójt, wsparty przez chłopów, uniósł na mnie wzrok.

— Źwięda prawda! — Huknął się pięścią w chudą pierś. — Żebym tak drupem pad na miezcu.

— A to się zaraz stać może — zaśmiał się Kostuch, i ten śmiech bynajmniej nie dodał mu piękności, gdyż jego blizna ściągnęła się, jak szukający wyjścia przez skórę gruby i długi robak.

Wójt cofnął się dwa kroki i przygiął grzbiet w pokłonie.

— Ubrażam łazgi jaźnie pana — zajęczał, patrząc spode łba i wykrzywiając twarz w grymasie.

Jednak zauważyłem, że spoziera na mnie całkiem bystro. Cóż, skoro został wójtem, nie był zapewne zupełnym idiotą. Ale nawet w małym stopniu nie zdawał sobie sprawy, w jakie kłopoty właśnie wdepnął. Bowiem widzicie, mili moi, Święte Officjum, potocznie zwane Inkwizytorium, jest jedyną i ostateczną wyrocznią w sprawach o czary oraz herezję. A my, inkwizytorzy, nie lubimy tych, którzy palą lub torturują ludzi bez naszej wiedzy, zgody i błogosławieństwa. Nie wynika to nawet z nadmiernej łaskawości czy też miłosierdzia (w końcu nasz Pan, schodząc z Krzyża swej męki, rzekł Apostołom: „zabijajcie ich wszystkich, Ojciec rozpozna swoich”), ale służy po prostu zachowaniu prawa oraz porządku. Bo cóż by było, gdyby mieszkańcy każdego miasta, miasteczka lub wsi zajmowali się śledzeniem czarowników i heretyków, rozpalali stosy, urządzali przesłuchania i polowania? Powstałby zamęt, nieporządek oraz bałagan. Krótko mówiąc: chaos. A wszak dobrze wiemy, któż jest Ojcem Chaosu, nieprawdaż?

Zresztą, trzymając się spraw przyziemnych: kto pracowałby wtedy na polach, w kramach czy manufakturach? Kto płaciłby podatki? Nie mówiąc już o tym, że jedynie my — absolwenci Akademii Inkwizytorium — jesteśmy przyuczeni, by odsiewać ziarno od plew i by codziennie wykuwać ostrze Bożego gniewu z zimnego ognia sprawiedliwości. To my trzymamy klucze do szkatuł ludzkich serc i niechętnie tymi kluczami dzielimy się z kimkolwiek innym.

Dlatego też kary za bezprawne tropienie herezji i czarów były surowe, choć, ku mojemu ubolewaniu, patrzono czasem przez palce na zapał chłopów lub mieszczan, którzy za najlepszy sposób służenia Panu uznawali usmażenie na stosie kilku nieszczęśników. Zwykle zdziwaczałych starowinek, sąsiadek, którym za dobrze się wiodło, lub dziewuch, których piękne buzie i powodzenie u mężczyzn wywołały zazdrość mniej urodziwych rywalek.

Gwoli sprawiedliwości muszę jednak przyznać, że hołota miała czasem rację i rzeczywiście któryś z sąsiadów parał się czarną magią. A przynajmniej tak mu się wydawało, gdyż bełkotanie niezrozumiałych zdań, uważanych przez maluczkich za zaklęcia, nikomu przecież nie mogło zaszkodzić. Za wyjątkiem samych bełkoczących... Gdyż widzicie, mili moi, dla naszego świętego Kościoła nie ma różnicy pomiędzy grzechem a pragnieniem popełnienia grzechu. Jeśli nawet ktoś tylko uważał się za czarownika i zamierzał szkodzić ludziom, w oczach Świętego Officjum zasługiwał na stos. Oczywiście, nie na pospiesznie ustawioną stertę bierwion, z jaką tu mieliśmy do czynienia. Zasługiwał na prowadzone z prawdziwą miłością, rzetelne przesłuchanie, a potem godną śmierć. Pełną bólu, ale też żarliwej skruchy i wszechdojmującej wdzięczności dla sług Bożych, którzy nie szczędzili trudów, by naprostować pokrętne ścieżki jego żywota. Wierzcie mi, że niewiele jest piękniejszych widoków nad skruszonego grzesznika, który w żarze płomieni głośno wykrzykuje imię Pańskie, wyznaje braciom swe winy oraz daje świadectwo zahartowanej ogniem wierze. Tej nieszczęśnicy, która spłonęła z woli zgromadzonego na łące chłopstwa, nie dano szansy oczyszczenia serca, duszy i sumienia. A to był grzech, grzech ciężki do wybaczenia.

— Kim była ta kobieta i co uczyniła? — zapytałem.

— Wieźma przeklęta — warknął wójt. — Wierzdzie mi, panie. Dziadki chdziała upiedz...

— W piecu chlebowym! — wrzasnęła z tłumu ta sama kobieta co przedtem.

Spojrzałem w jej stronę. Była tłusta, o czerwonych, obwisłych policzkach i nosie, przypominającym świński ryj. Zatopione w zwałach tłuszczu małe oczka patrzyły jednak na mnie hardo i z niezachwianą pewnością siebie.

— Gdzie macie te dzieci? — spytałem.

— We wiozce — burknął wójt.

— Niebożątka maluchne — rozczuliła się tłusta baba i przepchała przez tłum w moją stroną. — Gdybyście widzieli, szlachetny panie — złożyła dłonie na bujnych piersiach — jak te biedulki płakały, jak opowiadały, że je chciała upiec, jak cudem z jej chałupy uciekły i u nas, ludzi poczciwych, schronienia szukały... Aże mi się serce krajało. — W jej oczach zalśniły nieudawane łzy.

Pokiwałem głową.

— Prowadźcie nas do wsi — zdecydowałem. — Chcę zobaczyć te dzieciaki. Być może — podniosłem głos, aby wszyscy mnie dobrze usłyszeli — jeśli wszystko, co mówicie, jest prawdą, Święte Officjum w swym niezmierzonym miłosierdziu daruje wam wasze grzechy!

Nie zauważyłem, aby moje słowa spotkały się z nadmiernym entuzjazmem, bo zapewne chłopi mieli własne zdanie na temat miłosierdzia inkwizytorów. Nawiasem mówiąc, w opinii plebsu o naszym zbożnym trudzie najwięcej było plotek, przekłamań, bajęd albo i zwykłych łgarstw, wynikających pewnie nie tyle ze złej woli, co z nadmiernie wybujałej wyobraźni oraz lęku. A przecież naszym zadaniem było strzec tych ludzi przed złem. Również złem, czającym się w nich samych, z którego obecności nie zdawali sobie nawet sprawy. Niestety, tak finezyjne rozważania nie trafiały do serc i umysłów prostaczków. Cóż, niektórzy z braci-inkwizytorów twierdzili, że wiele jeszcze trudu przed nami, zanim społeczeństwo szczerze nas pokocha. Ośmielałem się mieć odrębne zdanie w tej kwestii i sądziłem, że ta szczęśliwa chwila być może nigdy nie nadejdzie. Ale przecież nie dla miłości i poklasku tłumów oraz złudnej chwały czyniliśmy swą powinność. Nasze serca wypełnione były Panem i to nam wystarczało.

Nie musiałem ostrzegać bliźniaków i Kostucha, że muszą uważać. Chłopi, przerażeni, niepewni własnego losu, mogli zdobyć się na jakiś szalony czyn, a nie chciałem przecież żadnych jatek. Bo rzeź czeredy rozjuszonego chłopstwa naprawdę nie była tym, czego najbardziej bym sobie życzył. Poza wszystkim było nas tylko czterech, a w takiej sytuacji zawsze może zdarzyć się nieszczęśliwy wypadek. A jak się domyślacie, mili moi, zakończenie życia z uwalanymi gnojem widłami w brzuchu nie było perspektywą, o jakiej marzyłby biedny Mordimer.

###### \* \* \*

Gruba kobieta przyprowadziła dwójkę dzieci, które szły, trzymając ją za ręce. Dziewczynka i chłopiec. Oboje jasnowłosi, piegowaci. Na pierwszy rzut oka widać było, że to brat i siostra. Dziewczynka miała długie, skudlone włosy, ładną buzię i usta wygięte w podkówkę. Chłopiec był krótko ostrzyżony, szczupły i nieco wyższy od siostry. Kiedy podchodzili, widziałem, że obserwuje mnie spode łba i bardzo mocno ściska dłoń opiekunki.

Usiadłem na cembrowinie studni.

— Nazywasz się Margerita, prawda? — zagadnąłem.

Podniosła na mnie ogromne, błękitne oczy, teraz pełne łez.

— Tak, panie — wyszeptała.

— A ty Johann, czyż nie tak? — Obróciłem wzrok na chłopca.

Skinął głową i w tym skinieniu była jakaś tłumiona hardość.

— Chcę, abyście mi opowiedzieli o czarownicy — powiedziałem łagodnym tonem. — Co się wam przytrafiło? Jaką krzywdę chciała wam wyrządzić?

Dziewczynka tylko bezgłośnie zapłakała i wtuliła się w suknię grubej kobiety. Chłopiec też mocniej do niej przylgnął.

— Chciała nas upiec — odezwał się w końcu. — Wrzucić do pieca.

— Zacznijmy od początku — rzekłem. — Po co wyszliście do lasu?

— Nazbierać grzybów — bąknął Johann.

— I jagód — dodała jego siostra.

— Z tatuńciem.

— I z mamuńcią.

— Zgubiliśmy się.

— I wiedźma nas wtedy znalazła.

— Znaliście tę kobietę? — Spojrzałem na wójta.

— Włódżyła zie po lazach. Ten ją widział i tamten...

— Gdzie mieszkała?

— A tamój. — Machnął dłonią. — Za wąwozem. Daleko.

No tak, równie dobrze mogłem nie pytać, bo niewiele mi jego tłumaczenia dały. Dla wieśniaków wszystko było albo przed lasem, albo za lasem, albo na lewo od stada owiec. Jeśli byli na tyle rozgarnięci, że pojęcie „na lewo” coś im w ogóle mówiło...

— Zaprowadzicie nas tam jutro — rozkazałem i odwróciłem się z powrotem w stronę dzieci.

— Co się stało dalej?

Z nieskładnej opowieści zdołałem się dowiedzieć, że stara obiecała dzieciom, iż odprowadzi je do wioski, ale przedtem chciała zanieść do chaty koszyk z uzbieranymi ziołami oraz grzybami. Już w domu nakarmiła rodzeństwo, po czym rozpaliła ogień pod ogromnym piecem. A potem związała dzieciaki i chciała wrzucić do pieca małą Margeritę. Jednak Johann poluzował więzy na rękach, wyrżnął czarownicę pogrzebaczem w głowę, uwolnił siostrę i uciekli do lasu, ścigani przekleństwami zranionej wiedźmy.

— Jak trafiliście do wioski? — zapytałem.

— Ja je nalazłem — rzekł barczysty, czarnobrody mężczyzna z bielmem na jednym oku. Wystąpił krok przed gromadę. — Jestem Wolfi Łamidąb, proszę łaski jaśnie pana.

— Służyłeś — raczej stwierdziłem niż spytałem.

— Dwadzieścia roków, proszę łaski jaśnie pana — odparł, zaczerwieniony z dumy. — Cesarska piechota wybraniecka.

— Zuch — powiedziałem głośno. — Opowiedz nam więc, co widziałeś, Wolfi.

— Usłyszałem płacz i potem zobaczyłem biegnące dziecka — rzekł. — No to się dopytywałem, ale ni to, ni tamto, ni śmo nie mogłem wydusić, takie dzieciska były zestrachane. No tom je poprowadził do wioski i juże wtedy wójt i insi się wywiedzieli, co i jak. No to wszystko, proszę łaski jaśnie pana, co wiem. — Wzruszył lekko ramionami. — Upraszam o wybaczenie...

— Dobrze się spisałeś — pochwaliłem go. — Uratowałeś dzieci i ludzie powinni ci być wdzięczni. A ty, Johann, jesteś dzielnym chłopcem. Niewielu miałoby śmiałość zmierzyć się z prawdziwą wiedźmą.

Chłopiec podniósł na mnie wzrok i uśmiechnął się szczerbatym uśmiechem.

— Musiałem ratować Margotkę. — Wyciągnął rękę i ścisnął dłoń siostry.

— Krzyczała, że inni po nas przyjdą — wydusiła z siebie Margerita. — Tak krzyczała, jakżeśmy uciekali...

— Jacy inni? — Moje pytanie było ledwo słyszalne w gwarze, który się nagle wszczął pośród gromady.

— Powiedziała, że wielu jest, co lubią mięso takich dzieciaczków, jak my. — Johannowi udało się przekrzyczeć hałas.

— Ludzie, ludzie! — wrzasnęła tłusta kobieta. — Kto chodził do wiedźmy? — Powiodła wzrokiem po stojących kołem wokół studni sąsiadach. — Rita, ty zamawiałaś napary, żeby bydło nie puchło!

— Łeż! — wrzasnęła nazwana Ritą, wysoka, siwa kobieta, z twarzą jakby wystruganą z brązowej kory. — Łeż przeklęta! To ty, diable nasienie, żeś chodziła dla synowej, bo wszyscy wiedzą, że nogi przed byle kim rozkłada!

Tłusta kobieta skoczyła w stronę Rity, celując pazurami w twarz, ale Wolfi Łamidąb wyrósł nagle na jej drodze i unieruchomił ją jednym gestem.

— Spokój, baby! — krzyknął tubalnym głosem. — Bo jak której przyłożę, to pożałuje!

Wstałem i klasnąłem w dłonie.

— Milczeć! — zawołałem i czekałem, aż ludzie się uciszą. — Łaska Pańska sprowadziła nas do waszej wioski — rzekłem poważnie — bo, jak widać, Zły krąży wokół i szuka, kogo by pożreć. — W tłumie odezwały się przerażone piski. — Módlcie się wraz ze mną: *Wierzę w Boga, Stworzyciela Nieba i Ziemi...*

Pierwszy zawtórował mi Wolfi, a za nim poszli inni. Kostuch z poważną miną uklęknął w błocie, zaraz potem zaczęli klękać chłopi. Po chwili tylko ja stałem, górując nad całą rozmodloną gromadą.

— ...*umęczon pod Ponckim Piłatem, ukrzyżowan, zstąpił z krzyża, w chwale zaniósł Słowo i Miecz swemu ludowi... —* kontynuowałem modlitwę, z prawdziwą radością patrząc na pokornie pochylone grzbiety i głowy.

###### \* \* \*

Z chaty, którą przydzielił nam wójt, usunięto dotychczasowych mieszkańców, czyli nad wyraz liczną rodzinę bednarza. Skądinąd byli zadowoleni, gdyż za uprzejmość nagrodziłem ich kilkoma groszami. Na moją usilną prośbę wyrzucono również trzy warchlaki, do tej pory wesoło bawiące się przy palenisku. Niemniej ślady w postaci brudu oraz smrodu pozostały zarówno po gospodarzach, jak i po prosiętach.

Kostuch nagarnął sobie słomy do kąta i rozwalił się ze szczęśliwą miną.

— Jak w domu, co? — zadrwiłem.

— Nie wieje, na łeb nie pada... Czego więcej trzeba? — odpowiedział.

— Dziewki, niby... — mruknął Drugi.

— Ta gruba mi się, prawda, zwidziała — rzekł w zamyśleniu Pierwszy i zagmerał palcem w zębach. Wyjął spomiędzy nich jakiś farfocel i przyglądał mu się z pilną uwagą.

— Ta od dzieciaków? — Skrzywiłem się.

— Lubię takie... — zastanowił się chwilę i z powrotem włożył wydłubany strzęp mięsa do ust —...prosiakowate.

— Cycate — dodał jego brat.

— Z wielgachną dupą — kontynuował Pierwszy.

— Wystarczy — rozkazałem.

Nie zamierzałem wysłuchiwać ich fantazji. Zwłaszcza że kilka razy miałem okazję widzieć, jak te fantazje przeradzają się w rzeczywistość, a bliźniacy mieli pociąg nie tylko do wielkich piersi i ogromnych tyłków, ale również do kobiet, łagodnie to ujmując, śmiertelnie spokojnych i trupio zimnych.

— Macie być grzeczni, zrozumiano? Żadnych zabaw z chłopkami, żadnych pijatyk, bijatyk i zabójstw.

— Znasz nas, Mordimer — powiedział Pierwszy z wyrzutem w głosie i przybrał minę niewiniątka, która wyjątkowo nie pasowała do jego lisiej fizjonomii.

— O, tak, znam — odparłem, bo byli jak wściekłe psy i spuszczenie ich z łańcucha nie byłoby dla nikogo bezpieczne.

— Wyśpimy się i co, pojedziemy do domu? — zapytał Drugi.

— Bliźniak, czyś ty zdurniał? Nie sądzisz, że zostało nam tu co nieco do wyjaśnienia?

— A niby co takiego?

Westchnąłem tylko, bo głupota moich towarzyszy była czasem iście porażająca.

— Znaleźć tatuńcia i mamuńcię. — Kostuch dość zgrabnie udał głos małego Johanna.

— O! — Wskazałem na niego palcem. — Bardzo dobrze, Kostuch. A poza tym zbadać chatę wiedźmy, jeśli z tej chaty cokolwiek jeszcze zostało. I dowiedzieć się, kim są ci „inni”, o których mówiły dzieciaki. Sporo roboty, nie sądzisz?

— A spalimy tu kogoś, prawda, czy nie? — Pierwszy podniósł się na łokciu i spojrzał na mnie.

— Na przykład kogo byś chciał teraz spalić? — spytałem łagodnie.

— Bo ja wiem? — Wzruszył ramionami. — Ty jesteś od myślenia, Mordimer.

Westchnąłem tylko, gdyż była to szczera prawda. Oczywiście będę musiał napisać stosowny raport dla kancelarii w Hezie, a biskup sam już postanowi, co zrobić z mieszkańcami wioski, którzy złamali prawo. Szczerze jednak wątpiłem, by raport ten, jak już powstanie, zasłużył na cokolwiek ponad znudzone prychnięcie Jego Ekscelencji. Bo któżby się przejmował wieśniakami z zapadłej głuszy, którzy spalili obłąkaną staruszkę? Też mogłem na wszystko machnąć ręką i pojechać dalej, ale, niestety, miałem zbyt mocno rozbudowane poczucie obowiązku. W końcu jeśli nie my — inkwizytorzy — będziemy stać na straży prawa, któż zrobi to za nas?

Poza tym sprawa nabrała nieoczekiwanego obrotu. Oto pojawili się jacyś „inni”, którymi groziła rodzeństwu wiedźma. Smakosze młodego, ludzkiego mięska? Czarownicy? A może tylko wymysł dziecięcej wyobraźni? Z całą pewnością ten ślad należało uważnie sprawdzić. Wtedy, być może, być może, naprawdę zapłoną tu stosy... Ale do tego droga jeszcze była daleka, gdyż Pan w swej łasce nie obdarzył mnie przywarą nadmiernej pochopności sądów. Dobrze pamiętałem słynną (a słyszałem, że obecnie na wykładach w Akademii często przypominaną) sprawę miasteczka Dunholz. Tam niedoświadczeni bracia z miejscowego Inkwizytorium dali wiarę bajdom dzieciaków z sierocińca i spalili pół rady miejskiej, zanim Jego Ekscelencja biskup wysłał pewnego zaufanego inkwizytora, który, ku uldze zacnych mieszczan, przywrócił porządek. A poszło — ni mniej, ni więcej — tylko o zakaz opuszczania murów sierocińca, co tak zeźliło poczciwe dziatki, że oskarżyły swych dobroczyńców o czary oraz spiskowanie z szatanem.

Tak więc nie zamierzałem pospiesznie dawać wiary nieudokumentowanym oskarżeniom. Niemniej wyobrażałem sobie, do czego mogłoby dojść, gdyby nie moje niespodziewane pojawienie się w wiosce. Koncert wzajemnych oskarżeń już się przecież rozpoczął, a możecie wierzyć, mili moi, że było to jedynie leniwe preludium tego, co wydarzyłoby się, gdyby nie ingerencja waszego uniżonego sługi. Znałem zapiekłą nienawiść, potrafiącą zrodzić się z byle powodu w sercach plebsu. Byłem więc pewien, iż w tym, poważnym przecież, wypadku bogobojni mieszkańcy zamęczyliby i zatłukli swych sąsiadów, a kto wie, czy nie zaczęli szukać winnych również w innych wioskach. Znałem takie przypadki i nie były one niczym niezwykłym. Zwłaszcza na zapadłych pustkowiach, gdzie mieszkańcy rządzili się według własnych praw i obyczajów, niewiele poświęcając uwagi temu, co dzieje się za granicami ich osady.

— Śpijmy — rzekł Drugi. — Alem znużony, niech to!

— W grobie się wyśpisz — powiedziałem, a Drugi splunął, żeby odpędzić zły urok.

###### \* \* \*

Okazało się, że chłopstwo spaliło, co prawda, samą czarownicę, ale oszczędziło jej chałupę. Zdumiewające! Czyżby żaden nie miał przy sobie krzesiwa, czy też kryta darnią chatynka stawiła opór płomieniom? A może była tak biedna i niepozorna, że po prostu ją zignorowali? Jakiekolwiek były przyczyny tej łaskawości, waszemu uniżonemu słudze wyszło to tylko na dobre. Bowiem mogłem obejrzeć sobie dokładnie miejsce niemalże popełnionej zbrodni. Oczywiście, nie mogliśmy się spodziewać, że przeprowadzimy poszukiwania w spokoju i samotności. Połowa wsi poczłapała za nami, zaciekawiona, cóż to inkwizytor i jego ludzie znajdą w siedlisku czarownicy. A tam niewiele było do znalezienia. Chatka była niewielka, wypełniona smrodem suszonych ziół, które zwisały z powały w obfitych warkoczach. Jedynie ogromny piec, służący również za łóżko, był tutaj elementem zaskakującym i wręcz zbytkownym. Faktycznie, w jego wnętrzu bez trudu mogło zmieścić się dziecko, gdyby ktokolwiek chciał je tam wepchnąć.

Nie zauważyłem jednak żadnych śladów czarnoksięskiej działalności: wyobrażających ludzi laleczek, trujących odwarów, tajemnych symboli czy zwierzęcych czaszek. Nawet zioła (a przyjrzałem im się uważnie) w znakomitej większości były najzupełniej nieszkodliwe lub wręcz lecznicze. Owszem, niektóre z nich odpowiednio przyrządzone i w dużej dawce mogły spowodować chorobę lub śmierć, ale część ziół już ma to do siebie, iż można je stosować zarówno jako leki, jak i trucizny.

Kostuch z bliźniakami towarzyszyli mi tylko przez chwilę, rozejrzeli się po wnętrzu, a kiedy nie zobaczyli ani nie wyczuli nic podejrzanego, wyszli z powrotem przed chatkę, gdzie w bezpiecznej odległości zgromadziło się rozgadane i podekscytowane chłopstwo. Nie sądziłem jednak, by stało się teraz cokolwiek, o czym będą mogli rozprawiać w długie, zimowe wieczory.

— Johann! — zawołałem przez próg. — Chodź no tu, chłopcze.

Zbliżył się posłusznie, ale musiałem niemal go wciągnąć do środka, gdyż zaparł się na progu.

— To ten piec, prawda? — zapytałem.

— Tak, panie — szepnął.

— A gdzie pogrzebacz?

Rozejrzał się trochę przestraszony, a trochę bezradny.

— Nie wiem — odparł. — Rzuciłem go gdzieś w kąt i żeśmy uciekli...

— Rozplątałeś więzy na rękach siostry czy je rozciąłeś?

— Rozplątałem, panie.

Pokiwałem tylko głową, gdyż badając wcześniej chatę, nie dostrzegłem żadnych sznurów, którymi można byłoby kogokolwiek skrępować.

— Czy piec był nagrzany, kiedy wiedźma chciała wrzucić tam twoją siostrę? Czy na palenisku płonął ogień?

Patrzył na mnie, jakby nie do końca rozumiał moje słowa, i zdawało mi się, że w jego oczach dostrzegam oprócz obawy szczyptę wrogości. Ale ta wrogość momentalnie zniknęła i oczy Johanna zaszły łzami.

— Nie pamięęętam... — zaszlochał.

— Dobrze, chłopcze. — Wyprowadziłem go przed chatę. — Margerita, moje dziecko, chodź do mnie — poprosiłem.

Dziewczynka wczepiła się w suknię tłustej kobiety, a ta złożyła ręce błagalnie na piersiach.

— Darujcie, panie, wszystko, co złe, jej się przypomni, niebożątku.

— Nie masz się już czego bać, dziecko — powiedziałem łagodnym tonem. — To tylko pusta chata. Możesz iść z nią — pozwoliłem babie, a ona z tego pozwolenia skwapliwie skorzystała.

Weszły za mną do środka, Margerita cały czas wtulona w kieckę opiekunki. Westchnęła rozpaczliwie, kiedy zobaczyła piec.

— Widzisz, to tylko pusta chata — powtórzyłem uspokajająco. — Ale powiedz mi, moja miła, co się stało, kiedy twój dzielny brat uderzył czarownicę?

— Krzyknęła — zaszeptała Margerita, nie patrząc w moją stronę. — I upadła...

— A co się stało z pogrzebaczem?

— Jonni rzucił go gdzieś w kąt i żeśmy uciekli... — odparła po chwili.

Zmarszczyłem lekko brwi, ale nic nie powiedziałem.

— Byłaś związana, prawda? Czy Johann przeciął sznury nożem?

Powiedziała coś cichusieńko i prosto w suknię kobiety, więc nie dosłyszałem słów.

— Powtórz, proszę.

— Rozplątał — mówiła nadal cicho, ale tym razem zrozumiałem.

Baba poklepała ją uspokajająco po ramieniu i zagruchała coś czule.

— Jak wiedźma chciała cię wrzucić do pieca — kiedy dopowiadałem te słowa, dziewczynka wybuchnęła cichym łkaniem, więc cierpliwie odczekałem, aż przestanie — czy ogień płonął na palenisku?

Rozpłakała się jeszcze głośniej i jeszcze bardziej rozpaczliwie.

— Nie pamięęętam... — wyszlochała.

— Dajcie pokój dziecince. — Spojrzałem zdumiony w stronę baby, gdyż pozwalała sobie na stanowczo zbyt wiele. — Nie widzicie, panie, że malutka od ducha odchodzi?

— Dobrze — odparłem. — Jeszcze jedno pytanie, dziecko. Ci inni, o których mówiła wiedźma... Jak to z nimi było?

— Ktoś tam stał... Tylko cień żeśmy widzieli... — Pokazała dłonią przed chatę. — A ona chwaliła się, że zrobi ucztę dla wszystkich.

— Ale nie pobiegli za wami, kiedy uciekaliście?

Nic nie odpowiedziała, tylko wtuliła się w opiekunkę, a ja mogłem oglądać jedynie targane szlochem szczupłe ramiona.

— Możecie już iść — pozwoliłem, gdyż wiedziałem, że nie uzyskam niczego więcej.

Wyszedłem zaraz po nich i zbliżyłem się do bliźniaków oraz Kostucha, którzy leżeli w trawie pod drzewem i raczyli się zawartością bukłaka.

— Wracamy — rzekłem.

— A to-to? — Pierwszy wskazał palcem chałupę.

— Niech stoi. Może się komuś przyda.

— Czułem kogoś — mruknął Drugi, wpatrując się bezmyślnie w niebo.

— Pewnie Kostucha — zażartowałem, bo odór bijący od mojego przystojnego towarzysza niemal zatykał dech w piersi.

— Ktoś nam się przyglądał, Mordimer — rzekł niezrażony Drugi, ale nadal nie raczył na mnie spojrzeć.

— Kto, bliźniak, na miecz Pana? Tu cała wieś się w nas wgapia!

— Ktoś. — Machnął dłonią, a potem wzruszył ramionami. — Nie wiem.

— Dziękuję — powiedziałem zgryźliwie. — Dźwiganie ciężaru twojej pomocy naprawdę nie jest na moje słabe barki.

Niemniej słowa Drugiego dały mi do myślenia, gdyż obaj z bratem mieli szereg niezwykłych zdolności, których często nie potrafili jednak właściwie wykorzystać. Bliźniak zapewne przypadkowo wyśledził osobę dysponującą mocą magiczną, gdyż tylko to mogły oznaczać jego słowa „czułem kogoś”. Kto więc przyglądał się z głębi lasu naszej pracy? Prawdziwa czarownica? Duch spalonej ofiary? A może Drugi miał omamy?

— Szkoda tylko, że nie przyszło ci do głowy podnieść dupska i pójść za tropem — dodałem.

— Przyszło — odparł bliźniak i rozgryzł źdźbło trawy. — Ale potem niby poszło...

— A to bardzo się cieszę — rzuciłem złośliwie i poszedłem w stronę koni, pytając Pana, za jakie grzechy aż tak mnie doświadcza.

###### \* \* \*

Rodzice Margerity i Johanna nie wracali trzeci dzień, więc dla każdego musiało być jasne, że nie wrócą już nigdy. Gdzieś w lesie, rzece albo na mokradłach musiały leżeć ich zwłoki. Ale spróbujcie znaleźć na tak wielkim obszarze dwa trupy... Baaa, życzę szczęścia. Bez szkolonych w tropieniu psów rzecz wydawała się zupełnie niemożliwa, a nawet z psami bardzo, ale to bardzo trudna.

Jednak dzięki łasce Pańskiej zostałem obdarzony pewnymi zdolnościami, które miałem już okazję nie raz i nie dwa wypróbować. Nie korzystałem z tych mocy zbyt pochopnie ani zbyt chętnie, gdyż doświadczenie nauczyło mnie, że za wszystko trzeba płacić. A ja płaciłem bólem, strachem i nazbyt bliskim obcowaniem z siłami, od których najchętniej trzymałbym się z daleka.

— Potrzebna mi jest rzecz, będąca ich własnością — wyjaśniłem Wolfiemu. — Coś, do czego byli przywiązani. Medalionik, świąteczna chusta, cokolwiek...

— Ha! — Myślał moment, a potem klepnął się w czoło dłonią. — Siekiera! Tak, panie, jego siekiera! Mówił, że nie ma na świecie lepszej, dom nią zbudował...

Siekierę znaleźliśmy w domu Johanna i Margerity. Leżała w skrzyni zbitej z nieheblowanych desek. Wziąłem ją do rąk i pogładziłem wyrobione, gładkie stylisko oraz nadspodziewanie dobrze utrzymane ostrze. Narzędzie było wypolerowane, lśniące i nosiło ślady ostrzenia. Właściciel musiał o nią naprawdę dbać.

— Dobrze — powiedziałem. — Zabiorę ją.

Wyrzuciłem chłopaków z zajmowanej przez nas chaty bednarza i kazałem pilnować, by pod żadnym pozorem nikt obcy nie wszedł do środka. Usiadłem na klepisku i położyłem siekierę na kolanach. Zamknąłem oczy. Głaskałem ją delikatnie, czując pod opuszkami palców gładź drewnianego styliska oraz chłód żelaznego ostrza. O tak, w tym przedmiocie była moc. Właściciel przelał na niego swe myśli i uczucia, a ja niemal widziałem, jak cierpliwie szlifuje krawędź na osełce i bada palcami, czy stała się wystarczająco ostra. Ta siekiera mogła mnie doprowadzić do ojca Johanna i Margerity, gdyż łączyła ją z właścicielem niewidzialna, duchowa więź. Więź, która z całą pewnością przetrwała nawet jego śmierć, chociaż z każdym dniem i z każdą godziną słabła. Westchnąłem i uklęknąłem, kładąc narzędzie obok siebie. Znowu zamknąłem oczy. Dłonie złożyłem na piersiach.

— *Ojcze nasz —* zacząłem — *który jesteś w niebie, święć się Imię Twoje, przyjdź Królestwo Twoje, bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi...*

Miałem opuszczone powieki, ale mimo to zacząłem widzieć leżącą przede mną siekierę. Jednak nie widziałem brązowego styliska i szarego ostrza, a jakiś drgający niepokojącą czerwienią kształt, który jedynie w niewielkim stopniu przypominał narzędzie pracy drwala.

— ...*chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj...*

I wtedy uderzył ból. Zawsze się go spodziewam i zawsze wiem, że będzie tak wielki, iż niemal nie do wytrzymania. A mimo to ataki ciągle przerażają mnie gwałtownością. To nie jest ból koncentrujący się w jednym miejscu: nogach, rękach czy głowie. To wszechogarniający, paraliżujący w jednej chwili płomień, rozrywający na strzępy całe ciało. To galera o szkarłatnych żaglach, która wpływa do portu mego umysłu, by zakazić go szaleństwem i przerażeniem. I w takiej chwili obronić mnie może tylko modlitwa.

— ...*i* *daj nam też siłę, byśmy nie przebaczali naszym winowajcom. Ojcze nasz... —* zacząłem znowu, chociaż z kolejnymi słowami ból potężniał.

Wydawało się, że cierpienie nie może już być straszliwsze, a jednak każda następna chwila spychała mnie w otchłań nieludzkiej męki. Mój umysł i moje ciało błagały, abym przestał się modlić. Lecz wiedziałem, że jeśli przerwę modlitwę, to najprawdopodobniej stanę oko w oko z czymś, czego nie potrafiłem sobie nawet wyobrazić, a przed czym będę całkowicie bezbronny, gdyż pozbawiony opieki, jaką dawało imię Pańskie.

Od drgającego, czerwonego kształtu oderwał się płomień i poleciałem na tym płomieniu pod niebo. Wzbiliśmy się nad wieś, lecz nie widziałem ani domów, ani ludzi. Tylko na granicy postrzegania unosiły się mroczne kształty, płynące niczym burzowe chmury. Starałem się im nie przypatrywać, gdyż jeszcze bardziej od potężniejącego bólu lękałem się, że któryś z tych uszytych z mroku kształtów spojrzy na mnie. Gdzieś tam, w dole, wzrokiem zdolnym przenikać ściany oraz strzechy, widziałem maleńką, skurczoną postać Mordimera i jego twarz ściągniętą cierpieniem.

— ...*bądź wola Twoja... —* wyjęczałem, choć usta i umysł błagały mnie, bym umilkł.

Pędziłem na płomieniu tak szybko, jak gnana podmuchami wichury nić babiego lata. Zielone, wrośnięte w serce ziemi kolosy obracały za mną brodate głowy. Pod białą skałą leżał niebieski olbrzym i wyrzygiwał w powietrze chmury tęczy mieniącej się różnymi odcieniami błękitu. I tam właśnie ujrzałem kształt, do którego dążył płomień. Natężyłem wszystkie siły, by zawrócić, gdyż płomień chciał połączyć się z martwym człowiekiem. Ból stał się tak wielki, że powoli zmieniał się w mdlącą rozkosz, wypełniającą całe moje ciało niczym wrzący miód. Płomień zawahał się, ale potem, zmuszony modlitwą, zawrócił. I nagle, w mgnieniu oka, znalazłem się z powrotem w mrocznej, brudnej i śmierdzącej izbie. Przede mną, na podłodze, leżała siekiera, cała czerwona od krwi sączącej się z moich ust, nozdrzy i uszu.

— Boże mój — wyjęczałem, a potem upadłem na klepisko i zwinąłem się w kłębek.

Drżałem z chłodu, przerażenia i nawet nie z bólu, lecz na samo wspomnienie o cierpieniu, jakiego przed chwilą zaznałem. Ale wiedziałem już, gdzie szukać martwych ciał. Tyle, że jedyne, co mogłem zrobić, to zwymiotować pod siebie i zasnąć w kałuży utworzonej z własnej krwi i rzygowin.

— Mordimer... — Zaniepokojony głos Kostucha dotarł do mnie w tej samej chwili, co uderzenie w zęby.

Ktoś rozwarł mi usta i siłą wlał w gardło ciepłą, gryzącą wódkę o smaku palonych śliwek. Zakrztusiłem się i otworzyłem oczy. Zobaczyłem klęczącego nade mną Kostucha. Podważył mi zęby ostrzem noża i lał gorzałkę z bukłaka prosto w moje usta. Chciałem się wyrwać, ale trzymał mocno, a ja byłem tak osłabiony, że mogłem tylko przełknąć nieznośnie piekący, smrodliwy trunek. W końcu puścił mnie i znowu zwymiotowałem.

— Chcesz mnie zabić? — jęknąłem i zobaczyłem, że twarz towarzysza rozjaśnia uśmiech.

— No, już dobrze, dobrze... — mruknął uspokajającym tonem.

— Nic nie jest, kurwa, dobrze — warknąłem i usiłowałem się podnieść, ale ramiona nie wytrzymały i z powrotem zwaliłem się na klepisko.

Kostuch okrył mnie podbijanym futrem płaszczem i usiadł obok. Łyknął z bukłaka, aż zagulgotało.

— Wykończysz się, Mordimerze — powiedział i splunął w kąt. — Jak Bóg na niebie, wykończysz się.

Oczywiście, takie słowa wsparcia i otuchy były mi wręcz nad wyraz niezbędne. Cichym jeszcze głosem powiedziałem Kostuchowi, co myślę o nim, o jego matce oraz o sposobach, na jakie chędożyło ją okoliczne bydło nierogate. Roześmiał się chrapliwie.

— Jeszcze łyczka? — spytał.

— Zbieramy się — rozkazałem i dałem mu znak, by pomógł mi wstać.

Podtrzymał mnie ramieniem, a ja skrzywiłem się, bo odór bijący od ciała Kostucha był nawet w tej zasmrodzonej izbie tak silny, że wykręcił mi nozdrza na drugą stronę.

— A dokąd to? — zagadnął.

— Obejrzeć zachód słońca? Przysłuchać się świergoleniu ptaszków? Połowić ryby w rzece? Jak myślisz?

— Mordimer, prawda, znowu żyje — mruknął, wchodząc, Pierwszy, bo musiał dosłyszeć ostatnie zdanie. — Ty tu sobie spałeś, a my pracowalim. — Miał lekko bełkotliwy głos, więc poznałem, że musiał sporo wypić.

Najchętniej zajechałbym go w ucho, gdyby podniesienie ręki nie było zbyt męczącym zajęciem.

— I co? — zapytałem tylko.

— Chłopi mówią, że wróciły jakieś niby odmienione — wymamrotał Drugi, wchodząc do izby. — Niby te dzieciaki.

— Jakby cię chcieli upiec w piecu chlebowym, też by cię odmieniło — skwitowałem. — Kostuch, osiodłaj konie i jedziemy, a wy — spojrzałem na bliźniaków, ale tylko machnąłem dłonią — róbcie, co chcecie...

Pierwszy rozwalił się w słomie z zadowoloną miną.

— No to jeszcze po łyczku, brat — zdecydował.

###### \* \* \*

Świeże powietrze trochę mnie otrzeźwiło. Podszedłem do studni, nabrałem w garście wody z wiadra i opłukałem twarz. Potem uniosłem wiadro (a wierzcie, mili moi, że nie przyszło mi to łatwo) i wylałem resztę wody na głowę. Lodowate strużki spłynęły mi na kark i za kołnierz. Parsknąłem i poczułem, że może nie wraca mi jeszcze chęć do życia, ale pojawia się lekka nadzieja, że ta chęć kiedyś wróci. Kostuch stał już przy koniach i pomógł mi wdrapać się na siodło.

— Dokąd? — zapytał.

— Hej, ty tam! — zawołałem na chłopaka, który przypatrywał nam się z rozdziawioną gębą, w której gmerał krótkim patykiem. — Gdzie tu jest wodospad?

Patrzył na mnie długą chwilę, aż w końcu machnął ręką za siebie.

— Tamój, panie — odparł, nie wyjmując patyka z ust.

— Zabierz go — rozkazałem Kostuchowi.

Mój towarzysz podjechał, chwycił chłopaka za kark i jednym ruchem posadził na siodle przed sobą. Dzieciak był zbyt oszołomiony, by protestować. Zresztą kiedy widzi się z bliska twarz Kostucha i czuje mdlący smród zgnilizny bijący od jego ciała, to słowa zwykle więzną w gardle.

Dawno temu nauczyłem się właściwie odczytywać moje wizje, choć świat pojawiający się w nich tak bardzo różnił się od świata rzeczywistego. Olbrzym wyrzygujący tęczę o różnych odcieniach błękitu musiał być wodospadem, a zielone, wrośnięte w ziemię kolosy symbolizowały stare drzewa, najprawdopodobniej dębowy bór. Jednak z reakcji chłopaka wywnioskowałem, że, Bogu dziękować, w okolicy i tak jest tylko jeden wodospad, więc nie będziemy musieli długo szukać.

Podróż zajęła nam nie więcej niż godzinę, a miejscowy poprowadził nas przecinkami wśród gęstwiny, których istnienia sam pewnie bym się nawet nie domyślił. Wodospad spływał z wapiennych, obrośniętych niskimi krzewami skałek i rozlewał się na dole w niewielkie, płytkie jeziorko pełne białych, nagrzanych słońcem głazów, wystających nad lustro wody. Kiedy znaleźliśmy się już na miejscu, Kostuch zgonił chłopaka z siodła i kazał mu wracać do wioski. Potem podał mi rękę, żebym bezpiecznie zgramolił się z konia. No, no, cóż za domyślność i troska, pomyślałem z lekkim rozbawieniem, choć nie ukrywam, że byłem mu wdzięczny, gdyż upadek przy zeskakiwaniu z siodła byłby dla waszego uniżonego sługi nader poniżający.

— Zabrałeś łopatę? — spytałem.

— Nic nie mówiłeś o łopacie — odparł po chwili obrażonym tonem.

— Jasssne — rzekłem. — No to możesz zacząć kopać tam. — Wskazałem mu miejsce kilka metrów na prawo od brzegu.

— Czym mam kopać? — Spojrzał na mnie, marszcząc czoło.

— Skoro nie zabrałeś łopaty, pewnie rękoma — wyjaśniłem pogodnie.

Chwilę jeszcze wpatrywał się we mnie, potem powiedział „aha” i uklęknął w miejscu, które wskazałem. Zaczął rozgrzebywać ziemię dłońmi. Ja tymczasem zdjąłem buty i onuce, usiadłem na jednym z głazów i włożyłem stopy do lodowatej wody. Od razu zrobiło mi się lepiej.

— Bardziej na prawo — rozkazałem, przyglądając się, jak Kostuch grzebie w ziemi. — I prędzej, na miecz Pana, nie mamy całego dnia...

Fuknął coś z niezadowoleniem, ale zaczął kopać nieco szybciej. Przymknąłem oczy i obróciłem twarz w stronę słońca.

— Mam! — Z bezmyślenia wyrwał mnie wrzask Kostucha. Uniosłem powieki.

— Co masz? — spytałem.

— Kość! — Machnął w powietrzu wygrzebaną z ziemi piszczelą, jakby to była magiczna różdżka.

— No to jesteśmy w domu. — Wstałem i, nie zakładając butów, podszedłem do niego. — Kop w górę, a znajdziemy resztę.

Wziąłem od niego piszczel i przyjrzałem się jej uważnie. Trudno było nie dostrzec, że kość była gładka, oczyszczona z wszelkiego mięsa, ścięgien i krwi. Dostrzegłem ślady zębów. Z całą pewnością nie były to wilcze kły, ani tym bardziej niedźwiedzie. Po pierwsze, zwierzęta nie objadłyby gnata tak dokładnie i nie pozostawiły samej kości w stanie niemal nienaruszonym. Po drugie, ktoś wyraźnie zeżarł zwłoki, a potem niejadalne resztki pieczołowicie zakopał. A w ten sposób mógł postąpić tylko człowiek. I odkrycie tegoż właśnie faktu wydało mi się nad wyraz interesujące, chociaż zwiastowało również nieliche kłopoty.

— O, następna...

Tym razem Kostuch odkopał miednicę. Przyjrzałem się jej uważnie.

— Tatuńcio — powiedziałem. — Szukajmy teraz mamuńci.

Zaśmiał się chrapliwie i zagrzebał w ziemi ze zdwojonym zapałem. Sądził chyba, że zbliżamy się do celu naszej misji. Niestety, ja nie ośmielałem się być aż takim optymistą, gdyż znalezienie ogryzionych kości po rodzicach Johanna i Margerity tylko komplikowało sprawę.

Usiadłem obok i przyglądałem się, jak Kostuch wyjmuje po kolei kości. Piszczele, miednice, żebra, czaszki. Ułożyłem z tego wszystkiego dwa całkiem zgrabne szkieleciki. Efekt psuł tylko fakt, że zwłaszcza na czaszkach ślady ugryzień były aż nazbyt widoczne.

— Ej, już wszystko — powiedziałem, kiedy mój towarzysz nie przerywał kopania. — Co byś chciał jeszcze znaleźć? Trzecią głowę?

— Wesołek — burknął i nagle zamarł z palcami w ziemi. — Czekaj, Mordimer, mam coś...

— Może kreta? — poddałem.

I wtedy Kostuch wyciągnął następną czaszkę, a ja zagapiłem się na nią, zdumiony.

— Na miecz Pana — mruknąłem w końcu. — Kogo tu jeszcze zabito?

— Coś ona mała. — Kostuch oglądał czaszkę pod słońce.

— Przecież chłopi nie mówili, żeby ktokolwiek jeszcze zaginął — rzekłem w zasadzie do własnych myśli, a nie do Kostucha. — Ani kobieta, ani dziecko. Może to jakieś stare kości?

— Spójrz no. — Kostuch wyciągnął czerep w moją stronę. — Znowu zęby...

I faktycznie, czaszka została tak samo dokładnie ogryziona, jak pozostałe dwa, kompletne już, szkielety.

— Dobra, kop dalej — nakazałem i sam przykucnąłem, rozgrzebując ziemię dłońmi, bo cała sprawa zaczynała mnie coraz bardziej ciekawić.

Po dłuższej, wytężonej pracy odnaleźliśmy jeszcze dwa szkielety. Oba były małe, więc z całą pewnością musiały należeć do dzieci. Do chłopca oraz dziewczyny.

— Może to jakieś dzieciaki z innej wioski — zastanowiłem się. — Albo te wieprze nie powiedziały nam o innych zaginięciach.

— Ślepy by powiedział — burknął Kostuch.

No i rzeczywiście miał rację. Wolfi Łamidąb (którego Kostuch niesłusznie nazywał ślepym, bo miał on przecież bielmo tylko na jednym oku) wyraźnie nam sprzyjał i z całą pewnością nie zataiłby tak ważnej informacji.

— Co tu się wyprawia? — Wstałem i przyjrzałem się szkieletom z góry. — Dwoje dorosłych, dwoje dzieci, ale przecież Johann i Margerita żyją, chyba że ja mam już zwidy...

Kostuch, wyraźnie mało zainteresowany moimi rozważaniami, usiadł nad brzegiem jeziorka i zdjął buty. Smród doleciał mnie, pomimo że stałem kilkanaście kroków od niego. Skrzywiłem się i odsunąłem dalej. Tymczasem Kostuch włożył stopy do jeziorka, bardzo ostrożnie, jakby mogły mu się w nim rozpuścić. Po chwili uśmiechnął się i zagmerał paluchami w wodzie.

— Dobrze się czasem wykąpać — stwierdził z zadumą — bo, czekajże no, kiedy ja się kąpałem ostatni raz? W Hezie na święto Zstąpienia? Co, pamiętasz może, Mordimer?

Westchnąłem tylko i znowu kucnąłem nad wykopanym przez nas dołem. Zacząłem przesypywać ziemię przez palce.

— Piątego już nie znajdziesz. — Zaśmiał się Kostuch i podrapał po brodzie. — A zresztą może i tak, co?

Odrzuciłem na bok brązowy kamyczek i nagle zorientowałem się, że to wcale nie był kamyczek. Zanurkowałem w trawę i szybko namacałem okrągły kształt. Uniosłem go do słońca.

— Pierścionek — powiedziałem. — Miedziany pierścionek z literą „M”.

— Miedziany? — Kostuch nawet nie odwrócił się w moją stronę, tylko z pogardą wzruszył ramionami. — Co ci, Mordimer, po miedzianym pierścieniu? Weź go wyrzuć...

— Mały. — Przyjrzałem mu się z bliska. — Ot, taki na palec dziecka albo dziewczyny. Ha! — Schowałem pierścionek w zanadrze.

###### \* \* \*

Do wioski wróciliśmy późno, gdyż najpierw kazałem Kostuchowi zakopać szkielety, a potem odmówiłem nad grobem krótką modlitwę, polecając Bogu dusze nieszczęsnych ofiar. Nie zamierzałem przerażać chłopów wieściami o odnalezionych szczątkach, zwłaszcza że ślady zębów na kościach niepokoiły nawet mnie. Czyżby istniał w tej głuszy i na tym pustkowiu kult kanibali? A jeśli istniał, czy zjadali ludzkie mięso jedynie dla kulinarnej podniety, czy też kryła się w tym część mrocznego obrzędu lub magicznego rytuału? W dodatku człowiek jest dość dużym stworzeniem, a tutaj oczyszczono z mięsa kości czterech osób. Trudno było więc nie zgodzić się z tezą, iż był to naprawdę obfity obiad, nawet dla kogoś dysponującego ogromnym apetytem!

Zakazałem Kostuchowi wspominać komukolwiek, co widzieliśmy, a on poklepał się po głowie.

— Już zapomniałem — odparł z krzywym uśmiechem.

Roześmiałem się, gdyż miał to być dowcip. Kostuch, bowiem, nigdy niczego nie zapomina i muszę przyznać, że jego niezwykłe zdolności czasem się przydawały. Choć nie za bardzo wyobrażam sobie, jak ja sam mógłbym żyć z wieczną pamięcią o wszystkich, nawet najmniej istotnych wydarzeniach z mojego życia. Czy nie czułbym się, jak na szczycie przeogromnego śmietnika, gdzie wśród nieogarnionej sterty rupieci ukryto prawdziwe skarby? No, ale na korzyść Kostucha przemawiał fakt, że bez trudu potrafił wydobyć z otchłani każdą informację, której potrzebowałem, więc jakoś przez ten śmietnik się przekopywał.

Kazałem mu wrócić do bliźniaków, a sam podjechałem na skraj wioski, gdzie tuż przy brzozowym zagajniku stała chałupa Wolfiego Łamidęba.

— Dostojny panie... — Były żołnierz zerwał się znad paleniska, gdzie pichcił coś w osmolonym kociołku. — Może chcecie pojeść? Czym chata bogata...

Przysiadłem na ściętym i wygładzonym pniu, który zastępował w tym skromnym wnętrzu krzesło.

— Na zdrowie — odrzekłem. — Nie jestem głodny. Ale może napijesz się ze mną?

Wyciągnąłem ku niemu bukłak z gorzałką, a on uśmiechnął się, skłonił w podziękowaniu głowę i łyknął, aż zagulgotało. Przymknął powieki.

— Śliwkowa. Palona — powiedział z rozmarzeniem. — Człowiek na samym piwie nie wydoli, panie. Nijak... — Spojrzał na mnie pytająco, a ponieważ skinąłem z uśmiechem, więc wydudlił jeszcze jeden potężny łyk.

— Popatrz no, Wolfi. — Wyciągnąłem z kieszeni miedziany pierścionek. — Widziałeś kiedyś ten przedmiot?

Wziął pierścionek z mojej ręki i przyjrzał mu się w blasku ognia.

— Ano widziałżem — rzekł. — Jasna sprawa, żem widział, panie. Toż to pierścionek Margotki, co ojciec jej nie tylko kupił na jarmarku, ale kazał taką zręczną literkę wyrychtować. To „M”, prawda, panie?

— Tak. To „M” — odparłem. — Jesteś pewien, że to jej pierścionek?

— Żebym tak skonał. — Huknął się w pierś. — Będzie wam dziewuszka wdzięczna, żeście znaleźli zgubę, boż to ostatnia pamiątka po rodzicielu...

— Myślisz, że nie wróci?

— Nieee. — Pokręcił głową. — Skoro nie wrócił, to i nie wróci, świeć Panie...

— Biedne sierotki — westchnąłem. — Ciężkie jest życie sierotek, co, Wolfi?

— Oj, ciężkie, dostojny panie — również westchnął. — Ale my jesteśmy dobrzy ludzie. Odchowamy, żeby im się krzywda nie działa.

— Podobno wieś gada, że dzieciaki wróciły odmienione. — Podałem mu znowu bukłak. — Co to ma znaczyć? O jakiej odmianie się mówi?

Przechylił bukłak do ust i wysączył do dna, a ja widziałem tylko, jak miarowo rusza mu się grdyka na pokrytej kępkami włosów szyi. Odetchnął głęboko, beknął, zakaszlał i oddał mi naczynie.

— Dobre — mruknął. — Aj, dobre. Na służbie też tak sobie siedzieliśmy przy ogniu i pociągali śliwówkę...

Widać Wolfi Łamidąb miał całkiem miłe wspomnienia z wojskowych lat, ale w sumie nic dziwnego, że kojarzyły mu się one z piciem oraz leniuchowaniem, gdyż najjaśniejszy cesarz był człowiekiem spokojnym i niechętnym do wojaczki. Czego nie dało się, nawiasem mówiąc, powiedzieć o jego spadkobiercy, którego nieskrywane plany przyszłych kampanii budziły pewne poruszenie wśród poddanych. Zwłaszcza tych, którzy mieliby zaszczyt umierać na polu chwały w imię realizacji jakże śmiałych cesarskich wizji. W końcu właśnie młody cesarz stwierdził ponoć, że wojnę z heretykami prowadzić będzie do ostatniego tchnienia... swych żołnierzy. Bogu dziękować, na razie nie miał ku temu ani sił, ani środków.

— Co z tym odmienieniem? — zagadnąłem.

— Aż tam, ja wiem? — Rozłożył dłonie. — No niby jakoś tak...

— Zachowują się inaczej niż zwykle? Mówią w inny sposób? — dopytywałem.

— Coś jakby trochę — pokręcił palcami przy głowie — nie tak, jak trza.

Wolfi zdawał się być poczciwym człowiekiem, ale najwyraźniej nie otrzymał w darze od Boga lotnego umysłu oraz daru pięknego wysławiania się. No cóż, i tę przeszkodę trzeba było jakoś pokonać.

— A dokładniej, Wolfi? Co się zmieniło? Spokojnie, chłopcze, pomyśl dobrze, nie spiesz się...

— Teraz tylko razem się trzymają... — Lewą dłonią zagiął wskazujący palec prawej.

To akurat byłem w stanie zrozumieć. Nieszczęście zbliża ludzi, zwłaszcza kiedy tracą rodzinę i pozostają sami na świecie.

— ...mówią jakensik inaczej, jakby ładniej. — Zmarszczył czoło i zagiął drugi palec. — Albo co tam...

Cóż, wydawało mi się, że niekoniecznie Wolfi Łamidąb mógł odgrywać rolę eksperta w sprawie wysławiania się oraz bogactwa wymowy.

— ...zdało się, że jakby nie poznali od razu, kto jest kto, i tak widać sobie potem przypomnieli... — Zagiął trzeci palec.

I to byłem w stanie zrozumieć, gdyż zdarzało się, że przeżyta tragedia odbierała ludziom nawet nie część pamięci, lecz pozostawiała w świadomości jedynie nędzne okruchy dawnego życia.

— No i jakieś takie one w ogólności dziwne — podsumował, zaginając czwarty palec. — A i w szczególności — dodał, marszcząc czoło.

— Bardzo mi pomogłeś, Wolfi — rzekłem serdecznie, bo wiedziałem, że nie wycisnę z niego wiele więcej.

Rozpromienił się.

— Zawsze do usług, proszę łaski jaśnie pana — powiedział dziarskim tonem.

— Wiem, Wolfi. Doceniam to. — Wstałem i pożegnałem go skinieniem głowy.

— Cesarska piechota wybraniecka, proszę łaski jaśnie pana! — niemal zawrzasnął.

Uśmiechnąłem się i wyszedłem, pochylając głowę, by nie rozbić jej o niską powałę.

Z ulgą odetchnąłem świeżym powietrzem, bo podejrzewałem, że po pierwsze, Wolfi miał podobny stosunek do kąpieli, co mój przyjaciel Kostuch, a po drugie, nie był zapewne mistrzem sztuki kulinarnej i to coś, co gotował w kociołku, musiało już umrzeć bardzo dawno temu.

Rozmowa z Łamidębem nie przyniosła wiele nowego, ale wiedziałem jedno: nazajutrz wnikliwie przebadam dzieci. Jeśli znający je od lat miejscowi gospodarze twierdzili, że jakoś się zmieniły, to wasz uniżony sługa chciał znać przyczyny tej zmiany. A poza tym bardzo interesowało mnie, w jaki sposób pierścionek małej Margerity znalazł się w jamie, w której ukryto szczątki czterech trupów.

Na razie jednak postanowiłem posiedzieć chwilę nad strumieniem. Noc była ciepła, rozpromieniona blaskiem księżyca w pełni, a mnie nie chciało się jeszcze spać. Zwłaszcza że z niejaką obawą czekałem na wzmożoną gamę zapachowych bodźców, która zaatakuje me nozdrza zaraz po wejściu do chatynki, gdzie spali Kostuch i bliźniacy.

###### \* \* \*

Bóg obdarzył mnie wyczulonym słuchem, więc usłyszałem za plecami kroki, mimo że przybysz wyraźnie starał się iść cicho. Odczekałem jeszcze chwilę i skoczyłem na równe nogi. Odwróciłem się już z mieczem w garści. W jasnym świetle księżyca, kilka kroków przed sobą, zobaczyłem Johanna, który zamarł z jedną stopą uniesioną w powietrzu.

— A co ty straszysz ludzi po nocy, smyku? — spytałem, chowając miecz do pochwy.

Stał cały czas nieruchomo, w tej nienaturalnej i niewygodnej pozycji. Przypatrywał mi się zawziętym, wrogim wzrokiem. Czujnym. Jak wilk, którego przyłapano na podkradaniu się do ofiary. Ha — niemal zaśmiałem się w myślach — ja, inkwizytor Mordimer Madderdin, miałem być ofiarą kilkuletniego chłopca? No cóż, szczerze mówiąc, nie takie historie słyszałem, a wsadzić człowiekowi nóż w plecy potrafi nawet dziecko.

I wtedy moich uszu dobiegł leciutki plusk. To mogła być ryba szamocząca się w toni lub żaba polująca na owady. Cokolwiek. Ale kiedy płynnie się obróciłem (tak, by nie stracić z oczu Johanna), przekonałem się, że nie była to ani ryba, ani żaba. Na wodzie stała ubrana w białą sukienkę, bosa Margerita, a jej jasne włosy błyszczały w księżycowym świetle. Zatrzymałem wzrok na jej stopach. Bowiem dziewczynka stała na strumieniu, a nie w strumieniu. Wyraźnie widziałem dziecięce palce opierające się o lustro wody.

Podobnie jak Johann zamarła w pół kroku i przyglądała mi się spod strzechy skołtunionych włosów.

— No, dzieciaczki — powiedziałem, wyciągając miecz.

A wtedy Johann i Margerita skoczyli w moją stronę. Tak szybko, jakby byli utkani z księżycowego światła. Machnąłem mieczem, ale ostrze tylko ze świstem przecięło powietrze. Uderzyli mnie z dwóch stron. Całym pędem i ciężarem dziecięcych ciał. Zachwiałem się, poślizgnąłem na błotnistym brzegu i wpadłem z chlupotem w wodę. Podniosłem się błyskawicznie, tylko po to, aby zobaczyć, jak rodzeństwo zaczyna zrastać się w jedno ciało. Stali tuż obok siebie, kilka kroków ode mnie, ramię przy ramieniu. Ich postaci otoczyła migotliwa, srebrna poświata. Ciała wibrowały w niej, rozmazywały się, jedno wchłaniało drugie. Po chwili widziałem jakiś dziwny twór o czterech nogach i dwojgu ramion, który miał połowę twarzy Johanna, a połowę Margerity.

Zapewne powinienem właśnie wtedy podbiec do tej przedziwnej istoty i zbadać, w jakim stopniu dziecięce ciała odporne są na stal miecza. Jednak zamiast tego wpatrywałem się oszołomiony tak długo, aż przemiana dobiegła końca. Przede mną stało coś, co jedynie z grubsza przypominało człowieka. Miało biały, rozdęty i nabrzmiały kałdun oraz niemal ludzką głowę z ogromną paszczęką i wyszczerzonymi zębami. Krótkie, napuchłe ramiona zakończone były szarymi pazurami.

Teraz dopiero ruszyłem z uniesionym mieczem, ale wtedy istota spojrzała na mnie. W jej wzroku pełgał fosforyzujący, trupi blask. Było w tym spojrzeniu coś tak nieludzkiego i tak przerażającego, że zmyliłem krok, a cięcie wypuściłem zbyt wolno i niecelnie. Potwór zszedł zręcznie z linii ciosu i sieknął mnie przez ramię pazurami. Miecz wypadł mi z dłoni, a ręka zwisła bezwładnie. Poczułem palący ból, rozchodzący się wzdłuż całego ramienia. Zdołałem jednak uskoczyć przed następnym uderzeniem. A potem... cóż... Potem nie pamiętam już nic.

###### \* \* \*

Kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem, że pochyla się nade mną dziewczyna, a raczej młoda kobieta. Miała bujne, związane w gruby węzeł, ciemne włosy oraz piękne, błyszczące oczy. Jej twarz była niemal biała, jak twarz alabastrowej rzeźby, i tylko ledwo widoczna, niebieska, pulsująca żyłka przy kości policzkowej wskazywała, iż jest kobietą z krwi i kości. Uśmiechnęła się.

— Witaj znów na świecie — powiedziała.

To był głos budzący zaufanie, głęboki i ciepły. Wierzyłem, że właśnie taki głos każdy chciałby usłyszeć, leżąc na łożu boleści. A ja właśnie leżałem, choć słowo „łoże” nie było najlepszym określeniem dla futrzanej szuby rzuconej w kącie niewielkiej chatki. Mrok przeganiała tylko oliwna lampka stojąca tuż przy posłaniu.

— Nazywam się Karla, Mordimerze — powiedziała, a ja nawet nie zdziwiłem się, skąd zna moje imię. — Wybacz mi, ale będę musiała teraz na poważnie zająć się twoją raną.

— Wybacz? — Odchrząknąłem i spojrzałem na paskudny, rozogniony i zakrwawiony strzęp, który niegdyś był moim ramieniem. O dziwo jednak, nic mnie nie bolało, więc przypuszczałem, że podała mi jakiś kojący wywar.

— Pij. — Podetkała mi pod usta gliniany kubek.

Już sam zapach niemal mnie odrzucił, ale nie miałem sił, aby się uchylić.

— Pij, pij, pij — szepnęła nalegającym tonem i lewą dłonią uniosła mi głowę.

Przechyliła kubek i w moje gardło wlało się coś ciepłego i tak nieprawdopodobnie gorzkiego, że omal nie zwymiotowałem.

— To lekarstwo. Pij!

Posłusznie wypiłem wszystko do dna, bo, prawdę mówiąc, nie miałem większego wyboru. Poza tym miałem nadzieję, że ktoś, kto uratował mnie od śmierci, nie zechce natychmiast potem mnie otruć. Ośmielałem się wyciągać tak zuchwałe wnioski nie z uwagi na nadmierną łatwowierność charakteru, lecz posługując się zasadami czystej logiki, która taki czyn określiłaby z całą pewnością mianem bezsensownego.

Jednak zaraz potem niewiele już mógłbym powiedzieć o logice, bowiem moje myśli gdzieś uleciały, a ciało stało się lekkie niczym puch, unoszony ciepłym podmuchem wiatru. Twarz Karli to rozmywała się, to wyostrzała, a jej wysoka, ubrana w biel postać zdawała się unosić nad ziemią. Potem zobaczyłem, że dziewczyna zdejmuje suknię i staje olśniewająco naga w migoczącym, żółtym blasku kaganka. Jej kształty były tak idealne, jakby wyrzeźbione dłutem antycznych rzeźbiarzy, gdyby tylko rzeźbiarze ci ideał ludzkiego piękna chcieli widzieć w postaci młodych kobiet, a nie młodych mężczyzn.

Uniosła w górę ramiona i widziałem, jak jej usta poruszają się, ale nie słyszałem żadnego dźwięku. A potem nagle słuch powrócił. W jednej chwili. Usłyszałem, że Karla miarowo wypowiada słowa w nieznanym mi języku, a z każdym zdaniem jej oczy zdawały się ogromnieć i płonąć ogniem, w którym jednak nie było światła, lecz sam mrok. Później gwałtownie opadła tuż nade mną, tak że zobaczyłem jej nagie piersi niemal przy samej twarzy. Poczułem, że ściska moje zranione ramię dłońmi, a ten uścisk przypominał chwyt rozgrzanymi, żelaznymi kleszczami. Wrzasnąłem. Wrzasnąłem, i wstyd się przyznać, mili moi, wrzeszczałem tak długo, póki nie została mi ofiarowana łaska powtórnej utraty świadomości.

Kiedy się ocknąłem, Karla siedziała tuż obok i, trzymając dłoń na moim ramieniu, nuciła coś cicho. Tym razem jednak jej palce niosły nie tylko ukojenie, ale i odświeżający chłód. Przyglądałem się jej spod przymrużonych powiek (żałując, że nałożyła już suknię), a ona się uśmiechnęła.

— Jesteś już niemal zdrowy, Mordimerze — powiedziała, nie otwierając oczu.

Zerknąłem na ramię i zobaczyłem, że na skórze została tylko różowa blizna i lekka opuchlizna, tak jak po niezbyt mocnym uderzeniu.

— Niemożliwe — wychrypiałem, gdyż ani medycyna, ani najszczersze nawet modlitwy nie potrafią czynić takich cudów.

— A jednak. — Uniosła powieki. — To była trucizna. Bardzo groźna trucizna. Sądzę, że bez mojej pomocy nie przeżyłbyś nawet dnia. A zresztą — zaśmiała się — i tak byś nie przeżył, gdyż twój przeciwnik znany jest z ogromnego apetytu.

— Tak.

Przypomniałem sobie już wszystko, ale zagadką pozostawało dla mnie jeszcze wiele spraw. Za wyjątkiem jednej. Kobieta, która mnie uratowała, była czarownicą i niesłychanie interesowało mnie, czemu czarownica zdecydowała się pomóc inkwizytorowi. Zwłaszcza że nigdy nie słyszałem o tak potężnych zaklęciach, jak te, których użyła, by uleczyć moją ranę.

— To był demon — stwierdziłem wolno. — Ale ja nigdy nie słyszałem o demonie tego rodzaju.

— Nikt nie słyszał — zgodziła się. — Sądzę, że ty i ja mieliśmy okazję ujrzeć go jako pierwsi z ludzi. Chociaż zapewne z radością darowałbyś sobie takie doświadczenie, prawda?

Wysławiała się ładnie, konwersację prowadziła z pełną swobodą, a jej wymowa pozbawiona była gwarowych naleciałości. Interesujące, jak na czarownicę ze środka puszczy.

— Znalazłem trupy — powiedziałem. — Dwoje dorosłych i dwoje dzieci. A więc to byli Johann, Margerita i ich rodzice. — Pokręciłem głową. — A demon przybrał postać sierotek...

— Zadasz sobie pytanie, dlaczego?

Cóż to miało być? Egzamin zdolności dedukcyjnych biednego Mordimera? Paradne, czarownica przesłuchująca inkwizytora... Przymknąłem powieki i milczałem długą chwilę.

— Strach, wrogość, wzajemne oskarżenia. Zabójstwa, może stosy — otworzyłem oczy i dostrzegłem, że Karla uśmiecha się z aprobatą — wyludniłyby wioskę. Tę, potem pewnie następną i następną...

— Ta już była następna i następna — przerwała mi.

— Tylko po co? — zapytałem. — Przecież mógł ich zwyczajnie pozabijać i pożreć.

— A skoro tego nie zrobił, to...?

— Widać potrzebuje również innej strawy, oprócz mięsa — odparłem po chwili. — Czym się karmi? Przerażeniem? Nienawiścią? To nie lepiej wybrać się do Hezu? — Pozwoliłem sobie na gorzki żart.

Roześmiała się.

— Widocznie własnoręcznie przyszykowany obiad lepiej smakuje — powiedziała.

Miała rację. Demony na ogół nie zabijają ludzi bez powodu. A najchętniej widzą, kiedy z ich poduszczenia ludzie mordują się nawzajem. Tak to już jest, że tym pochodzącym z pradawnego mroku istotom nie wystarcza wydarcie nam danej łaskawie przez Pana iskry życia, lecz chcą również splugawić nasze dusze. Na zawsze pozbawić nas nadziei na wieczny, niebiański odpoczynek.

— Jak przed nim uciekłaś? — spytałem. — Jak ci się udało mnie wynieść?

— Ja nie uciekłam, Mordimerze. — Patrzyła na mnie z pogodnym, choć jednocześnie lekko zakłopotanym uśmieszkiem. — Ja go wypędziłam z powrotem w otchłań.

— Aha — odparłem tylko, bo niewiele było do dodania.

— Pojawi się znowu — westchnęła. — Prędzej czy później. Jak zawsze. No, ale dość tego. Powinieneś się przespać, a i ja zmęczyłam się tym wszystkim. Ta trucizna, te rany, w głowie mi się kręci. — Machnęła dłonią, a potem pochyliła się i zgasiła knot palcami.

— Zrób mi trochę miejsca i przytul się — powiedziała. — Tylko bądź łaskaw trzymać ręce przy sobie — dodała, kiedy zbyt dosłownie potraktowałem jej słowa.

###### \* \* \*

Obudziła się, otworzyła oczy i spojrzała w moją stronę. Uśmiechnęła się, lecz zaraz uśmiech zgasł na jej twarzy. Poczuła, że ma skrępowane nogi w kostkach oraz dłonie w nadgarstkach. Ruszyła się niespokojnie ale potem zamarła.

— Mordimerze — powiedziała bardzo spokojnym tonem. — Co ty wyprawiasz?

Wzułem buty, a później poprawiłem pas. W chatce nadal było mroczno, ale światło poranka już przebłyskiwało przez rybie pęcherze, którymi zasłonięto okienne otwory. Karla czekała cierpliwie, aż się odezwę.

— Jesteś czarownicą — odparłem, gdyż moim zdaniem to stwierdzenie tłumaczyło wszystko.

— Uratowałam ci życie. — Nadal na jej twarzy nie widziałem ani złości, ani strachu. Przyglądała mi się uważnie.

— To prawda — rzekłem. — I jestem ci niezmiernie wdzięczny. Szczerze. Wielu uważa, że moje życie nie jest warte specjalnego zachodu, ale ja jednak cenię je sobie tak jak biedak ceni ostatni grosz brzęczący w sakiewce, Jednak nie zmienia to postaci rzeczy, droga Karlo, że jesteś czarownicą. A ja, jeślibyś nie wiedziała — pozwoliłem sobie na łagodną nutę ironii — tropię czarownice.

Usiadłem przy niej i wziąłem w palce kosmyk jej włosów. Nie poruszyła się.

— Człowiek, przedkładający własne uczucia i żądze nad obowiązek wobec idei, nie jest wiele warty — powiedziałem, mając nadzieję, że mnie zrozumie lub przynajmniej postara się zrozumieć. — Jak mógłbym być inkwizytorem, sługą Bożym, młotem na czarownice i mieczem w ręku Aniołów, bo wiesz przecież, że tak nas nazywają, gdybym nie potrafił wymazać grzechu z własnego serca?

— Wdzięczność jest grzechem? — Patrzyła mi prosto w oczy.

— Ależ nie! — zaprotestowałem. — Jestem ci gorąco wdzięczny. Zobowiązany. Wzruszony twoją pomocą. Ale... to nic nie zmienia. Czy sądzisz, że odstąpiłbym od wykonania obowiązków za łapówkę? Za sto, tysiąc czy dziesięć tysięcy koron lub denarów? Jeśli nie znasz odpowiedzi, powiem: nie, nie odstąpiłbym. Czy więc mogę od nich odstąpić, ponieważ ocaliłaś moje życie? Cóż to ma za znaczenie w oczach wszechmogącego Boga?

— Mordimerze, byłam twoim sojusznikiem w walce ze złem — powiedziała dobitnie. — Czy nie udowodniłam więc, że stoję po właściwej stronie?

— Nie — odparłem z żalem. — Uwierz mi, Karlo. — Wziąłem jej dłoń w swoje dłonie. Jej palce były piękne, pomimo że miała połamane i ubrudzone ziemią paznokcie. — Czynię, co czynię, z miłości do ciebie i chęci zbawienia twej duszy. Jakimże byłbym człowiekiem, gdybym potrafił pozostawić cię w grzechu? Ty idziesz w stronę przepaści, ja wyciągam rękę, aby cię ratować.

Cały czas patrzyła na mnie i widziałem, że rozmyśla nad wypowiedzianymi słowami. Nie łudziłem się, że ją przekonam, ale pragnąłem, by chociaż usłyszała me racje.

— Ty szykujesz dla mnie stos, Mordimerze — powiedziała w końcu gorzko. — A nie wyciągasz z przepaści.

— Ja ratuję twoją duszę, Karlo — odparłem. — Bo kogóż może obchodzić, co stanie się z twoim ciałem?

— Wyobraź sobie, że mnie obchodzi! — Uniosła się na łokciu. — Rozwiąż mnie natychmiast i daj mi odejść!

— Na tym świecie jesteśmy tylko gośćmi, to tam — podniosłem wzrok — czeka nas prawdziwe życie. Czy chciałabyś zrezygnować z wiekuistej, radosnej uczty przy stole Pana? Gdybym pozwolił ci odejść, zniszczyłbym nadzieję. Ale ja zawiozę cię do Hezu, Karlo, i postawię przed sądem Świętego Officjum. Uwierz mi, że umrzesz pogodzona z Bogiem oraz naszą świętą wiarą. Przepełniona miłością. Szczerze żałująca grzechów. Uwierz mi też, że tam, w płomieniach, przeżywając ekstatyczną boleść stosu, zrozumiesz, iż właśnie w chwili, kiedy cię wydałem, okazałem się twoim prawdziwym przyjacielem. Bo czyż może istnieć większy dowód miłości nad walkę o czyjeś zbawienie? Jakże małostkowo i egoistycznie zachowałbym się, przedkładając poczucie wdzięczności nad obowiązek wobec twej nieśmiertelnej duszy!

Wszystko, co mówiłem, było szczerą i całkowitą prawdą, ale miałem również pewność, że Święte Officjum z pełną zapału radością zapozna się z mocą czarownicy, dysponującą wielką wiedzą i stosującą nieznane inkwizytorom zaklęcia. A więc i w taki sposób Karla mogła się przyczynić do chwały Bożej.

— Mordimerze, na miecz Pana! — Po raz pierwszy dostrzegłem zaniepokojenie w jej oczach. — Jesteś szalony! Czy naprawdę sądzisz, że skazanie mnie na cierpienie i śmierć jest dowodem miłości?

— A czyż chirurg nie tnie kończyny, w którą wdała się zła krew, by uratować życie podopiecznego? — zapytałem.

Ująłem jej twarz w swoje dłonie i pocałowałem ją prosto w usta. Nie stawiała oporu, ale nie oddała pocałunku. Miała chłodne wargi i smutek w cudownie błyszczących oczach. Być może mógłbym się zakochać w kobiecie takiej jak ona, ale ta myśl tylko potęgowała mój smutek.

— Wiem, że mnie teraz nienawidzisz — powiedziałem i naprawdę było mi ciężko na sercu. — Ale ufam, że to się kiedyś odmieni.

Wierzyłem tym słowom, gdyż znałem zarówno siebie, jak i mych braci-inkwizytorów. Byłem więc pewien, że moja wybawicielka umrze nie tylko pogodzona z losem (bo nie o to przecież nam chodziło), lecz przepełniona słodką wdzięcznością.

Wstałem, popatrzyłem na nią i uśmiechnąłem się smutno do własnych myśli. Karla była piękna i mądra. Być może, pomimo parania się mroczną sztuką, nie była również do końca zła. Ale ja pamiętałem słowa Pisma, które w swej niezmierzonej mądrości mówiło: *Nie będziecie mieli względu na osobę żadnego.* Pamiętałem o tych słowach zawsze i zawsze czerpałem z nich pociechę w chwilach próby, takich jak ta.

— Mordimer! — Jej głos chlasnął jak bicz, a ja odwróciłem się od progu. — Kiedy będziesz stąd wychodził, pomyśl nad własnymi słowami. Nad bredniami o ratowaniu mojej duszy, przysłudze, jaką mi oddajesz. — Wzruszyła wściekle ramionami. — Pomyśl sobie, mój idealny inkwizytorze, czy wydałbyś na stos własną matkę w imię miłości, o której tyle opowiadasz?

Patrzyłem na nią nieporuszony. Wpatrywała się we mnie pałającym wzrokiem, który w pewnym momencie przygasł. Opadła na barłóg.

— Mordimerze, na miłość Boską — powiedziała głucho.

— O tak, Karlo, na miłość Boską — odparłem i wyszedłem.

### Epilog

Sądzę, że ze względów bezpieczeństwa nie powinniśmy wjeżdżać na tę łąkę. Ale spokój letniego dnia, zapach nagrzanej słońcem trawy, świergot ptaków — to wszystko uśpiło czujność waszego uniżonego sługi. W końcu i ja jestem jedynie słabym, sentymentalnym człowiekiem, zdolnym bez reszty poddać się czarowi chwili i urokowi natury. A kiedy dojrzałem wyłaniających się zza ściany drzew trzech jeźdźców na karych rumakach, na wszystko było za późno. Zresztą, przecież i tak nie walczylibyśmy ani nie uciekali przed inkwizytorami z najtajniejszego Wewnętrznego Kręgu. No, ale gdyby przybysze byli naszymi wrogami, to środek łąki z pewnością nie stałby się najlepszym miejscem na odparcie ataku. Co prawda bliźniacy wyciągnęli kusze, a Kostuch obnażył szablę, ale ostro rozkazałem im natychmiast schować broń. Być może pod słońce nie widzieli połamanych, srebrnych krzyży, wyhaftowanych na płaszczach jeźdźców, ale ja widziałem je aż nazbyt dobrze. Skąd wiedziałem, że nie są zwykłymi inkwizytorami? Cóż, miałem już do czynienia z im podobnymi i potrafiłem pogodzić się z graniczącym z pewnością wrażeniem, że oto zbliżają się ludzie, dla których zamienienie biednego Mordimera i jego przyjaciół w cztery krwawe strzępy byłoby tak samo trudnym zadaniem, jak otarcie nosa chusteczką.

Konni zbliżali się do nas spokojnie, stępa. Dowodził nimi zażywny, łysiejący mężczyzna o spoconej i pokrytej ceglastymi rumieńcami twarzy. Z całą pewnością nie wyglądał na inkwizytora, ale ja znałem już członków Wewnętrznego Kręgu Inkwizytorium i doskonale wiedziałem, że nie należy ich sądzić po pozorach. W końcu Marius von Bohenwald — człowiek, który niegdyś dwukrotnie uratował mi życie — przypominał zapasionego, rozleniwionego życiem kupca. Ale tak mógł sądzić tylko ktoś, kto nie widział, jak potrafił walczyć i zabijać.

— Witaj, Mordimerze! — Uśmiechnął się przybysz. — Jestem Arnold Welrode, do twoich usług.

Zamachał w powietrzu kapeluszem, więc uprzejmie skłoniłem głowę.

— Pozdrowienia od Mariusa — dodał. — Bardzo żałował, że nie mógł cię zobaczyć.

— Bądź łaskaw przekazać mu również moje pozdrowienia oraz szczere wyrazy ubolewania — powiedziałem. — Gdyż wreszcie mógłbym się z nim spotkać, nie znajdując się na wyciągnięcie ręki od śmiertelnego niebezpieczeństwa.

— Młodzieńcza pochopność sądów. — Pokręcił głową Welrode. Widziałem, że jest troszkę rozbawiony, i zastanowiłem się, cóż takiego oznaczały naprawdę jego słowa. — Matthaus! — Obrócił się do jednego ze swych ludzi: — Pomóż zsiąść pani.

Inkwizytor nazwany Matthausem zeskoczył z siodła i zbliżył się do nas. Podał rękę Karli, ale ona miała związane dłonie w nadgarstkach, więc wyciągnęła ku niemu obie ręce. Matthaus ujrzał sznury, zmarszczył brwi i zobaczyłem, że spojrzał na czarownicę z jakimś pytaniem w spojrzeniu, a ona ledwo zauważalnie pokręciła głową. Korzystając z pomocy Matthausa, zwinnie zeskoczyła z mojego wierzchowca, a kiedy stała już na ziemi, inkwizytor przeciął jej więzy wyjętym zza cholewy nożem. Zauważyłem, że robił to niezwykle ostrożnie. Odeszli w stronę luzaka prowadzonego przez trzeciego z przybyszy.

— Przejmujemy twojego... więźnia. — Welrode znowu lekko się uśmiechnął przy ostatnim słowie. — Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu?

Zastanawiałem się, jak długo jeszcze trwałoby moje życie, gdybym stwierdził, że owszem, mam coś przeciwko takiemu rozwiązaniu sprawy. Ha, zapewne nie dłużej, niż lot bełtu wystrzelonego z kuszy. Jak się jednak domyślacie, moi mili, nie zamierzałem sprawdzać odporności Arnolda Welrode na podobnie wymyślne żarciki.

— Oczywiście, że nie — odparłem. — Jestem zobowiązany.

— Och nie, Mordimerze. — Zamachał dłońmi. — To my jesteśmy szczerze zobowiązani. Bardzo pomogłeś nam w tej niewdzięcznej i, nie ukrywajmy tego — podniósł znacząco palec — i nie bójmy się otwarcie powiedzieć: wielce zagadkowej sprawie. Do czasu manifestacji demona, która odbyła się w twojej obecności, nie byliśmy pewni, co do właściwej istoty problemu. Mamy nadzieję, że złożysz drobiazgowy raport Jego Ekscelencji ze szczególnym uwzględnieniem faktu, iż pojawił się nowy rodzaj szatańskiego sługi, sam chyba przyznasz, bardzo niebezpieczny... — westchnął. — Ta wiedza z całą pewnością przyda się innym inkwizytorom, którzy być może nie mieliby tyle miłej Bogu dociekliwości i cierpliwości co ty. A z tego powodu ich święty zapał mógłby zostać wykorzystany w złym celu.

— Uczynię, co tylko w mojej mocy, aby w pełni przedstawić niebezpieczeństwo — powiedziałem.

— Którego istota, jak mniemam, została ci już dogłębnie przedstawiona, nieprawdaż?

— Poddałam jedynie pewne myśli — wtrąciła Karla. — A mistrz Madderdin okazał się na tyle bystry, by samodzielnie odpowiedzieć na wszystkie pytania.

— Z całą pewnością, właśnie tak sądziłem. — Pokiwał głową Welrode i wydawał się być zadowolony, niczym nauczyciel, którego uczeń właśnie wykazał się bystrością umysłu. — Spieszę cię jednak poinformować, Mordimerze, że w Amszilas nie zapomniano o twoich błędach... — Jego głos stwardniał.

Skinąłem tylko głową, gdyż cóż innego mogłem uczynić.

Nie tak dawno temu zawiodłem zaufanie i dałem umknąć wyznawcom demona żądającego przerażających ofiar. Nie wiedziałem, czy Inkwizytorium wyśledziło już winnych, i nie zamierzałem się o to dopytywać, skoro nikt nie zamierzał dać mi szansy prowadzenia poszukiwań oraz odkupienia błędów.

— Ale je wybaczono — dodała niespodziewanie Karla.

— Czy tak, pani? — Welrode przez moment wydawał się zaskoczony jej słowami. — Ha, wybaczono — powtórzył, jakby smakując to słowo i starając się zrozumieć jego sens. — No cóż, skoro tak mówisz — dodał. Potem obrócił się do tyłu, w jej stronę: — Czy możemy już jechać?

— Owszem — odparła Karla i uśmiechnęła się do mnie. — Do zobaczenia, Mordimerze, a mówię „do zobaczenia”, gdyż wierzę, że jeszcze się spotkamy...

— Baa! — Rzucił głową Welrode, jakby z niedowierzaniem.

— Ależ tak, Arnoldzie. — Spojrzała w jego stronę. — Spotkamy się, gdyż w sercu naszego przyjaciela płonie szczery ogień, a o to niełatwo w naszych podłych czasach. Żar prawdziwej wiary pomoże mu w ciężkich chwilach, które nadchodzą — urwała na chwilę, a wszyscy milczeli, gdyż jej głos nabrał niezwykłej, hipnotyzującej mocy. — Które nadejdą szybciej niż się spodziewamy. A wtedy zahuczą Boże topory i oddzielą chore konary od zdrowego pnia...

Patrzyła wprost na mnie, a ja nie miałem sił, by wytrzymać jej wzrok, i opuściłem oczy.

— Nadchodzi czas próby, w którym wielu zaprze się po trzykroć, wielu wraz z Panem poniesie Jego krzyż, a wybrani sięgną również po Jego miecz — mówiła, a ten głos wydawał się sięgać do samego dna duszy.

Długą chwilę wszyscy milczeli, jakby wsłuchując się w jej słowa, które przecież dawno już przebrzmiały. A potem dziewczyna uśmiechnęła się promiennie i urok prysnął.

— Jedźmy — rzuciła wesoło. — I nie kłopoczmy się dniem, który dopiero nadejdzie!

Przyglądaliśmy się, jak odjeżdżają, a kiedy zniknęli nam z oczu za drzewami, Drugi ruszył się w siodle i splunął pod kopyta konia.

— Co oni, niby, spalą ją, no bo jak? — zapytał.

— Oczywiście, bliźniak — odparłem. — Oczywiście.

## Maskarada

Wszyscy my bowiem jesteśmy synami światła i synami dnia.

Nie jesteśmy synami nocy ani ciemności.

Nie śpijmy przeto jak inni, ale czuwajmy i bądźmy trzeźwi.

św. Paweł, I list do Tesaloniczan

Spoglądałem na twarz Jezusa o Podwójnym Obliczu. Tę o twardych rysach i zawziętą, na którą nachodził żelazny nosal hełmu. Jezus trzymał w dłoniach miecz, zwrócony ostrzem w stronę ławy, na której siedziałem, a jego napierśnik błyszczał srebrem. Drugie oblicze naszego Pana — bolesne i pokorne, z czołem przystrojonym Koroną Cierniową — schowane było w głębokim cieniu kościelnej nawy.

Siedziałem może nie tyle pogrążony w pobożnych rozmyślaniach, ile szukając w kamiennej sali ochłody przed panującym na zewnątrz upałem. Do pokornej modlitwy nie są mi bowiem potrzebne kościoły, a imię Pańskie można równie dobrze wychwalać w każdym innym miejscu (a może i nawet dobrze to robić w miejscu maksymalnie odległym od najbliższego księdza...). Ten kościół był jednak, o dziwo, niemal pusty i tylko staruszek w czarnym habicie gasił świece płonące przy ołtarzu i kapiące żółtymi, grubymi łzami wosku.

W pewnym momencie usłyszałem jednak stukot twardych podeszew na kamiennej posadzce i kątem oka ujrzałem idącego wzdłuż ław człowieka w obfitym, ciemnym płaszczu z wysoko postawionym kołnierzem. Który to płaszcz, zważywszy żar lejący się z nieba, był co najmniej niecodziennym ubiorem. Przybysz miał czarną, przyciętą w szpic bródkę z pasmami siwizny i bystre oczy szpiega. Zbliżył się do mnie zdecydowanym krokiem.

— To wy jesteście inkwizytorem? — zagadnął, a jego głos rozbrzmiał echem w pustym kościele.

Odczekałem chwilę, przeżegnałem się i obróciłem wzrok na niego.

— A jeśli tak? — odrzekłem pytaniem na pytanie.

— W takim razie mam dla was robotę. Jestem, jak wy to nazywacie, czarownikiem, czyli mówiąc innymi słowy: mistrzem sztuk tajemnych — dokończył z wyraźną satysfakcją oraz dumą w głosie i złożył ramiona na piersiach, patrząc na mnie z góry.

Spotykałem już różnych ludzi. Również takich, którym wydawało się, że są białymi królikami, szczypiącymi trawę w ogrodach najjaśniejszego cesarza. Dlatego nie przejąłem się zbytnio słowami człowieka, który ośmielił się przerwać mi modlitwę.

— I cóż w związku z tym? — zapytałem spokojnie.

— Eeer... — Wyraźnie skonfundował się i zająknął. — Nie słyszeliście? — dodał, odzyskując rezon. — Jestem czarnoksiężnikiem! I żądam, abyście mnie jak najszybciej oddali w ręce mnichów z klasztoru Amszilas.

No tak, tego jeszcze nie było. Owieczka, surowo nakazująca odprowadzić się do wilczego leża. Prosiak, stanowczo domagający się wizyty u rzeźnika. Czyż świat nie bywa czasami pełen zdumiewających niespodzianek?

— Zgłoście się do lokalnego oddziału Inkwizytorium — powiedziałem obojętnie. — Najbliższy znajduje się w Vaxholen, o ile mnie pamięć nie myli. A teraz, za waszym pozwoleniem, chciałbym wrócić do modlitwy oraz pobożnych rozmyślań.

Wpatrywał się we mnie wzrokiem, w którym zdumienie walczyło o lepsze z irytacją. Palcami prawej dłoni szarpnął się za brodę.

— Nie wierzycie mi, co? — wycedził przez zęby. — A jeśli powiem wam, że studiowałem mroczną sztukę z ksiąg asyryjskich oraz perskich czarnoksiężników? I że miałem w rękach łaciński odpis „Sztuki demonologii”, w oryginale spisanej krwią na ludzkiej skórze? Jeśli powiem wam też, że znana jest mi wiedza arabskich magów, w tym „Siedemdziesiąt i siedem piekielnych otchłani” szalonego Yussufa al Ahmadiego, nazywanego Krwiopijcą z Medyny, oraz słynna „Necrosis” Angelusa Kafalatosa? A jeśli dodam, że znam runy walijskich druidów i studiowałem korę świętego dębu nieopodal Llainfairfechan?

Ten człowiek nie tylko nie powinien znać tych ksiąg, ale nawet słyszeć ich tytułów. Jednak wiedziałem też, że największe choćby tajemnice wyciekają, jeśli tylko wie o nich zbyt wielu ludzi. A przecież o „Sztuce demonologii”, dziełach Yussufa al Ahmadiego, czy pogańskim dębie uczono w Akademii Inkwizytorium (zagadnienia te przedstawiano również biegłym egzorcystom). Zrozumiałe więc, że prędzej czy później, mogli się o nich dowiedzieć również postronni ludzie. A na przykład wśród profesorów cesarskich uniwersytetów podobne zainteresowania nie były niczym niecodziennym. Niektórzy nawet podawali się za potężnych czarowników, zyskując pełen lęku szacunek prostaczków, lecz ryzykując jednocześnie, że Inkwizytorium zechce się bliżej przyjrzeć ich życiu. Niestety, miłościwie nam panujący cesarz sam korzystał z rad wróżów, astrologów, chiromantów i innej wyłudzającej złoto hołoty, więc na wszelkie sprawy związane z, jak to nazywał, „nieszkodliwymi czarami” nie zwracał szczególnej uwagi. Co krępowało dłonie inkwizytorom, a ludzi niezdrowo zainteresowanych mrocznymi sztukami utwierdzało w bezkarności. Z tego, co wiedziałem, Jego Cesarska Mość tylko raz raczył się zdenerwować, kiedy jeden z szalbierzy zaczął twierdzić, że wyjątkowa łagodność władcy została wywołana za pomocą czarów spreparowanych właśnie przez niego. Jeśli się nie myliłem, uczony doktor do tej pory tkwił w lochu. A ponieważ Najjaśniejszy Pan wydatki na strawę i opał dla więźniów uważał za fanaberie, więc zapewne fałszywemu magowi nie było teraz do śmiechu. Jeśli, oczywiście, miał tego pecha i jeszcze żył.

— Dajcie pokój — powiedziałem natrętowi. — Czy godzi się dysputować o takich sprawach w domu Bożym?

— Ależ ja żądam, abyście mnie aresztowali. — Jego blada, szczupła twarz pokryła się krwistymi rumieńcami.

— A spalić was gdzie? Tu czy może w stolicy, bo więcej ludzi przyjdzie na spektakl? — Zażartowałem z poważną miną.

— Chcę, abyście mnie odprowadzili do klasztoru Amszilas! — niemal wykrzyczał. — I ja dobrze wiem, i wy dobrze wiecie, czym zajmują się tamtejsi mnisi... — dodał nieco spokojniejszym tonem i przysiadł obok mnie. — Zróbcie to, na miecz Pana! — zasyczał mi niemal w samo ucho, zionąc jednocześnie pomieszanym odorem przetrawionej cebuli i zgniłych zębów.

Odsunąłem się, gdyż moje delikatne powonienie jedynie z najwyższym trudem znosiło podobną gamę zapachową.

— Nadużywacie mojej cierpliwości — rzekłem spokojnie, chociaż o powinnościach zakonników z Amszilas nie dyskutuje się publicznie, a jeśli już, to na pewno nie w kręgu ludzi niezwiązanych ściśle z Kościołem lub Inkwizytorium.

— Na miecz Pana! — warknął. — Co mam zrobić, żebyście mnie aresztowali? Sprofanować, jak wy to mówicie, święte relikwie?

Wypowiedział te słowa i nagle rzucił wzrokiem w stronę ołtarza. Poderwał się z miejsca, jakby zamierzał wprowadzić w czyn śmiałe słowa. Na to już nie mogłem pozwolić. Chwyciłem go za ramię i klapnął obok mnie z bolesnym jękiem.

— Dość tego — powiedziałem stanowczo. — Chodźmy.

— Ano chodźmy. — Zgodził się bez oporu i nawet z satysfakcją w głosie.

Szedłem tuż za nim, niezadowolony, że z jego powodu będę musiał opuścić chłodne wnętrze i wyjść na rozgrzany, kamienny plac przed kościołem. Słońce prażyło niemiłosiernie, a do zachodu było jeszcze, niestety, daleko. Nie przepadam za upałami, wolę raczej zimne dni, a nawet lekki deszczyk. Nie dość, że lepiej się wtedy oddycha, to w dodatku słabszy staje się charakterystyczny odór naszych miast, który, jako człowiek hojnie obdarzony przez Pana zmysłem węchu, odczuwałem zawsze szczególnie dotkliwie.

— Pozwólcie no tutaj. — Wskazałem rosnący nieopodal dąb, pod którego rozłożystymi gałęziami mogliśmy poszukać cienia, a jednocześnie znaleźć się z dala od ciekawskich uszu, gdyby takowe się znalazły.

Stanęliśmy przy grubym, szarobrązowym pniu o spękanej i spieczonej korze. Na jednym z konarów zauważyłem zwęglony ślad po uderzeniu pioruna.

— No więc? — spytałem. — Czego naprawdę ode mnie chcecie?

— Tylko tego, co powiedziałem. — Nie wiem, czy mi się wydawało, czy nie, ale chyba zgrzytnął zębami. — Aresztujcie mnie i odprowadźcie do klasztoru.

— Wiecie co? — Spojrzałem na niego uważnie. — Może was aresztuję i przesłucham tutaj, na miejscu, w Gorlitz?

Zauważyłem, że zbladł i wyraźnie się zaniepokoił.

— Nie, nie, nie — powiedział szybko. — Błagam was, tylko Amszilas... Uwierzcie, muszę tam dotrzeć jak najprędzej.

— Do Amszilas kawał drogi — westchnąłem. — I po co ja wam jestem potrzebny? Jedźcie sami, oddajcie się w ręce zakonników i po sprawie...

— Nie rozumiecie! — Chyba chciał mnie chwycić za ramiona, ale powstrzymał się. — Musicie mnie chronić przez te trzy dni podróży... On, on... chce mnie zabić!

Jego głos stał się niemal piskliwy, a dłonie zaczęły mu tak drżeć, że jedną musiał przytrzymać drugą. No cóż, kimkolwiek był ten człowiek, z całą pewnością wierzył we własne słowa. Oczywiście, nie oznaczało to jednak, że ja mam w nie pochopnie uwierzyć.

— Uspokójcie się — rzekłem łagodnie. — I powiedzcie mi: kto was chce zabić?

Rozejrzał się wokoło spłoszonym wzrokiem.

— On — wyszeptał. — Demon.

— Ach, tak... Demon... — powtórzyłem. — No to zmienia postać sprawy! Macie tu może w Gorlitz jakąś rodzinę?

— Rodzinę? — Skrzywił się. — A co rodzina... — urwał. — Nadal mi nie wierzycie. — Ciężko oparł się o pień drzewa. — Sądzicie, że jestem szalony, prawda? I macie rację, na miecz Pana! Jestem szalony, czy raczej byłem szalony, kiedy... — Zaczerpnął spazmatycznie tchu, wbijając w korę paznokcie. Zauważyłem, że jego palce są zażółcone plamami, być może pochodzącymi z pracy nad alchemicznymi odczynnikami. — Ale to nic nie zmienia — dopowiedział spokojniejszym już tonem. — No dobrze, dajcie mi chwilę, bym was mógł przekonać.

— Ależ proszę bardzo. — Zgodziłem się i spojrzałem z nadzieją w niebo, by zobaczyć, czy słońce zaczyna już chylić się ku zachodowi. Nie zaczynało.

— Nazywam się Casimirus Neuschalk i byłem doktorem teologii cesarskiego uniwersytetu — rzekł i to potwierdzało moje przypuszczenia, co do jego profesji oraz skąd mógł znać tytuły zakazanych dzieł. — Nie będę wnikał w to, jak i dlaczego poznałem tajemne sztuki. — Obróciłem na niego wzrok, ale patrzył gdzieś obok mnie. — Ważne tylko, że popełniłem błąd, inkwizytorze. Zawarłem pakt z siłami, których teraz nie potrafię okiełznać. Moje życie nie jest warte funta kłaków i nie sądzę, abym bez waszej pomocy przeżył nawet tę noc.

Przygryzł wargi tak mocno, że na jego ustach pojawiła się kropelka krwi.

— W zamian za opiekę podzielę się mą wiedzą z mnichami z Amszilas — powiedział, ciężko wzdychając. — Wyjawię wszystko. Od kogo otrzymałem księgi, kto był moim mistrzem, jakich zaklęć używałem... — Znowu westchnął. — Powiem wszystko, czego tylko zażądają. W zamian za życie.

— Zanim przejdziemy do tego, co wam grozi, pozwólcie, że zadam kilka pytań...

Skinął głową w milczeniu.

— Widzieliście dzieło al Ahmadiego w oryginale czy łacińskim lub greckim odpisie?

— We wszystkich trzech.

— Wyjawcie mi więc, z łaski swojej, kto w arabskim wydaniu nazywany jest Królem Demonów, co w wydaniach greckim oraz łacińskim skrzętnie pominięto?

— Jezus Chrystus. — Wzruszył ramionami. — Ale mylicie się, mówiąc, że pominięto. W wydaniu łacińskim zapisano tylko inicjały: I.C.

— A jakimi znakami zapisano imię naszego Pana w oryginale?

— Nie znakami — burknął. — Al Ahmadi przedstawił postać na krzyżu, zastępując imię rysunkiem.

— Nie powinniście tego wiedzieć — powiedziałem wolno.

— Nie powinienem — przyznał. — Gdybym nie widział na własne oczy.

— Jak dostaliście się do dębu druidów?

— Przez otchłań krwi, chaosu oraz bólu — odparł, krzywiąc się, jakby na wspomnienie niemiłego wydarzenia.

— Jakim próbom was poddano?

— Żadnym. Podróż do dębu już jest próbą samą w sobie.

— Jak wygląda dąb? Ilu ludzi trzeba, by objąć jego pień? Czy dużo jest większy od tego, przy którym stoimy?

— Dąb jest jedynie symbolem. To bezkształtna plama mroku, w której magiczne runy jarzą się światłem utkanym z najgłębszej czerni. — Oczy czarnoksiężnika, bo wiedziałem już, że naprawdę jest czarnoksiężnikiem, rozbłysły na tamto wspomnienie. — Z czerni, jakiej człowiek nie jest w stanie sobie wyobrazić.

Pokiwałem głową.

— W takim razie macie, czego chcieliście, doktorze Neuschalk. W imieniu Świętego Officjum aresztuję was i oskarżam o uprawianie praktyk zakazanych przez naszą świętą matkę, Kościół jedyny i prawdziwy.

Odetchnął z prawdziwą ulgą i uśmiechnął się radośnie. Przyznam szczerze, że pierwszy raz zetknąłem się z podobnymi oznakami wdzięczności u aresztowanego. Cóż, człowiek uczy się przez całe życie, a poza tym, czyż sam nie pomyślałem jeszcze nie tak dawno temu, że świat bywa czasami pełen zdumiewających niespodzianek?

###### \* \* \*

— Przygotujcie się dobrze — rzekł, otulając się wełnianym płaszczem, chociaż wieczór był ciepły. Głęboko na głowę nacisnął kapelusz z obłamanym rondem.

Pędziliśmy cały dzień i nasze konie stały teraz, ledwo zipiąc, pod drzewem klonu. Neuschalk stwierdził, że podróż nocą będzie niebezpieczna, a ja przyznałem mu rację. Jeśli rzeczywiście przywołał demona, żądnego teraz jego krwi, to nikt inny jak wasz uniżony sługa będzie musiał temu demonowi stawić czoła. Była jakaś ironia w tym, że ja — inkwizytor Jego Ekscelencji biskupa Hez-hezronu, sługa Boży i młot na czarownice (bo tak nas nazywano) — miałem bronić życia przeklętego bluźniercy, maga zajmującego się mroczną sztuką i skazującego swą duszę na wieczne potępienie.

Podrzuciłem drew do ognia i upiłem kilka łyków wina z bukłaka.

— Dacie radę? — spytał urywanym głosem. — Macie w sobie tyle siły?

— Z pomocą Pańską — mruknąłem. — Ale jeśli mnie zwiedliście, wierzcie, że potrafię wam urządzić niezgorsze piekło niż demon, o którym opowiadacie.

Milczał długą chwilę, a w końcu znowu zaczął szarpać szpakowatą brodę.

— Jak was właściwie zwą? Jeśli wolno wiedzieć...

Rzeczywiście, w trakcie wcześniejszej konwersacji jakoś nie pomyślałem o przedstawieniu się Neuschalkowi, zbyt pochłonięty bowiem byłem sprawdzaniem jego wiedzy, a potem w milczeniu gnaliśmy już skrótami, przez las, aby tylko znaleźć się jak najbliżej Amszilas.

— Jestem Mordimer Madderdin — rzekłem. — Licencjonowany inkwizytor Jego Ekscelencji biskupa Hez-hezronu.

— Och. — Obrócił na mnie spojrzenie. — Słyszałem o was...

— Doprawdy?

— I o tym, że jesteście przyjacielem przyjaciół...

— Czasami pomagam ludziom znajdującym się w potrzebie, jeśli tylko nie kłóci się to z mymi zawodowymi obowiązkami — wyjaśniłem niechętnym tonem, gdyż nie życzyłem sobie, by tacy ludzie jak Neuschalk nazywali mnie przyjacielem przyjaciół.

Spojrzałem w wieczorne, zachmurzone niebo i zdziwiłem się, że po tak słonecznym dniu tak szybko nadciągnęły chmury. Srebrny, przypominający złamanego na pół denara, półkrąg księżyca co chwila znikał za szarym kłębowiskiem.

— Siądźcie bliżej mnie — rozkazałem i poczułem niepokój.

Mag skwapliwie skorzystał z zaproszenia.

— Czujecie to? Czujecie? — zaszeptał gorączkowo i objął ramionami kolana.

Coś się zbliżało. Tego byłem pewien. Przymknąłem oczy i zacząłem się modlić, czując, jak z każdym wypowiadanym słowem nabieram sił, a moje serce i umysł wypełniają się spokojem. I nagle się pojawił. Nie widać było jeszcze jego fizycznej obecności, nie padł na nas żaden cień, nie usłyszeliśmy niespodziewanego hałasu, a źdźbeł trawy nie zmiażdżyły żadne niewidzialne stopy. A jednak obaj — i ja, i Neuschalk — wiedzieliśmy, że nie jesteśmy już sami na tej małej polance, ukrytej w głębi lasu.

— W imię Boga Wszechmogącego wzywam, byś się objawił, zły duchu — rzekłem głośno i uniosłem na wysokość oczu srebrny krzyż, który rozjarzył się blaskiem silniejszym od księżycowego.

I w tym właśnie blasku, kilkanaście kroków od nas, ciemność się pogłębiła, a z niej wyłoniła się czerwona postać, posturą przypominająca stojącego na dwóch łapach niedźwiedzia. Tyle, że na pokrytej naroślami oraz guzami głowie pyszniły się zakręcone rogi, a ogromna paszcza pełna była ostrych jak sztylety kłów. Demon skoczył w naszą stronę, szybszy niż myśl, ale pięć, może sześć kroków od nas zatrzymał się, jakby powstrzymany niewidzialną przeszkodą. Wtedy dopiero jego płonące szkarłatem oczy, wlepione do tej pory z nienawiścią w Neuschalka, spojrzały na mnie. I na rozjarzony blaskiem krucyfiks w mojej dłoni. Przez chwilę wpatrywaliśmy się w siebie nawzajem, aż wreszcie ogień w źrenicach demona przygasł. Wtedy i ja zamknąłem oczy i zobaczyłem jego prawdziwą postać — obłok bezkształtnej czerni kołyszący się tuż nad ziemią. Nie wiedziałem, z którym z demonów mam do czynienia, ale liczyłem, że rychło się dowiem.

— A więc inkwizytor — rozległ się tubalny, nieludzki głos, dziwnie akcentujący słowa. Myślę, że gdyby ktoś nauczył mówić wielkiego, groźnego psa, tak właśnie brzmiałaby jego mowa.

Otworzyłem oczy i znów widziałem stojącego przed nami ogniście czerwonego demona z czarnymi, poskręcanymi rogami. Na skórze czułem lekkie pieczenie, tak jakbym usiadł zbyt blisko ogniska. Neuschalk trząsł się niczym w febrze i mamrotał coś niezrozumiale pod nosem.

— Dlaczego bronisz czarownika, inkwizytorze? On jest mój na mocy paktu — zahuczał demon.

— Nic, co żyje na tej ziemi, nie jest twoje, lecz wszystko, nawet najbardziej żałosna istota, podlega woli Pana — odparłem, nie spuszczając wzroku, pomimo że oczy potwora znów płonęły oszałamiającym i burzącym spokój myśli blaskiem.

— Czego chcesz? — spytał po chwili, a ja dopiero teraz ze zdziwieniem dostrzegłem, że jego wielka szczęka nie rusza się, kiedy stwór wypowiada słowa.

— Abyś wrócił do otchłani, z której nie powinieneś nigdy wychodzić — powiedziałem.

— Mieliśmy układ, czarowniku. — Płonące spojrzenie ześlizgnęło się na Neuschalka.

— Oszukałeś mnie! — wychrypiał mag, ze wzrokiem wbitym we własne stopy. — Zwiodłeś!

— Nie. Ja tylko nie powiedziałem całej prawdy... — oznajmił spokojnie demon i znów popatrzył w moją stronę. — Odejdź, inkwizytorze. To nie jest twoja walka.

— Coś takiego — mruknąłem szyderczo. — Od kiedy to demony ustalają zasięg kompetencji inkwizytorów?

Milczał, jakby nie rozumiał moich słów, albo jakby ich zrozumienie wymagało czasu. A może tylko się zastanawiał, co odpowiedzieć na taką bezczelność, lub zbierał siły, by zaatakować święty krąg, który zakreśliłem myślą oraz modlitwą.

— Dlaczego nie chcesz oddać mi człowieka, który jest już potępiony? — zapytał. — A może pragniesz... zapłaty? Zapłaty za jego życie?

— Pismo w swej mądrości mówi: *Wart jest robotnik zapłaty jego —* odparłem. — Cóż takiego mógłbyś mi ofiarować, bym poniechał obowiązków?

Neuschalk zerknął na mnie niespokojnie i skulił się jeszcze bardziej. Demon tymczasem myślał przez chwilę, a potem rozdziawił paszczę w czymś, co zapewne miało być uśmiechem. I faktycznie tym uśmiechem było, ale przerażającym, groteskowym i zupełnie nie pasującym do nie pochodzącego z naszego świata oblicza. Widziałem, że z guzów na jego głowie sączy się jakaś substancja krwistego koloru, dziwnie fosforyzująca w świetle księżyca.

— Może... bogactwo? — Machnął w powietrzu łapą uzbrojoną w szpony długości mojego wskazującego palca.

Dookoła nas zaczęły się sypać złote monety z wizerunkiem cesarza. Spadały na ziemię, brzęcząc i zderzając się ze sobą w powietrzu, aż w końcu otaczał nas jaśniejący złotem kobierzec. Ale żadna z monet nie znalazła się w kręgu. Neuschalk zaczerpnął powietrza z głośnym świstem i wymamrotał coś niezrozumiale. Nie był, na szczęście, na tyle głupi, aby schylić się po pieniądze, znajdujące się niemal w zasięgu jego rąk.

— Tylko na to cię stać? — zaśmiałem się. — Neuschalk, jeśli już przyzywałeś demona, to czy nie mogłeś wezwać takiego, który cechuje się nieco większą finezją w postępowaniu?

Demon znowu milczał zastanawiająco długą chwilę i nie spuszczał ze mnie spojrzenia pionowych źrenic. W końcu się skrzywił.

— Żart — rzekł z czymś na kształt satysfakcji w głosie. — Aha, żart. Wy, ludzie, lubicie żartować, co? Za to złoto kupisz sobie wszystko, o czym marzysz, inkwizytorze. Zastanów się.

— A jak oddam ci czarownika, pewnie monety zmienią się w kupkę zeschłych liści? Wiem, że wy demony też lubicie sobie pożartować...

— Złoto jest prawdziwe — odpowiedział z urazą. — Zawrę z tobą pakt, inkwizytorze. Bogactwo i bezpieczeństwo w zamian za czarownika.

— Nie. — Pokręciłem głową. — Mylisz się, sądząc, że kupię za nie moje marzenia. Ale próbuj dalej.

Zawarczał chrapliwie i chciał postąpić krok w naszą stronę, ale po raz drugi został powstrzymany przez niewidzialną barierę. Krzyż w moich dłoniach znowu zapłonął silniejszym blaskiem. Zauważyłem, że demon wyraźnie stara się omijać go wzrokiem. Nagle zza jego pleców wyłoniła się wysoka, naga kobieta o anielskiej twarzy i złotych włosach spływających do pasa, które otulały ją niczym na wpół przejrzysta mgiełka. Miała migdałowo wykrojone oczy i usta koloru rozgniecionych wiśni. W zdumiewający sposób przypominała aktorkę Ilonę Loebe, którą miałem okazję nie tak dawno temu wyratować z poważnych opresji. Musiałem przyznać, że albo demon miał dobry gust, albo celnie utrafił w moje gusta. Jeśli to drugie — to oznaczało, iż niebezpiecznie dokładnie potrafił czytać w moich myślach.

— Mordimerze — zaszeptała zjawa, a szept niósł w sobie zarówno pokusę, jak i nadzieję. — Drogi, kochany Mordimerze, tak długo na ciebie czekałam. — Wyciągnęła w moją stronę szczupłe ręce, a wtedy jej włosy odsłoniły zarys pięknych piersi o różowych, okrągłych sutkach. — Czy wreszcie będziemy już razem? Czy mogę ci ofiarować mą miłość?

— Zwątpienie, zdrada, gorycz oraz ból pamięci bezpowrotnie minionych, szczęśliwych chwil zbyt silnie wpisane są w słowo „miłość”, by człek roztropny zechciał jej zawierzyć — westchnąłem i zwróciłem twarz w stronę demona. — Złoto, kobieta... — powiedziałem znudzonym tonem. — Wy, demony, powinnyście mieć jakąś własną szkołę kuszenia. Jakież to wszystko nieznośnie banalne...

Dziewczyna stała po kostki w złotych monetach i uśmiechała się nieśmiałym, na poły niewinnym, na poły uwodzicielskim uśmiechem. Demon zaryczał wściekle, a z jego paszczy wytrysnął strumień ognia, który jednak zmienił się w różową mgiełkę, zanim zdążył do mnie dolecieć. Pieniądze i kobieta zniknęły. Pozostała tylko wypalona trawa i odurzający smród spalenizny.

— To może dobijemy innego targu, inkwizytorze? — zapytał. — Co powiesz, jak sprowadzę tu, na tę polanę, ludzi z pobliskiej wioski i będę ich zabijał jednego po drugim, na twoich oczach?

— Przerwiesz tylko ich doczesne cierpienia — odparłem spokojnie. — Będą szczęśliwi, mogąc jeszcze dziś weselić się przy niebieskim stole Pana, pozbawieni zgryzot dnia codziennego: zarazy, podatków, wojen, wycieńczającej pracy... Pomodlę się za nich.

— Będę ich torturował! Będą umierać w boleści niepojętej ludzkim umysłem! — wrzasnął.

— Tym większa będzie radość ich zbawienia, gdyż pełnią szczęścia może delektować się jedynie człowiek doświadczony przez los. Tylko on, bowiem, zna prawdziwą różnicę pomiędzy cierpieniem a rozkoszą. A poza tym... Może nauczę się czegoś nowego? — Uśmiechnąłem się samymi ustami. — Kiedy zaczniesz?

Jego źrenice zwęziły się tak, że przypominały tylko czarne, pionowe pęknięcia prowadzące w otchłań. Wydał z siebie nieartykułowane warczenie.

— Denerwujemy się? — zapytałem uprzejmym tonem.

Neuschalk parsknął czymś w rodzaju urywanego śmieszku i płonące spojrzenie demona skierowało się w jego stronę.

— Za każdy żart inkwizytora dodatkowe stulecie męki dla ciebie, czarowniku. — Teraz nawet nie warczał, a wręcz bulgotał z ledwo powstrzymywanej wściekłości. Neuschalk znowu się skulił i uciekł wzrokiem.

Oczywiście, prowadziłem niebezpieczną grę. Ale demony, mili moi, nie przybywają zwykle po to, by walczyć z ludźmi. Zwłaszcza kiedy ludźmi tymi są biegli w swym fachu inkwizytorzy. Demony pragną splugawić nasze dusze i serca, omamić zmysły, poddać nas swej woli. Zabicie śmiertelnika nie jest dla nich wyzwaniem. Wyzwaniem jest przeciągnięcie go na stronę mroku, nakłonienie, by wyrzekł się dobrodziejstw, płynących z łaski wiary, oraz nadziei na wieczne zbawienie. Dlatego nie sądziłem, aby istota, która przybyła tu z podziemnego świata (jak go potocznie nazywano) dążyła do walki ze mną. Póki będzie wierzyć, że ma choć cień szansy — spróbuje ją wykorzystać. A demony słusznie wierzyły, iż nie ma ludzi nieprzekupnych. Jednak nie chciały już uwierzyć, że od każdej zasady trafiają się wyjątki, za który to wyjątek wasz uniżony sługa, w grzesznej pysze, ośmielał się uważać samego siebie.

— A cóż bardziej mogłoby się przydać inkwizytorowi niż czytanie w umysłach innych ludzi? — zapytał demon głosem, który zapewne miał być przymilny.

— Nieco lepiej — odparłem. — Ale nadal nie trafiasz. Zbyt niebezpieczny byłby to dar, a inkwizytor mógłby przeczytać księgę, której w innym wypadku nigdy nie zamierzałby nawet otworzyć. Sądzisz, że takim wielkim bogactwem byłaby wiedza o tym, jak bardzo ludzie mnie nienawidzą i jak bardzo się mnie boją?

— Więc sam podaj cenę. — Z jego gardła wydobywał się głuchy pomruk, tak, że ostatnie słowo zabrzmiało jak „cenęęęęęęęę” i zakończone zostało charkotem.

— Czy nie próbujesz ułatwiać sobie zadania? — zapytałem grzecznie. — W końcu to ty chcesz kupić coś, czego ja nie zamierzam sprzedać.

Miałem wielką ochotę, by łyknąć wina, ale bałem się wypuścić ściskanego w obu dłoniach krzyża i nie chciałem również rozpraszać myśli. Z całą pewnością dla demona rozerwanie na strzępy inkwizytora byłoby mniejszym powodem do chluby niż jego przekupienie, ale jednak mógł w pewnym momencie wybrać triumf podlejszego gatunku.

— Być może najlepiej będzie, jeśli przed przejściem do poważnych negocjacji, poznamy się wzajemnie — rzekłem. — Nazywam się Mordimer Madderdin i, jak słusznie zauważyłeś, jestem inkwizytorem. Byłbym szczęśliwy, mogąc poznać twe imię i niewątpliwie zaszczytne miejsce, jakie zajmujesz w piekielnym orszaku.

Znowu nastała długa chwila ciszy, w której słychać było tylko rzężący oddech demona.

— Jestem Belizariusz — powiedział z dumą, a raczej z intonacją, w której domyśliłem się dumy. — Chorąży Niezwyciężonych Zastępów, Pan Rzeczy Ukrytych, Siewca Nieujarzmionej Grozy, Ten, Który Kroczy Pomiędzy Zwłokami, Morderca Dusz...

— Tak, tak, ale ja pytałem serio — przerwałem mu wyliczankę. — Niezbyt to dobre dla prowadzenia wspólnych interesów, zaczynać je od kłamstwa.

Oczywiście, jak wiele demonów, bezczelnie łgał w żywe oczy i przypisywał sobie nienależne mu tytuły. Sądzę, że wynikało to zarówno z pychy, wrodzonego demonom zamiłowania do oszustwa, jak i prostego faktu: ludzie, obcujący z istotami spoza naszego świata, zwykle byli pod dużym wrażeniem podobnego gradu tytułów. W końcu demonolog przyzywający tak potężnego potwora, sam uważał siebie za niezwykle biegłego w mrocznej sztuce... I za nic miał słowa Pisma, które w swej mądrości, piórem świętego Pawła, mówiło: *Bo kto uważa, że jest czymś, gdy jest niczym, ten zwodzi samego siebie.*

— Oddaj mi czarownika — warknął po kolejnej chwili milczenia.

— Na razie byliśmy przy wzajemnej prezentacji — przypomniałem. — A więc?

Rzeczywiście byłem ciekaw, z jakiego rodzaju demonem mam do czynienia, choć wiedziałem też, że jak długo tylko się da, będzie ukrywał swe prawdziwe miano. Mogłem próbować sam zagłębić się w świat poza światem i odgadnąć jego tajemnicę, ale kosztowałoby mnie to zbyt wiele wysiłku oraz bólu. A wtedy prawdopodobnie nie byłbym w stanie utrzymać oddzielającej nas bariery i wiedza mogłaby mnie kosztować życie. Gdyby tylko towarzyszył mi drugi inkwizytor lub egzorcysta... Ba, cóż zrobić, skoro miałem zamiłowanie do życia w pokornej samotności...

— A ty nie wiesz, kogo przywołałeś? — zapytałem Neuschalka.

Czarownik potrząsnął głową.

— Nie jest tym, kogo chciałem wezwać — powiedział. — I nie byłem w stanie go wygnać.

— Nikt nie jest w stanie przegnać tego, dla którego wieczność jest jedynie mgnieniem oka — obwieścił demon triumfalnie.

Przy całym komizmie sytuacji nie mogłem zapominać o jednym. Jakkolwiek zabawny w swej pysze wydawałby się wezwany przez Neuschalka demon, to pozostawał on przeciwnikiem wielekroć groźniejszym od jakiegokolwiek człowieka czy dzikiego zwierzęcia. Gdyby nie chronił mnie niewidzialny krąg utkany modlitwą (a utkać go może jedynie człowiek prawdziwie wierzący i dysponujący w dodatku pewnymi zdolnościami, które starała się w swych uczniach ukształtować nasza przesławna Akademia), to miałbym z nim niewiele większe szanse niż pluskwa w zetknięciu z drewnianym chodakiem. Na szczęście trzeźwo oceniałem sytuację i nie miałem zamiaru dać się zwieść pozorom.

— Cóż więc przyjdzie potężnemu demonowi po tak nędznej kreaturze, jak ten czarownik? — spytałem uprzejmie.

— Kolejna zdobycz — odparł z nutą lekceważenia w głosie. — Niemal nic niewarta...

Przypuszczałem, że o świcie będzie musiał zniknąć, gdyż demony nienawidzą słonecznego blasku, ale niespecjalnie uśmiechała mi się perspektywa całonocnej konwersacji. Zwłaszcza że wiedziałem, iż cały następny dzień poświęcimy na podróż, a kolejnej nocy demon zapewne znowu się pojawi. I wtedy mogłem nie mieć już tyle sił, by utrzymać go w bezpiecznej odległości od nas.

— Dostojny Belizariuszu — powiedziałem z powagą. — Jestem gotów sprzedać czarownika, ale musisz zaproponować godziwą cenę. Znajdź coś, co będzie warte podpisania paktu, a ja bez przykrości oddam tego człowieka w twoje ręce. Zastanów się do jutrzejszej północy. Czy to uczciwa propozycja?

— Nie! — zaryczał tak silnie, aż echo poniosło jego głos daleko w las.

— Czemuż to? — zapytałem, wiedząc, że opiera się jedynie z wrodzonej przewrotności.

— Chcę go teraz! — Ryk był tak donośny, iż pociemniało mi w oczach.

— Cóż, w takim razie, otoczony mocą świętej wiary i wspomagany imieniem Bożym, będę musiał wypróbować pewne zaklęcia przeciw demonom, których nauczono mnie w Akademii Inkwizytorium — stwierdziłem. — Zapewne nie wyrządzą one wielkiej szkody komuś, kto ma zaszczyt być Chorążym Zastępów, niemniej...

— Zaczekaj — przerwał mi i nie byłem pewien, czy to tylko pobożne życzenia, ale chyba w jego warkotliwym głosie dosłyszałem nutę niepokoju.

Bowiem żaden demon, nawet najpotężniejszy, nie przepada, łagodnie mówiąc, za egzorcyzmami oraz rytuałami wypędzenia, przeprowadzanymi przez ludzi znających się na swym fachu. I niezależnie, czy demon wytrzymuje obrzędy, czy też nie, to z całą pewnością zostaje dotknięty przerażającym, obezwładniającym bólem.

Niektórzy uczeni doktorzy twierdzą, że modlitwa oraz powoływanie się na imię Pańskie przypomina demonom utraconą niewinność, której w równej mierze nienawidzą, jak i jej pożądają. Jak było naprawdę, nie mogłem powiedzieć, gdyż cały czas trwały na ten temat doktrynalne spory. A ja w końcu byłem jedynie prostym inkwizytorem, pobłogosławionym przez Pana pewnymi skromnymi talentami, ale nie roszczącym sobie prawa do naukowej biegłości. Jedno było pewne. Po walce, która w taki sposób raniła demona, trudno prowadziło się rozsądne negocjacje. Tak więc egzorcysta, który nie był święcie pewien, że przegna demona do świata poza światem, powinien wpierw zastosować inne metody perswazji. A konfrontację traktować jako ostateczność.

— Czekam pokornie — odparłem.

— Zgoda — rzekł w końcu, a jego płomieniste oczy nieco przygasły. — Niech będzie po twojemu, inkwizytorze. Cóż może znaczyć jeden dzień dla kogoś, kogo bytu nie można określić upływem czasu?

— Najzupełniej się z tym zgadzam. — Kiwnąłem głową, jednak cały czas byłem przygotowany na atak, który mógł przecież nastąpić w każdej chwili.

Jednak Belizariusz, czy jak mu tam było naprawdę, postanowił tym razem dotrzymać obietnicy. Powoli wycofał się za ścianę drzew i wydawało mi się, że nie stawia pazurzastych stóp na trawie, lecz płynie ponad nią. Niemniej pozostawiał za sobą spalone na popiół źdźbła. W końcu zniknął.

— Odszedł — powiedział po dłuższej chwili Neuschalk z westchnieniem ulgi.

— Ano odszedł — potwierdziłem.

Poczułem, jak dopada mnie ogromne zmęczenie. Zapewne, gdyby demon powrócił, miałbym problemy z ponowną koncentracją. Nie wróżyło to dobrze następnej nocy.

— Muszę się przespać — rzekłem. — Ale wy, profesorze, czuwajcie, jeśli wam życie miłe, i obudźcie mnie natychmiast, kiedy zajdzie taka potrzeba.

Pokiwał gorliwie głową.

— A jutro w drodze porozmawiamy sobie o tym, kogo wyście właściwie, na miecz Pana, wezwali i co żeście chcieli osiągnąć.

Tym razem też pokiwał głową, ale już z mniejszym entuzjazmem.

— Śpijcie spokojnie — rzekł. — Roztoczę nad wami ochronny parasol mej mocy.

— Bardzo mnie to pocieszyło — mruknąłem. Zawinąłem się w płaszcz i przekręciłem na bok. Zasnąłem niemal natychmiast.

###### \* \* \*

Neuschalk stał jeszcze dwa kroki ode mnie, a już okręciłem się z nożem w jednej, a krucyfiksem w drugiej dłoni. Bóg na szczęście obdarzył mnie łaską czujnego snu, co nie raz i nie dwa przydawało się w niebezpiecznych sytuacjach. Tym razem jednak miałem naprzeciw siebie tylko demonologa, zaskoczonego moją gwałtowną reakcją.

— Ehm... wybaczcie — mruknął, zastygając w miejscu. — Świta już...

Spojrzałem na pogrążony w porannej szarówce las i podniosłem wzrok na niebo. Słońca nie było jeszcze widać, ale ciemne pasma chmur wyraźnie nabierały brudnoróżowego odcienia.

Wczorajsza konfrontacja z demonem, niestety, nadszarpnęła moimi siłami i czułem się podobnie jak po przepitej nocy. Mdłości, ból głowy, słabość mięśni... Nie miałem jednak czasu ani na odpoczynek, ani by się nad sobą rozczulać. Sięgnąłem do sakw po jedzenie i wgryzłem się w czerstwą bułkę oraz ser. Zobaczyłem, iż Neuschalk przygląda się, jak jem. Miał przekrwione, zapuchnięte oczy i nieszczęśliwy wyraz twarzy. Nawet jego pieczołowicie przystrzyżona broda była teraz zmierzwiona, a między włosy zaplątały się źdźbła trawy.

— Częstujcie się — powiedziałem z pełnymi ustami, a czarownik skwapliwie skorzystał z zaproszenia.

Potem szybko osiodłaliśmy konie i już bez zwłoki popędziliśmy leśną przecinką, mając za plecami wschodzące słońce.

— Teraz mówcie — rozkazałem, kiedy wyjechaliśmy na pole, które pozwalało nam galopować obok siebie, strzemię w strzemię.

Konwersacja dotycząca poważnych tematów nie jest zbyt wygodna, kiedy siedzi się na pędzącym rumaku, ale przy obustronnej chęci da się pokonać tę drobną przeszkodę. Cóż z tego, kiedy chęci tej, przynajmniej po stronie Neuschalka, nie było.

— To wymaga dłuższych objaśnień — krzyknął, a wiatr wepchnął mu słowa z powrotem do ust. Zakrztusił się. — Mucha, psiakrew — warknął i chwilę pokasływał, a potem odplunął na bok.

— Kiedy zatrzymamy się napoić konie, akuratnie wam wszystko opowiem — obiecał.

Może miał i rację. Nie mogliśmy przecież gnać cały boży dzień, bo nasze rumaki nie przetrzymałyby takiego traktowania. Owszem, były to rosłe zwierzęta, przyzwyczajone do forsownych podróży, ale jednak należało zachować pewien umiar w korzystaniu z ich sił i zatrzymywać się co pewien czas na krótki chociaż popas. I tak sądziłem, że najpóźniej jutro trzeba będzie znaleźć kupca, który odsprzeda nam nowe konie, gdyż im mniej nocy będę musiał spędzić na powstrzymywaniu demona, tym większą będę miał szansę, by dowieźć Neuschalka całego i zdrowego do Amszilas.

Zacząłem się zastanawiać, czy nie lepszym planem byłoby takie ułożenie trasy podróży, aby każdą noc spędzać w okolicy świętego miejsca, w kościele lub chociaż niedaleko jakiejś przydrożnej kapliczki. Pech jednak chciał, że nie miałem przy sobie map, a okolicy nie znałem zbyt dobrze. Poza tym demon potraktowałby podobny wybieg jako jawną oznakę wrogości i niechęć do dalszego prowadzenia negocjacji. Oczywiście, mogłem również Neuschalka ulokować w którymś z pobliskich kościołów, a sam pognać po wsparcie do Araszilas. Jednak człowiekowi pozbawionemu głębokiej wiary nie pomoże nawet obecność w świętym miejscu czy posiadanie błogosławionych relikwii. Czarownicy, bluźniercy i heretycy nie mogli przecież liczyć, iż pomogą im symbole wiary, z której drwili lub której nienawidzili. Powiedzmy, że mógłbym przekonać jakichś świątobliwych mnichów lub księży, by zaopiekowali się Neuschalkiem. Ale po pierwsze, nie wiedziałem, gdzie szukać przedstawicieli tych profesji, a po drugie, nie chciałem nikogo narażać na śmierć z łap demona. Bynajmniej nie z powodu źle pojętego współczucia lub miłosierdzia! Po prostu, rzecz podobnego rodzaju fatalnie wyglądałaby w raporcie, który będę musiał złożyć zarówno Jego Ekscelencji biskupowi Hez-hezronu, jak i władzom klasztoru Amszilas.

Z tych wszystkich przemyśleń wynikał jeden, niewesoły morał: mogłem liczyć tylko i wyłącznie na własne siły. Sprytowi demona musiałem przeciwstawić własny spryt, a jego zajadłości — głęboką wiarę. Nie jestem jednak czarodziejem z pogańskich legend, który jednym lekceważącym ruchem małego palca przywołuje pioruny bądź nawałnice. Jestem tylko skromnym inkwizytorem, posiadającym niejakie talenta, muszącym jednak płacić wysoką cenę za każdą próbę mierzenia swych sił z potęgami pochodzącymi nie z tego świata. Nie wyobrażałem sobie, bym po tym, co usłyszałem, mógł zostawić Neuschalka na pastwę demona. Zrozumcie mnie dobrze, mili moi. Nie zależało mi nawet w najmniejszym stopniu na parszywym życiu czarnoksiężnika, gdyż sam je poświęcił, by oddalić się od cudu zbawienia. Zależało mi przede wszystkim na wiedzy, którą można wytrząsnąć z jego umysłu. A z tym problemem z całą pewnością poradzą sobie zakonnicy z Amszilas, których cierpliwość w wysłuchiwaniu grzeszników dorównywała jedynie gorącej wierze.

Na popas zatrzymaliśmy się nad zarośniętym trzcinami brzegiem małego jeziora. Do wody prowadziło błotniste, śliskie zejście i musieliśmy ostrożnie sprowadzić konie, gdyż nie chciały się zanadto przekonać do spaceru po wciągającej kopyta mazi.

— No i? — zagadnąłem, kiedy już rozkulbaczyliśmy konie.

— Błąd. — Wzruszył ramionami Neuschalk. — Zwykły ludzki błąd, który może się przydarzyć nawet najpotężniejszemu z uczonych mężów. — Nie było żadnej wątpliwości, iż wypowiadając ostatnie słowa, miał na myśli siebie.

— Czyli?

Ochlapał twarz wodą i napił się ze stulonych dłoni. Najwyraźniej wszystko, by zyskać na czasie.

— Zamierzałem wezwać innego demona — rzekł, wdrapując się na brzeg. Usiadł na płaskim, omszałym kamieniu. — Wiecie... takiego, który... — zobaczyłem rumieniec na jego policzkach — potrafi zaspokoić męskie żądze.

— Na miecz Pana! — Roześmiałem się. — A toście sobie sprowadzili ładnego sukkuba! Gustujecie w takich czerwonych potworach z rogami, pazurami i kłami?

— Drwijcie sobie, drwijcie — zamruczał, zupełnie nie rozbawiony moim błyskotliwym dowcipem. — Mam wrażenie, iż ten tam, Belizariusz, pożarł mojego przyzywanego demona albo co najmniej go przegonił i sam postanowił zamanifestować się w jego miejsce. Uznałem więc, że wykorzystam nadarzającą się sposobność...

— No tak — przerwałem mu. — To przecież oczywiste. Bo gdy w domu schadzek zamiast ladacznicy ukazuje się w drzwiach opryszek ze sztyletem, każdy myśli tylko, jak wykorzystać tę przemiłą niespodziankę.

— Wasze poczucie humoru może stać się na dłuższą metę uciążliwe — zauważył Neuschalk zgryźliwym tonem. — Nie zapominajcie, że jestem badaczem, a moja władza nad jestestwami pochodzącymi z otchłani nie ma sobie równych!

Nie skomentowałem tego stwierdzenia, chociaż przypomniało mi się, jak zeszłej nocy czarnoksiężnik siedział skulony i z przerażeniem obserwował moją słowną potyczkę z demonem. Jeśli faktycznie był najpotężniejszym spośród demonologów, z całą pewnością byłem naocznym świadkiem upadku tej odrażającej profesji.

— Czego więc zażądaliście od Belizariusza? — spytałem.

— Hmmm... — Pogłaskał się po brodzie. — W skrócie? Zaklęcia dającego mi władzę nad każdą żyjącą istotą.

— Co takiego? — parsknąłem. — Nie sądzicie, że gdyby naprawdę potrafił coś takiego uczynić, to zarezerwowałby podobną moc dla siebie samego?

— Nie znacie się na hermetycznych kwestiach — obwieścił Neuschalk wyniosłym tonem.

— Zapewne nie — przyznałem. — I co wydarzyło się później?

— Przekazał mi żądane zaklęcie — rzekł po długiej chwili demonolog. — Lecz stopień jego komplikacji, trudność w zdobyciu koniecznych ingrediencji oraz szczególne preparacje, których wymaga, czynią je w praktyce bezużytecznym.

— Czyli dostaliście plany domu bez robotników, cegieł, drewna i pieniędzy. — Roześmiałem się. — No i bez gwarancji, czym tak naprawdę są — dodałem. — Bardzo pomysłowe.

— Dla mnie jest to zaklęcie nieosiągalne — powiedział. — Zważywszy na ograniczone środki, jakimi dysponuję. Które bynajmniej nie wynikają z braku wiedzy — zastrzegł szybko, machając dłonią, jakby odpędzał muchę — lecz z mych skromnych możliwości materialnych. Ale czy nie sądzicie, że zakonnicy z Amszilas być może znajdą sposób na realizację tego jakże niezwykłego zaklęcia? — Spojrzał na mnie uważnie i z chytrym błyskiem w oku.

— O tym porozmawiacie już z nimi samymi — odparłem, gdyż jego rojenia przypominały bajędy o „kijach samobijach” i „stoliczku nakryj się”.

Nagle Neuschalk poruszył się gwałtownie i omal nie spadł z omszałego głazu. Zauważyłem na jego twarzy grymas strachu.

— Jedźmy stąd — niemal krzyknął. — Szybko!

Chwyciłem konie przy pyskach i wyprowadziłem z wody.

— Zaraz ruszamy — powiedziałem spokojnie, gładząc pieszczotliwie pysk mojego wierzchowca. — Ale może wyjawcie mi wcześniej, co was ugryzło?

Zacisnął dłonie tak mocno, aż chrupnęły mu chrząstki. Zauważyłem, że ma niemal białą z przestrachu twarz, a na czoło wystąpiły mu kropelki potu.

— Błagam was, jedźmy stąd! — Zdumiewające, ale w jego głosie naprawdę usłyszałem błaganie.

Usiadłem na głazie, z którego Neuschalk przed chwilą wstał, i zacząłem odpinać nogawice.

— Odpocznijmy chwilę — zaproponowałem — bo konie nie wytrzymają.

— Nie rozumiecie, nie rozumiecie — wykrzyczał. — Ale dobrze, sam pojadę!

Rzucił się w stronę swojego wierzchowca i chwycił wodze. Wstałem i zatrzymałem jego dłoń.

— Neuschalk — rzekłem spokojnie. — Jeśli nie będziesz ze mną szczery, to umrzesz. Dobrze się więc zastanów...

— Ktoś mnie ściga — powiedział zduszonym głosem i wbił wzrok w czubki własnych butów. — I zbliża się. Czuję to...

Z całą pewnością nie byliśmy w dobrym miejscu na odparcie ataku, gdyż, wykorzystując zasłonę gęstych krzewów, można było podprowadzić nad jezioro zbrojnych, którzy ustrzeliliby nas niczym kaczki. Jednak miałem nadzieję, że nawet jeśli czarnoksiężnik mówi prawdę, to jego prześladowcy nie zdołali jeszcze podejść wystarczająco blisko. Postanowiłem więc, że lepiej się stanie, jeżeli całą sprawę wyjaśnimy w drodze. Nie należałem bowiem do ludzi, którzy, słysząc nawoływanie „pali się!”, poświęcaliby czas na dopytywanie, co się pali, gdzie się pali i czy aby na pewno się pali, oraz rozpoczynali dyskusję, jakie trzeba przedsięwziąć środki bezpieczeństwa. Należało brać nogi za pas, gdyż ucieczka, nawet jeśli nieuzasadniona, w niczym nie mogła nam przecież zaszkodzić. A ponieważ do twierdzenia mówiącego, iż „honor droższy niż życie” miałem szereg wątpliwości, więc rejterada przed nieznanym niebezpieczeństwem poszła mi tym łatwiej. Oczywiście, mogło się okazać, że szanowny doktor jest jeszcze bardziej szalony niż sądziłem (co przytrafiało się nader często osobom pragnącym podporządkować swej woli mroczne moce), ale lepiej było dmuchać na zimne.

Wyprowadziliśmy wierzchowce i ruszyliśmy galopem, a nie uszło mej uwagi, że Neuschalk cały czas obracał się przez ramię, jakby śledząc, czy nikt nie podąża naszym tropem. W końcu pęd powietrza zerwał mu kapelusz z głowy i usłyszałem przekleństwo zagłuszone tętentem końskich kopyt. Być może byłem przeczulony, obserwując jego zachowanie, ale i mnie wydawało się, jakby śledziły nas czyjeś spojrzenia. Niemalże czułem na plecach wrogi wzrok, a w dodatku zdawało mi się, że wzrok ten nie może należeć do ludzkiej istoty, gdyż odczuwałem go jako piekący ból, rosnący gdzieś z tyłu czaszki i promieniujący przez kręgosłup aż do lędźwi. Miałem tylko nadzieję, iż wrażenie to wynikało nie z realnych podstaw, lecz spowodowane było osłabieniem psychiczną walką, którą zeszłej nocy toczyłem z demonem. Zerknąłem kątem oka na Casimirusa Neuschalka i wyraźnie zobaczyłem, jak bardzo strach zmienił rysy jego twarzy. Miał oczy wybałuszone z przerażenia, a usta ściągnięte w wąską, krwawiącą krechę (widać wcześniej musiał przygryźć sobie wargi). Pobielałymi dłońmi kurczowo ściskał końskie wodze, a butami walił w boki nieszczęsnego wierzchowca jak w bęben. Cokolwiek nas ścigało, musiało budzić w czarnoksiężniku grozę większą nawet niż Belizariusz. Ach, westchnąłem w myślach, dlaczego musisz zawsze wplątać się w kłopoty, biedny Mordimerze?

Leśną ścieżynką wypadliśmy na podmokłą, żółtą od kaczeńców łąkę. Po mojej prawej ręce rozciągało się płytkie, zarośnięte rzęsą rozlewisko, a słońce odbijało się srebrem w niewielkich kałużach czystej toni. I nagle zobaczyłem, że z rozlewiska unosi się jakiś dziwny kształt. Początkowo sądziłem, że to jedynie zwid wywołany takim, a nie innym ułożeniem się gorącego powietrza. Później pomyślałem, że nad jeziorkiem wzniosła się niewielka trąba powietrzna, ale przecież dzień był bezwietrzny. I dopiero trzeci rzut okiem upewnił mnie, że oto z wody unosiła się istota utkana z przezroczystego błękitu. Była mniej więcej wzrostu dwóch ludzi, lecz niezwykle chuda, a jej długie ręce czy macki zdawały się krążyć wokół tułowia w jakimś zadziwiającym tańcu. Nie spostrzegłem, by miała nogi, a jednak sunęła bez trudu po zielono-żółtym kobiercu traw oraz kaczeńców. Wydawała się falować i przelewać, ale pomimo to ze sporą prędkością zmierzała w naszą stronę. Ściągnąłem wodze koniowi, zmuszając go do raptownego skrętu w lewo. Czymkolwiek był stwór mknący po łące, wydawało się, że jego celem jesteśmy właśnie my. Neuschalk również dostrzegł wodną maszkarę, gdyż z jego gardła wyrwał się piskliwy krzyk, a czarnoksiężnik w tym samym momencie skręcił tak gwałtownie, że omal nie zsunął się z siodła. Zabalansował przy końskiej szyi, kurczowo wczepił się palcami w grzywę, ale w końcu udało mu się odzyskać równowagę.

— Szybciej, szybciej! — wrzasnął.

Nie trzeba mi było tego powtarzać dwa razy, gdyż i tak wyciskałem już z rumaka wszystkie siły. Ścigająca nas istota jednak również mknęła coraz szybciej i miałem wrażenie, że nawet lekko się zbliża. Obawiałem się, że w końcu będę musiał stawić czoła niebezpieczeństwu, chociaż byłem pewien, iż żadne ostrze nie wyrządzi jej krzywdy. Wszakże była stworzona z wody, a nie widziałem jeszcze, by rzeka lub jezioro cierpiały pod ciosami miecza. Pozostawały jedynie modlitwy, moc naszej świętej wiary oraz zbawienna potęga krucyfiksu.

Jednak widzicie, mili moi, istnieją na świecie byty wywodzące się z pradawnych czasów, które nie lękają się chrześcijańskich symboli. Możliwe, że modlitwy i aura mej wiary mogłyby powstrzymać wodny żywioł, ale być może był on tylko bronią sterowaną przez kogoś stojącego poza zasięgiem naszego wzroku. A przecież trudno sobie wyobrazić, aby pozbawiona myśli oraz uczuć woda, uformowana magią w przypominający człowieka kształt, mogła się przestraszyć nawet najżarliwszych modlitw. Święte słowa są w stanie zatrzymać człowieka z mieczem w dłoniach, ale nie potrafią złamać samego miecza.

— W las! — krzyknąłem, gdyż liczyłem na to, że drzewa oraz chaszcze zatrzymają naszego prześladowcę.

Wiedziałem również, że jeśli wodna istota została powołana do życia za pomocą magii, to od czarownika nie może jej oddzielać zbyt duży dystans. Może więc mieliśmy szansę, by uciec? Wierzchowiec Neuschalka potknął się i czarnoksiężnik zawył z przerażenia. Przytulił się do końskiej grzywy i teraz niemal leżał swemu rumakowi na karku, obejmując go ramionami. Obejrzałem się przez ramię. Błękitny maszkaron był coraz bliżej, ale na szczęście zbliżaliśmy się do brzozowego lasu, za którym widziałem już grzbiety wapiennych skał. Mój koń rzęził ciężko, lecz nie zwalniał biegu. I nagle wierzchowiec demonologa potknął się po raz drugi, ale tym razem doktor Neuschalk wyleciał z siodła, jak wyrzucony z procy, i przeleciał przez łeb zwierzęcia, ciężko lądując w trawie. Jedynie cudem uniknął uderzenia kopyt, ale podniósł się ze zdumiewającą szybkością, wyrzucając z siebie równie zdumiewającą litanię przekleństw. Ja tymczasem ściągnąłem wodze, zatrzymałem konia i ruszyłem, by pomóc czarnoksiężnikowi w walce lub ucieczce. Ukształtowana z wody istota sunęła coraz szybciej i teraz już tylko trzydzieści, może trzydzieści pięć stóp dzieliło ją od Neuschalka. Ponieważ była tak blisko, więc mogłem lepiej się jej przyjrzeć i najbardziej zaniepokoiły mnie krążące wokół całego jej tułowia błękitne wicie przypominające nieco ramiona ośmiornicy.

Wyszarpnąłem z pochwy miecz, choć Bóg mi świadkiem, nie sądziłem, aby ostrze mogło cokolwiek zdziałać przeciwko temu potworowi. Jednak ruszyłem pędem w jego stronę, z modlitwą na ustach i zawziętością w sercu. Ale nie zdążyłem nic uczynić... Kątem oka zauważyłem, że Neuschalk składa dłonie w jakimś dziwnym geście, usłyszałem, że mruczy coś w niezrozumiałym dla mnie języku, i w tym samym momencie spomiędzy jego palców wytrysnął płomień. Jeśli widzieliście kiedyś katapulty miotające grecki ogień, to to właśnie je przypominało. Oczywiście, rozjarzona kula ognia była najwyżej wielkości dwóch moich pięści, ale bijący od niej żar był tak wielki, iż poczułem, jak przelatując obok mej głowy, spala mi włosy na prawej skroni. Ognista kula ugodziła wodną istotę w sam środek tułowia. Ale nie tylko ugodziła. Ona pękła i rozlała się po całym jej ciele, otulając potwora jakby czerwonym płaszczem. Żywiołak zwinął się w miejscu, skręcił, zawrócił, ale ten ruch tylko podsycił płomienie. Potem widzieliśmy tylko pędzący przez las, płomienisty kształt, pozostawiający za sobą spaloną trawę oraz nadpalone gałęzie.

— Na miecz Pana! — westchnąłem zdumiony i schowałem miecz do pochwy.

Neuschalk obrócił się w moją stronę, a jego twarz wciąż była wykrzywiona strachem.

— Nie ma chwili do stracenia! — wrzasnął. — W nogi!

Ruszył pędem w stronę swego konia, który nie przejął się ani wcześniejszym upadkiem jeźdźca, ani stoczoną przed chwilą walką, i skubał trawę kilkadziesiąt kroków od nas. Postanowiłem usłuchać dobrej rady i wskoczyłem szybko na siodło. Pogalopowaliśmy. Nadal nie czułem się bezpiecznie. Instynkt mówił mi, że na tym nie kończy się jeszcze nasza przygoda, i cały czas czułem niedaleko czyjąś wrogą obecność i czyjś przenikliwy, niemal sprawiający ból, wzrok. Byłem niemal pewien, iż śledzi nas ktoś, kto przed chwilą wysłał przeciwko nam wodnego potwora. Do jakich jeszcze uczynków był zdolny i jakąż krzywdę wyrządził mu Neuschalk, że ścigał go aż tak zajadle?

Usłyszałem świst i coś bzyknęło mi tuż koło ucha. Czarnoksiężnik był człowiekiem obdarzonym niezwykłym szczęściem, gdyż strzała była wycelowana w niego. I tylko dlatego nie wbiła się w sam środek jego pleców, gdyż zmęczony koń potknął się po raz kolejny tego dnia, a demonolog huknął czołem w kark zwierzęcia. Dzięki temu strzała minęła o włos jego ciało i trafiła w pień drzewa. Nie miałem, rzecz jasna, czasu, by bliżej się przyjrzeć drgającemu w pniu pociskowi, niemniej, jeden rzut oka wystarczył, abym zorientował się, iż nigdy jeszcze nie widziałem tak uformowanej lotki. Trudno było też nie zauważyć, że grot wbił się bardzo głęboko, a więc strzał został oddany z łuku o potężnej sile rażenia, który mógł dobrze sprawować się wyłącznie w dłoniach wyszkolonego mężczyzny o niespotykanie mocnych ramionach. Tym gorzej wszystko to wróżyło na przyszłość.

Wpadliśmy na rozległy płaskowyż łagodnie wznoszący się ku wapiennym skałom. Zobaczyłem, gdzie kieruje się Neuschalk, i wrzasnąłem: „nie!”. Nie wiem, czy nie słyszał mnie, czy też nie chciał słyszeć, ale pędził wprost w stronę szczeliny rozcinającej skałę, która to szczelina najprawdopodobniej prowadziła do jaskini. A nie ma, mili moi, gorszego pomysłu na ucieczkę niż wejść w ślepy zaułek. Może jednak myślał, że jaskinia ma wylot po drugiej stronie wzgórza? A może sądził, iż ścigający nas nie odważy się wejść w ciemność? Jakiekolwiek jednak były motywy postępowania demonologa, skończyło się na tym, że zeskoczył z siodła, beztrosko porzucił konia na wzgórzu i zniknął w mroku pod górą. Cóż miałem więc robić? Stanąłem przy wejściu i czekałem.

A czekać nie musiałem długo, gdyż ujrzałem postać biegnącą wprost w moją stronę. Biegnącą, dodam to, z nadludzką szybkością i trzymającą w dłoniach krótki łuk. Jak z takiego łuku można było wystrzelić z taką siłą, pozostawało zagadką, na którą nie potrafiłem znaleźć dobrej odpowiedzi. I wreszcie postać zbliżyła się do mnie i przystanęła. Zamarła kilkanaście kroków ode mnie. Kobieta ze sterczącymi na wszystkie strony siwymi włosami, o spalonej słońcem twarzy, pociętej głębokimi bruzdami zmarszczek. Ale nie to wyróżniało ją spośród innych ludzkich istot, lecz fakt, że miała zaszyte powieki. Wyraźnie widziałem grube, wrośnięte już w skórę szwy, które biegły dokoła jej niewidzących oczu. Zrobiłem krok w lewo bezszelestnie, płynnym ruchem przesuwając stopę. Jej głowa natychmiast zwróciła się w moją stronę, a łuk, który pewnie trzymała w dłoniach, zmienił położenie. A więc widziała! Lecz w jaki sposób mogła dostrzec mój ruch, skoro zamknięte, zaszyte powieki nie mogły dopuszczać do oczu nawet słonecznego blasku?

Powiedziała coś w nieznanym mi, dziwnym języku o melodyjnym zaśpiewie. Kiedy mówiła, jej usta poruszały się, lecz twarz pozostała martwa i bez wyrazu. Powtórzyła zdanie głośniej i wydawało mi się, że słyszę w tonie jej głosu zniecierpliwienie. Widziałem już, jaką posiadła biegłość w sztuce łuczniczej, i nie miałem wątpliwości, że zdąży wycelować oraz wypuścić strzałę wprost w moje serce, zanim zdążę do niej podbiec.

— Kim jesteś? — zapytałem, starając się wyraźnie artykułować głoski.

Nie zrozumiała moich słów, a liczyłem na to, że zna chociaż najprostsze zwroty z naszego języka. Znowu powiedziała coś niecierpliwym tonem i rzuciła głową, jakby dając mi znak, bym zszedł jej z drogi i odstąpił od wejścia do jaskini. Oczywiście, mogłem to uczynić. Najwyraźniej polowała nie na mnie, tylko na Neuschalka, najwyraźniej też była na tyle wielkoduszna, by nie zabrać mojego życia przy okazji likwidowania swej ofiary. I to był błąd, gdyż w takim razie ja musiałem zabrać jej życie. Nie wyobrażałem sobie bowiem, jak inkwizytor Jego Ekscelencji biskupa Hez-hezronu, sługa Boży i młot na czarownice mógłby ustąpić przed ślepą staruchą. Choćby była zarówno świetną łuczniczką, jak i biegłą w swej sztuce wiedźmą. Poza tym musiałem dowieźć Neuschalka do klasztoru Amszilas, gdyż jego umiejętności budziły moje coraz żywsze zainteresowanie. A dostarczenie zakonnikom trupa, zamiast żywego czarnoksiężnika, uznałbym za osobistą porażkę.

Miałem niewiele czasu na podjęcie decyzji, co czynić. Nie mogłem przecież mieć nadziei, że będziemy sobie tak stać przed wejściem do jaskini i grzać się w promieniach letniego słoneczka. Ona miała swoje zadanie, ja miałem swoje. A zadania te, niestety, nawzajem się wykluczały, co oznaczało, że już za chwilę jedno z nas pozbędzie się doczesnych trosk. W jaki sposób starucha dostrzegała moje ruchy? A może je słyszała? Nie, mili moi! Mordimer Madderdin, kiedy tylko chce, potrafi poruszać się jak kot na łowach, a pod moją stopą nie ma prawa zaszeleścić nawet źdźbło trawy. Może więc czuła mój zapach? Kto wie? Stała, co prawda, dobrych dwadzieścia kroków ode mnie, ale jeśli miała psi węch, to oczy faktycznie nie były jej potrzebne, by wytropić ofiarę.

Olśniło mnie. Otóż dawno temu słyszałem historię o człowieku, który kazał wyłupić sobie oczy po to, by wzrok nie zamącił mu dostrzegania prawdziwej natury ludzi. Może więc ta stara kobieta dostrzegała aurę mych myśli? Ha, warto było spróbować.

Przymknąłem oczy i zatopiłem się w spokojnej modlitwie. Wyciszyłem umysł, tak jak uczono tego w naszej przesławnej Akademii. Starucha zaszczekała coś poirytowanym głosem, ale ten dźwięk dobiegł mnie jakby z wielkiej odległości i nie wywołał nawet cienia myśli. Odruchowo, bezwiednie zszedłem kilka kroków na bok, a czułem się tak, jakbym unosił się tuż nad ziemią. Modlitwa płynęła we mnie i wokół mnie, otulała nieprzeniknioną zasłoną, koiła, uspokajała i tworzyła spoiwo łączące mnie z nieruchomą harmonią świata. Usłyszałem świst strzały. Najpierw jednej, a potem drugiej, lecz dźwięk ten nie poruszył żadnej struny w moim umyśle. Tylko go zarejestrowałem. Byłem już jedynie pyłem unoszonym przez wiatr wszechświata, jednością w całości i całością w jedności. Nawet nie musiałem wymawiać słów modlitwy, gdyż modlitwa była częścią mnie samego, ja zanurzałem się w niej, a ona we mnie.

Starucha była bardzo szybka. Ale nie tak szybka, aby powstrzymać sztylet, który wbił się jej pod łopatkę. Wyjście z modlitewnego spokoju i zerwanie więzi z harmonią świata odczułem, jak cios w samo serce i umysł. Wiedziałem, że kobieta przez króciuteńką chwilę, tuż przed śmiercią, zrozumiała, że stoję za jej plecami ze sztyletem w dłoni. Lecz nie miała czasu, by cokolwiek uczynić. Ostrze przebiło jej serce i umarła niemal natychmiast. Przez kilka chwil jej stopy w wysokich skórzanych butach, kopały trawę, a potem zamarła, leżąc w kałuży krwi. Jej zaszyte oczy nieruchomo spoglądały w niebo, a na spękanej jak kora starego drzewa twarzy zagościł wyraz spokoju. Wytarłem sztylet w kraj kubraka i opadłem na kolana. Z nosa buchnęła mi krew i zmieszała się na trawie z krwią płynącą z rany staruchy.

— Poradziliście sobie! — W głosie Neuschalka usłyszałem zdumienie i podziw.

Z trudem uniosłem głowę. Demonolog stał przy wejściu do jaskini, a słońce oświetlało go z profilu. Przymrużyłem oczy, a potem usiadłem, odwracając wzrok.

— Muszę się przespać — powiedziałem i sam słyszałem, jak bardzo bełkotliwie brzmi mój głos. — Obudźcie mnie za kilka chwil...

###### \* \* \*

Siedziała koło mnie, trzymając za rękę. W dłoni czułem jej szczupłe, chłodne palce, a kiedy uniosłem głowę, zobaczyłem, że się uśmiecha. Leniwym ruchem odgarnęła z czoła złote włosy i pochyliła się nade mną. Jej wykrojone na kształt migdałów oczy były błękitne jak górskie jezioro, rozjaśnione południowym słońcem...

— Wstawaj, wstawaj — powiedziała z niecierpliwością chrapliwym głosem Casimirusa Neuschalka.

Sen prysnął, poderwałem głowę i zobaczyłem pochylonego nade mną demonologa.

— Już czas — stwierdził, a z jego ust doleciał odór zgnilizny, który natychmiast udowodnił mi, że z pięknego świata snu trafiłem znowu na ten jakże rzeczywisty, choć nieszczęsny padół łez.

— Wstaję — odburknąłem.

Byłem wściekły, że mnie obudził. Jednak wiedziałem, że jeszcze długo zostanie w moim sercu pamięć o słodyczy tych sennych marzeń. Jak i gorycz płynąca ze świadomości, że marzenia te pozostaną jedynie marzeniami, gdyż sam wybrałem taką, a nie inną drogę.

Rozejrzałem się. Byliśmy nadal przed jaskinią będącą kryjówką czarownika, ale słońce przesunęło się na niebie dobry kawałek.

— Gdzie trup? — warknąłem.

— Wrzuciłem do rzeki razem ze wszystkim... — Wzruszył ramionami.

— Wrzuciliście do rzeki — powtórzyłem ironicznym tonem. — Wiele sobie zadaliście trudu, by usunąć ją z moich oczu.

— Nie marudźcie — rzekł, a jego głos nieoczekiwanie stwardniał. — Musimy ostro pognać konie, żeby jutro przed zachodem dotrzeć do Amszilas.

Ot, i było to całe podziękowanie dla waszego uniżonego sługi za uratowanie życia. Ha, może miał i rację, bo przecież był dla mnie tylko tyle wart, co wiedza zawarta w jego umyśle.

— Zaczekajcie tutaj — rozkazałem. — Muszę coś jeszcze sprawdzić.

Nie słuchałem jego coraz bardziej żarliwych protestów, tylko wdrapałem się na siodło (a słowo „wdrapałem” dobrze oddaje zręczność, z jaką dosiadłem konia) i pogalopowałem z powrotem do lasu, przez który nie tak dawno temu uciekaliśmy przed staruchą. Rzecz prosta, zmierzałem w stronę drzewa, w którym utkwiła strzała mierzona w Neuschalka. Pragnąłem z bliska jej się przyjrzeć, gdyż zapamiętałem ją jako przedmiot wielce oryginalny.

Znalazłem bez trudu drzewo, w którego pniu tkwił grot. Niestety, jednak nie byłem w stanie go wyciągnąć. Ostrze wbiło się tak głęboko, iż musiałbym nabiedzić się nad rozwierceniem miejsca wokół strzały, gdyż nie sądziłem, by pomogły tu nawet cęgi. Ale to, co zobaczyłem, wystarczyło mi w zupełności. Strzała została wykonana z czarnego drewna, pieczołowicie wygładzonego i pokrytego ledwo widocznymi znakami runicznymi, a raczej znakami, w których domyślałem się run. Lotki przygotowano z piór jakiegoś czarnego ptaka, ale nie potrafiłem rozpoznać jakiego. Zresztą nic w tym nie było dziwnego, gdyż nie należałem do ludzi biegłych w rozpoznawaniu gatunków zwierząt.

Złamałem strzałę przy samym pniu i złomek schowałem za pazuchę. Jednak nie mogło umknąć mej uwagi, że kiedy dotykałem czarnego drewna, przez moje palce przebiegł lodowaty dreszcz. W tej strzale, mili moi, była moc. Ktoś nie tylko pieczołowicie ją wyrzeźbił, ale nasączył aż nadto wyraźną magią. Czemu stara kobieta chciała zapolować na Neuschalka za pomocą tej właśnie broni? Dlaczego sądziła, że czarna, runiczna strzała będzie najlepsza, by pozbawić go życia? Ha, nad odpowiedziami na te pytania musiałem się poważnie zastanowić. Jak również nad tym, iż demonolog wyraźnie nie życzył sobie, bym po dojściu do przytomności obejrzał martwą kobietę oraz jej oręż.

###### \* \* \*

— Idzie — obwieścił Neuschalk bezbarwnym głosem.

Ja również poczułem zbliżającą się do nas mroczną moc. A więc nadchodził czas drugiej rozmowy z Belizariuszem. Ścisnąłem mocniej krucyfiks w dłoniach, a otulająca go srebrna poświata dodała mi otuchy. Demon tym razem pojawił się tak raptownie, jakby zeskoczył z gałęzi drzewa. Ot, jeszcze przed momentem widziałem poletko wydeptanej trawy i rosnącą na nim młodą brzózkę, a za chwilę w tym samym miejscu czerwony, rogaty potwór stał obok dymiącego, drewnianego kikuta.

— Jestem, inkwizytorze — zahuczał tubalnym głosem. — Przyszedłem po mojego czarownika.

— Witaj, dostojny Belizariuszu — odparłem uprzejmym tonem, nie spuszczając wzroku z bestii. — Jednak ośmielę się przypomnieć, że najpierw musimy uzgodnić cenę.

Wystawił przed siebie pazurzastą łapę, w której coś zalśniło zielonym światłem.

— Kamień druidów — rzekł. — Dotknij nim ciała, a uleczy każdą chorobę...

— A pułapka? — zapytałem. — Zresztą nie trudź się odpowiedzią. Ja znam pułapkę. Ten kamień przywróci zdrowie, wysysając życiowe siły ze znajdującego się najbliżej człowieka.

— Cóż cię może obchodzić dola innych ludzi? — spytał po chwili.

— To tylko częściowa prawda. — Nie zgodziłem się z nim. — Gdyż po cóż zostawałbym inkwizytorem, jak nie po to, by, wyrzekając się losu zwykłego człowieka, czuwać nad życiem bliźnich? Jednak nie powiedzieliśmy sobie o najrozkoszniejszym żarciku ukrytym w kamieniu druidów, prawda? — Uśmiechnąłem się samymi ustami. — Spróbuj uzdrowić nim bliską osobę, a wyssie życie z ciebie samego. Czy nie tak to właśnie działa?

— A więc nie chcesz go? — warknął.

— Twoje dary są niczym słodkie wino zatrute cykutą — powiedziałem. — Jaka jest następna propozycja?

Chciał postąpić krok naprzód, ale moc moich modlitw i mej wiary zatrzymała go w pół ruchu. Zawarczał jeszcze groźniej niż poprzednio, a z trójkątnego pyska zaczęła mu się sączyć zielonkawa ślina. Jej smród poczułem o wiele wyraźniej niżbym sobie tego życzył.

— Nadużywasz mej cierpliwości, inkwizytorze — zacharczał. — Myślałem, że moje dary sprawią ci radość.

— Inkwizytorzy są ludźmi posępnymi i niełatwo uradować ich serca — odparłem. — A wyznam ci też, że uważany jestem za najmniej wesołego z nich wszystkich. Zresztą serdecznie nad tym ubolewam...

Błyszczący kamyk zniknął z dłoni demona. Długie jak ludzki palec szpony otarły się o siebie z chrzęstem. Podejrzewałem, że Belizariusz mógłby rozedrzeć nimi na strzępy człowieka w płytowej zbroi i nawet by tego nie zauważył.

— Nie żartuj ze mnie, człowieczku! — zadudnił. Jak widać, dość szybko nauczył się rozpoznawać moje poczucie humoru.

Byłem nieludzko zmęczony pojedynkiem ze ślepą kobietą oraz wyczerpującą podróżą. Nie miałem ochoty na żadne gierki, przekomarzania i trwające godzinami zmagania z demonem. Poza tym kiełkowały we mnie (a może nawet bujnie rosły!) coraz silniejsze podejrzenia co do prawdziwej natury zachodzących wokół mnie wydarzeń. Dlatego postanowiłem postawić wszystko na jedną kartę. Jeśli się myliłem — cóż, przyjdzie mi zapłacić wysoką cenę. Jeśli miałem rację albo jeśli mi się poszczęści — będę mógł się spokojnie wyspać. A w tej chwili wydawała mi się to perspektywa nader kusząca.

— Odejdź — powiedziałem spokojnie. — Nie masz nic, czego bym pragnął. Zostaw w spokoju czarownika i wracaj skąd przybyłeś.

Patrzył na mnie ślepiami, w których gorzały piekielne ognie i wrzały jeziora pełne krwi. Wyprostował się, rozdziawiając paszczę i rozkładając potężne ramiona.

— Cccoś ty powiedział?! — Jego głos nie brzmiał już nawet jak warkot wielkiego psa, ale jak huk zbliżającej się burzy.

— Precz! — rozkazałem, unosząc krucyfiks.

Belizariusz był wściekły. Z całą pewnością. Ale z całą pewnością był również zdumiony. Oczywiście, jeśli miałem prawo cokolwiek wnioskować z jego wyglądu oraz zachowania. W każdym razie nie zaatakował mnie od razu, lecz stał, wściekle bulgocząc i chrzęszcząc pazurami.

— Tak, tak! Idź precz! — wykrzyczał Neuschalk, a demon zwrócił na moment oczy w jego stronę.

Krzyż w moich dłoniach jaśniał światłem wielekroć silniejszym od księżycowego i trudno było nie spostrzec, że Belizariusz unikał spojrzeniem tego blasku. Wyraźnie się wahał i nie wiedział, co czynić. Ten jego namysł i niezwykła cierpliwość, z jaką zniósł obelgę, potwierdzały moje wcześniejsze przypuszczenia.

— Dobrze — rzekł w końcu. — Dam ci czas do jutra, inkwizytorze. W dowód mej dobrej woli...

Jako żywo, nie słyszałem jeszcze o dobrej woli demonów, ale postanowiłem niczemu się nie dziwić. Skinąłem powoli głową.

— Tak więc do jutra, Belizariuszu — powiedziałem, doskonale wiedząc, że następnego wieczoru będzie nas już chroniła święta wiara klasztoru Amszilas.

Demon tym razem nie wycofał się powoli, jak poprzedniej nocy, lecz w jednej chwili zniknął z naszych oczu. Tylko wypalona ziemia, sczerniały kikut brzózki oraz smród spalenizny pozostały jedynymi śladami świadczącymi o tym, że niedawno znajdował się tuż koło nas.

— Dobrze, że sobie z nim poradziłeś — westchnął Neuschalk z ulgą. — Gdyż w innym wypadku musiałbym użyć potężnych zaklęć, którymi wszak nie wolno szafować na lewo i prawo, nawet gdy jest się człowiekiem tak biegłym w sztukach magicznych, jak ja.

— Zaklęcia — powiedziałem lekceważąco. — To przecież tylko słowa. Liczą się żar oraz moc prawdziwej wiary i niczym niezachwiana ufność w moc Pana. A tego — spojrzałem w jego stronę — nigdy nie miałeś i mieć nie będziesz.

Skrzywił się tylko, ale nic nie odpowiedział.

— Przed zachodem będziemy w Amszilas — rzekł w końcu, patrząc przed siebie wzrokiem, z którego nie mogłem nic wyczytać. — A tam pogadamy o żarze prawdziwej wiary...

###### \* \* \*

Klasztor Amszilas jest prawdziwą fortecą, której wieże i baszty dumnie wyrastają nad położonym w dolinie zakolem rzeki. Ale nie siła kamiennych murów strzeże tego miejsca, lecz prawdziwa świętość wiary jego mieszkańców. Bogobojni mnisi nie tylko oddają się modlitwom oraz pobożnym rozmyślaniom, lecz mierzą się z najbardziej zatwardziałymi z heretyków. Tu trafiają czarnoksiężnicy, demonolodzy i wiedźmy. A raczej — najpotężniejsi spośród nich. Tu gromadzone są księgi, amulety, rzeźby i obrazy, które od lat lub wieków służyły uprawianiu mrocznych sztuk.

Miałem okazję nie tak dawno temu odwiedzić bogobojnych mnichów, lecz wizyta ta nie zostawiła dobrych wspomnień. Owszem, wybaczono mi moje zaniedbania, pochopność sądów oraz lekkomyślność, ale pozostała jednak nuta wstydu, palące wspomnienie o tym, że dałem się okpić chytrym bezbożnikom i dopiero mnisi z Amszilas udowodnili, gdzie tkwił mój błąd.

— No, no — mruknął Neuschalk, zadzierając wysoko głowę. — Zamek co się zowie. Sam cesarz by się takiego nie powstydził...

— *Nie dla nas, Panie, nie dla nas, lecz na chwałę Twojego imienia —* odparłem cytatem, a on zaśmiał się, jakbym właśnie opowiedział dowcip.

Oczywiście musiano dostrzec nas, kiedy nadjeżdżaliśmy stromą, krętą drogą, ale nikt nie pokwapił się z otwieraniem bram. I słusznie, gdyż gość zmierzający do Amszilas musiał opowiedzieć się, kim jest i z czym przybywa, aby w ogóle zechciano zastanowić się nad otwarciem wrót. Zastukałem mocno.

— Któóóóż tam? — zapytał starczy, ale silny jeszcze głos. Głos, który świetnie poznałem, gdyż z bratem furtianem mieliśmy nie tak znowu dawno temu pewne drobne nieporozumienie na temat opieszałego wpuszczania gości na teren klasztoru.

— Mordimer Madderdin, inkwizytor Jego Ekscelencji — rzekłem głośno. — Prosi o pomoc oraz opiekę.

— Aha ha! — Zaśmiał się chrapliwie. — Pamiętam cię! Pochopny i swarliwy inkwizytor o plugawym jęzorze! Na kolana, chłopcze, błagaj o wybaczenie grzechów!

Casimirus Neuschalk spojrzał na mnie z zaciekawieniem w oczach. Czyżby myślał, że usłucham rady furtiana, i szykował się na ucieszne przedstawienie? Jeśli tak, musiałem go srodze rozczarować.

— Nie czas na żarty, bracie — powiedziałem poważnym tonem. — To sprawa niecierpiąca zwłoki. Przybywam z zacnym towarzyszem, potrzebującym wsparcia mądrych braci.

Wypowiadając te słowa, użyłem kodu znanego jedynie inkwizytorom. Kodu, który należało stosować tylko w palącej potrzebie. „Zacny towarzysz” w tym wypadku oznaczał nadzwyczaj niebezpiecznego człowieka, a „wsparcie mądrych braci” nakazywało przedsięwziąć daleko idące środki bezpieczeństwa. Miałem nadzieję, że Neuschalk nie rozumie właściwego sensu tych sformułowań. Zresztą furtian również nie dał znać po sobie, że słowa te znaczyły dla niego cokolwiek innego.

— Wszyscy młodzi jesteście i pochopni — zamruczał. — „Otwórz”, „zamknij”, mówicie, a ty się tu, człowieku, biedź z korbą i kołowrotem. Późno już, przyjdźcie rano...

— Stanowczo nalegam, bracie — rzekłem, podnosząc głos. — Gdyż sprawa, z którą przybywam, jest pilna i wielkiej wagi.

— Wszystkim wam się tak wydaje — westchnął. — Pilna, wielkiej wagi — powtórzył za mną, ironicznie akcentując te słowa. — Żebyś ty wiedział, ile razy ja słyszałem podobne bzdury...

— No i widzicie. — Zwróciłem się do Neuschalka, który spoglądał na mury z taką miną, jakby rozważał, czy można się wspiąć po kamiennej ścianie. — Z czym musi borykać się inkwizytor?

— Ano widzę. — Wzruszył ramionami i wykrzywił się szyderczo.

— Wyświadczcie mi tę łaskę i otwórzcie bramę — powiedziałem pokorniejszym tonem, patrząc w górę.

— Może, może — mnich zamruczał tym razem, wyraźnie zadowolony z siebie. — Ale zmówisz mi tu zaraz, zuchwały chłopcze, pięć razy „Chwałę Zstąpienia”, trzy razy „Wierzę w Boga” i trzy razy „Ojcze nasz”...

— Na miecz Pana — jęknąłem, chociaż ucieszyłem się w myślach, gdyż miałem nadzieję, że furtian zrozumiał kod i teraz szuka tylko sposobu, by znaleźć czas na zawiadomienie przełożonych oraz powzięcie stosownych przygotowań.

— No już, już... — ponaglił mnie.

— *Panie nasz, Ty zaniosłeś Słowo i Miecz swemu ludowi... —* zacząłem.

— Głośniej! — nakazał surowo. — I ten drugi też ma się modlić!

Westchnąłem i spojrzałem przepraszającym wzrokiem w stronę Neuschalka.

— Módlcie się — szepnąłem — bo inaczej nas nie wpuszczą.

Skinął głową z ponurym grymasem i rozpoczęliśmy modlitwę jeszcze raz, wypowiadając jej słowa w miarę zgodnym chórem. Furtian przez pewien czas pomrukiwał nam do taktu, ale potem przestałem słyszeć jego głos. Starałem się wyraźnie artykułować wyrazy i mówić w miarę wolno, aby dać mu jak najwięcej czasu. I miałem nieśmiałą nadzieję, że to, co robię, ma w ogóle jakiś sens. Kiedy po raz trzeci dopowiadaliśmy: *i daj nam siłę, byśmy nie wybaczali naszym winowajcom* (obaj już nieco zmęczeni głośną recytacją), furtian zachichotał i wraz z nami wypowiedział słowo „Amen”.

— Teraz dobrze — rzekł wyraźnie zadowolony. — Co by tu jeszcze, hmmm? Może byście zaśpiewali „Jeruzalem, och niewierne Jeruzalem”? Bardzo lubię tę pieśń.

— Nie będę śpiewał — syknął mi Neuschalk niemal w samo ucho.

— Mogę i zaśpiewać, i zatańczyć, abyście mnie tylko wpuścili — powiedziałem zrezygnowanym tonem, znowu zadzierając głowę.

— No, dobrze. Co za dużo to niezdrowo — burknął zakonnik. — A poza tym, sądząc po barwie waszych głosów, nie miałbym specjalnej uciechy, słuchając waszego śpiewu.

Stęknął głośno, z wyraźnie udawanym wysiłkiem, i musiał pchnąć kołowrót, bo usłyszeliśmy donośne skrzypnięcie. Krata, zagradzająca nam drogę do klasztoru, drgnęła i powoli zaczęła się unosić.

— Tylko pilnujcie koni, bo jak obeżrą nam krzewy, to brat Serafin powiesi was za jaja — ostrzegł surowo furtian.

W końcu więc dostaliśmy się do Amszilas i tak jak poprzednio zastałem niemal pusty dziedziniec. Tylko jeden z młodych mnichów, nie zwracając na nas uwagi, z trudem przetaczał dużą beczkę, w której coś głośno chlupotało.

— Czekajcie — rozkazał nam odźwierny z wysokości muru.

Nie musieliśmy jednak czekać długo, gdyż rychło zobaczyłem starszego zakonnika, który szybkim krokiem sunął w naszą stronę. Kiedy podszedł, pochyliłem się niżej niż przywykłem to czynić. Jednak w klasztorze Amszilas nie należało mieć sztywnego karku i twardego kręgosłupa. Tu nigdy nie było wiadomo, kto kim tak naprawdę jest. Neuschalk nawet nie wysilił się, by skinąć głową.

— Jestem Casimirus Neuschalk, doktor teologii, profesor cesarskiego uniwersytetu i mistrz wiedzy tajemnej, którą wy nazywacie mroczną sztuką — powiedział wyniośle. — Mam wam do przekazania sprawy niezmiernej wagi, lecz stanę tylko przed Radą Klasztoru. Tak, tak, dobrze wiem, że dwunastu starych mnichów sprawuje tu rządy, i będę rozmawiał tylko z nimi.

— Czarnoksiężnik żąda, aby przyjęła go Rada Klasztoru? — powiedział brat głosem, w którym zdumienie walczyło o lepsze z oburzeniem. — Czyś postradał zmysły, człowieku? — dodał, nie negując jednak twierdzenia Neuschalka o Radzie Klasztoru, choć ja sam po raz pierwszy o takim urzędzie słyszałem.

— Właśnie tak!

— A jeśli nie? — zapytał cicho mnich

— Wtedy moja wiedza umrze wraz ze mną — powiedział, wykrzywiając się. — Gdyż przypuśćmy tylko, że mam na palcu zatruty pierścień, a drobne zranienie wystarczy, abym udał się w podróż, z której się już nie wraca. Chcesz wziąć za to odpowiedzialność, stary człowieku? A może mam truciznę w zębie? — zapytał, odwracając się w moją stronę. — Co mówię po to, Mordimerze, by odwieść cię od jakichś gwałtowniejszych uczynków...

— Nie zamierzam czynić nic bez wiedzy i zgody gospodarzy — wyjaśniłem spokojnie. — Gdyż nade wszystko potrzebujemy wsparcia mądrych braci.

— Przekażę twą prośbę, czarowniku — odparł mnich po chwili milczenia, a ja byłem pewien, iż przynajmniej on zrozumiał właściwe znaczenie mych słów. — Ale nie spodziewaj się prędkiej odpowiedzi.

— Daję wam czas do zachodu słońca — rzekł demonolog oschle. — I to moje ostatnie słowo. Tylko pod warunkiem, że przed zmierzchem przyjmie mnie Rada, podzielę się moją wiedzą. A wiedz, że dotyczy ona między innymi tego, czego tak pieczołowicie strzeżecie od wieluset lat...

Zawsze wydawało mi się, że klasztor Amszilas nie jest miejscem, w którym czarnoksiężnicy, demonolodzy i heretycy mogą żądać czegokolwiek poza doznaniem zbawiennego cierpienia. A jednak najwyraźniej czasy się zmieniały, gdyż sędziwy mnich, nie spuszczając oczu z Neuschalka, powoli skinął głową.

— Skoro taka jest ostateczna cena twych usług — odpowiedział skrzypiącym głosem — zgodzimy się na nią w pełnej pokorze.

— Ja myślę, bo i co innego możecie zrobić? — Zaśmiał się demonolog.

Byłem święcie pewien, że na mojej twarzy nie drgnął nawet mięsień. Tak samo twarz zakonnika wydawała się tylko martwą maską, wyrzeźbioną z żółtawego, zeschniętego drewna. Zerknąłem na jego dłonie, skryte do połowy nadgarstków w obfitych rękawach szarego habitu. Również nie drgnęły. No cóż, nas, pokornych funkcjonariuszy Świętego Officjum, uczy się, byśmy zachowywali spokój nawet w najbardziej upokarzających sytuacjach. W końcu jednak brat skinął na nas i poprowadził w głąb klasztoru. Po krótkiej wędrówce znaleźliśmy się w obszernej komnacie o wielkich oknach. Pod ścianami stało kilku mnichów, ale ich twarze ginęły pod obszernymi kapturami.

Neuschalk rozejrzał się po komnacie, a w jego wzroku czaiła się bezczelna kpina.

— Myślałem, że wnętrza tego klasztoru nie cechują się tak siermiężną surowością — rzekł. — Cóż, nie zabawię tu w każdym razie na tyle długo, by zdołały mi nadmiernie obmierznąć. — Westchnął z udawanym smutkiem. — Ale na razie przynieście mi jakieś śniadanie zanim zbierze się ta wasza rada.

Mnich nawet nie skinął dłonią w stronę stojących pod ścianami braci, a tylko leciuteńko zwrócił w ich stronę głowę. Natychmiast wiedzieli, co czynić, gdyż dwóch z nich ruszyło szybkim krokiem w stronę drzwi.

— Dobrze wytresowani — rzekł Neuschalk z szyderczym podziwem w głosie.

— Pokora i posłuszeństwo — powiedziałem, widząc, że mnich się nie odzywa — są zasadami przyświecającymi nam na każdym kroku, zgodnie z naukami naszego Pana.

— Którym to naukom dobitnie dał wyraz, schodząc z krzyża z mieczem w dłoniach — zakpił demonolog.

— Lecz wcześniej dał się pojmać, biczować oraz ukrzyżować — rzekłem spokojnie. — Ale przecież nie przyszliście tu rozprawiać o teologii, doktorze, prawda? Zwłaszcza że w człowieku tak rażąco skromnej wiedzy jak moja, nie zyskalibyście interesującego rozmówcy.

— Też prawda — mruknął i odszedł od nas, stając przy oknie o szerokim, kamiennym parapecie.

Neuschalkowi przyniesiono posiłek: chleb, zimne mięso oraz dzban wody. Skrzywił się teatralnie, ale potem zaczął się w milczeniu posilać, cały czas stojąc przy kamiennym parapecie, na którym położono tacę. Wreszcie, a było to już dość długi czas po tym, jak demonolog przełknął ostatni kęs, do komnaty wszedł młody mnich.

— Rada się zebrała — obwieścił cicho. — I prosi was, doktorze Neuschalk, was, ojcze Bonawenturo, oraz was, mistrzu Madderdin. Zechciejcie udać się za mną.

— Wreszcie — mruknął czarnoksiężnik.

Podszedł w naszą stronę, przeczyszczając szpary między zębami głośnym cmokaniem.

— Na obiad przygotujcie coś bardziej strawnego — rzekł.

Prowadzeni przez młodego zakonnika, ruszyliśmy najpierw korytarzem, później ciągnącymi się nad ogrodem krużgankami, a potem znowu kolejnym korytarzem do tej części zamku, gdzie oczekiwała nas Rada Klasztoru Amszilas. Sala, do której weszliśmy, była ogromna, o łukowych sklepieniach, podpartych kamiennymi kolumnami, tak grubymi, że męskie ramiona nie byłyby w stanie ich objąć. Sala dzieliła się na dwie części, a ta druga część — położona najdalej od dwuskrzydłych drzwi — znajdowała się na podwyższeniu, do którego prowadziły szerokie schody. Tam właśnie, przy prostokątnym stole, na krzesłach z rzeźbionymi oparciami, siedziało dwunastu mnichów. Widziałem ich dłonie niemal ukryte w szerokich rękawach habitów i położone na blacie. Nie widziałem natomiast ocienionych kapturami twarzy, jednak mogłem się domyślać, że klasztor Amszilas dobrał tych ludzi ze szczególną pieczołowitością. W rozleglejszej części komnaty, przy ścianach, stali tylko służebni mnisi, z pochylonymi głęboko głowami i jakby zatopieni w żarliwej modlitwie.

— Pozwólcie, panie — odezwał się cicho prowadzący nas brat. — Rada czeka na was.

— Patrzcie uważnie. — Zwrócił się do mnie Neuschalk pyszałkowatym tonem. — Gdyż niedługo będziecie świadkiem triumfu niezłomnej wiedzy oraz nieujarzmionej woli.

— Tak i ja to sobie wyobrażam — odparłem, chyląc lekko głowę.

— No, chodźmy. — Czarnoksiężnik pstryknął palcami na młodego mnicha, którego usta poruszały się w bezgłośnej modlitwie.

Ruszyli w stronę podwyższenia. Demonolog szybkim i pewnym krokiem, młody brat tuż za jego plecami. Neuschalk wszedł po schodach, ale nawet nie odsunął przeznaczonego dlań krzesła, postawionego u szczytu stołu. Rozłożył nagle ramiona i krzyknął coś potężnym głosem. Jego postać, przypominająca teraz wielkiego, czarnego ptaka o rozpostartych skrzydłach, zdawała się rosnąć pod samo sklepienie. I nim zdołałem cokolwiek pomyśleć lub uczynić, z ciała Neuschalka trysnęły strumienie ognia. W jednej chwili dwunastu mnichów oraz brat-przewodnik demonologa zostali spopieleni na proch. Nie zostało nic. Nawet resztki kości lub strzępy szat. Żar był tak ogromny, iż poczułem, jak owiewa mnie palące tchnienie, i z trudem powstrzymując jęk, zasłoniłem twarz. Niemniej i tak miałem wrażenie, że skóra za chwilę zejdzie mi płatami z policzków, czoła i nosa.

Ale wtedy mnisi służebni, stojący dotąd pokornie przy ścianach, unieśli głowy i zgodnym chórem, podnosząc nad głowy ramiona, wykrzyczeli słowa, których sensu ani znaczenia nie byłem w stanie pojąć, lecz które niosły tak wielką moc, że upadłem na ziemię, widząc, jak z moich nozdrzy buchają fontanny krwi. Próbowałem się zebrać z klęczek, ale wydawało mi się, że na moim grzbiecie wyrósł przygniatający do posadzki ciężar. Jedyne, co mogłem zrobić, to patrzeć. A nie sądzę, by wielu żyjących widziało kiedykolwiek pokaz niczym nieskalanej, przeczystej mocy, którego miałem okazję oraz łaskę być świadkiem.

Oto wszyscy mnisi służebni (dopiero teraz dostrzegłem, iż tak naprawdę był wśród nich opat) pojaśnieli niczym otoczeni świętą aurą, a ich buroszare habity stały się bielsze nad śnieg. Z palców wyciągniętych w stronę istoty, będącej nie tak dawno temu Casimirusem Neuschalkiem, wytrysnęły srebrne smugi i otoczyły ją gorejącym płomieniem. Jednak żaru tegoż płomienia nie czułem na skórze, a wręcz przeciwnie: zdawał się on gasić oraz tłumić żar bijący z potwora o czarnych skrzydłach. Ten wrzasnął boleściwym głosem i odwrócił się w stronę mnichów. Jego twarz zachowała jeszcze wspomnienie rysów doktora teologii, lecz widziałem już, jak rodzi się inne oblicze. Smagła, skażona czystym okrucieństwem twarz o czarnych, poplątanych włosach. Lecz nie ta twarz była najstraszliwsza, choć rozjarzone blaskiem oczy zdawały się ziać nienawiścią. Najstraszliwsze było, iż ujrzałem, że z ramion demonologa wyrastają dwa czarne węże, o głowach wielkości ludzkich pięści. Węże te syczały przeraźliwie, a ich długie rozdwojone języki i ociekające jadem ostre kły widziałem aż nadto wyraźnie, niżbym sobie tego mógł życzyć.

Potwór próbował wyrwać się z otaczających go srebrzystobłękitnych płomieni, ale potężne skrzydła tylko bezradnie młóciły powietrze. Doskonale widziałem, że istota, która do niedawna przybierała kształt Neuschalka, usiłuje zrobić choć krok, lecz strumień świętego ognia był zbyt potężny, by dała radę się ruszyć. I słyszałem tylko wciąż potężniejący ryk, teraz pełen już nie tylko bezbrzeżnej wściekłości, ale również żalu oraz bólu.

— Boże mój — szepnąłem sam do siebie, gdyż nie sądziłem, by ktokolwiek mógł mnie usłyszeć w tym wciąż narastającym hałasie.

Nagle płomienie, otaczające demona przypominającymi błyskawice jęzorami, ukształtowały się w wielką kulę. W tym samym momencie zauważyłem, że jeden z mnichów chwycił się za pierś i z twarzą wykrzywioną grymasem bólu upadł na posadzkę. Następny zatoczył się na ścianę, a iskry skrzące się z jego palców przygasły. Jednak demon został złapany w pułapkę. Tłukł się bezsilnie wewnątrz świetlistej kuli, a węże miotały się z rozdziawionymi paszczami. Teraz twarz potwora w niczym nie przypominała już twarzy Casimirusa Neuschalka. Było to brodate, ciemne, jakby spalone słońcem, oblicze. Pośrodku twarzy wyrastał zakrzywiony nos, a zmierzwione, gęste włosy opadały aż na ramiona. Nagle pałające mrocznym blaskiem oczy spojrzały wprost na mnie. Ten wzrok w jednej chwili spętał mnie i zniewolił. Jednocześnie poczułem, jak w moje serce i umysł wlewa się, niczym strumień wrzącego złota, tak niezwykła moc, iż pojąłem, że za moment zyskam potęgę, o jakiej nigdy nie śmiałem nawet marzyć. I wtedy ktoś potrącił mnie i podciął mi nogi. Straciłem wzrokowy kontakt z demonem, co zabolało, jakby ktoś wyrwał mi oczy z czaszki. Jęknąłem i uderzyłem czołem w posadzkę. Skuliłem się, obejmując głowę ramionami, a z moich ust, niezależnie od woli, wydobyło się żałosne, bolesne skamlenie. Ta ogromna moc była tak blisko mnie, iż jej utratę odczułem, jakby pozbawiono mnie najpiękniejszego z darów. Wtedy poczułem czyjś kojący dotyk na ramieniu i ból zaczął zanikać, aż w końcu się rozwiał. Spojrzałem. Tuż przy moim boku klęczał opat i, z przymkniętymi oczami, bezgłośnie odmawiał modlitwę. Kiedy skończył, uniósł powieki i wstał, korzystając z pomocy jednego z mnichów.

— Niemal go miał. — Usłyszałem czyjś szept spod ściany, ale nie miałem sił, by odwrócić głowę.

Podpierając się dłońmi, wstałem i zatoczyłem się w stronę opata. Ktoś mnie podtrzymał.

— Nie spodziewałeś się nas tutaj, Mordimerze, prawda? — zapytał opat bez uśmiechu.

Miał zmęczoną twarz i zauważyłem również, że lekko drżą mu ramiona. Walka z demonem musiała potężnie nadszarpnąć siły jego i wszystkich braci z Rady. Wiedziałem również, że wydobył mnie z otchłani, do której zmierzałem, kiedy nieopatrznie skrzyżowałem spojrzenia z demonem.

— Nie, ojcze — odparłem, pochylając głowę. — I przyznam, że, widząc, jak płomienie popielą ciała czcigodnych mnichów, pomyślałem, że wszystko już stracone...

— Człowieku małej wiary! — przerwał mi opat, ale tym razem na jego bladych wargach pojawił się cień uśmiechu. — To nie byli nasi ukochani współbracia, lecz przebrani w ich szaty więźniowie. Straciliśmy w ogniu demona dwunastu zatwardziałych heretyków oraz czarnoksiężników... Niewielka strata...

— Ach tak... — powiedziałem tylko, gdyż zadziwiły mnie zarówno przebiegłość opata, jak i szybkość, z jaką zdołano przeprowadzić maskaradę.

— Tylko brat Albert weseli się już w Królestwie Niebieskim, świeć Panie nad jego duszą — wtrącił stary mnich stojący obok opata.

Domyśliłem się, że mówi o młodym bracie będącym naszym przewodnikiem, i również się przeżegnałem, choć byłem tak osłabiony, że moja ręka z trudem usłuchała płynącego z umysłu rozkazu.

— Wiedział, że idzie na śmierć, i poddał się ochotnie woli Pańskiej — rzekł uroczyście opat. — Wspomnijcie wszak, że Pismo mówi: *Większej nad tę miłości żaden nie ma, aby kto duszę swą położył za przyjacioły swoje.*

Pomyślałem, że demon ukryty w Neuschalku, czy też raczej demon, który przybrał postać doktora teologii, był niczym brander wysłany, by zniszczyć wrogą flotę. Ale potem uzmysłowiłem sobie, że przecież straszliwy i porażający zmysły atak demona nie zaszkodził w niczym jemu samemu. A więc nie był on tajną bronią, desperatem wysłanym w samobójczej misji, narzędziem pozbawionym inteligencji oraz woli przetrwania. Jego zadanie polegało na zabiciu świątobliwych mnichów i wykorzystaniu ich śmierci w jemu tylko wiadomych celach.

— No cóż — powiedział opat z lekkim westchnieniem. — Dziękujmy Panu, że z próby, której raczył nas poddać, wyszliśmy nie tylko bez szwanku, ale i silniejsi niż kiedykolwiek.

Przez chwilę w komnacie panowała cisza, a zarówno ja, jak i towarzyszący mi mnisi pogrążyliśmy się w modlitwie oraz pobożnych rozmyślaniach. Pomyślałem sobie, że cuda zdziałałby teraz łyk gorzałki, ale ponieważ prośba o tego rodzaju przysługę wydawała mi się mocno niestosowna, więc zmilczałem.

— Opowiedz nam wszystko, co wiesz i co widziałeś, Mordimerze — rozkazał opat.

Nie ukrywając niczego, przedstawiłem całą historię, tak jak ją zapamiętałem, od czasu spotkania z Neuschalkiem w kościele w Gorlitz, aż do przybycia pod bramy klasztoru. W trakcie opowieści wyjąłem zza pazuchy złomek strzały i wręczyłem go opatowi. Przyglądał się długo runicznemu drzewcu, po czym westchnął i podał je stojącemu za nim mnichowi.

— Kiedy domyśliłeś się, kim jest nasz gość, Mordimerze? — Zwrócił na mnie spojrzenie przenikliwych, jasnoniebieskich oczu.

— Nie wiem, kim jest czy kim był, ale z całą pewnością nie Casimirusem Neuschalkiem, czarnoksiężnikiem i doktorem teologii. To odgadłem niemal natychmiast — odparłem, starając się przezwyciężyć sztywność języka.

— A skąd ta wiedza? — Stojący niemal naprzeciwko mnie stary mnich zmrużył oczy i przyglądał mi się badawczo.

Przełknąłem ślinę i postanowiłem skupić myśli.

— Po pierwsze, demon nazywający siebie Belizariuszem. Cała rzecz wydała mi się podejrzana, gdyż nadto przypominała ludowe opowieści. Zadufany w sobie mędrek, wypowiadający głupawe życzenie, które obraca się przeciw niemu lub z którego nie ma żadnego pożytku... To było za grubymi nićmi szyte. A demon nazywający siebie Belizariuszem... — Pokręciłem głową i syknąłem, gdyż ruch ten wywołał łupnięcie w głębi czaszki. — W jego ofercie było zbyt mało finezji, jak na tak potężną istotę. Tak jakby, w rzeczy samej, pragnął, bym przypadkiem nie przyjął propozycji. Zacząłem podejrzewać, iż jest w zmowie z Neuschalkiem, ale sądząc po tym, co widzę teraz — kątem oka zerknąłem na postać uwięzioną w świetlistej kuli — ośmielam się przypuszczać, że był to jego demon służebny... Poza tym z pełną pokorą przyznaję, iż zdziwiła mnie nadmierna łatwość, z jaką zrezygnował z ataku na mnie.

— Pokora to godna szacunku. — Skinął głową mnich. — A dalej?

— Lęk przed tym kimś, kto nas ścigał. Prawdziwa, wyczuwalna w każdym calu groza. Z całą pewnością nie bał się tak ani demona, ani tym bardziej wizyty w waszym prześwietnym klasztorze. Musiałem więc zadać sobie pytanie: kim jest ślepa kobieta, która nas tropiła, i co oznaczają symbole na grocie, który omal nie zabił Neuschalka? Wtedy po raz pierwszy zrozumiałem, że być może ona jest powodem, dla którego szukał mojej pomocy. Ona, a nie Belizariusz...

— Strzała z łuku nie zabiłaby go — przerwał mi mnich. — Gdyż unicestwienie tego stwora ciemności jest ponad siły zwyczajnych ludzi czy broni przez nich stworzonej. Niewątpliwie jednak grot, dzięki zaklętej w nim mocy, dotkliwie by go poranił oraz pozbawił sił. A rana ta pokrzyżowałaby jego dalsze plany. Jeszcze coś?

— Sposób, w jaki Neuschalk powstrzymał stworzoną z wody istotę — odparłem. — Musiał użyć prawdziwych mocy, by wywołać w tak krótkim czasie tak silny płomień. Nie słyszałem o czarnoksiężniku, który w jednej chwili, bez wcześniejszych przygotowań, zdołałby osiągnąć tak imponujący efekt. Wtedy już poznałem, że mam do czynienia z kimś innym niż ze zwykłym demonologiem. Jednak nie przypuszczałem... — Zwróciłem wzrok na kupki popiołu pozostałe po trzynastu mężczyznach i na uwięzione w świetlistej kuli ciało demona.

— Że jest tak potężny? — poddał mnich.

— Ano właśnie. — Skinąłem głową. — Zdumiewające.

— Istotnie zdumiewające — wtrącił opat, przypatrując się wyrastającym z ramion demona wężom, które wściekle tłukły łbami o świetlistą zaporę. — Zważywszy na to, kim jest i skąd pochodzi.

Nie odezwałem się ani słowem, gdyż w klasztorze Amszilas nie zadaje się pytań, jeśli cię o to nie proszą. Wiedziałem, iż dowiem się wszystkiego, jeśli taka będzie wola mnichów.

— To Ażi Dahaka, zwany inaczej Zahhakiem, dawny król Persji. Pozwolił, by demon Iblis ucałował jego ramiona, a wtedy z ramion tych wyrosły dwa jadowite węże, które właśnie widzisz — rzekł opat, patrząc wprost na mnie.

Nawet drgnięciem powieki nie dałem poznać, jak bardzo zdumiały mnie wypowiedziane przez niego słowa. Szczerze mówiąc, gdybym usłyszał je z innych ust, wziąłbym mego rozmówcę za szaleńca. Węże, jakby słysząc, że o nich mowa (chociaż nie sądziłem, by było to możliwe), uderzyły w barierę ze zdwojoną siłą, wysuwając rozwidlone, długie języki. Zza świetlistej ściany nie dobiegały żadne dźwięki, ale wyobrażałem sobie wściekły syk, który musiał towarzyszyć uderzeniom.

— Ażi Dahaka próbował zwalczyć to, co początkowo uważał za chorobę, a Iblis, tym razem w postaci uczonego lekarza, podsunął mu myśl o odrażającej kuracji. Każdego dnia zabijano dwóch chłopców i ich mózgami karmiono owe węże. Taaak. — Opat machnął dłonią w stronę pogrążonego w letargu ciała. — Taka jest jego historia. Z króla stał się tyranem, z tyrana demonem. Na tyle potężnym, że nawet my nie byliśmy w stanie rozpoznać jego natury, zanim nie postanowił ukazać się w swej prawdziwej postaci...

— Wydawało mi się jednak, dostojny ojcze — wtrącił stary mnich — że Ażi Dahaka został uwięziony i, skuty nierozerwalnymi łańcuchami, ma czekać na dzień Sądu.

— Jak widać, już nie — westchnął opat. — Ale wiemy też od naszego zacnego Mordimera, że wysłano za nim Łowczynię. Szkoda, że zginęła...

Domyśliłem się, oczywiście, że mówi o ślepej kobiecie dysponującej niezwykłą mocą, którą zabiłem, kiedy stanęła na mojej drodze.

— Wybacz, święty ojcze — zwróciłem się do opata. — Ale czy nauka Kościoła nie uczy nas, że nie ma demonów rzymskich, perskich, egipskich lub walijskich, lecz wszystkie one są różnymi postaciami tych samych wrogich nam istot? A ludzie, w zależności od kraju, w którym żyją, inaczej sobie wyobrażają i inaczej nazywają byty, będące tak naprawdę emanacją potępionych aniołów, wywodzących się od samego szatana?

— Ha — parsknął stary mnich. — Tego ich teraz uczą w Inkwizytorium...

— I dobrze — odparł dobitnie opat. — Bo taka jest właśnie oficjalna nauka Kościoła i nie jesteśmy tu po to, by ją podważać...

— Możesz odejść, Mordimerze — powiedział do mnie. — Doceniamy twą pomoc i rozsądek, który kazał ci przygotować nas na wizytę nieproszonego, a jakże niebezpiecznego gościa.

Nie musiał dodawać, bym zachował wszystko w tajemnicy. I tak wiedziałem, że jeśli chcę żyć, muszę trzymać język za zębami. Jego Ekscelencja biskup Hez-hezronu otrzyma standardowy raport, mówiący o tym, że dnia tego a tego licencjonowany inkwizytor Mordimer Madderdin dostarczył do klasztoru Amszilas demonologa i czarnoksiężnika Casimirusa Neuschalka oraz polecił go opiece bogobojnych mnichów. Co się stało dalej, tego inkwizytor nie wiedział, a nawet wiedzieć nie powinien.

Zastanawiałem się tylko nad jednym. Czego szukał tak potężny demon w klasztorze Amszilas? Przecież jego celem nie mogło być tylko wymordowanie najbardziej uczonych mnichów, gdyż szkoda ta, choć wielka, nie byłaby nie do nadrobienia. A potęga klasztoru nie załamałaby się nawet, gdyby stracił dwunastu mężów potężnych wiedzą oraz świętością. Ażi Dahaka chciał wszcząć zamieszanie i panikę, aby w jakiś sposób je wykorzystać. Lecz właśnie: w jaki? Jaka rzecz, znajdująca się w klasztorze, budziła aż tak wielkie pożądanie demona? Wiedziałem, że nie zadam tego pytania, a nawet gdybym je zadał, nie sądzę, by ktokolwiek zechciał udzielić mi odpowiedzi. Zresztą kto wie, czy gdybym usłyszał ową odpowiedź, to nie żałowałbym serdecznie, iż przed otworzeniem ust nie ugryzłem się w język... Cóż, tak jak powiedziałem demonowi, każącemu zwać się Belizariuszem, są księgi, których nie tylko nie należy czytać, ale których nie powinno się nawet otwierać. Bo jeśli zadasz pytanie, uważaj: możesz usłyszeć odpowiedź. Szkoda, że niewielu ludzi pamięta o tej prostej prawdzie, naiwnie sądząc, że wiedza jest dobrem samym w sobie. A przecież ja sam o wielu rzeczach w mym życiu wolałbym nie wiedzieć oraz nie pamiętać, gdyż niosą za sobą tylko wspomnienie gorzkiego bólu. Być może jednak właśnie ta niechciana pamięć jest krzyżem dźwiganym na chwałę Pana, gdyż pamiętam, jak mój przyjaciel dramaturg, mistrz Ritter, zapisał: *co nas nie zabija, to nas uszlachetnia.* Szkoda tylko, że niezgodnie z wymową jego słów, w głębi mego serca, zawsze czułem się bardziej martwy niż szlachetny. Lecz cóż, nawet okręt o połamanych masztach musi płynąć dalej, choćby kurs wiódł go ku zgubie...

Przyklęknąłem i ucałowałem pierścień, który opat łaskawie wysunął w moją stronę.

— Niech Bóg kieruje twymi krokami, Mordimerze, i niech cię mają w opiece święci Aniołowie — rzekł uroczyście, kładąc mi na chwilę dłoń na głowie.

Poczułem ciepło oraz moc emanującą z jego palców. Przez chwilę krótszą niż mgnienie oka miałem wrażenie, że nie klęczę przed starym człowiekiem w burym habicie, lecz przed jakąś wyniosłą postacią, otuloną aureolą nieziemskiego światła. Ale zmrużyłem oczy i po chwili widziałem już tylko pobrużdżoną zmarszczkami twarz leciwego człowieka.

Ostatni raz spojrzałem w stronę kuli, w której tkwił Ażi Dahaka i na rozwścieczone węże o żółtych oczach, zajadle bijące łbami w barierę, z uporem godnym lepszej sprawy. Wiedziałem, że ten widok nieprędko uleci z mej pamięci. Wiedziałem też, że nieprędko przestanę zadawać sobie pytanie: czego szukał pochodzący z Persji demon w klasztorze Amszilas i kto go uwolnił oraz wysłał z tą nadzwyczaj niebezpieczną, złowrogą misją? Co oznaczały jego słowa o czymś „czego tak pieczołowicie strzeżecie od wieluset lat”? I wreszcie kwestia, która nie wydała mi się warta tego, by kłopotać nią dostojnych zakonników, lecz która dla mnie samego miała witalne znaczenie: dlaczego Neuschalk nie zabił mnie, kiedy pokonałem już Łowczynię? Czy sądził, że moje towarzystwo pomoże mu łatwiej dostać się do klasztoru? A może miał jakieś inne plany, które swym zasięgiem obejmowały mą skromną osobę? Nie podejrzewałem jednak, bym miał w najbliższym czasie okazję, zdolności oraz wiedzę, by na te właśnie pytania udzielić odpowiedzi. W końcu nie byłem nikim więcej jak prostym inkwizytorem, który nadzieję zbawienia czerpał nie ze szczególnej wiedzy oraz świętości, lecz jedynie z gorliwej służby Panu i ze słów świętego Piotra, mówiących: *Upokórzcie się więc pod mocną ręką Boga, aby was wywyższył w stosownej chwili.* A ja, niezależnie od nadziei tegoż wywyższenia, pragnąłem tylko służyć naszej świętej wierze oraz prawu i sprawiedliwości tak, jak je pojmowałem moim wątłym umysłem.

## Miecz Aniołów

Idzie za mną możniejszy niż ja,

którego nie jestem godzien.

Ewangelia św. Marka

Przy stole obok mnie bawili się pryszczaci czeladnicy katowscy i jeden z nich, rudowłosy młodzieniec z ogromnym nochalem, urywanym, bełkotliwym głosem tłumaczył, jak należy drzeć pasy z ofiary, by nie straciła przytomności, a nie daj Bóg życia.

Och, synu, pomyślałem, gdybyś trafił do mnie, nauczyłbym cię mistrzostwa w tej sztuce.

Choć nigdy nawet przez myśl nie przeszłoby mi, aby przechwalać się swymi zdolnościami. Bo też umiejętność sprawiania bólu i wyrządzania cierpienia, w moim wypadku, była tylko środkiem wiodącym do celu. Jeśli traficie kiedyś do kazamat pod klasztorem Amszilas lub lochów Inkwizytorium, to tylko, by nauczyć się lepiej kochać Boga. Kochać go tak długo, aż ziemskie żądze spłoną w oczyszczającym ogniu. Kochać go tak bardzo, by opowiedzieć o grzechach waszych synów, mężów, żon, przyjaciół, tych, których znacie, i tych, których poznać dopiero byście chcieli. O grzechach popełnionych i jedynie zamierzonych, gdyż wola popełnienia grzechu sama w sobie jest już grzechem.

Westchnąłem w myślach, gdyż oberża, w której gościłem, nie była wymarzonym miejscem dla pobożnych rozważań. Wszędzie rozchodził się smród gotowanej kapusty z grochem, kiepsko warzonego piwa i zapoconych ciał. Nie znosiłem tej karczmy i Bóg tylko raczy wiedzieć, dlaczego siedziałem w niej od kilku godzin, smętnie wypijając jeden kubek młodego wina za drugim. Wnętrze było pełne ludzi, gwarne i duszne. Kuchenna przypaliła groch i wszędzie teraz unosił się gryzący w oczy, smrodliwy dym. Ale nikt, oprócz mnie, nie zwracał na to uwagi. Myślałem, że chociaż się upiję. Ale po pierwsze, Pan obdarzył mnie w swej łasce mocną głową, a po drugie, można chyba było wychlać całe kwarty serwowanego tu cienkusza, by poczuć zamroczenie zmysłów.

— A miżdża Folkena wyrz-ucą — przerwał tokującemu czeladnikowi jego towarzysz. — Jużżż dwóch mu zzdechło na stole. Jegomoźdź kanonik byli bardzo niezadowoleni!

Mimo woli nadstawiłem ucha, bo również słyszałem o dwóch kolejnych niepowodzeniach Folkena. Nie miało to wiele wspólnego z moją pracą, ale wieści po prostu się rozchodzą. A Folken niedługo, zapewne, będzie przeszłością i wyląduje na stole własnych uczniów czy czeladników. Dwie śmierci pod rząd? Może to zmowa albo korupcja? Albo herezja? Oczywiście, żadna z tych trzech ewentualności nie wchodziła tak naprawdę w grę. Kat był pijany lub przepity, jak podobno często mu się ostatnio przytrafiało, i musiał się pomylić. Może w doborze narzędzi, a może nie zauważył, że przesłuchiwany powinien odpocząć lub zostać opatrzony? A może naruszył któreś z witalnych miejsc i spowodował krwotok lub zapaść? Cokolwiek było przyczyną dwóch zgonów, Folken znajdował się bardzo blisko niebezpiecznej linii, po przekroczeniu której człowiek staje się otoczoną przez wilki owieczką. A wilków ostrzących sobie zęby na pozycję mistrza katowskiej gildii na pewno znalazłoby się wielu. Choć, Bogiem a prawdą, nie była to pozycja godna pozazdroszczenia. Ciężka praca w fatalnych warunkach, ogromne ryzyko i całkowity brak szacunku oraz zrozumienia u bliźnich. Poza tym kaci nie przechodzili tak wyrafinowanego, długiego treningu jak inkwizytorzy i prędzej czy później popadali w pijaństwo lub folgowali sadystycznym żądzom. A zarówno jedno jak drugie nie sprzyjało prowadzeniu efektywnych przesłuchań.

Kaci w pewnym momencie zapominali, że tortura jest tylko środkiem do osiągnięcia celu, a nawet jeśli pamiętali, zwykle wydawało im się, że tym celem jest wydobycie zeznań. Nic bardziej błędnego, moi mili! Zeznania może wydobyć byle oprawca z dłutem i rozgrzanymi kleszczami w dłoniach. Zazwyczaj sama prezentacja narzędzi wystarczała, by większość ludzi zyskiwała nadnaturalną ochotę do prowadzenia rozmów i obszernego odpowiadania na każde zadane pytanie. Tymczasem to nie wydobyte torturami zeznania są uwieńczeniem naszej pracy! Oczywiście, one też się liczą, zwłaszcza kiedy przesłuchujący potrafi odsiać ziarno od plew. Ale ważne jest, by skruszony grzesznik przyznał się głośno do błędów i bez skrupułów ujawnił wspólników, żałując każdej spędzonej z nimi chwili. Liczą się jedynie łzy żalu, wylewane na oczach gawiedzi, szczere przyznanie do winy i przemożna, nieubłagana chęć odbycia pokuty.

To wszystko ma znaczenie nie tylko dla nas samych, dla naszej wiary oraz dla ochrony niewinnych. Ale również dla tego, co nazywamy zdrowiem społeczeństwa (jakkolwiek śmiesznie czy patetycznie by to brzmiało). Niepotrzebni nam są męczennicy, ginący za herezje z błyskiem odwagi i szaleństwa w oczach, niepotrzebne nam są obelgi, rzucane z głębi stosów na święty Kościół oraz jego sługi. My, inkwizytorzy, kochamy wszystkich (choć czasami jest to szorstka miłość), ale najbardziej tych, którzy, skruszeni, wyznają na głos winy i kajają się za grzechy, które popełnili, i grzechy, które popełnić tylko mogli. Z tych wszystkich powodów nie można tolerować, by winni ginęli w katowskich piwnicach. Ich śmierć ma być ceremonią. Jednocześnie smutną i radosną. Wzniosłą. Mają umierać pogodzeni z Kościołem oraz wiarą, przepełnieni miłością do inkwizytorów, którzy w pocie czoła prostowali kręte ścieżki ich życia. Dlatego też dni mistrza Folkena były policzone.

— Jak to zdechło? — zapytał kolejny czeladnik. — Zapił się znowu czy co?

— Ciii... — Rudowłosy syknął i rozejrzał się wokoło, ale po maślanym spojrzeniu poznałem, że niewiele już widzi. Na mnie nie zwrócił uwagi. — Nie wiadomo, co tam...

— A kimż-że oni byl-li?

— He-re-ty-cy. — Rudowłosy starał się mówić cicho, ale nie udało mu się to.

Ha, pomyślałem, heretycy. Ciekawe, czy to prawda. Gdyż do heretyków, czarowników i w ogóle wszelkiego rodzaju odstępców od wiary stosuje się szczególną miarę. Złodziej lub morderca może umrzeć w czasie przesłuchania. Ale nigdy nie powinno się to wydarzyć w wypadku heretyka lub bluźniercy. Tymczasem Folken miał pecha i to właśnie dwóch zatwardziałych heretyków umarło w jego pracowni. Jegomość kanonik, o którym mówił katowski czeladnik, był jednym z zaufanych biskupa Hez-hezronu, człowiekiem od brudnej roboty. Tak jak i ja. Tyle, że kanonik nie miał pojęcia o ściganiu odstępców, a za to bardzo, ale to bardzo chciał się wykazać.

Kompetencje duchownych i nas — inkwizytorów — nigdy nie zostały precyzyjnie rozgraniczone. Wszystko w zasadzie zależało od humorów Jego Ekscelencji, a on umiejętnie lawirował, sprzyjając raz tym, a raz tamtym i spokojnie wysłuchując wzajemnych żalów oraz skarg. Na domiar złego, w niektórych przypadkach dochodziły specjalne pełnomocnictwa, wydawane przez Ojca Świętego, które dodatkowo zaciemniały i tak już niejasny obraz.

Od sprawy, którą tak niemiłosiernie zawalił mistrz Folken, inkwizytorzy zostali odsunięci. Okazało się, że niesłusznie. Być może pewną rolę w tym wszystkim odegrało przyjęcie, na którym Folken chlał aż do rana, a po krótkim, pijackim śnie musiał zabrać się do pracy. Nie zdziwiłbym się też, gdyby do wina dosypano mu pewnych ziół. W każdym razie słyszałem, że na przesłuchanie przybył ledwo przytomny, a dłonie drżały mu tak, że musiał jedną z nich przytrzymywać drugą. A w takim stanie kiepsko się korzysta z bardzo precyzyjnych narzędzi i trudno też zagrać stosowną melodię na tak delikatnym instrumencie, jakim jest ludzkie ciało. Taaak, biskup Hez-hezronu zapewne poważnie się zastanowi, zanim powierzy następną sprawę kanonikowi, i odsunie tych, którzy herezją oraz bluźnierstwami powinni się zajmować z uwagi na pieczołowite wyszkolenie, jakie przeszli w naszej przesławnej Akademii. Uśmiechnąłem się lekko do własnych myśli, bo wyobraziłem sobie kanonika kajającego się przed gniewnym obliczem biskupa. A biskup potrafił być naprawdę bardzo nieprzyjemny, zwłaszcza kiedy chwytały go ataki podagry.

Kim byli dwaj ludzie, którzy tak niefortunnie ulegli słabościom mistrza Folkena? Niespecjalnie się tym interesowałem. Miałem wystarczająco dużo własnych problemów, a od pewnego czasu biskup ostentacyjnie okazywał mi niełaskę, co miało fatalny wpływ na stan moich finansów. Oczywiście, zawsze mogłem dorobić, przyjmując pewne zlecenia, ale pech chciał, że kilka propozycji dotyczyło pracy poza miastem. Tymczasem Jego Ekscelencja kazał mi codziennie meldować się w kancelarii i codziennie odchodziłem z niej z kwitkiem. Biskup wiedział, jak utrafić mnie w słabiznę, i bezlitośnie to wykorzystywał. A ja, rzecz jasna, nie mogłem nic z tym fantem począć. Koncesja zobowiązywała mnie do bezwzględnego posłuszeństwa i nawet nie chciałem myśleć, co stałoby się, gdybym nie stawił się któregoś ranka w biskupim pałacu. Mogłem się tylko zastanawiać, czy biskupia niełaska miała coś wspólnego z raportami ze Stolicy Apostolskiej, które zapewne trafiły do kancelarii, a które, jak się domyślałem, opisywały moją działalność w niezbyt przychylnym tonie.

Wychyliłem następną szklaneczkę cienkiego wina i znowu zerknąłem w stronę czeladników. Rudowłosy kucał pod stołem i wydawał odgłosy, świadczące o tym, że słaby żołądek nie tolerował nadmiernych dawek trunku, a jego dwaj kompani siedzieli, wpatrując się bezmyślnie w pozalewany winem i sosami blat stołu. Uznałem, że nic więcej już nie usłyszę, więc wstałem i wyszedłem, gdyż smród spalenizny stawał się nie do wytrzymania, zwłaszcza dla osoby o tak czułym powonieniu jak moje.

###### \* \* \*

Kiedy wychodziłem z pokoju, zaczepił mnie Korfis, właściciel gospody i weteran spod Schengen.

— Dzień dobry, Mordimerze — powiedział z uśmiechem na szerokiej twarzy.

— Dla kogo dobry, dla tego dobry — odparłem.

Pokiwał głową ze zrozumieniem.

— A dokąd to z samego rana?

— Korfis, zastanów się, dokąd ja mogę iść z samego rana? Na pokazy cyrkowców? Do burdelu? A może poprzyglądać się statkom w porcie? Jak myślisz?

Niestety, moja jakże celna i błyskotliwa ironia nie dotarła do niego. Korfis był człekiem dzielnym, zacnym, lecz serdecznie głupim. Oczywiście, posiadał pewien właściwy jego pochodzeniu i zawodowi spryt, który pozwalał mu dość swobodnie unosić się na mętnych wodach Hez-hezronu. Prowadził nieźle prosperującą gospodę i z tego, co wiedziałem, zamierzał wykupić drugą, gdzieś na samych rogatkach miasta. Tak, tak, pomyślałem sobie, prędzej Korfis przeniesie się do domu z ogrodem w dzielnicy bogaczy niż uczyni to wasz uniżony sługa.

— Idę do Jego Ekscelencji — powiedziałem ze znużeniem. — Tak jak wczoraj, przedwczoraj i tydzień temu. I mam nadzieję, że wrócę na obiad.

Biskup zwykle miał na tyle przyzwoitości, że zaraz po południu posyłał jednego z kancelistów, aby doniósł mi, że w dniu dzisiejszym moje usługi nie będą potrzebne. No, ale „zwykle” nie znaczy „zawsze”. Nie raz i nie dwa czekałem aż do zachodu słońca, narażony na szydercze lub współczujące spojrzenia urzędników. Wreszcie biskup wychodził i spoglądał na mnie z dobrze udawanym zdumieniem.

— O, Mordimer — mówił. — Czyżbyś na coś jeszcze czekał?

A jeśli miał akurat atak podagry, to patrzył tylko na mnie bez słowa, jak na psie łajno, i wzruszał ze zniecierpliwieniem ramionami. W każdym razie, jedno i drugie oznaczało, że wreszcie mogę iść do domu. Jednak w końcu miało się okazać, że antyszambrowanie w biskupiej kancelarii nie jest zupełnie bezowocne.

Poranek był piękny, słoneczny i bezwietrzny, a smród stołecznych rynsztoków silniejszy niż zwykle. Aby dotrzeć do pałacu biskupa, musiałem przejść obok rybnego targu i odór ranił tam powonienie waszego uniżonego sługi, który wszak przyzwyczaił się, że na świecie istnieją inne zapachy niż aromat róż oraz pierwiosnków. Na ulicach było jak zawsze gwarno i tłoczno. Najczęściej ubieram się zupełnie zwyczajnie, jak średnio zamożny mieszczanin, i nie widzę powodów, by wszyscy mieli widzieć inkwizytorskie insygnia. Ale w takim tłoku, kiedy człowiek jest bez przerwy popychany, łajany i obrzucany przekleństwami, chciałoby się pokazać wyszyty na czarnym kaftanie srebrny, inkwizytorski krzyż z połamanymi ramionami. Wiadomo, że wokół od razu zrobiłoby się cicho i pusto. Większość ludzi, zwłaszcza ci, którzy nas nie znali (oraz ci, którzy poznali aż nazbyt dobrze), odczuwała przed nami głęboki lęk. A przecież nie byliśmy strażą burgrabiego czy tajną policją biskupa, zabierającą na chybił trafił ludzi z ulic i domów. Działaliśmy jak dobrze wyprofilowane narzędzie, uderzając tylko tam, gdzie uderzyć trzeba. Nie interesowały nas oszustwa, kradzieże, fałszerstwa, ba, nawet morderstwa. Szukaliśmy ludzi sprzyjających herezji, odprawiających czary, podważających wiarę w słowa Pisma lub sprzeciwiających się woli Kościoła. A jednak zawsze wokół nas robiło się pusto. Korfis, mimo że od pewnego czasu nie płaciłem za pokój oraz utrzymanie, tak naprawdę był zadowolony z obecności inkwizytora, gdyż dzięki temu jego gospoda była jedną ze spokojniejszych w mieście. A to z kolei napędzało klientów, którzy mieli ochotę przespać się bez strachu, że obudzą się pozbawieni dobytku lub zgoła nie obudzą się wcale.

Hez-hezron jest wielkim miastem. Mówi się, że mieszka tu na stałe pięćdziesiąt, może nawet sześćdziesiąt tysięcy ludzi. Ale iluż podróżnych, kupców, wagabundów, cyrkowców, bardów, złodziei, zbiegłych chłopów, szukających lepszego życia, czy służących pozbawionych pana, przybywa z prowincji i innych miast? Któż wie, ilu ludzi tak naprawdę tłoczy się na ulicach, w dokach, w karczmach i pałacach Hez-hezronu? Może sto tysięcy, a może sto pięćdziesiąt? Dlatego też jedynie garstka mogła rozpoznać mnie po twarzy. My, inkwizytorzy, wolimy stać w cieniu i nie rzucać się ludziom w oczy. Z tego też powodu, jak już wspomniałem, popychano mnie, przeklinano, szarpano, a jakiś złodziejaszek próbował oderżnąć mi sakiewkę. I to wreszcie wyrwało mnie z nostalgicznego zamyślenia. Przytrzymałem go, pchnąłem sztyletem pod serce i wrzuciłem z powrotem w tłum. Nie wydał nawet jęku, gdzieś za moimi plecami opadał na ziemię, przytrzymywany czyimiś ramionami. Nikt nie zauważył zajścia. Wieczorem ront miejskiej straży zawlecze obdarte ze wszystkich cennych rzeczy ciało do kostnicy, skąd grabarze wywiozą je za mury miasta zaprzężonym w woły wozem. Każdej nocy takie wozy, wyładowane ciałami, zmierzały za rogatki i chowano, w wielkich wspólnych mogiłach, wszystkich tych, którzy zdechli z głodu, chorób, starości lub pchnięci nożem. Miejsce to nazywano Dołami i nawet ja niechętnie zapuściłbym się tam po zmroku. W sprawach skrytobójstw rzadko wszczynano śledztwa, chyba że chodziło o kupców, należących do cechów, czy szlachtę. No i, oczywiście, księży. Czasami też uniwersytet upominał się o śledztwo w sprawie pomordowanych skolarzy, ale zwykle sami byli sobie winni, gdyż żakowskie bractwa potrafiły być dużo bardziej niebezpieczne niż złodziejskie bandy.

Wytarłem ostrze sztyletu i włożyłem go z powrotem do pochwy przy pasie. Zabijanie ludzi nie było dla mnie chlebem powszednim, ale nie widziałem też powodów żałować ludzkich śmieci, które bezsensownie tłoczyły się na ulicach metropolii. Zresztą, kto napatrzył się tyle na śmierć, co ja, temu stawała się już ona niemal obojętna. A poza tym byłem rozgoryczony tym, jak traktował mnie biskup, i być może stąd wzięła się pewna naganna pochopność w moim postępowaniu. W każdym razie odmówiłem krótką modlitwę za spokój duszy człowieka, który miał nieszczęście przed chwilą umrzeć. Zresztą, czyż tak naprawdę nie oddano mu przysługi? W końcu nadzieja na zbawienie więcej była warta od bezsensownego życia, które wiódł na ulicach Hezu.

W końcu dotarłem do pałacowych bram, gdzie strażnicy przepuścili mnie bez słowa na tereny należące do biskupa. Starannie wyżwirowana aleja ciągnęła się wśród wysokich cyprysów, rzucających długie, chude cienie. Słyszałem szczęk nożyc ogrodników przycinających bukszpanowe żywopłoty, wystylizowane na zwierzęce kształty, oraz cichy szmer fontann. Na terenie biskupich ogrodów powietrze było świeże, ożywcze i z radością można je było wdychać pełną piersią. Biały pałac biskupa Hez-hezronu jaśniał w słońcu, a jego pokryte srebrem kopuły biły odbitym blaskiem, jak rozpalone w ogniu. Kancelaria mieściła się w dwupiętrowym budynku, przylegającym zachodnim bokiem do pałacu. Przy schodach stało następnych dwóch strażników, w kolczugach ukrytych pod szerokimi płaszczami i z dwumetrowymi halabardami w dłoniach. Tak jak poprzedni, spojrzeli tylko na mnie przelotnie i bez słowa przepuścili do środka. Zdążyli się już przyzwyczaić do mojego widoku.

Biura samego biskupa znajdowały się na pierwszym piętrze i tam właśnie codziennie czekałem na terenie wewnętrznej kancelarii. Od apartamentów Gersarda dzieliła mnie raptem jedna para drzwi. Usiadłem sobie spokojnie na drewnianej ławie i skinąłem głową pracującemu za biurkiem kanceliście.

— Jego Ekscelencji jeszcze nie ma, inkwizytorze Madderdin — powiedział. — I nie wiem, czy dzisiaj będzie.

— Cóż — westchnąłem. — Poczekam.

Pokiwał głową i z powrotem zanurzył się w papierach, które zebrały się w pokaźny stos na blacie jego biurka. I wtedy do środka wszedł z rozmachem nie kto inny jak sam dostojny kanonik. Za nim pędziło dwóch czarno ubranych kleryków o bladych twarzach, a każdy dźwigał jakieś księgi i zwoje.

— Jego Ekscelencji nie ma — oznajmił sucho kancelista i z tonu głosu wywnioskowałem, że nie przepada za księdzem.

— Zaczekam — warknął kanonik i wtedy jego wzrok padł na mnie.

Odpowiedziałem mu spojrzeniem, nie wstając z ławy, a on patrzył na mnie i coraz bardziej czerwieniał.

— Inkwizytorze Madderdin — huknął w końcu. — Może byście wstali, widząc dostojnika Kościoła?

— Wystarczy, jak wy stoicie, drogi kanoniku — powiedziałem i rozparłem się wygodniej.

Znad papierów usłyszałem ciche parsknięcie kancelisty. Ale kanonik nie mógł odpuścić. W końcu dwóch jego ludzi przysłuchiwało się tej rozmowie.

— Madderdin — syknął. — Natychmiast stąd wyjdź i zaczekaj pod drzwiami. Wszędzie się wciśnie ta inkwizytorska hołota... — dodał, obracając się do swych pomocników.

Ciekaw byłem, czy któryś z moich braci-inkwizytorów posłuchałby tego wszawego rozkazu. Ksiądz chyba naprawdę tracił cierpliwość albo rozum, skoro zdążał do tak prymitywnej konfrontacji. Ale źle wybrał obiekt prześladowań. Najzupełniej wystarczy, że waszym uniżonym sługą pomiatał Jego Ekscelencja biskup. Tak więc powiedziałem kanonikowi, gdzie może wepchnąć sobie swoje polecenia, oraz w krótkich, żołnierskich słowach wyjaśniłem mu, kim byli jego matka oraz ojciec, i w jaki sposób matka potrafiła obsłużyć trzech klientów na raz. Z tego wszystkiego nie usłyszałem, że drzwi szczęknęły i w progu stanął biskup. Ale musiał być w dobrym humorze, bo tylko się roześmiał.

— Witaj, Mordimerze — rzekł wesoło. Minął księdza kanonika, który miał tak czerwoną twarz, jakby zaraz miał paść na apopleksję. — Dobrze że już jesteś, mój chłopcze o niewyparzonym języku.

Zerwałem się na równe nogi.

— Do usług, Wasza Ekscelencjo — odparłem, pochylając się w ukłonie.

— No, chodź do mnie — zezwolił łaskawym tonem, a potem spojrzał w stronę kanonika. — Jak skończymy, to cię wezwę — oznajmił sucho.

Biurowe apartamenty biskupa były urządzone nader skromnie. W pierwszym pokoju znajdował się półkolisty stół i szesnaście zdobionych krzeseł. Tutaj odbywały się wszelkie większe narady i spotkania. Nawiasem mówiąc, odbywały się bardzo rzadko, bo biskup nie znosił rozmawiać w tłumie i wolał krótkie spotkania w cztery, a najwyżej sześć oczu. A one odbywały się w drugim pokoju, gdzie tkwiło ogromne, palisandrowe biurko. Miało tak wielki blat, że mogłoby być pokładem średniej wielkości łodzi. Biskup zasiadał przy jednym jego krańcu (obok rzeźbionych lwich głów), a swych gości sadzał na drugim krańcu. W pokoju znajdowały się jeszcze tylko dwie wypchane papierami sekretery, ciągnący się przez całą ścianę regał pełen ksiąg oraz maleńka, przeszklona szafka, w której lśniły kryształowe kielichy i butla lub dwie dobrego wina. Powszechnie było wiadomo, że biskup lubił od czasu do czasu raczyć się winkiem i niekiedy miał kłopoty z wychodzeniem z kancelarii o własnych siłach.

— Jak tam, Mordimerze? — spytał, kiedy zezwolił już mi usiąść. — Znudziła ci się bezczynność?

— Lubię być przydatny, Wasza Ekscelencjo — odpowiedziałem grzecznie.

— Wiem, wiem. — Parsknął krótkim śmieszkiem i zakręcił pierścieniem na palcu. Podobno w oku tego pierścienia był okruch głazu, na który nastąpił nasz Pan, schodząc z krzyża swej męki. — Być może coś by się dla ciebie wreszcie znalazło.

Nadstawiłem uszu. Taka obietnica mogła oznaczać zarówno dobry zarobek, jak i mnóstwo kłopotów, połączonych z narażaniem życia.

— Masz w Hezie tych swoich chłopców? — zapytał biskup.

— Nie, Wasza Ekscelencjo, otrzymali zlecenie poza miastem i nie ma już ich od miesiąca.

— Hmmm. — Biskup z namysłem potarł bulwiasty, błyszczący nos. — No to będziesz musiał poradzić sobie sam. — Spojrzał na mnie, jakby oceniał moje siły.

— Do usług Waszej Ekscelencji — odrzekłem pewnym głosem.

— Tak, tak — westchnął. — Tylko, żebyś się później nie tłumaczył splotem nieszczęśliwych okoliczności. — Pogroził mi żartobliwie palcem.

Spojrzał w stronę szklanej szafeczki, gdzie pyszniły się kryształowe kielichy oraz butelka wina, i westchnął, odwracając wzrok.

— Wiesz, że mleko rzeczywiście pomaga? — zapytał. — Na te moje cholerne wrzody. Miałeś rację, synku. — Zamyślił się przez chwilę. — Znasz sprawę Folkena? — zagadnął krótko.

— Nie, Wasza Ekscelencjo — odparłem, zadowolony, że biskup tak dobrze zapamiętał moją jakże prostą i jakże skuteczną receptę. — Inkwizytorzy nie zajmowali się śledztwami, które prowadził mistrz Folken pod nadzorem księdza kanonika.

— To ja wiem najlepiej — burknął biskup. — Sam przecież powierzyłem je temu tam. — Machnął dłonią w stronę drzwi, mając na myśli czekającego za drzwiami kanonika. — A on nie umiał nawet dopilnować kata! Łajdak!

Wstał, znowu ciężko wzdychając, i podszedł do jednej z sekreter. Wyciągnął cieniutki zwój papierów i rzucił go na blat.

— Zapis śledztwa prowadzonego przeciwko dwóm heretykom — powiedział. — Obaj pochodzili z południa, z klasztoru Braci Ubogich, w Pellerin. To dziwna sprawa, Mordimerze. — Zabębnił palcami po blacie, a jego wzrok błądził gdzieś nad moją głową. — Przyjrzyj się dobrze zeznaniom i donieś mi jutro, co o tym wszystkim sądzisz.

Jego spojrzenie wróciło w moją stronę.

— Jakieś pytania?

— Czy mistrz Folken jest w stanie nadającym się, by go przesłuchać?

— Nie — odparł krótko biskup. — Niestety, nie.

No cóż, to wiele wyjaśniało. Pytanie tylko brzmiało, czy mistrz Folken został nieudolnie przesłuchany (co byłoby kolejnym skandalem), zdechł z opilstwa, czy też, przerażony widmem procesu, popełnił grzech samobójstwa. Postanowiłem zapytać o to biskupa, chociaż zastanawiałem się, czy zechce mi odpowiedzieć. Ale jednak!

— Mordimerze. — Biskup zastukał nerwowo knykciami w blat. — Folken leży w lazarecie, a jego stan jest... hem, hem, ciężki...

— Dlaczego przepytano go w taki sposób? — zapytałem, starając się nie ujawniać emocji ani tego, co myślę o podobnym braku profesjonalizmu.

— Szkopuł w tym, że jego nie przesłuchiwano — wyjaśnił Gersard ponurym tonem. — Po prostu wpadł w letarg, na który lekarze nie mogą nic poradzić. Leży i ani drgnie. Jak kłoda. Jak martwy.

No, no, pomyślałem, czyżby moi szlachetni koledzy inkwizytorzy przedawkowali ziółka wsypane do Folkenowego dzbanka?

— Dobrze już. — Jego Ekscelencja machnął ręką. — Idź, Mordimerze. Aha, chłopcze, jak tam stoisz z finansami?

Uśmiechnąłem się smutno w odpowiedzi, chociaż samo pytanie świadczyło o życzliwości biskupa. Co mu się w ogóle stało? Skąd ten dzień dobroci dla waszego uniżonego sługi?

— Tak jak myślałem — powiedział biskup gderliwie. — Dlaczego wy, młodzi, nie potraficie docenić materialnych wartości, co? Ustatkuj się, Mordimerze. Weź sobie za żonę jakąś przyzwoitą dziewczynę, zamieszkaj we własnym domu... Bo co to za mieszkanie po karczmach, chłopcze? Co to za miłostki z nierządnicami?

No, proszę. Jego Ekscelencja biskup Hez-hezronu interesował się życiem biednego inkwizytora. Grajcie, surmy anielskie! Co prawda Tamila, którą biskup łaskawie określił jako nierządnicę, była w rzeczywistości właścicielką drogiego i popularnego domu schadzek, ale wiadomości miał Gersard w miarę dokładne, gdyż rzeczywiście łączył mnie i ową damę pewien bliższy związek natury nie tylko duchowej. Można jednak powiedzieć, że wiele godzin zajmowały nam pobożne praktyki, gdyż Tamila potrafiła poświęcić mnóstwo umiejętności oraz czasu temu, którego zwała „moim wielkim, cudownym bogiem”. Nie powiem, by było to niemiłe grzesznej próżności biednego Mordimera.

— Ech. — Biskup wziął kawałek pergaminu, nabazgrał coś na nim, złożył zamaszysty podpis i posypał inkaust piaskiem. — Idź z tym do skarbnika, tylko nie przechlaj od razu wszystkiego i żebym nie słyszał, że się ciągle zabawiasz w burdelach. A potem skargi, że wy, inkwizytorzy, nic nie robicie prócz ochlejstwa i chędożenia.

Mogłem się domyślić, skąd pochodziły te pełne jakże jadowitego fałszu doniesienia, i pomyślałem sobie, że wdzięczną historyjkę o mojej rozmowie z kanonikiem puszczę w miasto. W Hezie plotki szybko się rozchodzą, więc ksiądz na pewno usłyszy ją nieraz i to w uatrakcyjnionej formie.

— No. — Podał mi pergamin. — Z Bogiem. Swoją drogą, Mordimerze. — Uśmiechnął się promiennie. — Ty to dopiero masz niewyparzoną gębę. Twoje szczęście, mój chłopcze, że kocham cię jak rodzonego syna, którego nie mogłem nigdy mieć z uwagi na powołanie Bożej służby...

Skłoniłem się nisko i wziąłem pod pachę protokoły z przesłuchań. Ostatnie słowa biskupa trochę mnie zmroziły, gdyż jego życzliwość mogła być równie niebezpieczna, co niechęć. A może nawet groźniejsza.

— Przyjdź, kiedy już będziesz gotowy — rzekł jeszcze, gdy stałem przy drzwiach. — I wyjaw, co o tym wszystkim sądzisz. Aha, a temu tam za drzwiami przekaż, żeby czekał, póki go nie wezwę.

— Oczywiście, Wasza Ekscelencjo.

Za drzwiami kanonik siedział na ławie i gotował się ze złości.

— Księże kanoniku — powiedziałem łagodnym tonem. — Jego Ekscelencja prosi...

Kanonik zerwał się z miejsca.

— ...żebyś nie ruszał stąd dupy, póki nie raczy cię wezwać — dokończyłem głośno i usłyszałem kolejne parsknięcie kancelisty.

Wyszedłem na schody, bardzo zadowolony z siebie, i rozwinąłem pergamin. Biskup nabazgrał tam kilka wielce niewyraźnych zdań, ale za to dokładnie zobaczyłem sumę, jaką kazał wypłacić skarbnikowi. A było to trzysta koron. Mój Boże, trzysta koron! Jego Ekscelencja musiał chyba zachorować. Były takie czasy, kiedy suma trzystu koron nie robiła na mnie wrażenia, ale w tej chwili była jak zbawienie. Tak to już jest, że kiedy masz kaca, to z przyjemnością sięgniesz nawet po cienkie winko, które w chwilach powodzenia kazałbyś karczmarzowi wlać za karę do gardła. Zresztą, trzysta koron w każdych czasach to było trzysta koron. Można było za tę sumkę w Hezie przeżyć i pół roku (a skromnie nawet rok), co oznaczało, że wasz uniżony sługa co najmniej przez najbliższy miesiąc będzie miał co jeść i co pić, a może nawet popłaci najpilniejsze zobowiązania. Szczodrość biskupa była naprawdę zdumiewająca i łudziłem się, że to moje wielodniowe wyczekiwanie w kancelarii zmiękczyło twarde serce Jego Ekscelencji.

Dotarłem do karczmy, w której wynajmowałem pokój, i starałem się omijać tłum. W zasadzie nie muszę lękać się złodziejaszków, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże. W końcu mogłem trafić na jakiś złotopalcy talent, a utrata trzystu koron bardzo by mnie zabolała.

Korfis wygrzewał się na ławie przed karczmą, wystawiając twarz na promienie słońca.

— Praca wre — powiedziałem na przywitanie.

Otworzył leniwie oczy.

— Mordimer. — Uśmiechnął się. — Wcześnie dzisiaj.

— Ano — przytaknąłem. — Przypomnij: ile ci jestem winien?

Otworzył oczy jeszcze szerzej.

— Nie mów, że masz pieniądze! — prawie krzyknął.

— Wiesz, Korfis, nie wszyscy w Hezie muszą o tym wiedzieć. — Pokręciłem głową. — Chodź do mojego pokoju.

Wdrapaliśmy się po trzeszczących schodach. Pokój, który wynajmowałem, znajdował się na końcu korytarza, a prowadziły do niego cztery strome stopnie. Drzwi były zamykane na solidny zamek, ale z doświadczenia wiedziałem, że wprawny włamywacz bardzo szybko by sobie z nim poradził. Tyle, że w środku niewiele znajdowało się cennych rzeczy. Szczerze mówiąc, w ogóle nie było w nim cennych przedmiotów. Może za wyjątkiem oficjalnego inkwizytorskiego stroju: czarnego kubraka z wyhaftowanym złamanym srebrnym krzyżem, czarnego płaszcza i równie czarnego kapelusza o szerokim rondzie. Ale nie sądziłem, by znalazł się śmiałek, który skradłby mi mój uniform. W końcu za podawanie się za inkwizytora groziły kary tak surowe, że nawet największego zuchwalca mogły przyprawić o drżenie łydek. Poza tym na podłodze piętrzyły się książki, które dostałem w podarunku od zacnego mistrza drukarskiego Maktoberta, a jeden stosik zastępował nawet nogę od rozchwierutanego zydla. Jeszcze tylko łóżko, stolik, krzesło, oliwna lampka, skrzynia z odzieżą na zmianę — i to był cały majątek biednego Mordimera. Usiadłem na krześle, a Korfis rozsiadł się na łóżku, które niebezpiecznie zatrzeszczało pod jego ciężarem.

— Wychodzi mi czterdzieści pięć koron, Mordimerze — powiedział.

— Którędy ci wychodzi, przyjacielu? — zapytałem.

— Jedzenie i picie. — Wystawił sękaty paluch z obłamanym, poczerniałym paznokciem. — Kwatera. — Wystawił drugi. — Poza tym sprzątanie i opierunek. — Wyprostował dwa następne.

— Och, Korfis, nie nudź — odparłem. — Powinienem ci jeszcze kazać dopłacić za to, że w tej brudnej norze mieszka inkwizytor. Miałeś ostatnio kradzieże albo bójki? Grungal z „Pękniętej Beczułki” daje mi pokój i wyżywienie za darmo, żebym tylko chciał u niego zamieszkać, ale pełno tam szczurów, a ja nie lubię, jak w środku nocy budzą mnie szczury. Grungal mówi, że one jedynie chcą powąchać kogoś nowego. Szkoda tylko, że dziwnym trafem zmysł węchu mają ulokowany w zębach, co? — Roześmiałem się z własnego dowcipu.

Korfisa jakoś nie rozbawiło moje poczucie humoru. Złożył palce i westchnął.

— Ty, Mordimerze, zawsze tak wszystko obrócisz, żeby było po twojemu — powiedział. — A czy wiesz, chłopie, ile samego wina mi wyżłopałeś? Przecież ja ci już nawet liczę wszystko po kosztach!

Nie miał szans wzbudzić we mnie litości. Ktoś, kto buduje właśnie drugą karczmę, nie zasługuje na to, by użalać się nad stanem jego mieszka. A poza tym wino w gospodzie zanadto zalatywało wodą. Korfis był na cztery nogi kuty, pomimo głupkowatego wyglądu. Pozory mylą. Wyciągnąłem z kieszeni dwie pięciokoronówki i złotego dukata, czyli mniej więcej połowę tego, czego na początku żądał Korfis.

— Trzymaj, stary — powiedziałem. — Niech ci będzie na zdrowie z moją stratą.

Korfis skrzywił się, ale pieniądze przyjął. Popróbował dukata zębami i uśmiechnął się.

— Niech będzie moja krzywda. — Machnął dłonią.

Kiedy już wyszedł, postanowiłem niezwłocznie zabrać się za lekturę protokołów przesłuchań. Już wczoraj zauważyłem, że pisarz skrobał jak kura pazurem, ale na szczęście w naszej przesławnej Akademii Inkwizytorium uczono również odcyfrowywania podobnych gryzmołów. W końcu moi nauczyciele doskonale wiedzieli, że pisarze nie raz i nie dwa zbyt chętnie umilali sobie przesłuchania butelczynami wina lub gorzałki. Zwłaszcza, jeśli w czasie śledztwa nie było pilnującego ich inkwizytora.

Usiadłem przy stole, zapaliłem lampkę i pogrążyłem się w lekturze, wiedząc, że jestem pierwszym inkwizytorem, który ma okazję zapoznać się z protokołem. Czytałem i w miarę lektury coraz trudniej było mi uwierzyć własnym oczom. Znałem różnorakie herezje, część z nich sam tępiłem, o części słyszałem z ust mniej lub bardziej skruszonych grzeszników. Ale nie sądziłem, że herezja, którą niegdyś wykryłem w miasteczku Gewicht, powróci do mnie w samym Hezie. Plugawe bluźnierstwo zataczało coraz szersze kręgi.

— Nasz Pan, Jezus Chrystus, umarł na krzyżu, by odkupić nasze grzechy... — mówił jeden z mnichów.

„Wzburzenie wśród przesłuchujących”, zanotował pisarz na marginesie. I nie dziwię się, sam bym się wzburzył. Przecież aż nadto mieliśmy świadectw, iż Pan zszedł z Golgoty i wraz ze swymi Apostołami wyrżnął pół Jerozolimy, jak to niezbyt elegancko, acz zgodnie z prawdą, ujął niegdyś drukarski mistrz Maktobert. „Nie pokój, lecz miecz wam przyniosłem” — powiedział Pan i miał całkowitą rację, gdyż motłoch uwalniający Barabasza zasługiwał tylko, by ofiarować mu szybką śmierć.

— ...lecz w jego ciało wszedł — ciągnął dalej heretyk — fałszywy Chrystus, Bestia O Dziewięciu Głowach, który wraz z otumanionymi Apostołami opanował Jerozolimę...

„Wzburz”, a potem tylko gryzmoł — tyle zdążył zapisać przesłuchujący. Następnie dopisek: „po upływie dwóch pacierzy przesłuchanie wznowiono”. Ciekawe, co oni robili w czasie tej przerwy? — zadałem sobie pytanie. Bili przesłuchiwanego? Byłoby to bardzo nieprofesjonalne, ale kto wie? Spojrzałem na listę obecnych przy przesłuchaniu. Cztery osoby: przewodniczący sądu ksiądz kanonik Odryl Bratta, pisarz sądowy Sigmond Hausmann, mistrz katowski Folken. Cztery? A gdzież się podziała czwarta? Przyjrzałem się uważnie pergaminowi, ale nie było na nim śladów skrobania, wymazywania ani skreśleń. Ten szczegół musiał umknąć uwagi czytających protokoły. Poza tym, cóż mógł oznaczać dopisek: „wzburzenie wśród przesłuchujących”? Nie wyobrażacie sobie chyba, że kat Folken mógł zostać nazwany przesłuchującym, albo że śmiałby tak o sobie napisać pisarz sądowy, który nie miał prawa zadawania pytań oskarżonym. Płynął z tego jeden wniosek: ktoś towarzyszył księdzu kanonikowi. Ale kto był tą czwartą osobą i dlaczego jej imienia nie wymieniono w protokole?

Nalałem sobie kubeczek wina, wypiłem do połowy i zamyśliłem się głęboko. Cóż, być może reszta protokołu wyjaśni moje wątpliwości? Może to tylko pomyłka spowodowana roztargnieniem pisarza. Ale z drugiej strony dość dziwne było wymienienie z imienia mistrza Folkena, a niewymienienie jednego z sędziów. Jednego z dwóch sędziów. Kim był, że ominięto go w oficjalnym protokole? Folkena nie miałem co pytać, gdyż nieprzytomny leżał w lazarecie, ale byli jeszcze przecież ksiądz kanonik i pisarz sądowy. Kanonik musiał wiedzieć, kto towarzyszył mu w składzie sędziowskim, i będzie zmuszony podzielić się ze mną tą wiedzą. Chcąc nie chcąc, gdyż w tej chwili byłem gończym pieskiem samego biskupa, co oznaczało, że dostojny Odryl Bratta mógł sobie mnie nienawidzić, ale musiał grzecznie odpowiadać na wszelkie pytania, jakie tylko zechcę mu zadać. Jednak uznałem, że dużo zręczniej będzie, jeśli wpierw przepytam Sigmonda Hausmanna, którego bazgroły miałem właśnie nieprzyjemność czytać. Nie słyszałem nigdy przedtem o tym człowieku, ale niby skąd mogłem wiedzieć, kto akurat był pisarzem sądowym? Sądziłem jednak, że stosowne informacje otrzymam w Inkwizytorium, którego kancelaria zawsze starała się pieczołowicie prowadzić księgi osobowe.

###### \* \* \*

Tak jak się spodziewałem, w Inkwizytorium odnalazłem potrzebne mi dokumenty, choć może kilka zdań dołączonych na świstku pergaminu trudno nazwać dokumentem. Sigmond Hausmann nie zdążył się bowiem odznaczyć niczym szczególnie dobrym ani szczególnie złym, a cała notka sprowadzała się do faktu, że od trzech miesięcy służył w charakterze pisarza sądu biskupiego, został oddelegowany do pracy u kanonika Bratty i mieszkał z matką przy jednej z ulic na nabrzeżu, nieopodal targu rybnego. Westchnąłem w myślach, żałując, że znowu będę musiał przejść przez ten targ, ale uznałem, że z Hausmannem lepiej spotkać się w jego domu, gdyż to pozwoli nam odbyć spokojną rozmowę, bez ingerencji postronnych osób.

Wydawało mi się, że pod dom Hausmanna udało mi się przenieść cały smród rybnego targu, ale były to zapewne tylko moje obawy, gdyż nie widziałem, by ktokolwiek z ludzi siedzących przed kamienicą krzywił się czy zatykał nos na mój widok. Inna rzecz, że sąsiedzi sądowego pisarza nie należeli, przynajmniej sądząc po wyglądzie, do osobników o nadmiernie wyrafinowanych gustach i nie grzeszyli szczególną elegancją.

— Sigmond Hausmann, gdzie go znajdę? — Końcem buta trąciłem stopę jednookiego dziadka, który właśnie zajmował się wyciskaniem sobie wrzodów spomiędzy palców dłoni.

W odpowiedzi usłyszałem kilka zdań, które świadczyły o tym, że zaczepiony przeze mnie żebrak nie miał wysokiego zdania ani o mojej matce, ani o mnie samym.

— Na piętrze po lewo! — zawołał jakiś zasmarkany dzieciak, przemykając obok.

Pchnąłem drzwi i wszedłem do ciemnej, dusznej sieni, przesyconej odorem uryny i kału. Cóż, wiedziałem, że pisarzy sądowych nie opłacano dobrze, ale nie sądziłem, że aż tak źle. Inna rzecz, iż Hausmann pracował w tym zawodzie krótko i nie zdążył jeszcze nabrać odpowiedniej ilości łapówek, które pozwoliłyby mu zamienić lokum na nieco znośniejsze. Wdrapałem się po trzeszczących, stromych schodach i zgodnie ze wskazówkami dzieciaka skręciłem w lewo. Przy wąskim okienku w końcu korytarza siedziała młoda, rozczochrana kobieta o zniszczonej twarzy i karmiła piersią dziecko.

— Szszsz, gryzie mały skurwiel — mruknęła, widząc mnie, i uderzyła dziecko palcami w policzek. Niemowlak się rozwrzeszczał.

— Sigmond Hausmann — powiedziałem. — Wiecie, gdzie mieszka?

Ruchem głowy wskazała drzwi, przy których właśnie stałem.

— Ale on chory — rzuciła, kiedy już się odwracałem.

— A na cóż to chory?

— Matki Hausmanna zapytajcie. — Wzruszyła ramionami i znowu boleśnie syknęła. — Jak to mu się żreć chce, patrzcie no! — powiedziała zajadłym tonem, spoglądając na dziecko niemal nienawistnym wzrokiem. — Jego ojciec był taki sam. Tylko dawaj mu żryć ciągle...

Słowo „był” w jej ustach podsunęło mi myśl, że mężczyzna znalazł sobie już jadłodajnię z nieco kulturalniejszą obsługą, co niewątpliwie świadczyło o jego roztropności. Zastukałem do drzwi, które mi wskazała, a kiedy nikt się nie odezwał, pchnąłem je mocno. Otworzyły się, gdyż nikt nie zadał sobie fatygi, by zamknąć je choćby na skobel. Z wnętrza uderzył mnie zaduch jeszcze silniejszy niż w korytarzu, widać nikt nie kłopotał się tutaj otwieraniem okien. Ba, nie odmykano nawet okiennic, gdyż w izbie panował mrok i musiałem przez chwilę przyzwyczajać wzrok, by w ogóle cokolwiek dostrzec.

— Kto tu? — usłyszałem starczy, zmęczony głos, który równie dobrze mógł należeć do kobiety, jak i do mężczyzny.

Postąpiłem kilka kroków i szarpnąłem okiennice. Drgnęły ze skrzypnięciem, a ja teraz mogłem dokładnie przyjrzeć się wnętrzu. Całe mieszkanie składało się z jednej izby, w której kącie leżał zmierzwiony barłóg. Leżał na nim nieruchomo śmiertelnie blady młodzieniec o długich, czarnych i zlepionych potem włosach. Tuż obok przycupnęła zgarbiona, stara kobieta, wyglądająca niczym pomarszczony grzyb o siwym kapeluszu.

— Sigmond Hausmann? — zapytałem, pokazując podbródkiem chorego.

— A kto wy jesteście? — zaskrzeczała w odpowiedzi. — Nie płacę żadnych długów, nic nie mam...

— Odpowiadajcie na pytania — warknąłem. — Czy to jest Sigmond Hausmann?

— Jest, jest — odparła. — Umiera łobuz... — Przy ostatnim słowie chlipnęła i przetarła oczy brudnym rękawem kaftana.

— Co mu jest?

— A co wy, dochtór jesteście? — Znowu zebrało jej się na pytania.

— Przysłał mnie biskup — odpowiedziałem.

I nieopatrzne były to słowa, gdyż stara natychmiast zerwała się z godną pozazdroszczenia chyżością i przypadła do moich nóg.

— Lekarza, panie, błagam was, lekarza. Ja juże nic nie mam, a za darmo kto tu przyńdzie...

— Dajcie pokój. — Wyszarpnąłem się z jej objęć. — Odpowiadajcie na pytania!

Znowu skuliła się w kącie i szponiastymi palcami objęła kolana.

— Co chcecie wiedzieć, panie?

— Na co choruje wasz syn?

— Abo tam kto wie — parsknęła. — Leży tak kilka bożych dni i ani drgnie, ani się odezwie.

Zbliżyłem się do barłogu z obrzydzeniem, bo smród kału i moczu był tam szczególnie silny, a z rozerwanego siennika wystawały wiechcie brudnej słomy. Dotknąłem szyi Hausmanna. Tętnica pulsowała. Wolniej i słabiej niż u zdrowego człowieka, ale jednak. Poza tym widziałem, jak co pewien czas wątła pierś pisarza podnosi się w spokojnym oddechu. A więc niewątpliwie żył, tyle że jego stan do złudzenia przypominał chorobę mistrza Folkena, o której wspominał biskup. Zdumiewające, że obaj mieli te same objawy, i przez chwilę zastanawiałem się, czy to nie jakaś nowa choroba, której nabawili się chociażby od przesłuchiwanych. Cofnąłem się o dwa kroki i machinalnie wytarłem dłoń w płaszcz.

— Nic nie mówił przez sen? — spytałem. — Nie majaczył?

— Nie, panie. — Pokręciła głową. — Leży jak martwy, a ja nawet nie wiem, co robić, kogo by o pomoc błagać? Może wy, panie...

Zostawiłem ją w izbie jęczącą i biadolącą, bo uznałem, że nic więcej się nie dowiem. Cóż, Sigmonda Hausmanna należało zapewne spisać na straty, podobnie jak mistrza Folkena. Zostawał mi więc tylko trzeci, znany z protokołów, świadek przesłuchania — sam kanonik Bratta. Nie powiem, abym pałał przemożną chęcią rozmowy z tym ambitnym, zarozumiałym i bezczelnym człowiekiem, zwłaszcza że sam byłem znany z pokornej skromności. Ale jako oficjalny śledczy Jego Ekscelencji miałem tym razem nad kanonikiem przewagę, wynikającą ze stopnia służbowej hierarchii. Niemniej, nie żywiłem szczególnej nadziei, że będzie próbował mi pomóc w rozwikłaniu zagadki. Rzecz jasna, biskup Gersard chciał upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Po pierwsze, dążył do rozwiązania tajemniczej sprawy, ale po drugie, zamierzał dodatkowo skłócić duchownych z inkwizytorami. Szczerze mówiąc, nie widziałem w tym specjalnego sensu, gdyż nienawidziliśmy się i tak wystarczająco mocno i uczucia tego nie trzeba było dodatkowo podżegać.

###### \* \* \*

Kanonik Odryl Bratta (cóż to w ogóle za imię i nazwisko, mili moi? Czyż słyszał ktoś o świętym Odrylu?) urzędował zwykle w kancelarii, nieopodal katedry pod wezwaniem Chrystusa Mściciela. Katedra była jednym z najbardziej imponujących gmachów w Hez-hezronie, budowano ją zresztą przez niemal dwadzieścia lat, a złośliwi twierdzili, że każda jej cegła jest przesiąknięta krwią robotników. W twierdzeniu tym było sporo przesady, gdyż nie sądzę, by w czasie prac zginęło więcej niż kilkudziesięciu budowniczych. Być może legenda o ciążącej na katedrze klątwie wywołana została śmiercią głównego architekta, nie przypominałem sobie teraz jego nazwiska, który zginął przeszyty szklanymi złomkami z rozbitego witraża. Swoją drogą, czyż nie była to śmierć godna zapamiętania oraz anegdoty? Żadne tam prostackie uderzenie cegłą w głowę, tylko wypadek na wskroś przesiąknięty artystycznym duchem!

Katedra miała trzy różnej wysokości wieże, a w każdej wieży dzwon o odmiennym tonie oraz, na wieży środkowej, ogromny zegar, w którym co godzina pojawiało się jedenastu apostołów, a co dwanaście godzin figurka Jezusa Chrystusa przebijała mieczem figurkę Judasza Iskarioty. I były to widowiska gromadzące nie tylko tłumy przyjezdnych, ale nawet mieszkańcy Hezu chętnie oglądali je po raz dziesiąty i setny. I można było mieć nadzieję, że nie przyciąga ich jedynie pragnienie płochej rozrywki, lecz również chęć wzięcia symbolicznego udziału w triumfie dobra nad złem. Zapewne właśnie takie było zamierzenie rzemieślników, którzy zegar ten skonstruowali na zamówienie poprzedniego biskupa Hez-hezronu.

Budynki kancelarii były położone za głównymi murami katedry i skryte w starannie pielęgnowanym ogrodzie. Zwykłemu człowiekowi nie było się tam łatwo dostać bez odpowiednich zezwoleń, ale oficjalny strój inkwizytorski, który przywdziałem na tę okazję, skutecznie powstrzymywał strażników od wszelkich pytań. No cóż, jakoś tak się już przyjęło, że to nie my, inkwizytorzy, jesteśmy od udzielania wyjaśnień.

— Kanonik Bratta. Jest w kancelarii? — zagadnąłem przechodzącego obok księdza w obszarpanej na brzegach sutannie.

— J-jest — odpowiedział dopiero po chwili, wpatrzony w srebrny, połamany krzyż wyhaftowany na moim kaftanie.

— W swoim biurze?

— Tak... Chyba tak...

Skinąłem mu głową i poszedłem dalej. Na księdza kanonika natknąłem się, kiedy właśnie wychodził z gabinetu. Gdy mnie zobaczył, i to w dodatku ubranego w strój służbowy, otworzył szeroko oczy. Wydawało mi się, że również zbladł, choć może były to tylko moje pobożne życzenia.

— Nie spieszcie się, kanoniku — powiedziałem serdecznie — bo, niestety, zajmę wam chwilę...

Bez słowa otworzył drzwi i wszedł pierwszy, zapraszając mnie do środka niedbałym gestem dłoni. Miał bardzo szczupłe i bardzo jasne palce, a na środkowym nosił skromny pierścień z szarym kamykiem w środku.

— Co was sprowadza? — zapytał, siadając na rzeźbionym krześle pod oknem i nie proponując mi, bym również usiadł. Zrobiłem więc to bez jego zezwolenia.

— Służba — westchnąłem. — A konkretnie polecenie Jego Ekscelencji, aby zbadać sprawę, która się toczyła przeciwko heretykom, a w której uczestniczyli mistrz Folken i pisarz Hausmann. A wyście byli, jak mniemam, prowadzącym przesłuchania...

Znowu bez słowa skinął głową. Ale potem wciągnął głęboko powietrze.

— Skoro Jego Ekscelencja was przysyła, nie mam innego wyboru, jak z wami rozmawiać. Lecz chcę, abyście wiedzieli, jak bardzo obrzydliwe jest mi wasze towarzystwo. — Spojrzał na mnie wzrokiem, który zapewne miał być przesycony pogardą, ale ja, o dziwo, zobaczyłem w nim przede wszystkim zaniepokojenie.

— Nie przyszedłem tu z wami rozmawiać, lecz was przesłuchać — rzekłem ostrzejszym tonem. — Chyba że życzycie sobie dostać oficjalne wezwanie do Inkwizytorium. A wasz stosunek do mnie nie ma żadnego znaczenia dla sprawy...

Oczywiście, dla persony tak ważnej jak kanonik katedralnej kapituły Jezusa Mściciela wezwanie do Inkwizytorium nie stanowiło żadnego zagrożenia. Przecież i tak nie moglibyśmy go poddać rutynowemu, połączonemu z torturami, przesłuchaniu bez specjalnego zezwolenia biskupa, a nawet z tym zezwoleniem kanonik miałby prawo odwoływać się do powagi samego Ojca Świętego. Ale wizyta w Inkwizytorium, gdzie powszechnie nim pogardzano, z całą pewnością nie przypadłaby mu do smaku.

— Pytajcie więc — powiedział oschle i zatarł dłonie, pomimo że dzień był upalny, a w gabinecie panowała duchota.

— Kto był z wami w czasie przesłuchania oprócz Folkena i Hausmanna?

— Nikt. — Wzruszył ramionami. — To było tylko wstępne śledztwo.

Nie skomentowałem tego stwierdzenia, ale nie ukrywam, że się zdziwiłem. Nawet jeśli Bratta łgał, to jak mógł sądzić, że nie zapoznam się z protokołem spisanym przez Hausmanna, który to protokół ujawniłby to kłamstwo?

— Co się stało z przesłuchiwanymi?

— Ten pijaczyna. — Zgrzytnął zębami. — Bóg mi świadkiem, powinienem poznać, że ledwo trzyma się na nogach... — Mówił oczywiście o Folkenie, co nadal nie tłumaczyło całej sytuacji.

— A więc Folken najpierw popełnił błąd i zabił jednego więźnia, a wy bez słowa sprzeciwu pozwoliliście mu torturować drugiego, którego również wykończył? Czyż nie tak?

Odryl Bratta zacisnął usta tak mocno, że zamieniły się w prostą, różową krechę, wręcz w nienaturalny sposób przecinającą jego twarz.

— Popełniłem błąd — wysyczał.

— Gdzie są w tej chwili ciała? Z jakiego powodu przesłuchiwani umarli... — Uniosłem dłoń. — Wiem, wiem, że ich torturowano, ale chcę wiedzieć, co takiego zrobił Folken, iż tortura zamieniła się w wyrok? Czy wezwano medyka, a jeśli tak, to gdzie znajduje się jego raport?

Kanonik wstał z miejsca, a krzesło, na którym do tej pory siedział, przesunęło się z hurkotem.

— Nie muszę odpowiadać na wasze pytania — rzekł wściekle. — Zwłaszcza zadawane takim tonem!

— Nie przychodzę tu z własnej woli — odparłem łagodnie. — Przypominam wam, księże kanoniku, iż zostałem przysłany przez biskupa Hez-hezronu, a wierzcie, że się o taką misję wcale nie prosiłem. Im więc szybciej załatwimy sprawę, tym lepiej i dla was, i dla mnie. Powinniście wszak wiedzieć, że biskup lubi dostawać odpowiedzi na pytania, które zadaje. Szybkie i trafne odpowiedzi...

— Tak, tak — wymruczał. — Macie rację — przyznał po chwili, choć przyszło mu to z trudem. — Zakończmy rzecz jak najszybciej.

— A więc?

— W wypadku pierwszego z więźniów ciężko mówić o winie Folkena — powiedział kanonik. — Wiecie pewnie z własnej praktyki, iż zdarzają się ludzie słabego zdrowia, których sam widok narzędzi oraz przygotowania do tortur mogą doprowadzić do zgonu...

— To prawda — przyznałem, gdyż mnie samemu zdarzył się podobny wypadek, kiedy na stole umarł przesłuchiwany, zanim zdążono go nawet dotknąć.

— Dlatego i tylko dlatego pozwoliłem Folkenowi kontynuować, gdyż w pierwszym wypadku nie znalazłem jego błędu.

— No a drugi?

— Wiecie, jest taki stół z dośrubowywaną płytą do zgniatania... — Spojrzał na mnie pytająco, czy wiem, o co chodzi, a ja skinąłem głową.

— Folken docisnął za mocno śruby i udusił tego człowieka...

— Na miecz Pana — warknąłem. — Przecież tego błędu nie powinien nawet zrobić zwykły uczeń, a co dopiero mistrz katowskiej gildii!

— Podobno pił z wami całą noc... — Kanonik rzucił na mnie kose spojrzenie.

— Nie wiem, z kim pił, bo ze mną na pewno nie — odparłem lodowatym tonem. — Co zrobiono z ciałami?

— Wywieziono do Dołów. — Wzruszył ramionami. — Jak zwykle. Przedwczoraj wieczorem.

— Jak zwykle, drogi kanoniku — powiedziałem zjadliwie — to przeprowadza się obdukcję i spisuje stosowny raport. Szkoda, iż w tym wypadku nie dochowano procedur.

— Nie jesteśmy zobowiązani waszymi procedurami — rzekł i widziałem, że jest wściekły, choć próbuje się hamować.

— Mniejsza z tym. — Machnąłem dłonią. — Co się stało, to się nie odstanie — dodałem wielkodusznie. — Chciałbym jednak się dowiedzieć, dlaczego mistrz Folken i pisarz Hausmann leżą w letargu i zapewne niedługo umrą? Czy przesłuchiwani byli chorzy? Czy mogli ich czymś zarazić?

— Nic mi o tym nie wiadomo — odparł.

— Dziwne, że nie boicie się, iż was może dotknąć podobna przypadłość — powiedziałem wolno, patrząc mu prosto w oczy. — Dwóch ludzi, którzy uczestniczyli w tym samym przesłuchaniu co wy, właśnie umiera, a wy nie macie żadnych obaw?

— Pokładam wiarę w Panu — odrzekł, nie cofając wzroku.

— To godne podziwu — powiedziałem i wstałem z krzesła. — Pokornie wam dziękuję, księże kanoniku, że raczyliście odpowiedzieć na moje pytania. W raporcie dla Jego Ekscelencji nie omieszkam zaznaczyć, iż wykazaliście wiele dobrych chęci...

Poczerwieniał ze złości, ale nic nie odpowiedział. Kiedy wychodziłem, obrócił się ostentacyjnie w stronę okna. Ja tymczasem szedłem wolno przez katedralny ogród i zastanawiałem się, co powinienem uczynić w całej tej paskudnej sprawie. Oczywiście, mogłem wziąć za dobrą monetę słowa kanonika, wysmażyć stosowny raport dla Jego Ekscelencji i mieć problem z głowy. Jednak musiałem przedtem postawić sam sobie kilka pytań. A najważniejsze z nich brzmiało: czy biskup pragnął, bym pognębił kanonika, czy też wręcz przeciwnie, chciał, by Inkwizytorium oficjalnie zamiotło całą sprawę pod sukno? Jeśli to drugie, to mogło się okazać, że dodatkowe dochodzenie z mej strony będzie gorzej niż niemile widziane.

Jednak nie ukrywam, że kierowała mną też nader grzeszna ciekawość i ciągle zadawałem sobie pytanie: kim była czwarta, obecna w czasie przesłuchania osoba? I dlaczego Odryl Bratta zaprzeczał, aby ktokolwiek znajdował się w sali tortur oprócz kata oraz pisarza? Kogo krył ksiądz kanonik? Chyba że niedoświadczony pisarz Hausmann pomylił się, spisując protokół. Ale, mój Boże, przecież nie był na tyle niedoświadczony, by nie umieć zliczyć do czterech! No i ostatnia sprawa: cóż takiego się wydarzyło, że zarówno pisarz, jak i kat znajdowali się na pograniczu życia i śmierci? I czy ich stan naprawdę miał związek z przesłuchaniem? Wierzyłem, bowiem, w niespodziewane zbiegi okoliczności, gdyż moje życie dało mi tej wiary aż nazbyt wiele powodów (czasami ku mej radości, a czasami ku szczeremu ubolewaniu). Dlatego nie zamierzałem z góry wykluczać żadnej możliwości.

Mogłem kazać śledzić kanonika lub pofatygować się, by samemu zostać jego aniołem stróżem, ale nie sądziłem, by był na tyle durny (nawet jeśli był zamieszany w pozaprawne machinacje), aby w najbliższym czasie zdradzić się z czymś podejrzanym. Z drugiej strony, znana jest prawda mówiąca, że nawet najsprytniejsi przestępcy wpadają, popełniając najgłupsze błędy. A poza tym Odryl Bratta był człowiekiem pysznym i pewnym siebie. Czy w ogóle więc przypuszczał, by Inkwizytorium ośmieliło się go śledzić? Na razie postanowiłem jednak skierować się w inną stronę i odwiedzić miejsce, gdzie dwaj oskarżeni mnisi znaleźli wieczny spoczynek. Chodziło, rzecz jasna, o Doły. To niemiłe miejsce, mili moi, a wierzcie mi, że jeśli wasz uniżony sługa określa jakieś miejsce słowem „niemiłe”, to zwykły człowiek naprawdę nie powinien w nim szukać szczęścia. Zresztą, nawiasem mówiąc, Doły zaczynały żyć dopiero po zmroku, ale było to życie, hmmm... jakby to powiedzieć, wielce specyficzne. Jednak teraz, w blasku dnia, mogłem mieć nadzieję, że zdołam porozmawiać z kimś, kto zechce udzielić mi wyjaśnień, oraz nie narażę się na niepotrzebne kłopoty, których w Dołach nie brakowało.

###### \* \* \*

Doły leżą już za murami Hez-hezronu, daleko poza głównym traktem, ale prowadzi do nich niezła, bita droga, choć w czasie opadów rozjeżdżona kołami wozów. Można powiedzieć, że przy Dołach powstała wręcz osada ludzi, którzy żyją ze zmarłych. Kopaczy grobów, woźniców i, przede wszystkim, cmentarnych hien. Wokół tego wszystkiego włóczyli się drobni handlarze, dziwki najgorszego sortu, bimbrownicy i inna hołota. Co prawda trupy zwykle były już obdzierane ze wszystkich cennych rzeczy w samym Hez-hezronie, ale pomysłowość ludzka nie znała granic. Chodziły nawet plotki, że istniała grupa hien powiązana z gildią rzeźników i dostarczająca im odpowiednio już sprawione ludzkie mięso, ale miałem nadzieję, że nie ma w tych informacjach nawet ziarna prawdy. Chociaż pamiętałem też, że zarówno biskup, jak i burgrabia wszczęli w tej sprawie głęboko utajnione śledztwo, które jednak niczego nie wykazało. Przyznam też, że kiedy przypominałem sobie o tym problemie, to nawet cielęcina lub jagnięcina wydawały się smakować inaczej niż zwykle...

Wiedziałem, że w Dołach niepodzielnie rządził Kuno Tausk, nazywany Żabą, ale nigdy nie miałem okazji spotkać tego człowieka. Lecz to on właśnie decydował, gdzie słać kolejne transporty trupów i gdzie kopać następne groby. On też pilnował porządku, mając za pomocników zgraję obwiesiów spod ciemnej gwiazdy, którym płacono za służbę z miejskiej kasy. Pilnował, zresztą, podobno żelazną ręką, gdyż nikt mu nie wtrącał się do pracy i można powiedzieć, że na Dołach był władcą udzielnym, od którego wyroków nie było odwołania.

Oczywiście podstawowym zadaniem Tauska i powodem, dla którego opłacano go z budżetu miasta, było zadbanie o bezpieczny pochówek. Nikt przecież nie chciał, aby z Dołów rozeszła się zaraza, która szybko sięgnęłaby samego Hezu...

Tausk urzędował w kwadratowym, ceglanym domu tuż obok drogi. Wejścia pilnowało dwóch ludzi wyglądających tak, że nikt zapewne nie chciałby ich zobaczyć w ciemnej uliczce. Ale na widok inkwizytorskiego stroju szybko stracili rezon i stali się bardzo pokorni.

— Pan Tausk jez u siebie — oznajmił jeden z nich ugrzecznionym tonem. — Pozwólcie no, panie, zaprowadzę...

Izba, w której zastałem Tauska, była czysta i zadbana, a sam zarządca siedział przy porządnie nakrytym stole i raczył się winem oraz ciastkami. Kiedy mnie zobaczył, wstał z miejsca.

— Witam uniżenie — rzekł. — Cóż sprowadza mistrza Inkwizytorium w moje skromne progi?

Wiedziałem już, dlaczego nazywają go Żabą. Był niski, krępy, miał niezdrową, zielonkawą cerę, wyłupiaste oczy i rozszerzające się ku dołowi, zwisające podgardle. Naprawdę, w każdej chwili można się było spodziewać, że wskoczy na najbliższe krzesło i zarechocze lub zakumka.

— Jestem Mordimer Madderdin — przedstawiłem się uprzejmym tonem. — Licencjonowany inkwizytor Jego Ekscelencji...

— Słyszałem o was, słyszałem — powiedział, patrząc na mnie oczami, które wydawały się w ogóle nie mrugać. — W czym wam mogę usłużyć? — zapytał i jednocześnie machnął niedbale dłonią, dając znak podwładnemu, by ten opuścił izbę.

— Przyznam, że potrzebuję pańskiej pomocy — rzekłem. — Choć sprawa, z którą przychodzę, nie jest łatwa...

— Siadnijcie no se, mistrzu. — Wskazał mi krzesło. — Wina? Ciasteczek?

— Chętnie — powiedziałem, sięgając po kielich.

— Tu, w Dołach, nie ma prostych spraw — stwierdził, a ja zastanawiałem się, kiedy wreszcie mrugnie. Było coś nienaturalnego w tym jego martwym, obojętnym spojrzeniu. — Ale zawsze chętnie pomogę naszemu kochanemu Officjum, zwłaszcza że też nam dostarcza trochę zajęcia...

Uśmiechnąłem się lekko, aby dać poznać, że rozumiem i doceniam wypowiedziany przed chwilą uroczy żarcik.

— Więc mówcie, mistrzu... — Wreszcie mrugnął, ale znowu skierował na mnie pozbawione jakichkolwiek emocji spojrzenie.

— Dwa dni temu przesłuchiwano, niestety z opłakanym skutkiem, dwóch mnichów. Ich ciała powinny zostać przywiezione z aresztu miejskiego przedwczoraj wieczorem lub w nocy. A ja chciałbym te ciała obejrzeć...

Przyglądał mi się długą chwilę.

— Z całym szacunkiem, mistrzu — rzekł w końcu. — Ale wiecie, ile ja dostaję ciał każdego ranka...

— Właśnie — przerwałem mu. — Ranka. A te zwłoki dostarczono wieczorem.

— No to już coś — przyznał niechętnie. — Z miejskiego aresztu, mówicie?

Skinąłem głową.

— Mogę popytać moich ludzi — rzekł, nie ruszając się z miejsca.

— Uczyńcie tak, z łaski swojej — poprosiłem.

— Ale i ja ośmielę się mieć do was prośbę, jeśli łaska — powiedział.

No tak, pomyślałem, tego właśnie powinieneś się spodziewać, biedny Mordimerze. Nic nie ma za darmo na tym nienajlepszym ze światów.

— Słucham uważnie — rzekłem.

Tym samym zgodziłem się na jego warunki: przysługa za przysługę, chociaż i ja wiedziałem, i on wiedział, że mogłem po prostu nakazać mu pomoc w śledztwie. Ale w takim wypadku zapewne nie wyniósłbym z Dołów żadnej znaczącej informacji.

— Jeden z moich pomagierów zaszalał z pewną dziewczynką — powiedział głosem bez wyrazu, a jego twarz cały czas pozostawała nieruchoma. — Pech chciał, że przyłapali go ludzie burgrabiego i wtrącili do lochu. Niech im będzie, loch mu się należy. Ale jeden z waszych — zrozumiałem, że ma na myśli inkwizytorów — zamierza oskarżyć go z ramienia Świętego Officjum. A to już rzecz... poważniejsza.

— A cóż ma do tego Święte Officjum? — zdumiałem się. — Nie interesują nas ani cudzołóstwa, ani gwałty. Chyba że — zmarszczyłem brwi — sprawa dotyczy krewniaczki któregoś z inkwizytorów. Wtedy, wybaczcie mi, nie dam rady nic zrobić, nawet gdybym chciał.

— Nie, nie — zaprotestował niemrawo. — Widzicie, ta dziewczynka nie była zupełnie żywa, kiedy się z nią zabawiał — wyjaśnił. — Rzekłbym nawet, że była całkowicie martwa...

— Ach tak — powiedziałem po chwili.

To wyznanie nie zrobiło na mnie wrażenia, gdyż bliźniacy, którzy towarzyszyli mi w wielu podróżach, również lubili towarzystwo kobiet spokojnych i trupio zimnych. Cóż to komu może zaszkodzić? Przecież kiedy dusza człowieka oddala się przed Tron Pański, na ziemi pozostaje już tylko martwa powłoka. Możemy brzydzić się podobnymi zachowaniami, lecz czy mamy je potępiać? Oczywiście, była to tylko moja opinia, gdyż Kościół, w swej niezmierzonej mądrości, miał na ten temat odrębne zdanie, które z całym szacunkiem respektowałem.

— Nie mogę wam nic obiecać — rzekłem w końcu. — Ale uczynię co w mojej mocy, aby oddalić oskarżenie od tego człowieka.

— To mi wystarczy — odparł i kiwnął głową tak powolnym ruchem, jakby bał się, że głowa ta może mu odpaść od szyi. — W końcu jesteście przyjacielem przyjaciół, mistrzu Madderdin, i słyszałem, że wasze słowo nie dym.

— Pokornie dziękuję za zaufanie — powiedziałem.

— Trzeba sobie ufać w tych ciężkich czasach — westchnął i zamrugał powiekami, tym razem aż dwa razy pod rząd.

Czasami cuda się zdarzają, mili moi. Nie obiecywałem sobie wiele po wizycie w Dołach, a jednak... Okazało się, że jeden z pracowników Tauska świetnie pamięta, że przywieziono ciała z miejskiego aresztu, i wiedział nawet, gdzie je zakopano.

— Przymknę oko na to, że nie macie stosownego zezwolenia — powiedział Tausk, patrząc wprost na mnie, a ja zrozumiałem, że spodziewa się, by doceniono jego przychylność.

— Pokornie dziękuję — odparłem raz jeszcze.

— Drobiazg — rzucił i mógłbym powiedzieć, że niedbale machnął dłonią, gdyby nie fakt, że dłoń ta poruszała się tak majestatycznie, jakby był władcą pozdrawiającym wiwatujące tłumy.

Czekaliśmy na skraju wykrotu, a pracownicy Tauska pilnie kopali. Kiedy dogrzebali się do zwłok, pomachałem dłonią przed nosem. Całe szczęście, że ciała były w miarę świeże i odór zgnilizny jeszcze nie był specjalnie intensywny. W dole znajdowało się kilkanaście zwłok, ale grabarz pamiętał, które z nich przywieziono z miejskiego aresztu. Wywlekli je na górę, a ja kucnąłem nad trupami.

— Nie widać, by ich torturowano — stwierdził Tausk, a ja nie mogłem nie zgodzić się z tym wnioskiem.

Jednak nie to było najważniejsze. Po pierwsze, obaj mężczyźni mieli włosy na głowie i ciele, a jedną z podstawowych zasad przesłuchania jest golenie podsądnych, tak by diabeł nie mógł ukryć się we włosach i pomagać swym wyznawcom. Oczywiście, był to przesąd czy może raczej pozbawiony znaczenia zwyczaj, ale jednak powszechnie stosowany, zwłaszcza kiedy przesłuchania prowadzili księża... My, inkwizytorzy, nie przykładaliśmy do golenia specjalnej wagi, gdyż doskonale zdawaliśmy sobie sprawę, że Zły kryje się w umysłach i sercach ludzi, a nie w ich włosach. Druga rzecz: obaj zakonnicy mieli na skórze znamiona oraz pieprzyki, a nie znalazłem żadnych śladów świadczących o tym, by miejsca te nakłuwano igłami, zgodnie z prawem oraz obyczajem. I trzecia, najważniejsza, sprawa: ani jeden, ani drugi mnich nie mieli wygolonej tonsury, a ich włosy były zdecydowanie dłuższe niż pozwalał na to zakonny zwyczaj Braci Ubogich.

— Jacyś dziwni ci mnisi — stwierdził zarządca, a ja mogłem tylko przyznać mu rację.

— Uprzejmie wam dziękuję, panie Tausk — powiedziałem. — Sądzę, że zobaczyłem, co chciałem zobaczyć.

— I ja tak myślę — powiedział głosem bez wyrazu.

Bo i faktycznie: zobaczyłem, co zobaczyć chciałem, i w wyniku oględzin zwłok nasuwał się jeden wniosek: kimkolwiek byli ludzie przywiezieni z aresztu i pochowani w Dołach, na pewno nie byli zakonnikami. Gdzie więc mogłem znaleźć mnichów, których przesłuchiwał kanonik Bratta, i dlaczego zdecydował się przeprowadzić taką mistyfikację? Czemu chronił ludzi oskarżonych o herezję i do jakich celów mieli mu posłużyć?

###### \* \* \*

— Mistrzu Madderdin. — Kancelista z Inkwizytorium podniósł na mnie zmęczone, przekrwione oczy. — Mam nadzieję, że zdajecie sobie sprawę, jak niezwykła jest wasza prośba?

— Mam pełnomocnictwa Jego Ekscelencji... — odparłem rzeczowo, choć na początku chciałem powiedzieć, iż jestem specjalistą od niezwykłych próśb. W porę jednak ugryzłem się w język.

— Pełnomocnictwa pełnomocnictwami — rzekł spokojnie. — Ale nie widzę w nich nic o stałej inwigilacji dostojników Kościoła...

— „...wszelkimi dostępnymi metodami...”. — Wskazałem mu palcem fragment biskupiego dokumentu.

Westchnął.

— Dobrze — powiedział w końcu. — Lecz musicie podpisać rozkaz. W razie komplikacji wy będziecie odpowiadać przed Jego Ekscelencją. — Spojrzał na mnie i pokręcił głową ze znużeniem. — A wiedzcie, że jak przyjdzie co do czego, nie chciałbym być w waszej skórze.

— Oczywiście — odparłem, gdyż znając Jego Ekscelencję, sam nie chciałbym być we własnej skórze, kiedy zaczną się kłopoty.

Prośba była rzeczywiście niezwykła, ponieważ rzadko zdarzało się, by Inkwizytorium rozpoczynało inwigilację znacznych dostojników kościelnych inaczej niż tylko na bardzo wyraźny rozkaz biskupa Hez-hezronu, który w końcu był (praktycznie i teoretycznie) zwierzchnikiem Świętego Officjum. Tym razem kancelaria zdecydowała się na małe odstępstwo od przepisów i sądziłem, że kanonik Bratta zawdzięcza to temu, iż inkwizytorzy zarówno nim pogardzali, jak i go nie znosili. I widać nawet w siedzącym przede mną bracie-inkwizytorze, pełniącym nudne, urzędowe funkcje, ta nienawiść się czaiła. Cóż, Odryl Bratta nie poświęcił życia, by zbudować sobie w różnych kręgach grono zaufanych przyjaciół, a teraz mógł za lekkomyślność słono zapłacić... Nie zamierzałem płakać z tego powodu, pomimo że z natury jestem człowiekiem sentymentalnym oraz uczuciowym.

Podejmując decyzję o inwigilacji, Święte Officjum decydowało się na wysłanie szpiegów. Ich tożsamość była ukrywana również przed inkwizytorami, bo w końcu nawet oni mogli zostać kiedyś poddani obserwacji i nie byłoby dobrze, gdyby potrafili bez trudu rozpoznać szpiega. Poza tym, im mniej osób znało tego typu tajemnice, tym większa była szansa, że cała sprawa nie wymknie się spod kontroli. Osobiście jednak byłem przekonany, iż przynajmniej do niektórych szpiegowskich raportów ma dostęp nie tylko Inkwizytorium, lecz również tongi — świetnie zorganizowana organizacja przestępcza trzęsąca Hez-hezronem. Rzecz jasna, w żaden sposób podejrzeń tych nie mogłem potwierdzić, lecz wydawały mi się one oczywiste. Tak czy inaczej, za kilka dni miałem wiedzieć wszystko o kanoniku: dokąd chodzi, z kim się spotyka, o czym rozmawia, a nawet z czego się składa jego jadłospis. I miałem nadzieję, iż te informacje pomogą mi wypełnić misję zleconą przez biskupa. Swoją drogą, wiedza mogła mnie zaprowadzić do miejsc, których w innym wypadku nigdy nie chciałbym nawet poznać... Całe szczęście, że zdawałem sobie z tego sprawę, twierdząc zawsze, iż poznanie prawdy nie jest dobrem samym w sobie, lecz liczy się tylko, czy potrafimy zyskaną wiedzę wykorzystać z pożytkiem dla nas samych.

Raport szpiegów otrzymałem po pięciu dniach i uważnie go przestudiowałem. Wydawało się, że w życiu Odryla Bratty nie było nic zaskakującego. Pełnił posługi kapłańskie, zajmował się sprawami urzędowymi, dwa razy w ciągu tego czasu odwiedził kochankę, a raz dom publiczny, wziął udział w bankiecie wydanym przez pewnego szlachcica. Zwróciłem jednak uwagę na jeden fakt: trzykrotnie w ciągu tych pięciu dni kanonik odwiedzał kościół pod wezwaniem Matki Boskiej Bezlitosnej i modlił się tam przez kilka godzin. Ba, modlił się... Tego szpiedzy nie widzieli, gdyż Odryl Bratta wchodził do pomieszczeń zastrzeżonych jedynie dla duchownych, znanych proboszczowi parafii. Dlaczego katedralny kanonik uznał, iż modlitwa w niewielkim kościółku lepiej mu posłuży od modłów we własnej katedrze? Ha, trzeba było to sprawdzić!

###### \* \* \*

Kościół Matki Boskiej Bezlitosnej znajdował się w najstarszej części Hezu, położonej w widłach rzeki. Był wtulony w wiekowe, zniszczone kamienice o fundamentach podmytych przez wylewającą co wiosna wodę. Sam kościół, ogrodzony żelaznym płotem, też prezentował się marnie. Nawet stojący na dziedzińcu posąg Matki Boskiej miał zielony nalot i dawno utracił już dziewiczą, marmurową biel.

Tym razem nie założyłem oficjalnego, inkwizytorskiego stroju, lecz zwykły szary kaftan i szary kapelusz z szerokim rondem, który tak przechyliłem, aby ocieniał mi twarz. Szpiedzy dokładnie wyjaśnili w raporcie, dokąd udawał się kanonik, i zamierzałem odwiedzić to samo miejsce. Mogło się okazać, iż Bratta nie robi niczego zdrożnego, chociaż wierzyć mi się nie chciało, by nie mógł znaleźć lepszego miejsca na modlitwy niż ten zaniedbany kościół, znajdujący się w dodatku dość daleko od katedry oraz katedralnej kancelarii.

Sala kościelna była ciemna, pusta i chłodna. Na ścianach dostrzegłem podniszczone upływem czasu freski, za ołtarzem stała drewniana figura Jezusa z Mieczem. Tyle, że głownia została przełamana w połowie i nikomu, jak widać, nie chciało się jej naprawić. Krótko mówiąc, był to obraz nędzy i rozpaczy, a kto wie, czy kilkanaście lub kilkadziesiąt lat temu proboszcz nie powędrowałby na stos za ten połamany miecz naszego Pana. Ale cóż, w dzisiejszych czasach Inkwizytorium charakteryzowało się już wzruszającą łagodnością, a okres błędów i wypaczeń, kiedy całe miasta spalały się od żaru inkwizytorskich serc, mieliśmy dawno za sobą. Sądziłem zresztą, iż jest to właściwa kolej rzeczy, gdyż przemoc nie powinna nigdy być bezrozumna. Z drugiej strony, publiczna chłosta i kościelna pokuta na pewno proboszczowi się należały. Bo cóż to za pasterz, który nie potrafi zadbać o święty przybytek swojego stadka? Postanowiłem, że umieszczę stosowną uwagę, dotyczącą tej sprawy, w raporcie dla Jego Ekscelencji. Być może był to tylko nieważny i niegodny uwagi drobiazg, ale wystarczy przecież czerpać naukę z historii. I przypomnieć sobie, od jak błahego wydarzenia rozpoczęła się rujnująca kościelny porządek herezja Palatynatu, która oderwała od świętej wiary te nad wyraz bogate prowincje. Każdy przejaw zła należy zwalczać wtedy, gdy jest ono jeszcze w zalążku, bo kiedy urośnie w siłę, a ludzie przyzwyczają się do jego obecności, to rozwiązanie nie musi już być takie proste.

Doniesiono mi, że kanonik wchodził drzwiami znajdującymi się w bocznej nawie, więc spokojnym krokiem poszedłem w tamtą stronę. Wcześniej bacznie przyjrzałem się niknącej w cieniu pod sufitem galeryjce, by zorientować się, czy ktoś przypadkiem mnie nie obserwuje. Ale nie, kościół wydawał się pozbawiony żywego ducha. Ostrożnie i leciutko nacisnąłem klamkę z pozieleniałego mosiądzu, ale drzwi nawet nie drgnęły. Na szczęście wszystko wskazywało na to, iż zawierano je na zamek, a nie na umieszczony po drugiej stronie skobel. A z zamkiem, z Bożą pomocą, mogłem sobie jakoś poradzić. Bowiem przesławna Akademia Inkwizytorium przygotowuje swych absolwentów do różnych zadań. Musimy znać się na rozpoznawaniu czarów oraz herezji, posiadać wiedzę prawniczą, znajomość tradycji i obyczajów. Musimy prowadzić śledztwa, a wierzcie mi, że znajomość umiejętnego torturowania nie jest w tym wypadku najistotniejsza, choć niewątpliwie ważna. Poza tym jednak każdy inkwizytor powinien sprawnie władać orężem, rozpoznawać trucizny, posiąść sztukę bezszelestnego poruszania się, a także radzić sobie nawet ze skomplikowanymi zamkami. Można powiedzieć, iż jesteśmy ludźmi wszechstronnie wykształconymi, ale zapłaciliśmy za to latami morderczego szkolenia w Akademii. Nie słyszałem jednak o wielu, którzy by tych lat żałowali.

Zamek otworzyłem bez trudu, gdyż zapadka ustąpiła pod pierwszym dotknięciem wytrycha. Ostrożnie pchnąłem drzwi, słusznie podejrzewając, że w tym zapuszczonym kościele nikt nie trudzi się oliwieniem zawiasów. Przed moimi oczami ukazał się mroczny korytarz. Cofnąłem się więc, wziąłem z ołtarza grubą, woskową świecę i zapaliłem ją. Już ze świecą w dłoni przekroczyłem próg i delikatnie zamknąłem drzwi za sobą. Poszedłem wzdłuż korytarza, ostrożnie stawiając stopy, i zobaczyłem, że kończy się on stromymi, kamiennymi schodami, prowadzącymi zapewne do podziemi. Ha, zaczynało być coraz ciekawiej, chociaż musiałem również brać pod uwagę przypuszczenie, że schody prowadzą po prostu do piwnicy z mszalnym winem. Może Odryl Bratta zwyczajnie upijał się tu z proboszczem? Ale czy szpiedzy nie zaznaczyliby wtedy w raporcie, iż z kościoła Matki Boskiej Bezlitosnej wychodził pijany? Zresztą kanonik nie wyglądał mi na człowieka pochopnie folgującego słabościom.

Naliczyłem siedemdziesiąt stopni i, szczerze mówiąc, ich liczba mnie zdziwiła, gdyż okazywało się, że miejsce, do którego prowadziły, jest położone znacznie głębiej niż mogłem sądzić. Moje zdumienie było jeszcze większe, kiedy zobaczyłem, że droga wiedzie do niewielkiej kamiennej salki. Całkowicie pustej. Jednak postanowiłem nie dawać za wygraną, gdyż wydawało mi się zupełnym idiotyzmem budowanie tak długich schodów, które miałyby jedynie prowadzić do małej piwniczki. Obszedłem ściany dookoła, przyświecając sobie zabraną z ołtarza świecą. Ale oprócz chropawych kamieni, szarej zaprawy i wilgotnych nacieków nie zobaczyłem niczego interesującego. Oczywiście, to jeszcze o niczym nie świadczyło. Jeśli ktoś chciał ukryć tajne przejście, mógł zrobić to na tyle zmyślnie, by pierwsze oględziny, nawet dokonane doświadczonym okiem, nic nie dały. Tym razem więc opadłem na klęczki i, szorując kolanami po kamieniach, uważnie przyjrzałem się złożonej z kwadratowych płyt posadzce. Kwadraty były różnej wielkości. Pierwszy rząd zbudowany był zawsze z dużych płyt, drugi z czterokrotnie mniejszych.

— Ha! — powiedziałem do własnych myśli, kiedy dostrzegłem to, czego dostrzec się spodziewałem.

Wyciągnąłem zza pasa nóż i włożyłem go w szparę pomiędzy kamieniami. Podważyłem ostrożnie, aby nie złamać ostrza, a potem chwyciłem płytę w palce i wyciągnąłem. Bez trudu, gdyż chociaż ciężka, to nie była połączona zaprawą z pozostałymi elementami.

— Jesteśmy w domu, Mordimerze — mruknąłem sam do siebie, nie ukrywając satysfakcji.

Przyświeciłem i dostrzegłem w dziurze żelazną dźwignię. Cóż było innego robić? Szarpnąłem... Dźwignia poruszyła się i coś zgrzytnęło przeraźliwie w ścianie za moimi plecami. Odwróciłem się. W kamiennym murze ziała teraz szczelina, pozwalająca, by człowiek normalnej budowy mógł się przez nią przecisnąć.

— Dzięki ci, Panie, za łaski, które tak hojnie zsyłasz... — rzekłem i, stając bokiem, przedostałem się na drugą stronę ściany.

Wiedziałem, że niezależnie od tego, czy znajdę tu odpowiedź na moje pytania, czy też nie, cała sprawa warta była poświęcenia jej uwagi. Bowiem my, inkwizytorzy, mamy taki zwyczaj, że lubimy odkrywać to, co zakryte, obnażać to, co zasłonięte, i poznawać to, co nieznane. Wszelkie tajemnice budzą naszą natychmiastową chęć, by je ujawnić, a wszelkie zagadki aż proszą się o rozwiązanie. Mówiąc trywialnym językiem, można by nas nazwać ludźmi ciekawskimi, lecz wierzymy, że ciekawość ta miła jest Panu...

Za szczeliną ciągnął się następny korytarz, ale tym razem zobaczyłem drzwi po prawej stronie ściany. Ostrożnie się zbliżyłem i przyłożyłem ucho do drewna. Wyraźnie usłyszałem stłumione głosy dochodzące ze środka, a w szparze pomiędzy drzwiami a posadzką dostrzegłem światło. Teraz musiałem zdecydować, co robić. Czy wtargnąć do środka, czy też spokojnie czekać, aż ktoś będzie wchodził lub wychodził. Wadą pierwszego rozwiązania był fakt, iż musiałem się liczyć z tym, że drzwi mogą być zamknięte. A zaalarmowani moją obecnością spiskowcy (gdyż nie wątpiłem już, iż mam tu do czynienia ze spiskiem) uciekną lub wezwą pomoc. Jeśli natomiast drzwi były otwarte, to jaką miałem szansę, że w środku zastanę ludzi, których zdołam bez trudu obezwładnić? Wada drugiego rozwiązania polegała na tym, że mogłem czekać pod drzwiami do znudzenia, a zresztą nigdy nie było wiadomo, kto nadejdzie korytarzem... Z dwojga złego postanowiłem wybrać rozwiązanie, które nie pozwoli mi dłużej głowić się nad tym problemem. Nacisnąłem klamkę, pchając jednocześnie drzwi barkiem. Wpadłem do środka i dostrzegłem dwóch mnichów, posilających się przy zbitym z nieheblowanych desek stole.

A więc to byli oni. Dwaj grzesznicy, którzy narobili tyle zamieszania i przez których musiałem włamywać się do podziemi kościoła. Nie wyglądali na szczególnie groźnych (pierwszy z mnichów był mały, łysy i gruby, a drugi mały, łysy i chudy), lecz ja wiedziałem, że pozory mogą mylić, a Zły często wynajduje nie rzucające się w oczy mieszkanie. Obaj zerwali się z zydli, a gąsior z winem upadł na stół. Po deskach na posadzkę spłynął czerwony jak krew trunek.

— Inkwizytor — pisnął Chudy i cofnął się pod ścianę.

— Inkwizytor — powtórzył Gruby głosem bez wyrazu.

W tym wypadku spodziewałem się głębokiego brzmienia, lecz ponownie usłyszałem pisk, każący podejrzewać, że mnich był niegdyś jednym z papieskich eunuchów (może stąd i pochodziła jego nadmierna tusza?), wyśpiewujących pobożne pieśni w czasie mszy. Złośliwcy twierdzili, że obecny papież wykorzystywał eunuchów również w innym celu niż śpiewanie, ale za powtarzanie tych kłamliwych bredni można było na długo wylądować w dolnej wieży. Co nie oznacza, że ich nie powtarzano. A my, inkwizytorzy, mieliśmy wystarczająco dużo zajęć, by zajmować się jeszcze śledzeniem oraz ściganiem ludzi o za długich językach. Z tego, co wiedziałem, tajna policja biskupa również patrzyła na to wszystko przez palce. Bo widzicie, biskup miał na głowie ważniejsze problemy niż troszczenie się o dobrą opinią Ojca Świętego...

— Mordimer Madderdin, inkwizytor Jego Ekscelencji biskupa Hez-hezronu — zgodziłem się z nimi, przywołując na twarz uśmiech i podziwiając ich domyślność. — Sądzę, że będziemy musieli szczerze porozmawiać, mili bracia.

Tkwili pod ścianą i patrzyli na mnie wzrokiem na poły wściekłym, a na poły przerażonym.

— Jak to się stało, że dwóch mnichów, których ostatnio widziano na stole kata Folkena, ukrywa się w podziemiach kościoła? I jak to się stało, że pomaga im kanonik katedralnej kapituły, będący wcześniej przewodniczącym składu sędziowskiego? Zresztą — machnąłem dłonią — nie musicie odpowiadać teraz. Będziemy mieli mnóstwo czasu na długie, poważne rozmowy, w czasie trwania których otworzycie na oścież swe serca — dodałem, znowu się uśmiechając.

— Nic nie rozumiesz, inkwizytorze — powiedział Chudy. — Ale pozwól nam...

— To wy pozwólcie przodem — rozkazałem, tym razem ostrym tonem. — Ręce za siebie — dorzuciłem, wyciągając z zanadrza zwój liny, którym zamierzałem związać im dłonie.

— Wskażemy ci drogę prawdziwej wiary! — krzyknął Gruby niemal błagalnym głosem, a ja podszedłem i uderzyłem go wierzchem dłoni w usta. Zalał się krwią.

— Ręce! — powtórzyłem.

Tym razem posłusznie się odwrócili, a ja związałem im dłonie w nadgarstkach, a potem połączyłem więzy sznurem, tak by musieli iść w parze. Sznur jednak był na tyle długi, aby spacer taki nie okazał się zbyt uciążliwy dla prowadzącego. Wypchnąłem ich za drzwi, na korytarz, i wtedy ujrzałem światło zbliżające się od strony wejścia. Mnisi również dostrzegli, że nadciąga pomoc i Gruby zawył: „inkwizytor, jest tu inkwizytor!”. Trzasnąłem go pięścią za uchem i zwalił się na kamienie jak martwy. Ale nie był martwy, wierzcie mi, gdyż Mordimera Madderdina nie po to szkolono całymi latami, by zabijał jednym ciosem ludzi, którzy mogą mu się jeszcze przydać. Chudy wywrócił się na towarzysza, a ja przeskoczyłem nad nimi i zdmuchnąłem świecę. Trzymając się blisko ściany, ruszyłem w stronę światła. Miałem nosa, uciekając ze środka korytarza, gdyż usłyszałem tylko, jak obok mnie gwizdnęła strzała, wystrzelona zapewne z kuszy. Pobiegłem pędem, wiedząc, że nawet najlepszy strzelec musi mieć choć chwilę czasu na załadowanie broni. Światło zgasło, a ja wpadłem na jakiegoś człowieka ubranego w płaszcz oraz kolczugę, i jednym, szybkim ruchem wbiłem mu nóż w gardło. Zacharczał, zbryzgał mnie krwią z rozszarpanej tętnicy i próbował wczepić się we mnie palcami. Odepchnąłem go jednak i ruszyłem, słysząc oddalający się korytarzem tupot butów. Mężczyzna w płaszczu oraz kolczudze był tylko strażnikiem, moja ofiara natomiast uciekała ciemnym korytarzem, na pewno znając drogę znacznie lepiej niż ja. Mogłem kierować się tylko słuchem, ale wiedziałem, że człowiek ten zmierza do pustej piwniczki. Jeśli pojawi się w niej dużo wcześniej niż ja, to być może zdoła zamknąć przejście, więżąc w lochach biednego Mordimera. I mając czas, aby ruszyć po posiłki...

Bogu dziękować, wpadłem do piwnicy w momencie, kiedy kanonik grzebał właśnie przy dźwigni. Tym razem wnętrze było oświetlone dwiema pochodniami przymocowanymi żelaznymi hakami do muru. Ledwo się zmieściłem w szczelinę i zanim Bratta zdążył się poderwać, kopnąłem go z całej siły, z rozpędu, w żołądek. Wrzasnął zduszonym głosem, odtoczył się pod ścianę i huknął łbem w kamienie. Już się przestraszyłem, że biedaczysko zrobił sobie krzywdę, ale nie... Zajęczał, starając się złapać powietrze w płuca, i zaczął się gramolić na czworakach.

— Witajcie, księże kanoniku — odezwałem się serdecznym tonem. — Cóż to za nieoczekiwane spotkanie...

— Będziesz... będziesz się w piekle smażył — zdołał wycharczeć i otarł krew spływającą mu z czoła.

— Nie jest to wykluczone, choć ośmielam się mieć nadzieję na inny los — odparłem spokojnie. — Sądzę jednak, że w razie czego będziecie mieli wiele czasu, by przygotować mi tam miejsce...

Zaklął paskudnie i zdołał się wreszcie podnieść na nogi.

W całej tej sprawie był jeden problem, który szczególnie mnie interesował, i jedno pytanie, które koniecznie chciałem zadać. Kto wie, może uda mi się otrzymać odpowiedź, wykorzystując fakt, że Odryl Bratta musiał być, delikatnie mówiąc, zdenerwowany? A w nerwach ludzie mówią przecież wiele rzeczy, o których w innym wypadku nawet by się nie zająknęli.

— Wyjawcie mi, drogi kanoniku, jeśli łaska, kim był czwarty człowiek z przesłuchania heretyków?

— Czwarty człowiek — powiedział, jakby smakując te słowa. — O tak, już niedługo poznacie, kim był czwarty człowiek.

— Zastanawiam się tylko, co was podkusiło, by tak zdecydowanie negować jego istnienie, skoro pisarz Hausmann wyraźnie pisał o jeszcze jednym przesłuchującym?

— Zniszczyłem protokół!

— Czyżby? — Roześmiałem się. — Ciekawe w takim razie, co ja czytałem?

— Cholerny Hausmann! — syknął kanonik. — Bazgrał jak kura pazurem, więc sporządził czytelniejszą kopię... Szszlag!

Pokręciłem głową.

— Kiepski z was konspirator — stwierdziłem.

— To już nieważne — mruknął. — Ten, którego nazywacie czwartym człowiekiem, ukarał Hausmanna i Folkena, gdyż nie zawierzyli słowom świątobliwych mnichów. I w ten sam sposób ukarze każdego, kto nie przyjmie jedynej i prawdziwej wiary! A ja doznałem oświecenia! Przysiągłem sobie — w głosie Bratty usłyszałem gniew — tępić do końca życia tych, co ufają Bestii i jej prorokom, a nie naszemu ukochanemu Panu, który zmarł na Krzyżu!

— Aha — rzekłem i postanowiłem pominąć milczeniem jego heretyckie wyznania, gdyż z podobnym przykładem bezrozumnego fanatyzmu spotkałem się już niegdyś w Gewicht. — Czyli letarg to sprawka czwartego człowieka? Dobrze, będziemy mieli czas, byście spokojnie wyjawili nam, jak to wszystko się stało.

W lochu było zimno, wilgotno i szalał przeciąg. Przy ścianach nerwowym, drżącym blaskiem płonęły pochodnie, dające chyba tyle samo światła co dymu. W tym drgającym świetle twarz Odryla Bratty raz wyłaniała się z cienia, a raz w nim ginęła. Zważywszy, iż miał ją całą we krwi, dawało to upiorny efekt.

— Już nie żyjesz, Madderdin — rzekł i splunął na posadzkę czerwoną plwociną.

— Co ma być, to będzie — odparłem beztrosko. — Ale raczcie mnie oświecić, drogi kanoniku. Kto pozbawi mnie życia. Wy? Teraz? Tutaj?

— O, nie, nie ja — odrzekł z dziwnym rozmarzeniem w głosie. Rozmarzeniem, które nadzwyczaj mi się nie spodobało, gdyż świadczyło, że trzyma w zanadrzu jakąś niespodziankę.

— W takim razie... — Rozejrzałem się teatralnie na lewo i prawo, a potem wzruszyłem ramionami. — Co to, niewidzialni przyjaciele? — zadrwiłem.

— Czasami niewidzialni — powiedział z paskudnym uśmiechem. — Ale teraz za twoimi plecami.

To oczywiście stara sztuczka, na którą nie nabiera się nikt dysponujący jakim takim doświadczeniem oraz jakim takim intelektem. Tylko widzicie, mili moi, Odryl Bratta nie miał żadnego powodu, by odwracać moją uwagę. Stał na tyle daleko, że nie byłby w stanie mnie uderzyć, a ja zagradzałem mu jedyną drogę ucieczki. Dlatego mogłem zupełnie spokojnie i bez lęku się odwrócić. Tak też i zrobiłem. A to, co ujrzałem, spowodowało, iż skamieniałem (podejrzewam, iż w tamtej chwili żona Lota byłaby przy mnie niczym chyża gazela o poranku). A potem miałem jedynie tyle sił, by wciągnąć ze świstem powietrze, i tyle przytomności umysłu, by zorientować się, iż drżą mi dłonie, a ciało oblał lodowaty pot.

Stał przede mną, ogromny i złowrogi. Z szarymi skrzydłami, jakby utaplanymi w błocie, i twarzą zrytą zmarszczkami. Jego oczy pałały ogniem, a w dłoniach dzierżył błyszczący srebrem miecz.

— Oto jestem — rzekł, a jego głos poniósł się po lochu tubalnym echem. — By ukarać niewiernych i ratować wyznawców prawdziwej wiary.

Te słowa mnie otrzeźwiły. Spojrzałem mu prosto w oczy. Tym razem już bez trwogi w sercu.

— *Nie masz żadnej mocy nade mną, jeśli z góry nie będzie ci to dane —* odparłem słowami Pisma.

Roześmiał się, a jego śmiech zabrzmiał niczym przeciągły, głuchy warkot.

— Mały człowieczku — rzekł z pogardą. — Będziesz błagał przez wieczność o szybką śmierć, lecz ona nie nadejdzie.

— *W każdym położeniu bierzcie wiarę jako tarczę, dzięki której zdołacie zgasić wszystkie rozżarzone pociski Złego —* odparłem słowami świętego Pawła.

— Sądzisz, że pomoże ci to? — Przyglądał mi się ciekawie, jakby widział przed sobą okaz szczególnie interesującego robaka, z którego zwyczajami trzeba się zapoznać, zanim się go rozdepcze. — Ta znajomość kilku nic nie znaczących słów?

— *Błogosławieni niezłomnego serca, albowiem oni Boga oglądać będą. Błogosławieni żołnierze wiary, albowiem nazwani będą synami Bożymi —* rzekłem.

Warknął wściekle i uniósł miecz. Ostrze sięgnęło niemal powały. Nadal nie spuszczałem z niego wzroku i wyraźnie widziałem, że zdumiewa go oraz złości mój upór.

— Padnij na kolana i okaż mi posłuszeństwo, a ocalisz życie! — warknął.

— *Pan dał, Pan odjął. Jako się Panu upodobało, tak się stało. Niech będzie imię Pańskie błogosławione.*

— A więc giń!

— *Ja jestem mieczem Aniołów i posłusznym narzędziem Pana. Niech stanie się Jego wola —* powiedziałem szybko.

Srebrzysty miecz runął z góry niczym spleciona w ostrze wiązka błyskawic. Zamknąłem oczy, gdyż była to moja ostatnia chwila. I wtedy usłyszałem brzęk jakby rozbijanego kryształowego pucharu. Uniosłem powieki i zobaczyłem, że ostrze Anioła spotkało się z drugim ostrzem. I w zderzeniu z nim pękło na setki srebrnych odprysków. W dłoni mego prześladowcy pozostała tylko dymiąca, czarna rękojeść.

— *Dalej nie postąpisz —* usłyszałem cichy głos.

Obok mnie stał wątły człowiek w burej kapocie. Twarz ukrył pod kapturem i tylko jaśniejące złotem włosy wymykały się spod materii. W dłoniach trzymał miecz, którym powstrzymał cios. To był mój Anioł Stróż. Zawsze rozpoznasz swego Anioła Stróża, niezależnie od tego, jaką by zechciał przybrać postać. Anioł o szarych skrzydłach cofnął się o krok, a na jego pomarszczonej twarzy odbiło się zdumienie i przerażenie.

— *Idź ode mnie, przeklęty, w ogień wieczny —* wyjąkał.

— I kto teraz mówi cytatami? — Roześmiał się wesoło mój Anioł Stróż, ale ja znałem już ten śmiech i wiedziałem, że nie wróży niczego radosnego.

I wtedy przemienił się przed nami. Oblicze jego pojaśniało jak słońce, a szaty stały się białe jak śnieg. Śnieżne skrzydła wzniosły się pod samą powałę, a rękojeść miecza zapaliła się blaskiem drogich kamieni. Zamiast burej kapoty, ubrany był teraz w srebrny półpancerz, wypolerowany niczym lustro, oraz spływający z ramion płaszcz.

— Oto nadszedł czas pomsty i zapłaty — rzekł z nietajoną satysfakcją w głosie, po czym schował miecz do pochwy i rozpostarł ramiona. — Pójdź w me objęcia, Mikaelu.

Anioł nazwany Mikaelem cofnął się z tak widocznym przerażeniem, że jego twarz wydawała się w tym momencie jedynie jakąś złowrogą maską, wyrzeźbioną, by budzić grozę w sercach żywych istot. Jednak nie zdołał uciec przed moim Aniołem, który szedł, potężny, jaśniejący i roześmiany. Złote włosy falowały niczym rozwiewane podmuchami wiatru. Nagle jego ramiona i skrzydła otuliły szarego Anioła, który wrzasnął głosem pełnym cierpienia. Kiedy usłyszałem ten krzyk, upadłem na kolana, gdyż dźwięk poraził nie tylko moje uszy, ale sięgnął gdzieś do samej głębi serca oraz umysłu. Był tak pełen grozy i rozpaczy, że nie przypominałem sobie, bym kiedykolwiek słyszał coś tak poruszającego. Jednak nie mogłem odmówić sobie zaspokojenia grzesznej ciekawości, i z klęczek, opierając dłonie na wilgotnej podłodze, pilnie obserwowałem wszystko, co działo się przed moimi oczami. W końcu nie sądzę, by na świecie żyło wielu ludzi, którzy zostali obdarzeni doświadczeniem oglądania walki dwóch Aniołów. Jednak to, co się działo, trudno była nazwać walką czy pojedynkiem. Anioł o szarych skrzydłach niemal zniknął w łunie świętego blasku, która zdawała się już nawet tłumić krzyk. Oglądałem tylko jego czerniejącą twarz i ogromniejące oczy wypełnione bezbrzeżnym cierpieniem. Wiedziałem, że długo nie zapomnę tego widoku. A potem mój Anioł Stróż odstąpił i strzepnął z dłoni oraz skrzydeł szary pył. Taki był koniec istoty nazywanej Mikaelem.

Z kąta usłyszałem chrapliwy jęk i zobaczyłem, jak Odryl Bratta usiłuje nabrać powietrza w płuca i drze palcami koszulę na piersiach.

— Yhhhhh! — zacharczał, a z jego ust spłynęła ślina zmieszana z krwią.

Upadł na kolana, a ja widziałem jego wybałuszone z przerażenia oczy i twarz, która nabiegła ciemną czerwienią. Jeszcze przez chwilę trzymał się za pierś, a potem dłonie mu opadły i uderzył czołem w kamienie. Przyglądałem się, jak wierzga nogami, lecz moment później znieruchomiał. Cóż, nie da się ukryć, że miał nieliche szczęście, kończąc na, jak to mówią, uderzenie krwi do mózgu, gdyż bracia-inkwizytorzy i ja sam z całą pewnością nie dalibyśmy mu zejść tak szybko i przyjemnie z tego padołu łez.

— Mordimerze, mój Mordimerze — rzekł Anioł z dziwnym zaśpiewem w głosie. — Jak mogłeś próbować zmierzyć się z istotą niegdyś ukształtowaną z blasku samego Pana? Która, choć upadła tak nisko, jak nikt przed nią, to zachowała potęgę i moc? Jak mogłeś sądzić, że nawet twoja głęboka wiara uratuje cię przed jednym z potępionych Aniołów?

— A jednak tak się stało — odparłem, unosząc wzrok, ale zaraz uciekłem ze spojrzeniem, gdyż w źrenicach mego Anioła wirowała bezdenna pustka.

— A jednak... — powtórzył po chwili cichszym głosem, jakby zastanawiając się nad moimi słowami.

Blask rozjaśniający piwnicę zgasł i kiedy powtórnie spojrzałem w stronę Anioła, był znowu tylko niewielkim człowieczkiem w burej kapocie. Podpierał się na ogromnym, świetlistym mieczu, który teraz tak dziwnie wyglądał w jego dłoniach.

— Cóż za zuchwalstwo — powiedział z westchnieniem. — Sądzić, że przybyłem tu przymuszony mocą twej wiary. To był tylko kaprys, Mordimerze. Kaprys i przemożna chęć zakończenia dawnego sporu, który ciągnął się zbyt długo i o którym pamięć zbyt boleśnie raniła.

— Tak, mój panie — odparłem, pochylając głowę.

Usiadł w kącie piwnicy i podkulił nogi, obejmując je dłońmi. Gdzieś w międzyczasie, nie zauważyłem nawet kiedy i gdzie, zniknął jego jaśniejący miecz.

— Nadchodzi czas wielkiego oczyszczenia, Mordimerze. Bo *już siekiera do korzenia drzew jest przyłożona —* powiedział, cytując świętego Mateusza. — A my tylko nie wiemy, kiedy uderzy ostrze i gdzie trafi.

— Tak, mój panie — powtórzyłem.

— Być może uderzy w ciebie, Mordimerze — dodał, a ja poczułem, jak lodowaty dreszcz przebiega mi od nasady karku aż do krzyża. — Gdyż być może nie jesteś tym, na kogo wyglądasz.

— A kim jestem, mój panie? — ośmieliłem się spytać.

— Właśnie. Kim jesteś, Mordimerze?

— Bożym stworzeniem? — odparłem cicho i z lekko pytającą intonacją.

Roześmiał się śmiechem, który wywołał ciarki na skórze.

— Bożym. Bóg. Boga. Boże — wymruczał. — A powiedz mi, gdzie jest Bóg?

— To ty mi powiedz, gdzie Go nie ma, panie — odparłem, a słowa te zabrzmiały śmielej niżbym tego sobie życzył.

Uniósł głowę tak szybko, że nie zdążyłem cofnąć wzroku. Na moment runąłem w labirynty szaleństwa wypełniające jego źrenice i poczułem, że za chwilę sam stracę zmysły. Na szczęście odwrócił głowę, ale ja i tak cofnąłem się pod samą ścianę, jak po silnym ciosie.

— Nigdzie Go nie ma — powiedział cicho. — Choć tak bardzo Go pragniemy.

Opierał się prawą dłonią na kamiennej posadzce, a kamienie zamieniały się w lawę i wrzały pod jego dotykiem. Zdawał się jednak tego nie zauważać.

— Zniknął — rzekł głosem, w którym drgały bezbrzeżny smutek oraz nieogarniona tęsknota. — I nie wiemy, gdzie Go szukać. Nawet Jego blask zginął i nie pojmujemy już, czego pragnął nasz Pan, nie pamiętamy już, jak wypełniać Jego przykazania, jak okazać Mu naszą miłość... Mówią... mówią, że przestał nas kochać... I dlatego odszedł...

Rozpacz w głosie Anioła była tak ogromna, że poczułem, jak, niezależnie od swej woli, płaczę, a łzy spływają mi po policzkach i brodzie. Przetarłem je rękawem, ale płakałem dalej.

— Myśleliśmy, że Jezus jest emanacją Pana, ale i On zniknął, pozostawiając nas w smutku. Niektórzy z nas mówią, że Bóg umarł...

— To nieprawda! — krzyknąłem, powstrzymując szloch dławiący gardło, choć własne zuchwalstwo przyprawiło mnie o drżenie.

— To nieprawda — potwierdził spokojnie Anioł. — Gdyż jeśli On by umarł, my umarlibyśmy w tej samej chwili. — Pokiwał głową. — Tak, to z pewnością nieprawda — dodał, jakby chciał przekonać samego siebie.

— Inni mówią, że odszedł do światów tak dalekich i w eony tak odległe, że nasz wzrok nie może przeniknąć bariery czasu oraz przestrzeni — ciągnął dalej, z opuszczoną głową i z tym samym smutkiem, który doprowadzał mnie do łez. — Ja się z tym nie zgadzam...

Nie wiedziałem, czy wolno mi zadać pytanie, ale nie mogłem się powstrzymać, chociaż rozmowa z Aniołem mogła kosztować mnie życie lub obłęd.

— Więc gdzie jest Bóg, mój panie? — zapytałem szeptem.

— Ukrył się — westchnął Anioł. — Aby sprawdzić, czy jesteśmy godni żyć bez Jego blasku. Czy posłusznie wypełnimy przykazania, którymi nas obdarował. Cóż z tego, skoro ich nawet nie pamiętamy...

Serce łomotało mi tak mocno, że myślałem, iż wyskoczy z piersi. Nie wiem, czy wielu ludzi słyszało od Aniołów takie słowa, jakie ja słyszałem w tej chwili. I nie miałem pojęcia, czy przeżyję na tyle długo, by się nad nimi zastanowić. Bowiem myśli Aniołów biegną niedostępnymi dla śmiertelników labiryntami szaleństwa. Może mój Anioł się mylił? A może kłamał? Lub był tak obłąkany, że nie potrafił rozróżnić jednego od drugiego?

— Niektórzy z nas twierdzą, że Bóg skrywa się w ciele śmiertelnych ludzi. Że nakazał sobie zapomnieć o swej boskości, aby przeżyć to, co przeżywa zwykły człowiek. By lepiej Go zrozumieć. Wyznaczył czas, kiedy przypomni sobie, że jest Bogiem, a wtedy powróci w chwale, karząc bez miłosierdzia tych, którzy stracili z oczu Jego blask. Lecz nie wiemy, czy to prawda, a jeśli tak, to skąd mamy wiedzieć, kiedy ten czas nadejdzie?

Przełknąłem głośno ślinę. Nie płakałem już, ale oczy i policzki nadal miałem mokre od łez.

— Więc szukajcie go... lub ich... — powiedziałem cicho.

— Szukamy. — Podniósł na mnie wzrok, ale tym razem nie musiałem uciekać przed tym spojrzeniem, gdyż miał zwykłe, szare i zmęczone oczy smutnego człowieka. — I niektórzy twierdzą, że znaleźliśmy.

— Więc gdzie jest Bóg?!

— Sądzimy, że teraz jest w tobie, Mordimerze — powiedział, a jego wąskie usta skrzywiły się w lekkim uśmiechu.

Osłupiałem. Nie wiedziałem, ani co powiedzieć, ani co zrobić, ale Anioł Stróż chyba nie oczekiwał, że cokolwiek powiem lub cokolwiek uczynię.

— Może to prawda, może nie — znowu westchnął. — Szkopuł jednak w tym, Mordimerze, że w gronie tych, którzy wierzą, iż Pan ukrył się w ludzkim ciele, są nie tylko tacy jak ja. Nie tylko tacy, którzy kochają Go bezgraniczną miłością...

Nie wiem czemu, ale przeszedł mnie znowu lodowaty dreszcz. Chyba już wcale nie chciałem słuchać, co ma do powiedzenia mój Anioł, ale wiedziałem też, że nie mam innego wyjścia.

— Są też... — skrzywił się lekko — inni. Ci, którzy nie mogą wybaczyć Panu, że nas porzucił i wystawił na próbę. Obiecali sobie, że kiedy odnajdą człowieka, w którym jest Bóg, poddadzą go tak strasznym torturom, przy których te znane inkwizytorom i katom są niczym matczyna pieszczota.

Zrobiło mi się słabo. Jeżeli stanę się zwierzyną, na którą polują oszalałe Anioły, będzie to tylko żałosna kwintesencja żałosnego życia żałosnego Mordimera.

— Wszystko w tym celu, aby Bóg, kiedy już się obudzi z pamięcią zaznanych tortur, zrozumiał, jak cierpieli Aniołowie pozbawieni Jego blasku — dokończył.

— Chcą torturować Boga, by pojął, jak bardzo było im źle bez Niego? — zapytałem, starając się za wszelką cenę powstrzymać drżenie głosu.

— Właśnie — odparł. — Taki jest ich cel.

— Nie sądzę, aby Bóg był we mnie — stwierdziłem stanowczo. — Sądzę, że Pan znalazł sobie godniejsze mieszkanie.

Wzruszył ramionami i w tym ruchu była ludzka bezradność.

— Być może — odparł. — Ale tak bardzo chciałbym Go znowu zobaczyć — dodał ze smutkiem. — Pamiętam tylko Światło, które nas otaczało i ogrzewało, z którego czerpaliśmy wiedzę. A potem... — urwał.

Milczeliśmy długą chwilę, aż w końcu mój Anioł wstał, a w jego ruchach była starcza ociężałość.

— Nie możemy cię chronić, Mordimerze, ani pomagać ci — powiedział mocniejszym głosem. — Gdyż zwróciłoby to uwagę tych, którzy pragną twej zguby. Nie powinienem nawet rozmawiać z tobą, ale chciałbym... chciałbym, aby Bóg, kiedy się już zbudzi, wiedział, jak bardzo Go kocham i jak bardzo mi Go brakuje...

Patrzył na mnie tak intensywnie, jakby chciał mnie przewiercić wzrokiem na wylot, by odkryć, że może gdzieś tam pod ciałem, duszą i umysłem Mordimera skrywa się jego Pan. Potem odwrócił wzrok. Zgaszony i zobojętniały.

— Do zobaczenia, Mordimerze — rzekł. — Zostawiam ci w darze ciężki krzyż, ale uwierz mi, że nie będzie on tak ciężki, jak teraz myślisz. To przynajmniej mogę dla ciebie uczynić. Zesłać mgłę słodkiego oszołomienia. Będziesz pamiętać naszą rozmowę, ale w miarę upływu czasu zdawać ci się będzie jedynie sennym majaczeniem... Jednak nawet wspomnieniem tego majaczenia nie dziel się z nikim, jeśli nie chcesz sprowadzić na siebie zguby.

Zniknął z moich oczu, jakby był tylko odbiciem w lustrze, którego taflę nagle zasłonięto. Pozostawił mnie samego w wilgotnej piwnicy, z trupem kanonika leżącym na zimnych kamieniach. Drżałem na całym ciele, więc skuliłem się w kącie i objąłem kolana ramionami. Może i byłem Bogiem, jak twierdził Anioł Stróż (czy raczej Bóg mieszkał w moim ciele), ale jeśli nawet, to teraz byłem Bogiem przerażonym oraz nieszczęśliwym.